KHALED
HOSSEINI
Chłopiec
z latawcem
Wyjątkowa powieść o honorze, miłości, przyjaźni, winie i odkupieniu. Hosseini z wielką wrażliwością rysuje poruszający portret Afganistanu, który na długo pozostaje w pamięci.

KHALED
HOSSEINI

Chłopiec z latawcem

Z angielskiego przełożyła
Maria Olejniczak-Skarsgård

Historia o przyjaźni i zdradzie, o kłamstwach i próbach naprawiania błędów z przeszłości.

Afganistan, lata 70. ubiegłego wieku. Dwunastoletni Amir, syn zamożnego Pasztuna z Kabulu, wychowujący się w domu bez kobiet, robi wszystko, by zyskać uznanie w oczach ojca. To główny cel, jaki mu przyświeca, gdy startuje w zawodach w puszczaniu latawców. Zwycięstwo zawdzięcza Hasanowi – służącemu i towarzyszowi zabaw. Kiedy jednak ten potrzebuje pomocy, Amir tchórzy i nie staje w jego obronie. Co więcej, w perfidny sposób doprowadza do sytuacji, w której Hasan musi opuścić ich dom.

Ćwierć wieku później Amir mieszka w USA. Został pisarzem i wiedzie dostatnie życie, lecz nie odstępuje go poczucie winy i świadomość własnej zdrady. Los daje mu szansę na odkupienie.

KHALED HOSSEINI

Afgański autor piszący po angielsku, syn dyplomaty i nauczycielki, urodzony w 1965 roku, od 1980 roku mieszkający w USA. Ukończył studia medyczne na University of California w San Diego i przez blisko dziesięć lat pracował jako internista. W 2003 roku zadebiutował powieścią **Chłopiec z latawcem**, która przyniosła mu międzynarodową sławę. Książka została przełożona na 40 języków, a nakręcony na jej podstawie film – pod tym samym tytułem – odniósł ogromny sukces.

Z równie entuzjastycznym przyjęciem spotkała się druga powieść Hosseiniego, **Tysiąc wspaniałych słońc**, światowy bestseller z 2007 roku. Jego trzecia książka, **I góry odpowiedziały echem**, została opublikowana w 2013 roku.

W sierpniu 2018 roku ukazało się ilustrowane, przeznaczone dla czytelników w każdym wieku opowiadanie o uchodźcach pt. **Modlitwa do morza**.

Khaled Hosseini jest „wysłannikiem dobrej woli" w Biurze Wysokiego Komisarza Narodów Zjednoczonych do spraw Uchodźców (UNHCR) oraz założycielem Fundacji Khaleda Hosseiniego, która zajmuje się organizowaniem pomocy humanitarnej dla mieszkańców Afganistanu.

khaledhosseini.com
khaledhosseinifoundation.org

Tego autora

CHŁOPIEC Z LATAWCEM
TYSIĄC WSPANIAŁYCH SŁOŃC
I GÓRY ODPOWIEDZIAŁY ECHEM
MODLITWA DO MORZA

Tytuł oryginału:
THE KITE RUNNER

Copyright © 2003 TKR Publications, LLC
All rights reserved
The moral right of the author has been asserted
Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2021
Polish translation copyright © Maria Olejniczak-Skarsgård 2010

Redakcja: Anna Walenko
Konsultacja: prof. Jolanta Sierakowska-Dyndo
Zdjęcia na okładce: Tiny Art/Shutterstock.com
Projekt graficzny okładki: Kasia Meszka

ISBN 978-83-8215-785-7

Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.
Hlonda 2A/25, 02-972 Warszawa
wydawnictwoalbatros.com
Facebook.com/WydawnictwoAlbatros|Instagram.com/wydawnictwoalbatros

Niniejszy produkt jest objęty ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że publiczne udostępnianie osobom trzecim,

nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.

Konwersja do formatu EPUB oraz MOBI

Katarzyna Rek

woblink.com

Spis treści:

Okładka
Karta tytułowa
Karta redakcyjna
Podziękowania
Rozdział 1
Rozdział 2
Rozdział 3
Rozdział 4
Rozdział 5
Rozdział 6
Rozdział 7
Rozdział 8
Rozdział 9
Rozdział 10
Rozdział 11
Rozdział 12
Rozdział 13
Rozdział 14
Rozdział 15
Rozdział 16

Rozdział 17
Rozdział 18
Rozdział 19
Rozdział 20
Rozdział 21
Rozdział 22
Rozdział 23
Rozdział 24
Rozdział 25
Słowniczek wyrazów i zwrotów niewyjaśnionych w tekście

Harisowi i Farah będącymi noor* *moich oczu*

---

* *Noor* (farsi) – światło.

Podziękowania

Wyrazy wdzięczności za rady, pomoc i wsparcie niech przyjmą moi koledzy: dr Alfred Lerner, Dori Vakis, Robin Heck, dr Todd Dray, dr Robert Tull i dr Sandy Chun. Podziękowania należą się także Lynette Parker z East San Jose Community Law Center za informacje na temat procedur adopcyjnych i panu Daoudowi Wahabowi, który podzielił się ze mną swoimi przeżyciami z Afganistanu. Jestem też wdzięczny mojemu drogiemu przyjacielowi Tamimowi Ansary'emu za wskazówki i wsparcie oraz całej paczce z San Francisco Writers Workshop za komentarze i słowa zachęty. Chcę podziękować swojemu tacie, który jest moim najstarszym przyjacielem i wzorem szlachetności, jaką odznacza się *baba;* mamie, która modliła się za mnie i składała *nazr* na każdym etapie powstawania tej powieści; i cioci, która kupowała mi książki, gdy byłem mały. Podziękowania niech przyjmą również: Ali, Sandy, Daoud, Walid, Raya, Shalla, Zahra, Rob i Kader za to, że czytali moje opowiadania. Chcę podziękować dr. Kayoumy'emu i jego żonie – moim drugim rodzicom – za ich serdeczność i nieustające wsparcie.

Wdzięczność należy się Elaine Koster, mojej agentce i przyjaciółce, za jej mądrość, cierpliwość i uprzejmość oraz Cindy Spiegel, bystrookiej i roztropnej redaktorce, która pomogła mi przetrzeć wiele ścieżek w tej opowieści. Chciałbym też podziękować Susan Petersen Kennedy za to, że

dała szansę tej książce, i sumiennemu zespołowi z Riverhead Books za włożoną w nią pracę.

Na koniec, nie wiem, jak mam wyrazić wdzięczność swojej uroczej żonie Roi – bez której opinii bym się nie obył – za dobroć i łaskawość, za wielokrotne czytanie i pomoc przy redagowaniu wersji roboczych tej powieści. Za twoją cierpliwość i wyrozumiałość zawsze będę cię kochał, Roya *dżan.*

1

Grudzień 2001

Stałem się tym, kim jestem dzisiaj, gdy miałem dwanaście lat, pewnego lodowatego, pochmurnego dnia zimą 1975 roku. Pamiętam tamtą chwilę: przycupnąłem pod rozpadającym się glinianym murem i zerkałem zza niego w zaułek opodal zamarzniętego strumienia. To było dawno temu, ale przekonałem się, że twierdzenie, iż przeszłość można pogrzebać, jest błędne. Bo przeszłość usiłuje wygrzebać się na powierzchnię. Patrząc wstecz, uprzytamniam sobie, że zerkam w ten opustoszały zaułek od dwudziestu sześciu lat.

Któregoś dnia latem zeszłego roku zadzwonił do mnie z Pakistanu mój przyjaciel Rahim Chan. Poprosił, żebym do niego przyjechał. Stojąc w kuchni ze słuchawką przy uchu, wiedziałem, że na linii jest nie tylko Rahim Chan. Odezwały się moje nieodpokutowane grzechy z przeszłości. Po zakończeniu rozmowy poszedłem na spacer nad jezioro Spreckels na północnej krawędzi parku Golden Gate. Wczesnym popołudniem słońce migotało na powierzchni wody, po której pływały dziesiątki miniaturowych łódek popychanych rześkim wiatrem. Gdy spojrzałem w górę, zobaczyłem dwa latawce, czerwone z długimi niebieskimi ogonami. Szybowały po niebie, kołysząc się wysoko nad drzewami w zachodniej części parku i nad

wiatrakami. Płynęły obok siebie jak dwoje oczu spoglądających na San Francisco, miasto, które teraz uważam za swój dom. I nagle w mojej głowie rozległ się szept Hasana: „Dla ciebie tysiąc razy”. Hasana z zajęczą wargą, który gonił latawce.

Usiadłem na ławce przy wierzbie. Zastanawiałem się nad tym, co powiedział Rahim, tuż zanim się rozłączył. Jakby po namyśle dorzucił: „Można być znowu dobrym”. Patrzyłem na te bliźniacze latawce. Myślałem o Hasanie. Myślałem o ojcu. O Alim. O Kabulu. Myślałem o swoim życiu do tamtej zimy 1975 roku, kiedy to zmieniło się wszystko. I stałem się tym, kim jestem dzisiaj.

2

Gdy Hasan i ja byliśmy dziećmi, wchodziliśmy na topole stojące wzdłuż podjazdu przy domu mojego ojca i kawałkiem lusterka puszczaliśmy zajączki w okna poirytowanych sąsiadów. Siedzieliśmy wysoko na gałęziach po dwóch stronach pnia i machaliśmy bosymi nogami, mając kieszenie spodni wypchane suszonymi owocami morwy i orzechami włoskimi. Bawiliśmy się lusterkiem na zmianę, pojadając morwę, rzucając owocami jeden w drugiego, zaśmiewając się do rozpuku. Wciąż widzę siedzącego na drzewie Hasana, przebłyskujące wśród liści słońce pada na jego niemal idealnie okrągłą twarz jak u chińskiej lalki wyrzeźbionej w twardym drewnie: z płaskim, szerokim nosem i wąskimi, skośnymi oczami w kształcie liścia bambusa, oczami, które zależnie od światła miały złoty, zielony, a nawet szafirowy kolor. Wciąż widzę jego małe, nisko osadzone uszy i spiczastą brodę, mięsisty wyrostek jakby dodany po namyśle. I rozszczepioną wargę, odrobinę na lewo od środka – może w tym miejscu omsknęło się dłuto chińskiemu rzemieślnikowi albo po prostu był już tak zmęczony, że pracował niedbale.

Tam wysoko w koronie drzewa często namawiałem Hasana, żeby strzelał z procy orzechami w jednookiego owczarka niemieckiego sąsiadów. Nie chciał tego robić, ale gdy go poprosiłem, bardzo poprosiłem, nigdy nie odmówił. Hasan nie odmawiał mi niczego. I zabójczo strzelał z procy.

Zdarzało się, że jego ojciec, Ali, przyłapywał nas i wpadał w złość, o ile człowiek tak łagodny jak Ali może wpadać w złość. Groził palcem i machał ręką, każąc nam zejść na dół. Zabierał lusterko i mówił to, co kiedyś mówiła mu jego matka: że diabeł również bawi się lusterkami, żeby rozproszyć uwagę muzułmanów podczas modlitwy.

– I śmieje się przy tym – zawsze dodawał Ali, patrząc na syna z zachmurzoną miną.

– Tak, ojcze – mamrotał Hasan, wbijając wzrok w ziemię.

Ale nigdy na mnie nie naskarżył. Nigdy nie powiedział, że to ja rzuciłem pomysł, żeby puszczać zajączki i strzelać orzechami w psa sąsiadów.

Topole rosły wzdłuż podjazdu wyłożonego czerwoną cegłą i biegnącego do dwuskrzydłowej bramy z kutego żelaza. Ta zaś otwierała się na dalszą część podjazdu, który ciągnął się przez posiadłość mego ojca. Dom stał na lewo od ceglanej drogi, na końcu znajdował się ogród.

Wszyscy zgadzali się co do tego, że mój ojciec, mój *baba*, postawił najpiękniejszy dom w całej Wazir Akbar Chan, nowej, zamożnej dzielnicy w północnej części Kabulu. Niektórzy byli zdania, że to najładniejszy dom w mieście. Szeroka alejka z krzakami róż po obu stronach prowadziła do rozległego budynku z marmurowymi podłogami i szerokimi oknami. Ceramiczne płytki, które *baba* wybrał własnoręcznie w Isfahanie, tworzyły misterne wzory na posadzkach w czterech łazienkach. Na ścianach wisiały przetykane złotą nicią tkaniny, które ojciec przywiózł z Kalkuty; ze sklepionego sufitu zwisał kryształowy żyrandol.

Na piętrze znajdowały się moja sypialnia, pokój ojca i jego gabinet nazywany również palarnią, gdzie stale pachniało tytoniem i cynamonem. Po kolacji podanej przez Alego *baba* wraz z przyjaciółmi rozsiadali się w czarnych skórzanych fotelach. Nabijali fajki – *baba* zawsze nazywał to

„tuczeniem fajki” – i prowadzili rozmowy na trzy ulubione tematy: o polityce, o interesach i o piłce nożnej. Czasami pytałem tatę, czy mogę z nimi posiedzieć, ale on stawał w drzwiach, mówiąc: „Zmykaj. Teraz dorośli mają czas dla siebie. Poczytaj jakąś książkę”. Zamykał drzwi, a ja zastanawiałem się, jak to jest, że u niego dorośli nieustannie mają czas dla siebie. Siadałem pod drzwiami, przyciągając kolana do piersi. Zdarzało się, że siedziałem tak godzinę, niekiedy dwie, i słuchałem ich głosów przerywanych wybuchami śmiechu.

W salonie na dole jedna ściana była zaokrąglona i stały przy niej przeszklone szafki zrobione na zamówienie. Na półkach znajdowały się zdjęcia rodzinne w ramkach: stara, ziarnista fotografia przedstawiająca mojego dziadka z królem Naderem Szahem, zrobiona w roku 1931, na dwa lata przed zabójstwem króla; stoją nad martwym jeleniem, mają buty z cholewkami do kolan i strzelby zawieszone na ramionach. Było tam również zdjęcie z wesela rodziców, elegancki tato w czarnym garniturze i uśmiechnięta mama niczym młodziutka księżniczka w bieli. Dalej *baba* ze swoim najlepszym przyjacielem i wspólnikiem w interesach, Rahimem Chanem, stoją przed domem, żaden się nie uśmiecha – na tym zdjęciu widać też mnie, jeszcze niemowlę, na rękach u taty, który wygląda na zmęczonego i przygnębionego. Tato trzyma mnie na rękach, ale ja zaciskam piąstkę wokół małego palca Rahima Chana.

Na końcu zaokrąglonej ściany było wejście do jadalni, gdzie na środku stał mahoniowy stół, przy którym z łatwością zasiadało trzydzieści osób – prawie każdego tygodnia, co zrozumiałe, zważywszy na upodobania ojca do wystawnych przyjęć. Po przeciwnej stronie znajdował się wysoki marmurowy kominek, zimową porą zawsze rozświetlony pomarańczowym ogniem.

Duże rozsuwane drzwi ze szkła prowadziły na półokrągły taras, z którego rozciągał się widok na dwuakrowy ogród i rzędy drzewek wiśniowych. Pod murem od strony wschodniej *baba* i Ali założyli nieduży warzywnik z pomidorami, miętą, papryką i grządką kukurydzy, która nie przyjęła się jak należy. Hasan i ja nazywaliśmy go Murem Słabowitej Kukurydzy.

Na południowym krańcu ogrodu, w cieniu rozłożystej nieszpułki stał domek dla służby, skromna chatka z gliny, gdzie mieszkał Hasan z Alim.

To tam, w tej chałupinie, urodził się Hasan zimą 1964 roku, dokładnie rok po tym, jak umarła moja mama, wydając mnie na świat.

Przez osiemnaście lat, które przemieszkałem w posiadłości ojca, zaledwie parę razy przekroczyłem próg tej chałupy. Gdy słońce schowało się za wzgórzami i skończyły się Hasana i moje całodzienne zabawy, nasze drogi się rozchodziły. Ja udawałem się różaną alejką do rezydencji, Hasan szedł do glinianej chaty, w której się urodził i mieszkał przez całe życie. Pamiętam, że była skromnie umeblowana, czysta, słabo oświetlona dwiema lampami naftowymi. Znajdowały się tam dwa materace pod przeciwległymi ścianami izby, między nimi wytarty i postrzępiony na brzegach dywanik z Heratu, stołek na trzech nogach i w rogu drewniany stół, przy którym rysował Hasan. Ściany były puste, tylko w jednym miejscu wisiał kilim z naszytymi koralikami układającymi się w słowa: *Allahu Akbar**. *Baba* kupił go Alemu w Maszadzie, dokąd często jeździł.

W tej małej chałupie matka Hasana, Sanaubar, wydała go na świat pewnego mroźnego dnia zimą 1964 roku. Moja matka wykrwawiła się na śmierć podczas porodu, natomiast Hasan stracił swoją niecały tydzień po urodzeniu. I to w sposób, który dla większości Afgańczyków jest znacznie gorszy od śmierci: uciekła z trupą wędrownych śpiewaków i tancerzy.

Hasan nigdy nie mówił o swojej matce, tak jakby w ogóle nie istniała. Ciągle zastanawiałem się, czy śni o niej, o tym, jak wygląda i gdzie przebywa. Czy chce ją spotkać? Czy tęskni za nią, tak jak ja tęsknię za matką, której nie znałem? Pewnego dnia szliśmy z posiadłości ojca do kina Zajnab, żeby zobaczyć nowy irański film. Wybraliśmy drogę na skróty przez koszary wojskowe opodal szkoły średniej Esteghlal – *baba* zabronił nam chodzić tamtędy, ale wówczas przebywał razem z Rahimem Chanem w Pakistanie. Przesadziliśmy ogrodzenie wokół koszar, przeskoczyliśmy mały potok i wypadliśmy na otwarty teren, gdzie kurzyły się stare, nieprzydatne czołgi. W cieniu czołgu przykucnęła grupka żołnierzy, palili papierosy i grali w karty. Jeden z nich zauważył nas, szturchnął sąsiada łokciem i zawołał do Hasana:

– Hej, ty! Znam cię.

Nigdy przedtem go nie widzieliśmy. Był przysadzisty, miał ogoloną głowę i kilkudniowy czarny zarost. Przestraszyłem się, widząc jego wyszczerzone zęby i pożądliwy uśmiech.

– Nie zatrzymuj się – mruknąłem do Hasana.

– Ty tam! Hazaro! Patrz na mnie, jak do ciebie mówię! – warknął żołnierz. Dał kumplowi do potrzymania papierosa, po czym złączył czubkami kciuk i palec wskazujący, robiąc kółko. Środkowy palec drugiej ręki włożył w kółko. Wysunął go i wsunął. Wysunął i wsunął. – Wiesz, że znałem twoją matkę? Znałem naprawdę dobrze. Wziąłem ją od tyłu tam nad potokiem.

Żołnierze parsknęli śmiechem. Któryś zapiszczał. Powiedziałem Hasanowi, żeby nie przystawał, tylko szedł dalej.

– Miała taką ciasną, słodką cipkę! – mówił z szyderczym uśmiechem żołnierz, ściskając ręce pozostałym.

Później, gdy zgasły światła w sali kinowej i rozpoczął się film, usłyszałem chrapliwy oddech siedzącego obok mnie Hasana. Łzy spływały mu po policzkach. Objąłem go i przyciągnąłem do siebie. Oparł głowę na moim ramieniu.

– On się pomylił – szepnąłem. – Wziął cię za kogoś innego.

Podobno nikt nie był szczególnie zdziwiony na wiadomość o ucieczce Sanaubar. Tak naprawdę ludzie unosili brwi, słysząc, że Ali, mężczyzna, który znał na pamięć cały Koran, ożenił się z tą kobietą, młodszą od niego o dziewiętnaście lat i piękną, lecz znaną z braku skrupułów, co potwierdzał jej sposób życia. Tak jak Ali wyznawała szyizm i wywodziła się z Hazarów. Była również jego kuzynką i z tego powodu naturalną kandydatką na małżonkę. Prócz tych związków łączyło ich niewiele więcej, a już na pewno nie byli do siebie podobni z wyglądu. Krążyły pogłoski, że jej błyszczące zielone oczy i figlarna buzia nakłoniły do grzechu niezliczonych mężczyzn. Ali zaś urodził się z paraliżem dolnych mięśni twarzy, przez co nie mógł się uśmiechać i zawsze sprawiał wrażenie zasępionego. Zadowolony czy zasmucony, Ali o kamiennej twarzy wyglądał dziwnie, ponieważ tylko w skośnych brązowych oczach rozbłyskiwała radość lub wzbierało przygnębienie. Mówi się, że oczy są oknami duszy. Ali był tego najlepszym potwierdzeniem, ponieważ jego uczucia uzewnętrzniały się tylko w oczach.

Słyszałem, że pod wpływem wymownego chodu Sanaubar i kołysania biodrami mężczyźni pogrążali się w rozwiązłych myślach. Po przebytej chorobie Heinego-Medina pozostała Alemu krzywa, zwyrodniała prawa noga, właściwie sama kość i skóra ziemistego koloru z cienką jak papier warstewką mięśni. Pamiętam, jak pewnego dnia – miałem wtedy osiem lat – Ali wybierał się na bazar po chleb *nan* i zabrał mnie z sobą. Szedłem za nim, nucąc coś pod nosem i naśladując jego sposób chodzenia.

Przyglądałem się, jak zatacza łuk chudą nogą i stawiając ją na ziemi, cały przechyla się w prawo tak bardzo, że ledwie utrzymuje równowagę. Gdy spróbowałem zrobić to samo, niemal wpadłem do rynsztoka. Zacząłem chichotać, a wtedy Ali odwrócił się i zobaczył, że go małpuję. Nic nie powiedział. Ani wtedy, ani nigdy potem. Po prostu poszedł dalej.

Wygląd i chód Alego napawały strachem maluchów z sąsiedztwa. Prawdziwy kłopot sprawiały jednak starsze dzieciaki. Biegły za kuśtykającym Alim po ulicy i się nabijały. Niektóre wołały na niego *babalu*, czyli zły duch: „Hej, *babalu*, kogo dzisiaj pożarłeś? – wykrzykiwały, wzbudzając chóralny śmiech. – Kogo pożarłeś, płaskonosy *babalu?*”.

Nazywały go płaskonosym, bo Ali i Hasan mieli mongoloidalne rysy charakterystyczne dla Hazarów. Przez lata moja wiedza o Hazarach sprowadzała się do tego, że są potomkami Mongołów i trochę przypominają Chińczyków. W podręcznikach szkolnych znajdowały się o nich nieliczne wzmianki – mimochodem napomykano o ich pochodzeniu. Pewnego dnia, gdy byłem w gabinecie ojca, grzebiąc w jego rzeczach, znalazłem starą książkę o historii kraju, jedną z wielu należących do mojej mamy. Książkę napisał Irańczyk o nazwisku Chorami. Zdmuchnąłem z niej kurz i ukradkiem wziąłem ją do łóżka, idąc wieczorem spać. Ku swemu zdziwieniu znalazłem cały rozdział opisujący dzieje Hazarów. Kto by to pomyślał – cały rozdział poświęcony ludowi, z którego wywodził się Hasan! Wyczytałem, że mój naród, Pasztunowie, prześladował i gnębił Hazarów, a potem, w dziewiętnastym wieku, Hazarowie podnieśli bunt przeciwko Pasztunom, ale „zostali pobici z nieopisaną brutalnością”. Autor pisał, że moi ziomkowie zabili wielu Hazarów, wypędzili z ich ziem, spalili im domy i sprzedali ich kobiety. Wyjaśniał, że Pasztunowie prześladowali Hazarów między innymi dlatego, iż sami byli sunnitami, a tamci szyitami. Książka mówiła rzeczy, o których nie miałem pojęcia – nauczyciele tego

nie uczyli. *Baba* też ani razu o tym nie wspomniał. Mówiła również rzeczy mi znane, na przykład określała ten lud mianem „płaskonosych”, „jucznych osłów” lub „zjadających myszy”. Słyszałem, jak takimi wyzwiskami obrzucają Hasana chłopaki z sąsiedztwa.

Następnego tygodnia, po lekcjach, pokazałem książkę, a w niej rozdział o Hazarach, swojemu nauczycielowi. Przerzucił parę kartek, parsknął śmiechem i zwrócił mi ją.

– Szyici w jednym są świetni – powiedział, zabierając swoje papiery. – Z powodzeniem robią z siebie męczenników. – Gdy wymawiał słowo „szyici”, zmarszczył nos, jakby oznaczało jakąś chorobę.

Mimo wspólnego pochodzenia etnicznego i łączących ich więzów krwi Sanaubar wyśmiewała Alego tak samo jak okoliczne chłopaki. Podobno z nieskrywaną pogardą wypowiadała się o jego wyglądzie. „To ma być mąż? – szydziła. – Widziałam stare osły lepiej nadające się na mężów”.

Koniec końców ludzie zaczęli podejrzewać, że to małżeństwo było wynikiem jakiejś umowy między Alim a jego wujem, ojcem Sanaubar. Mówili, że przez ożenek ze swoją kuzynką Ali chciał choć trochę pomóc wujowi oczyścić jego splamione imię, chociaż sam został osierocony jako pięciolatek i nie miał żadnych wartych wzmianki dóbr materialnych czy dziedzictwa.

Ali nigdy nie brał odwetu na swoich dręczycielach. Jak przypuszczam, po części dlatego, że powłócząc krzywą nogą, nigdy by ich nie dogonił. Zasadniczym powodem było jednak to, że uodpornił się na obelgi napastników; znalazł radość, będącą antidotum na te ataki, z chwilą gdy Sanaubar urodziła Hasana. Wszystko odbyło się zwyczajnie. Bez położnych, anestezjologów i wymyślnych urządzeń kontrolnych. Sanaubar po prostu leżała na gołym, poplamionym materacu, mając do pomocy Alego i akuszerkę. Nawet aż tak ich nie potrzebowała, bo Hasan już

w chwili narodzin ujawnił swoją naturę: był niezdolny do tego, by kogokolwiek skrzywdzić. Wystarczyło kilka sapnięć, ze dwa parcia i przyszedł na świat. Z uśmiechem na ustach.

Gadatliwa akuszerka wyjawiła potem służącej sąsiadów – a z kolei ta powtórzyła wszystkim, którzy chcieli nadstawić uszu – że Sanaubar obrzuciła wzrokiem noworodka na rękach Alego, dostrzegła zajęczą wargę i zaśmiała się z goryczą. „No proszę – powiedziała – teraz masz własnego półgłówka, który będzie się za ciebie uśmiechał!”. Nie chciała nawet potrzymać dziecka, a zaledwie pięć dni później już jej nie było.

Baba najął dla Hasana tę samą mamkę, która karmiła mnie. Ali powiedział nam, że ta kobieta była niebieskooką Hazarką z Bamijanu, miasta z ogromnymi posągami Buddy. „Tak słodko śpiewała” – często powtarzał. „A co śpiewała?” – niezmiennie dopytywaliśmy się z Hasanem, choć znaliśmy odpowiedź, bo mówił to setki razy. Po prostu chcieliśmy posłuchać jego śpiewu.

Ali odchrząkiwał i zaczynał:

Stałam na wysokiej górze
i wzywałam imię Alego, Lwa Bogów.
O Ali, Lwie Bogów, Królu Ludzi,
wlej radość w nasze smutne serca.

Potem przypominał nam, że ludzie wykarmieni tą samą piersią są sobie braćmi, łączą ich więzy pokrewieństwa, których nawet czas nie rozerwie.

Hasan i ja ssaliśmy tę samą pierś. Stawialiśmy pierwsze kroki na tym samym trawniku w tym samym ogrodzie. I pod tym samym dachem wypowiedzieliśmy nasze pierwsze słowa.

Moje pierwsze słowo: *baba*.

Jego: Amir. Moje imię.

Patrząc dzisiaj wstecz, sądzę, że podstawą tego, co wydarzyło się zimą 1975 roku – i wszystkiego, co działo się potem – były właśnie te pierwsze słowa.

---

* Słowniczek wyrazów dari, niewyjaśnionych w tekście, znajduje się na końcu książki.

3

Wieść niesie, że mój ojciec gołymi rękami powalił kiedyś czarnego niedźwiedzia w Beludżystanie. Gdyby ta opowieść dotyczyła kogoś innego, uznano by to za *laf*, przykład właściwej Afgańczykom skłonności do przesady – co jest, niestety, niemal ogólnonarodową przypadłością; gdy ktoś chwali się, że ma syna lekarza, można przypuszczać z dużą dozą prawdopodobieństwa, że kiedyś udało się chłopakowi zaliczyć sprawdzian z biologii w szkole średniej. Natomiast nikt nigdy nie wątpił w prawdziwość którejkolwiek historii o moim ojcu. A gdyby ktoś dał wyraz swojemu niedowierzaniu… no cóż, *baba* miał przecież te trzy poszarpane blizny biegnące równolegle na plecach. Ileż to razy wyobrażałem sobie owe zapasy, nawet mi się śniły. W snach nigdy nie potrafiłem odróżnić taty od niedźwiedzia.

To Rahim Chan pierwszy powiedział o nim *Tufan agha*, czyli pan Huragan, co z czasem przyjęło się i stało słynnym przezwiskiem mojego taty. Pasowało do niego. Ojciec miał siłę naturalnego żywiołu; był okazem Pasztuna, wyrośnięty, z gęstą brodą i kędzierzawymi brązowymi włosami, krótko ostrzyżonymi i równie nieposkromionymi jak on sam; jego ręce wyglądały tak, jakby mogły wyrwać z korzeniami wierzbę, a piorunujące spojrzenie czarnych oczu „zmusiłoby diabła do błagania na kolanach o litość”, jak mówił Rahim Chan. Na przyjęciach, gdy rozlegało się

dudnienie jego kroków i niemal dwumetrowa postać wpadała do pokoju, wszystkie głowy obracały się w jego stronę jak słoneczniki ku słońcu.

Ojca nie dało się ignorować, nawet gdy spał. Wkładałem kłębki waty do uszu, naciągałem koc na głowę, ale jego chrapanie – przypominające warkot ciężarówki – i tak przenikało przez ściany. Choć moja sypialnia znajdowała się po drugiej stronie korytarza. Pozostaje dla mnie zagadką, jak mama mogła spać z nim w jednym pokoju. Jest to jedno z długiej listy pytań, jakie zadałbym swojej matce, gdybym ją znał.

Pod koniec lat sześćdziesiątych, gdy miałem pięć, a może sześć lat, *baba* postanowił zbudować sierociniec. Rahim Chan opowiedział mi, jak to było. *Baba* osobiście narysował plany, choć nie miał żadnego doświadczenia w projektowaniu domów. Sceptycy mówili, żeby się nie wygłupiał i zatrudnił architekta. Nie zgodził się, to oczywiste, i wszyscy kręcili głowami skonsternowani jego uporem. Gdy dopiął swego, wszyscy kręcili głowami zadziwieni jego sukcesem. *Baba* pokrył z własnej kieszeni koszty budowy piętrowego sierocińca tuż opodal głównego odcinka Dżade Majwand na południe od rzeki Kabul. Rahim Chan powiedział mi, że *baba* sam sfinansował całe przedsięwzięcie, zapłacił inżynierom, elektrykom, hydraulikom i robotnikom, nie mówiąc już o wyższych urzędnikach miejskich, którym trzeba było „posmarować wąsy”.

Budowa trwała trzy lata. Miałem już osiem lat i pamiętam, jak w przeddzień otwarcia sierocińca *baba* zawiózł mnie nad jezioro Ghargha, kilka kilometrów na północ od Kabulu. Kazał mi zabrać również Hasana, ale skłamałem, mówiąc, że dostał rozwolnienia. Chciałem mieć ojca tylko dla siebie. Poza tym któregoś dnia razem z Hasanem puszczaliśmy tam kaczki i rzucony przez niego kamień odbił się osiem razy. Mnie udało się puścić co najwyżej pięć. *Baba* był wtedy z nami, przyglądał się, a potem klepnął Hasana po plecach. Nawet objął go ramieniem.

Siedzieliśmy przy stole piknikowym nad brzegiem jeziora, tylko *baba* i ja, jedliśmy jajka na twardo i *kofta* – klopsiki – z piklami, w chlebie *nan*. Woda była ciemnoniebieska, słońce migotało na powierzchni czystej jak zwierciadło. W piątki nad jeziorem roiło się od ludzi, którzy przychodzili całymi rodzinami, żeby spędzić dzień na słońcu. Ale my przyszliśmy w środku tygodnia i byliśmy sami, *baba* i ja, no i jeszcze paru długowłosych, brodatych turystów, których nazywano hipisami. Siedzieli na pomoście, machając nogami nad wodą, z wędkami w rękach. Spytałem tatę, dlaczego noszą długie włosy, ale on mruknął coś i nie odpowiedział. Przygotowywał przemówienie, które miał wygłosić następnego dnia, przerzucał nieuporządkowany plik zapisanych ręcznie kartek, tu i ówdzie robił ołówkiem jakieś notatki. Odgryzłem kęs jajka i spytałem, czy to prawda – jak powiedział mi kolega ze szkoły – że gdy człowiek zje kawałek skorupki jajka, będzie musiał ją wysiusiać. Tato znowu mruknął coś pod nosem.

Ugryzłem klopsika. Jeden z jasnowłosych turystów roześmiał się i klepnął drugiego w plecy. W oddali, po przeciwnej stronie jeziora, ciężarówka skręcała na drodze wijącej się po zboczu wzgórza. Słońce odbijało się w bocznym lusterku.

– Chyba mam *saratan* – powiedziałem. To znaczy raka.

Baba uniósł głowę znad podrywanych wiatrem kartek. Powiedział, żebym sam przyniósł sobie wodę sodową, wystarczy zajrzeć do bagażnika samochodu.

Następnego dnia przed sierocińcem zabrakło krzeseł. Dużo ludzi musiało na stojąco oglądać ceremonię otwarcia. Wiał wiatr. Siedziałem za ojcem na niewielkim podium tuż przed głównym wejściem do nowego budynku. Tato miał na sobie zielony garnitur i karakułową czapkę. W połowie przemówienia wiatr zerwał mu ją z głowy i rozległ się śmiech.

Gdy tato dał mi znak, żebym potrzymał mu czapkę, byłem bardzo zadowolony, bo wtedy wszyscy zobaczyli, że to mój ojciec, mój *baba*. Odwrócił się do mikrofonu i powiedział, że spodziewa się, iż ten budynek będzie trzymał się lepiej niż jego czapka, i znów rozległ się śmiech. Po przemówieniu ludzie wstali i zaczęli wiwatować. Długo bili brawo. Potem ściskali mu rękę. Niektórzy mierzwili mi włosy i również mnie ściskali rękę. Byłem taki dumny z ojca, z nas obu.

Choć *baba* odnosił sukcesy, ludzie w niego nie wierzyli. Mówili, że prowadzenie interesów nie leży w jego naturze i powinien studiować prawo jak jego ojciec. Więc *baba* udowodnił wszystkim, że się mylą – nie tylko prowadził własny interes, ale też stał się jednym z najbogatszych kupców w Kabulu. Razem z Rahimem Chanem założył szalenie dochodową firmę eksportującą dywany, a także dwie apteki i restaurację.

Gdy ludzie szydzili z niego, że nigdy się dobrze nie ożeni – przecież w jego żyłach nie płynie królewska krew – poślubił moją matkę, Sofię Akrami, kobietę bardzo wykształconą, powszechnie zaliczaną do najszacowniejszych, najpiękniejszych i najcnotliwszych dam w Kabulu. Nie tylko uczyła klasycznej literatury perskiej na uniwersytecie, ale również była potomkinią królewskiego rodu, co mój ojciec żartobliwie podkreślał w obecności ludzi nastawionych do niego sceptycznie, mówiąc o niej „moja księżniczka”.

Baba potrafił ukształtować otaczający go świat wedle własnego upodobania – jedynie ja byłem rażącym wyjątkiem. Kłopot oczywiście tkwił w tym, że *baba* widział świat czarno-biały. I na dodatek sam chciał decydować, co jest czarne, a co białe. Człowieka, który żyje w ten sposób, nie można kochać i zarazem się go nie bać. Może nawet odrobinę się go nienawidzi.

Gdy byłem w piątej klasie, religii uczył nas mułła Fatiullah Chan. Był przysadzisty, miał na twarzy blizny po trądziku i mówił szorstkim głosem. Robił nam wykłady o zaletach *zakat,* corocznego przeznaczania pewnej sumy pieniędzy na cele dobroczynne, i obowiązku odbycia *hadż,* pielgrzymki do Mekki; wyjaśniał zawiłości odprawiania pięć razy dziennie *namaz* i kazał uczyć się na pamięć wersetów z Koranu – choć nigdy nie tłumaczył ich na dari, wymagał, czasem używając wierzbowej witki obdartej z kory, żebyśmy poprawnie wymawiali arabskie słowa, bo wtedy Bóg będzie nas lepiej słyszał. Któregoś dnia powiedział nam, że islam uznaje picie alkoholu za straszny grzech i ci, co piją, odpowiedzą za ten grzech w dzień *Ghijamat,* Sądu Ostatecznego. W tamtych czasach picie alkoholu było dość powszechne w Kabulu. Nikomu nie groziła kara publicznej chłosty, ale Afgańczycy, jeśli spożywali alkohol, to prywatnie, na znak szacunku. Ludzie kupowali szkocką „do celów leczniczych” w wybranych „aptekach”, zapakowaną w brązową papierową torbę. Wychodzili ze sklepu, upchnąwszy gdzieś pakunek, by nie było go widać, ale mimo to przyciągali ukradkowe, pełne dezaprobaty spojrzenia tych, którzy wiedzieli, jakich transakcji tam się dokonuje.

Pewnego dnia byłem z ojcem w jego gabinecie na piętrze, w palarni, i opowiadałem mu, czego uczy nas mułła Fatiullah Chan. Tato stał przy barku w rogu pokoju i nalewał sobie whisky. Wysłuchał mnie, kiwnął głową i upił łyk. Potem usiadł na skórzanej kanapie, odstawił szklankę i wziął mnie na kolana. Miałem wrażenie, że siedzę na dwóch pniach. Zrobił głęboki wdech, a potem wypuścił nosem powietrze, które z poświstem przechodziło przez jego wąsy bardzo wolno, jakby całą wieczność. Nie wiedziałem, czy chcę go objąć, czy zeskoczyć z kolan śmiertelnie wystraszony.

– Widzę, że miesza ci się wiedza szkolna z prawdziwym wykształceniem – powiedział grubym głosem, jak to on.

– Ale jeżeli rzeczywiście jest tak, jak mówi mułła, czy to znaczy, że jesteś grzesznikiem, *baba?*

– Hmm. – Tato rozgryzł kostkę lodu. – Chcesz wiedzieć, jakie zdanie ma twój ojciec na temat grzechu?

– Chcę.

– To ci powiem, Amirze – rzekł. – Ale najpierw musisz zrozumieć jedno, raz na zawsze: ci brodaci idioci nigdy nie nauczą cię niczego wartościowego.

– Masz na myśli mułłę Fatiullaha Chana?

Machnął szklanką i zadzwonił w niej lód.

– Mam na myśli ich wszystkich. Sikaj na brody tych przemądrzałych małp.

Nie mogłem powstrzymać się od śmiechu, gdy wyobraziłem sobie, jak *baba* sika na brodę jakiejś małpy, przemądrzałej czy jakiejkolwiek bądź.

– Nic nie robią, tylko przesuwają koraliki różańców i recytują księgę napisaną językiem, którego nawet nie rozumieją – mówił dalej tato, upijając kolejny łyk. – Niech Bóg ma nas w opiece, gdyby Afganistan wpadł w ich łapy.

– Ale mułła Fatiullah Chan wydaje się taki miły – wykrztusiłem między jednym wybuchem śmiechu a drugim.

– Podobnie było z Dżyngis-chanem – oświadczył tato. – Ale wracajmy do tematu. Pytałeś, co sądzę o grzechu, więc chcę ci powiedzieć. Słuchasz mnie?

Kiwnąłem głową, zaciskając usta. Ale zduszony śmiech uciekł mi przez nos i rozległo się prychnięcie, które jeszcze bardziej mnie rozbawiło.

Tato utkwił we mnie kamienny wzrok i od razu przestałem chichotać.

– Mam na myśli rozmowę jak mężczyzna z mężczyzną. Czy choć raz możesz się na to zdobyć?

– Tak, *baba dżan* – wymamrotałem, nie po raz pierwszy zadziwiony, jak dotkliwie tato potrafi mnie ukłuć ledwie paroma słowami.

Przez chwilę byliśmy z sobą w komitywie – nie tak znowu często rozmawiał ze mną, nie wspominając już o sadzaniu na kolana – a ja z własnej głupoty zmarnowałem tę sposobność.

– To dobrze – powiedział tato, ale jego wzrok zaczął błądzić. – Bez względu na to, czego naucza mułła, wiedz, że grzechem jest tylko jedno. Mianowicie kradzież. Wszystkie inne grzechy są formą kradzieży. Rozumiesz, co mówię?

– Nie, *baba dżan* – odparłem, rozpaczliwie pragnąc to zrozumieć. Nie chciałem znowu go rozczarować.

Westchnął zniecierpliwiony. To też zabolało, bo nie należał do ludzi niecierpliwych. Przypomniały mi się wszystkie dni, gdy wracał do domu dopiero po zmroku, a ja jadłem kolację w samotności. Pytałem wtedy Alego, gdzie jest *baba,* kiedy wróci do domu, choć dobrze wiedziałem, że jest na placu budowy, nadzoruje to, kontroluje tamto. Czy taka praca nie wymaga cierpliwości? Już znienawidziłem wszystkie dzieciaki, dla których budował ten sierociniec; czasami żałowałem, że nie umarły razem ze swoimi rodzicami.

– Gdy zabijasz człowieka, kradniesz życie – ciągnął tato. – Kradniesz żonie prawo do męża, zabierasz dzieciom ojca. Gdy kłamiesz, kradniesz komuś prawo do prawdy. Gdy oszukujesz, kradniesz prawo do uczciwości. Zrozumiałeś?

Zrozumiałem. Gdy *baba* miał sześć lat, do domu mojego dziadka włamał się w środku nocy złodziej. Dziadek, szanowany sędzia, stawił mu

czoło; złodziej dźgnął go nożem w gardło, zabijając na miejscu – i zabierając tacie ojca. Mieszkańcy miasta złapali zabójcę tuż przed południem następnego dnia; okazało się, że jest wędrowcem z prowincji Kunduz. Powieszono go na gałęzi dębu na dwie godziny przed popołudniową modlitwą. To Rahim Chan, nie *baba*, opowiedział mi tę historię. Wszystko, co wiedziałem o ojcu, pochodziło od innych ludzi.

– Nie ma podlejszego czynu niż popełnienie kradzieży, Amirze – oświadczył tato. – Plwam na człowieka, który zabiera to, co do niego nie należy, czy jest to życie, czy chleb *nan.* I jeśli kiedykolwiek przecięłyby się nasze drogi, niech Bóg ma go w opiece. Rozumiesz?

Myśl, że tato dołożyłby złodziejowi, była ekscytująca i zarazem do głębi przerażająca.

– Tak, *baba.*

– Jeśli jest gdzieś tam Bóg, chciałbym mieć nadzieję, że zajmuje się ważniejszymi sprawami niż tym, czy piję szkocką albo jem wieprzowinę. A teraz złaź. Po tym gadaniu o grzechu znowu odczuwam pragnienie.

Patrzyłem, jak napełnia szklankę, stojąc przy barku, i zastanawiałem się, ile upłynie czasu, zanim znowu będziemy rozmawiać tak jak przed chwilą. Bo prawdę mówiąc, zawsze odnosiłem wrażenie, że tato trochę mnie nienawidzi. Ostatecznie miał powód. Przecież zabiłem jego ukochaną żonę, jego piękną księżniczkę, czyż nie? Przynajmniej mogłem mieć na tyle poczucia przyzwoitości, żeby stać się do niego podobnym. Ale nie upodobniłem się do niego. W ogóle.

*

W szkole urządzaliśmy sobie zabawę o nazwie *szerdżangi*, co znaczy bój na wiersze. Nauczyciel języka dari zmodyfikował ją nieco i przebiegała tak: recytowałeś linijkę z wiersza, a twój rywal musiał w ciągu minuty

wyrecytować w odpowiedzi linijkę zaczynającą się od litery, na którą kończyła się linijka wypowiedziana przez ciebie. Każdy z moich kolegów chciał, żebym był w jego drużynie, bo w wieku jedenastu lat potrafiłem przytoczyć dziesiątki linijek z wierszy Chajjama i Hafeza czy ze słynnego *Masnawi* Rumiego. Pewnego razu stanąłem do walki z całą klasą i wygrałem. Wieczorem opowiedziałem o tym tacie, a on tylko kiwnął głową i mruknął: „To dobrze”.

Ratowałem się przed powściągliwością ojca, uciekając do książek mojej nieżyjącej matki. No i do Hasana oczywiście. Czytałem wszystko – Rumiego, Hafeza, Sadiego, Wiktora Hugo, Juliusza Verne’a, Marka Twaina, Iana Fleminga. Gdy poznałem całą bibliotekę mamy, to znaczy powieści i eposy – bo dzieła historyczne były nudne i mało mnie interesowały – zacząłem kupować książki z kieszonkowego. Kupowałem jedną na tydzień w księgarni opodal kina Park i trzymałem je w tekturowym pudle, kiedy zapełniły się półki w moim pokoju.

Czym innym było oczywiście poślubienie poetki, a czym innym spłodzenie syna, który wolał pogrążać się w lekturze poezji, niż chodzić na polowania… cóż, sądzę, że ojciec inaczej to sobie wyobrażał. Prawdziwi mężczyźni nie czytają wierszy – a już Boże broń, żeby je pisali! Stuprocentowi mężczyźni – stuprocentowi chłopcy – grają w piłkę nożną jak *baba* w młodości. Tym dopiero można się ekscytować. W roku 1970 mój ojciec przerwał budowę sierocińca i poleciał samolotem do Teheranu, żeby przez miesiąc oglądać w telewizji mistrzostwa świata w piłce nożnej – w owym czasie nie było jeszcze telewizorów w Afganistanie. Z nadzieją, że będę podzielał jego pasję, zapisał mnie do drużyny piłkarskiej. Byłem jednak kompletnym niedorajdą, zawadą dla drużyny, nieustannie stawałem na linii dobrego podania i niechcący blokowałem strzał na bramkę. Człapałem na patykowatych nogach po boisku, wrzeszczałem, by

skierowano do mnie piłkę, która i tak nigdy nie potoczyła się w moim kierunku. Im bardziej wymachiwałem nad głową rękami i wykrzykiwałem cienkim głosem: „Jestem niekryty! Jestem niekryty!”, tym mniej zwracano na mnie uwagę. Ale *baba* nie rezygnował. Gdy stało się aż nadto oczywiste, że ani na jotę nie odziedziczyłem po nim talentu sportowego, postanowił zrobić ze mnie namiętnego kibica. Tyle chyba mogę z siebie wykrzesać, co? Udawałem zainteresowanie, dopóki się dało. Wraz z ojcem wznosiłem okrzyki, gdy drużyna z Kabulu strzeliła gola drużynie z Kandaharu, i obrzucałem obelgami sędziego, gdy podyktował karnego przeciwko naszym. Mimo to *baba* wyczuł brak szczerego entuzjazmu z mojej strony i w końcu pogodził się ze smutnym faktem, że jego syn nie będzie ani piłkarzem, ani kibicem piłkarskim.

Pamiętam, jak pewnego razu ojciec zabrał mnie na doroczne zawody *buzkaszi*, które odbywały się pierwszego dnia wiosny, w Nowy Rok. *Buzkaszi* były i są nadal narodową namiętnością mieszkańców Afganistanu. W przepychance koni i jeźdźców, która odbywa się na boisku, jeden z *czapandaz*, wytrawnych jeźdźców zazwyczaj mających zamożnych protektorów, musi pochwycić zwłoki kozy albo cielaka, przewieźć je w pełnym galopie wokół boiska i wrzucić do koła pełniącego funkcję bramki. W tym czasie członkowie drużyny przeciwnej gonią go i robią co w ich mocy – kopią, drapią, biją nahajkami, okładają pięściami – żeby odebrać mu zwierzę. Owego dnia tłum widzów ryczał z entuzjazmu, gdy jeźdźcy na boisku wydawali okrzyki wojenne i przepychali się w tumanie kurzu, żeby złapać zwłoki. Ziemia drżała pod uderzeniami kopyt. Siedzieliśmy na górnej trybunie, patrząc, jak gnają przed nami rozwrzeszczani zawodnicy i rozpryskuje się piana cieknąca koniom z pysków.

W pewnej chwili *baba* wskazał mi kogoś.

– Widzisz tego pana, o tam, który siedzi otoczony mężczyznami?

Dostrzegłem go.

– To Henry Kissinger.

– O – bąknąłem.

Nie wiedziałem, kim jest Henry Kissinger, i mogłem o to zapytać, ale akurat patrzyłem z przerażeniem, jak *czapandaz* spadł z siodła pod kopyta pędzących koni, które podrzucały go i toczyły niczym szmacianą lalkę, nim pognały dalej. Przez leżące na ziemi ciało przeszedł jeden skurcz i zastygło w bezruchu z nogami zgiętymi pod nienaturalnym kątem, w kałuży krwi wsiąkającej w piasek.

Rozpłakałem się.

Płakałem przez całą drogę do domu. Pamiętam, jak dłonie ojca zaciskały się na kierownicy. Zaciskały i rozluźniały. Przede wszystkim nigdy nie zapomnę, jak prowadząc w milczeniu samochód, mężnie starał się nie okazać odrazy.

Później tamtego wieczoru przechodziłem obok jego gabinetu i usłyszałem, że rozmawia z Rahimem Chanem. Przyłożyłem ucho do zamkniętych drzwi.

– …wdzięczny, że masz zdrowego syna – mówił Rahim Chan.

– Tak, oczywiście. Ale on ciągle tkwi w książkach albo włóczy się po domu, jakby był zatopiony w marzeniach.

– No i?

– Ja taki nie byłem – odparł poirytowany, niemal rozgniewany *baba*.

Rahim Chan się roześmiał.

– Dzieci to nie książeczki do kolorowania. Nie da się wypełnić ich naszymi ulubionymi kolorami.

– Mówię ci: ja w ogóle nie byłem taki. Ani chłopcy, z którymi dorastałem.

– Wiesz, czasem mam wrażenie, że nie spotkałem większego egocentryka niż ty – oświadczył Rahim Chan.

Był jedyną znaną mi osobą, której uchodziło na sucho mówienie takich rzeczy mojemu ojcu.

– Jedno nie ma związku z drugim.

– Na pewno?

– Na pewno.

– A zatem?

Usłyszałem skrzypienie skórzanego fotela, gdy ojciec się poruszył. Zamknąłem oczy, mocniej przycisnąłem ucho do drzwi, chcąc i zarazem nie chcąc usłyszeć więcej.

– Czasem spoglądam przez okno i widzę, jak bawi się na ulicy z chłopcami z sąsiedztwa. Dzieciaki popychają go, zabierają mu zabawki, jeden go szturchnie, drugi mu przyłoży. A ten nigdy im nie odda. Nigdy. Tylko… spuszcza głowę i…

– Chłopiec nie jest agresywny – powiedział Rahim Chan.

– Nie o to mi chodzi, Rahimie, dobrze wiesz! – wykrzyknął ojciec. – Jemu czegoś brakuje.

– O tak, skazy na charakterze.

– Chęć samoobrony nie jest skazą na charakterze. Wiesz, co się dzieje, gdy okoliczni chłopcy zaczynają mu dokuczać? Za każdym razem wkracza Hasan i odpędza ich. Widziałem na własne oczy. A gdy obaj przychodzą do domu i pytam: „Dlaczego Hasan jest podrapany na twarzy?”, słyszę w odpowiedzi: „Przewrócił się”. Mówię ci, Rahimie, jemu czegoś brakuje.

– Po prostu pozwól mu znaleźć własną drogę – rzekł Rahim Chan.

– A dokąd on zmierza? – zapytał ojciec. – Jeśli jako chłopiec nie będzie się bronił, to gdy dorośnie, nie obroni niczego.

– Jak zwykle upraszczasz sprawę.

– Nie sądzę.

– Złościsz się, bo masz obawy, że on nie przejmie po tobie interesu.

– No i kto tu upraszcza sprawę? – powiedział ojciec. – Wiem, że się lubicie, i bardzo mnie to cieszy. Jestem zazdrosny, ale się cieszę. Daję słowo. On potrzebuje kogoś, kto… go rozumie, ponieważ ja, Bóg mi świadkiem, nie rozumiem Amira. Ma w sobie coś, co budzi mój niepokój. Nie potrafię tego nazwać. Tak jakby…

Czułem, że namyśla się, szukając właściwych słów. Zniżył głos, ale mimo to usłyszałem, jak dodał:

– Gdybym nie widział na własne oczy, jak lekarz wyciąga go z łona mojej żony, nie uwierzyłbym, że jest moim synem.

*

Szykując mi śniadanie następnego ranka, Hasan zapytał, czy coś mnie dręczy.

– Nie twoja rzecz – warknąłem.

Rahim Chan mylił się co do braku skazy na charakterze.

4

W roku 1933 – kiedy urodził się *baba*, a Zaher Szah zasiadł na tronie, by panować w Afganistanie przez następne czterdzieści lat – dwaj bracia, młodzi mężczyźni z zamożnej i szacownej kabulskiej rodziny, wybrali się na przejażdżkę ojcowskim fordem roadsterem. Odurzeni haszyszem i zaprawieni francuskim winem spowodowali wypadek na drodze do Paghmanu, zabijając małżeństwo Hazarów. Policjanci doprowadzili nieco skruszonych młodzieńców oraz pięcioletniego osieroconego chłopca przed oblicze mego dziadka, który był bardzo szanowanym sędzią i człowiekiem o nieskazitelnej opinii. Wysłuchawszy relacji braci i prośby ich ojca o okazanie litości, dziadek nakazał młodzieńcom udać się do Kandaharu i zaciągnąć do armii na rok, mimo że rodzina w jakiś sposób wystarała się o zwolnienie ich ze służby wojskowej. Ojciec protestował, choć niezbyt gwałtownie, i w końcu wszyscy zgodzili się, że kara jest może surowa, ale sprawiedliwa. Sierotę zaś dziadek przygarnął i polecił służącym, by go przyuczyli, ale traktowali życzliwie. Tym chłopcem był Ali.

Ali i *baba* dorastali i bawili się razem – przynajmniej do czasu gdy Ali okulał po chorobie Heinego-Medina – tak samo jak Hasan i ja w następnym pokoleniu. *Baba* często opowiadał nam, ile to oni napsocili, na co Ali kręcił głową, mówiąc: „Tylko proszę im powiedzieć, *agha saheb*, kto wymyślał te

psoty, a kto je robił”. *Baba* wybuchał wtedy śmiechem i obejmował ramieniem Alego.

Lecz ani razu, w żadnej z tych opowieści, *baba* nie nazwał Alego swoim przyjacielem.

Dziwna rzecz, ale mnie również nigdy nie przyszło do głowy, że jesteśmy z Hasanem przyjaciółmi. Mimo że uczyliśmy jeden drugiego jeździć bez trzymanki na rowerze czy budować domowym sposobem, z tekturowego pudełka, w pełni sprawny aparat fotograficzny. Mimo że każdej zimy spędzaliśmy czas na puszczaniu i gonieniu latawców. Mimo że obrazem Afganistanu jest dla mnie drobnej budowy chłopiec z ogoloną głową i nisko osadzonymi uszami, chłopiec z twarzą chińskiej lalki i zajęczą wargą, promiennie uśmiechnięty.

Mimo tego wszystkiego. Ponieważ wpływ historii niełatwo przezwyciężyć. I również religii. Koniec końców ja byłem Pasztunem, a on Hazarą; byłem sunnitą, a on szyitą, i nic nie mogło tego zmienić. Nic.

Ale przy tym byliśmy dziećmi, które razem uczyły się raczkować, i tego też nie mogły zmienić wpływy historii, pochodzenia etnicznego, społeczeństwa ani religii. Pierwsze dwanaście lat życia upłynęło mi niemal wyłącznie na zabawach z Hasanem. Całe dzieciństwo wydaje mi się czasami jednym długim, leniwym letnim dniem spędzonym z Hasanem, kiedy to goniliśmy się w gęstwinie drzew rosnących w ogrodzie ojca, bawiliśmy się w chowanego, w złodziei i policjantów, kowbojów i Indian albo męczyliśmy owady – za nasze koronne osiągnięcie należy bez wątpienia uznać wyrwanie pszczole żądła i obwiązanie jej szyi sznureczkiem, za który pociągaliśmy, ilekroć biedaczka podrywała się do lotu.

Przepędzaliśmy *kuczi*, koczowników, którzy wędrowali przez Kabul, udając się w góry na północy kraju. Nadejście ich karawan zapowiadały

piski owiec, beczenie kóz i dzwonienie dzwonków na szyjach wielbłądów. Wybiegaliśmy na dwór i przyglądaliśmy się karawanie sunącej powoli naszą ulicą, ogorzałym i zakurzonych twarzom mężczyzn, kobietom, które nosiły długie, kolorowe czadory, korale i srebrne bransolety wokół nadgarstków i kostek. Rzucaliśmy kamykami w ich kozy. Pryskaliśmy wodą muły. Kazałem Hasanowi siadać na Murze Słabowitej Kukurydzy i strzelać z procy kamykami w zady wielbłądów.

Razem oglądaliśmy nasz pierwszy western, *Rio Bravo*, z Johnem Wayne'em; było to w kinie Park, które znajdowało się naprzeciwko mojej ulubionej księgarni. Pamiętam, jak błagałem tatę, żeby zabrał nas do Iranu, bo tam będziemy mogli spotkać Johna Wayne'a. Ta prośba wywołała huragan głębokiego, gardłowego śmiechu – jak zawsze przypominającego warkot ciężarówki, gdy dodaje się gazu. Kiedy ojciec odzyskał mowę, wyjaśnił nam, na czym polega dubbing. Nie posiadaliśmy się z Hasanem ze zdumienia. Osłupieliśmy. John Wayne w ogóle nie znał języka dari i wcale nie był Irańczykiem! Pochodził z Ameryki, podobnie jak przyjaźni mężczyźni i kobiety, którzy ciągle kręcili się po Kabulu, ubrani w postrzępione koszule o jaskrawych barwach. Oglądaliśmy *Rio Bravo* trzykrotnie, za to nasz ulubiony western, *Siedmiu wspaniałych*, widzieliśmy trzynaście razy. Na każdym pokazie płakaliśmy pod koniec filmu, gdy meksykańskie dzieciaki grzebią Charlesa Bronsona – który, jak się okazało, też nie był Irańczykiem.

Wędrowaliśmy po zalatujących stęchlizną bazarach w Szahr-e Nau, centralnej dzielnicy Kabulu, albo po nowej części miasta, na zachód od dzielnicy Wazir Akbar Chan. Rozmawialiśmy o obejrzanym dopiero co filmie i łaziliśmy wśród tłumu zaaferowanych sprzedawców. Przemykaliśmy między kupcami i żebrakami, chodziliśmy po wąskich zaułkach, gdzie jeden przy drugim stały malutkie stragany. *Baba* dawał nam

co tydzień dziesięć afgani kieszonkowego, które wydawaliśmy na ciepłą coca-colę i lody z dodatkiem wody różanej, posypane kruszonymi pistacjami.

Podczas roku szkolnego mieliśmy ustalony porządek dnia. Gdy zwlekałem się z łóżka i człapałem do łazienki, Hasan zdążył już się umyć, odmówić poranny *namaz* z Alim i przyszykował mi śniadanie: gorącą czarną herbatę z trzema kostkami cukru i wypieczony chleb *nan* z moją ulubioną konfiturą wiśniową, wszystko starannie ustawione na stole w jadalni. Gdy jadłem śniadanie i narzekałem, ile czasu zajęło mi odrabianie lekcji, Hasan ścielił moje łóżko, pucował mi buty, prasował ubranie na dany dzień, pakował tornister. Słyszałem, jak prasując w przedpokoju, podśpiewywał sobie, nosowym głosem nucił stare hazarskie piosenki. Potem odjeżdżałem z tatą jego czarnym fordem mustangiem, który zewsząd przyciągał zawistne spojrzenia, gdyż takim samym autem jeździł Steve McQueen w *Bullicie,* przez pół roku wyświetlanym w jednym z kin. Hasan zostawał w domu i pomagał Alemu w codziennych pracach: prali w rękach brudne ubrania, rozwieszali je w ogrodzie, zamiatali podłogi, kupowali świeży *nan* na bazarze, marynowali mięso na obiad, podlewali trawnik.

Po lekcjach spotykałem się z Hasanem, chwytaliśmy książkę i pędziliśmy na kopulaste wzgórze w Wazir Akbar Chan, graniczące od północy z posesją mojego ojca. Na szczycie znajdował się opuszczony cmentarz z rzędami bezimiennych płyt nagrobnych i alejkami pokrytymi gąszczem zarośli. Pod wieloletnim działaniem deszczu i śniegu żelazna brama cmentarna zardzewiała, a niski mur z białego kamienia zaczął się kruszyć. Przy wejściu rosło drzewo granatu. Któregoś letniego dnia nożem kuchennym Alego wyryłem na nim nasze imiona: AMIR I HASAN, SUŁTANOWIE KABULU. Te słowa miały przypieczętować fakt, że

drzewo należy do nas. Po szkole wspinaliśmy się po gałęziach i zrywaliśmy krwistoczerwone owoce. Gdy je zjedliśmy i wytarliśmy ręce o trawę, czytałem Hasanowi książkę.

Siedząc ze skrzyżowanymi nogami, mając na twarzy tańczące plamy słońca i cienia rzucanego przez liście, Hasan wyrywał machinalnie źdźbła traw, a ja czytałem mu opowieści, których sam nie umiał przeczytać. To, że Hasan miał wyrosnąć na analfabetę, podobnie jak Ali i większość Hazarów, zostało postanowione w chwili jego narodzin, może nawet w chwili gdy został poczęty w nieprzyjaznym łonie Sanaubar – no bo jaki pożytek ze znajomości słowa pisanego ma służący? Mimo że Hasan nie znał liter, a może właśnie dlatego, pociągała go tajemnica słów, nęcił sekretny świat, do którego zabroniono mu wstępu. Czytałem wiersze i opowiadania, czasem zagadki, ale te ostatnie porzuciłem, przekonawszy się, że rozwiązuje je szybciej ode mnie. Wybierałem więc rzeczy mniej ambitne, na przykład historyjki o niefortunnych przygodach roztrzepanego mułły Nasruddina i jego osła. Siedzieliśmy pod drzewem godzinami, aż słońce zgasło na zachodzie, a mimo to Hasan upierał się, że jest dość jasno, żeby przeczytać jeszcze jedną historię, jeszcze jeden rozdział.

Największą przyjemność podczas czytania miałem wtedy, gdy pojawiało się trudne słowo, którego Hasan nie znał. Nabijałem się z niego, obnażając jego niewiedzę. Pewnego razu czytałem mu o mulle Nasruddinie.

– Co oznacza to słowo? – zapytał.

– Które?

– Imbecyl.

– Nie wiesz? – powiedziałem z szerokim uśmiechem.

– Nie, Amir *agha.*

– Przecież to takie popularne określenie!

– Ale nie wiem.

Jeśli poczuł uszczypliwość moich żartów, nie okazał tego.

– U mnie w szkole wszyscy je znają. No więc imbecyl to ktoś bystry, inteligentny. Ułożę zdanie, żebyś lepiej zrozumiał. „Jeśli chodzi o znajomość słów, Hasan to imbecyl”.

– Aha. – Kiwnął głową.

Potem zawsze dręczyło mnie z tego powodu poczucie winy i starałem się je zmazać, dając Hasanowi swoją starą koszulę albo zepsutą zabawkę. Mówiłem sobie, że jest to wystarczające zadośćuczynienie za niewinny figiel.

Ulubioną książką Hasana była zdecydowanie *Szahname*, epos z dziesiątego wieku o pradawnych perskich bohaterach. Podobały mu się wszystkie rozdziały – o szachach z przeszłości, o Feridunie, Zalu i Rudabe. Ale najbardziej lubił, podobnie jak ja, opowieść zatytułowaną *Rostam i Sohrab*, o wielkim wojowniku Rostamie i jego wiatronogim koniu Rachszu. Rostam rani śmiertelnie w boju swego dzielnego przeciwnika, Sohraba, i okazuje się, że ten jest jego dawno utraconym synem. Umierający Sohrab mówi do zbolałego Rostama:

Jeśliś zaiste mym ojcem, splamiłeś miecz krwią swego syna. I uczyniłeś to, trwając w uporze. Albowiem próbowałem przemówić do ciebie z miłością i błagałem, byś wyznał swe imię, gdyż jawiłeś mi się podobny do człowieka, którego opisywała moja matka. Ale zwracałem się do ciebie na próżno i teraz przeminął już czas spotkania…

– Mógłbyś przeczytać jeszcze raz, Amir *agha?* – prosił Hasan.

Gdy czytałem ten fragment, czasem płynęły mu z oczu łzy i za każdym razem zastanawiałem się, kogo tak żałuje: zrozpaczonego Rostama, który rozdziera szaty i posypuje głowę popiołem, czy umierającego Sohraba,

który pragnął jedynie ojcowskiej miłości? Sam nie dostrzegałem tragizmu w losie Rostama. Czyż nie jest tak, że wszyscy ojcowie w skrytości serca pragną uśmiercić swoich synów?

Pewnego lipcowego dnia 1973 roku zrobiłem Hasanowi kolejny kawał. Czytałem mu książkę i w pewnej chwili porzuciłem wątek. Udawałem, że czytam dalej, odwracałem co jakiś czas kartki, ale w ogóle nie trzymałem się tekstu – zacząłem zmyślać. Hasan oczywiście nie zdawał sobie z tego sprawy. Napisane wyrazy tworzyły w jego odczuciu zbieraninę tajemniczych, niezrozumiałych znaków. Słowa były sekretnymi drzwiami, do których ja miałem klucze. Później zapytałem go, czy mu się podobało, a gdy zaczął klaskać w dłonie, poczułem, że zbiera mi się na śmiech.

– Co robisz? – spytałem.

– Od dawna nie czytałeś mi takiej dobrej opowieści – powiedział, wciąż bijąc brawo.

– Naprawdę? – Roześmiałem się.

– Tak.

– Rewelacja – mruknąłem. To rzeczywiście było rewelacyjne i… zupełnie zaskakujące. – Jesteś pewny?

Nie przestawał klaskać.

– Była wspaniała, Amir *agha*. Przeczytasz mi jutro, co działo się potem?

– Rewelacja – powtórzyłem, ledwie łapiąc dech i czując się tak, jakbym we własnym ogrodzie znalazł skarb.

Gdy schodziłem ze wzgórza, myśli błyskały mi w głowie niczym fajerwerki na *czaman*. „Od dawna nie czytałeś mi takiej dobrej opowieści” – powiedział. A tak dużo mu czytałem. Uprzytomniłem sobie, że Hasan o coś pyta.

– Słucham?

– Co to znaczy „rewelacja”?

Roześmiałem się. Chwyciłem go w objęcia i cmoknąłem w policzek.

– Za co? – zdziwił się i oblał rumieńcem.

Szturchnąłem go w żartach, z uśmiechem.

– Jesteś niezrównany, Hasanie. Uwielbiam cię.

Tego samego wieczoru napisałem swoje pierwsze opowiadanie. Powstało w pół godziny. Była to mroczna opowiastka o człowieku, który znalazł czarodziejski kielich i stwierdził, że gdy jego łzy skapują do kielicha, zamieniają się w perły. Dotychczas ciągle żył w biedzie, ale był szczęśliwy i rzadko płakał. Zaczął więc wynajdywać powody do smutku, chcąc się wzbogacić. Im więcej miał pereł, tym bardziej rosła jego zachłanność. Opowiastka kończy się tym, że ów człowiek siedzi z nożem w ręku na wielkim stosie pereł i bezradny roni łzy do kielicha, tuląc w ramionach martwe ciało ukochanej żony.

A potem udałem się na piętro do palarni ojca, trzymając w rękach dwie kartki papieru, na których nagryzmoliłem tę historię. Gdy wszedłem, tato i Rahim Chan palili fajki i popijali brandy.

– Czego chcesz, Amirze? – zapytał *baba*.

Siedział rozpostarty na kanapie, z rękami zaplecionymi za głową. Niebieski dym snuł się wokół jego twarzy. Pod surowym spojrzeniem taty zrobiło mi się sucho w gardle. Odchrząknąłem i powiedziałem mu o swoim opowiadaniu.

Baba kiwnął głową i na jego wargach pojawił się blady uśmiech, który wyrażał niewiele więcej niż udawane zainteresowanie.

– To świetnie – rzekł.

I ani słowa więcej, tylko patrzył na mnie przez chmurę dymu.

Zapewne stałem tam niecałą minutę, ale była to jedna z najdłuższych minut w moim życiu po dziś dzień. Sekundy wlokły się oddzielone od

siebie wiecznością. Powietrze zrobiło się gęste, wilgotne, jakby się zestaliło. Oddychałem kawałkami powietrza. *Baba* nadal wpatrywał się we mnie, ale nie zaproponował, że przeczyta opowiadanie.

Jak zwykle uratował mnie Rahim Chan. Wyciągnął rękę i posłał mi uśmiech, w którym nie było nic sztucznego.

– Pozwolisz, Amirze *dżan?* Bardzo chętnie przeczytam.

Ojciec nigdy nie używał pieszczotliwego *dżan*, gdy zwracał się do mnie.

Wzruszył ramionami i wstał z wyrazem ulgi na twarzy, jakby Rahim Chan uratował i jego.

– O właśnie, daj wujkowi Rahimowi. Idę się przebrać – oświadczył i z tymi słowami poszedł do swojego pokoju.

Zazwyczaj wielbiłem ojca niemal z religijną żarliwością. Ale w tamtej chwili żałowałem, że nie mogę otworzyć sobie żył, by jego przeklęta krew uszła z mojego ciała.

Godzinę później, gdy pociemniało wieczorne niebo, samochodem ojca odjechali obaj na przyjęcie. Przed wyjściem z domu Rahim Chan przykucnął przede mną i podał mi moje opowiadanie oraz złożoną kartkę papieru. Uśmiechnął się promiennie i puścił do mnie oko, mówiąc: „To dla ciebie. Przeczytaj później”. Po chwili dorzucił jedno słowo, które zachęciło mnie do uprawiania pisarstwa bardziej niż wszystkie komplementy, jakie prawili mi redaktorzy. To słowo brzmiało: „Brawo”.

Gdy wyszli, usiadłem na łóżku w swoim pokoju, rozżalony, że nie jestem synem Rahima Chana. Potem pomyślałem o tacie, o jego szerokiej piersi i o tym, jak dobrze się czuję w jego objęciach, jak pachnie wodą kolońską Brut i jak jego broda łaskocze mnie w twarz. Z nagłym poczuciem winy popędziłem do łazienki i zwymiotowałem do umywalki.

Potem, zwinięty w kłębek w łóżku, czytałem na okrągło liścik od Rahima Chana, który napisał:

Amirze dżan!

Bardzo podobało mi się twoje opowiadanie. Maszallah, dostałeś od Boga szczególny talent. Teraz twoim obowiązkiem jest doskonalenie tej umiejętności, gdyż człowiek, który marnuje otrzymane od Boga zdolności, jest osłem. Napisałeś to opowiadanie poprawnie pod względem gramatycznym i ciekawie pod względem stylu. Ale największe wrażenie robi zawarta w nim ironia. Może nawet nie rozumiesz znaczenia tego słowa, ale pewnego dnia je poznasz. Niektórzy pisarze próbują osiągnąć ten efekt przez całe życie, ale nigdy im się nie udaje. A ty dokonałeś tego już w pierwszym opowiadaniu.

Moje drzwi są i zawsze będę dla ciebie otwarte, Amirze dżan. Wysłucham każdej opowieści, z jaką do mnie przyjdziesz. Brawo.

Twój przyjaciel

Rahim

Podniesiony na duchu listem Rahima Chana chwyciłem kartki z opowiadaniem i zbiegłem na dół, gdzie w przedpokoju spali na materacu Ali z Hasanem. Spali w naszym domu tylko wtedy, gdy nie było ojca i Ali musiał nade mną czuwać. Potrząsnąłem Hasanem, żeby go obudzić, i zapytałem, czy nie chciałby usłyszeć opowieści.

– Teraz? Która godzina? – wymamrotał, przecierając zaspane oczy i się przeciągając.

– Nieważne która. To szczególna opowieść. Sam ją napisałem – szepnąłem z nadzieją, że nie obudzę Alego.

Hasanowi rozbłysły oczy.

– No to muszę ją usłyszeć – powiedział, odrzucając koc.

Czytałem mu przy marmurowym kominku w salonie. Tym razem nie zboczyłem dla zabawy z tematu – przecież chodziło o mnie! Hasan był pod wieloma względami idealnym słuchaczem: całkowicie pochłonięty opowieścią przeżywał zmiany nastroju, co uwidoczniało się na jego twarzy. Gdy przeczytałem ostatnie zdanie, zaczął klaskać bezgłośnie w dłonie.

– *Maszallah*, Amir *agha*. Wspaniałe! – Promieniał radością.

– Podobało ci się? – zapytałem, po raz drugi delektując się słodyczą pozytywnej oceny.

– Pewnego dnia, *enszallah*, staniesz się wielkim pisarzem – oświadczył Hasan. – Cały świat będzie czytał twoje opowiadania.

– Przesadzasz – powiedziałem, pełen uwielbienia dla Hasana za te słowa.

– Wcale nie – odparł stanowczo. – Będziesz wielki i sławny. – Zamilkł na chwilę, jakby miał coś na końcu języka. Ważył słowa i odchrząknąwszy, dodał nieśmiało: – Pozwolisz, że zadam ci pytanie na temat tego opowiadania?

– Naturalnie.

– A więc… – Urwał.

– Pytaj – zachęciłem go z uśmiechem, ale zaraz usłyszałem wewnętrzny głos pozbawionego pewności siebie pisarza, który wcale nie jest przekonany, czy chce to usłyszeć.

– Dlaczego, jeśli wolno zapytać, ten człowiek zabił swoją żonę? I w ogóle dlaczego musiał się smucić, żeby leciały mu z oczu łzy? Nie mógł po prostu powąchać cebuli?

Osłupiałem. Ta myśl – tak oczywista, że aż idiotyczna – nawet nie przyszła mi do głowy. Poruszyłem ustami, nie wydając dźwięku. Okazało się, że tego samego wieczoru gdy dowiedziałem się, że celem pisarza jest

wywołanie między innymi efektu ironii, powiedziano mi o jednej z pułapek, w jakie może wpaść – o lukach w fabule. I nie nauczył mnie tego nikt inny, tylko Hasan. Hasan, który nie umiał czytać i nie napisał ani jednego słowa. Nagle usłyszałem zimny, mroczny głos, który szepnął mi do ucha: cóż on wie, ten niepiśmienny Hazara? Do końca życia będzie tylko kucharzem. Jak śmie cię krytykować?

– No wiesz… – odezwałem się, ale nie dokończyłem zdania.

Ponieważ nagle Afganistan zmienił się na zawsze.

5

Rozległ się huk podobny do grzmotu. Ziemia lekko zadrżała i usłyszeliśmy strzelaninę: ra-ta-ta-ta.

– Tato! – zawołał Hasan.

Zerwaliśmy się na równe nogi i wybiegliśmy z salonu. W przedpokoju spotkaliśmy Alego, który kuśtykał w szaleńczym pośpiechu.

– Tato! Co się dzieje?! – krzyknął Hasan, wyciągając do niego ręce, i Ali wziął nas w objęcia.

W rozbłysku białego światła zasrebrzyło się niebo. Znowu mignęło światło i zaraz rozniosło się szybkie staccato wystrzałów.

– Polują na kaczki – powiedział Ali chrapliwym głosem. – Polują nocą na kaczki. Nie bójcie się.

W oddali zawyła syrena. Gdzieś rozbiło się szkło i ktoś krzyknął. Usłyszałem z ulicy głosy ludzi wyrwanych ze snu, zapewne wciąż w piżamach, ze zmierzwionymi włosami i opuchniętymi oczami. Hasan się rozpłakał. Ali przyciągnął go do siebie i czule przytulił. Potem powtarzałem sobie, że nie zazdrościłem Hasanowi. Ani trochę.

Do samego rana siedzieliśmy zbici w gromadkę. Strzelanina i wybuchy trwały niecałą godzinę, ale budziły przerażenie, bo jeszcze nigdy nie słyszeliśmy strzałów na ulicach. Wówczas były to dla nas obce dźwięki. Pokolenie afgańskich dzieci, których uszy znały jedynie huk bomb i terkot

karabinów, miało się dopiero narodzić. Przytuleni do siebie w jadalni, czekając na wschód słońca, nie zdawaliśmy sobie sprawy, że nastąpił kres pewnego sposobu życia. Naszego sposobu życia. Może jeszcze nie doszło do tego w pełni, ale w każdym razie był to początek końca. Oficjalnie koniec zaczął się w kwietniu 1978 roku wraz z komunistycznym zamachem stanu i dopełnił w grudniu 1979, gdy rosyjskie czołgi wtoczyły się na ulice, które były wcześniej miejscem moich zabaw z Hasanem, zadając śmierć znanemu mi Afganistanowi i wyznaczając początek trwającej do dziś epoki rozlewu krwi.

Tuż przed wschodem słońca samochód ojca skręcił na podjazd. Rozległ się trzask zamykanych drzwi i zadudniły pospieszne kroki na schodach. Gdy *baba* stanął w drzwiach, zauważyłem w jego twarzy coś, czego w pierwszej chwili nie rozpoznałem, bo nigdy dotąd się nie pojawiło: strach. „Amir! Hasan! – zawołał i podbiegł do nas, otwierając szeroko ramiona. – Zablokowali wszystkie drogi i przestały działać telefony. Tak się martwiłem!”.

Poddaliśmy się jego uściskowi i przez krótką chwilę miałem obłąkańcze poczucie zadowolenia z tego, co się wydarzyło tej nocy.

*

Wcale nie strzelali do kaczek. Jak się okazało, nikogo nie zastrzelono w nocy siedemnastego lipca 1973 roku. Kabul obudził się następnego dnia i zobaczył, że monarchia odeszła w przeszłość. Król Zaher Szah przebywał we Włoszech. Pod nieobecność króla jego kuzyn, Daud Chan, zakończył czterdziestoletnie panowanie władcy bezkrwawym zamachem stanu.

Pamiętam, że rankiem siedzieliśmy z Hasanem w kucki pod gabinetem ojca, a on i Rahim Chan popijali czarną herbatę i słuchali Radia Kabul, które podawało najświeższe wiadomości o przewrocie.

– Amir *agha?* – szepnął Hasan.

– No?

– Co to jest „republika”?

Wzruszyłem ramionami.

– Nie wiem.

W radiu powtarzano to słowo na okrągło.

– Amir *agha?*

– No?

– Czy słowo „republika” oznacza, że tato i ja będziemy musieli się wyprowadzić?

– Chyba nie – odpowiedziałem szeptem.

Hasan zastanawiał się chwilę.

– Amir *agha?*

– No?

– Nie chcę, żeby nas gdzieś odesłali.

Uśmiechnąłem się.

– *Bas*, ty ośle. Nikt was nigdzie nie odeśle.

– Amir *agha?*

– No?

– Chcesz wejść na nasze drzewo?

Uśmiechnąłem się szerzej. To była kolejna cecha Hasana. Zawsze znajdował właściwe słowa w odpowiednim momencie – wiadomości radiowe stawały się nudne. Hasan poszedł do swojej chaty, żeby się wyszykować, a ja pognałem na górę po książkę. Potem zszedłem do kuchni, napełniłem kieszenie orzeszkami piniowymi i wybiegłem na dwór do czekającego na mnie Hasana. Po chwili byliśmy już za bramą, kierując się w stronę wzgórza.

Przecięliśmy ulicę zabudowaną willami i ruszyliśmy przez nierówny teren leżący odłogiem, gdy nagle Hasan dostał kamieniem w plecy. Odwróciliśmy się i serce mi zamarło. Zbliżał się Asef z dwoma kolegami, Walim i Kamalem.

Asef był synem przyjaciela mojego ojca, Mahmuda, pilota samolotów. Jego rodzina mieszkała kilka ulic na południe od nas, w luksusowej posiadłości z palmami ogrodzonej wysokim murem. Wszystkie dzieciaki z dzielnicy Wazir Akbar Chan słyszały o tym chłopaku i o jego budzącym grozę stalowym kastecie. Jasnowłosy, niebieskooki Asef, syn Niemki i Afgańczyka, przewyższał wzrostem pozostałe dzieci. Zasłużona sława zabijaki wyprzedzała go na ulicach. Mając po obu stronach posłusznych sobie kumpli, przechadzał się po okolicy niczym otoczony świtą pochlebców chan po swoich włościach. Jego słowo było prawem, a jeśli komuś brakowało prawnego wykształcenia, to kastet stanowił doskonałe narzędzie wbijania mu tej wiedzy do głowy. Widziałem kiedyś, jak bił tym kastetem chłopca z dzielnicy Karta Czar. Na zawsze utkwił mi w pamięci trochę obłąkańczy błysk w niebieskich oczach Asefa i jego szeroki uśmiech, od ucha do ucha, gdy tłukł nieszczęśnika do nieprzytomności. Część chłopców z Wazir Akbar Chan przezwała go Asef Goszchor, czyli Asef Uchożerca. Oczywiście żaden z nich nie nazwałby go tak w jego obecności, jeśli chciał uniknąć losu owego chłopca, który bezwiednie przyczynił się do ukucia tego przezwiska, gdy stoczył z Asefem walkę o latawca i na koniec wyłowił swoje prawe ucho z błotnistego rynsztoka. Później dowiedziałem się, że w innych językach, nie w dari, kogoś takiego jak Asef określa się mianem socjopaty.

Asef znacznie przewyższał okrucieństwem wszystkich dręczycieli Alego w sąsiedztwie. W istocie to on wymyślił szydercze zawołanie *babalu:* „Hej, *babalu*, kogo dzisiaj pożarłeś? No jak tam? Uśmiechnij się do

nas, *babalu!*”. Gdy dopisywała mu inwencja, nieco ubarwiał wyzwiska: „Hej ty, płaskonosy *babalu,* kogo dzisiaj pożarłeś? No powiedz, skośnooki ośle!”.

Tak więc ten chłopak szedł w naszą stronę, trzymając ręce na biodrach i wzbijając obłoczki kurzu tenisówkami.

– Cześć, *kuni!* – zawołał, machając ręką.

„Pedzio” również należało od jego ulubionych obelg. Hasan wycofał się za mnie, gdy tamci nas okrążyli. Byli starsi, wyżsi, ubrani w dżinsy i T-shirty. Górujący nad wszystkimi Asef skrzyżował umięśnione ręce na piersi i wykrzywił usta w bezlitosnym uśmiechu. Nie po raz pierwszy pomyślałem, że ten chłopak chyba ma trochę nie po kolei w głowie. Uprzytomniłem sobie również, jak wielkie mam szczęście, że moim ojcem jest *baba,* bo tylko dlatego, jak sądzę, Asef nie dokuczał mi aż tak bardzo.

Wskazał podbródkiem Hasana, mówiąc:

– Hej, płaskonosy, jak się miewa *babalu?*

Hasan w milczeniu zbliżył się do mnie o krok.

– Znacie najnowsze wiadomości, chłopaki? – zapytał Asef wciąż z tym samym uśmiechem. – Nie ma już króla. Żadna strata. Niech żyje prezydent! Mój tato zna Dauda Chana. Wiesz o tym, Amirze?

– Mój też – odrzekłem, choć tak naprawdę wcale nie miałem pewności.

– Mój też – powtórzył, przedrzeźniając mnie jękliwym głosem, na co Kamal i Wali zachichotali jednocześnie.

Gdyby tylko był tu *baba,* pomyślałem.

– Daud Chan gościł u nas na kolacji w zeszłym roku – oświadczył Asef. – Co ty na to, Amirze?

Zastanawiałem się, czy z tej odległości ktoś usłyszałby nasze krzyki. Willa ojca znajdowała się ponad kilometr stąd. Szkoda, że nie zostaliśmy w domu.

– Wiesz, co powiem Daudowi Chanowi, gdy znów przyjdzie do nas na kolację? Pogadam z nim jak mężczyzna z mężczyzną, *mard* z *mard*. Powiem mu to, co powiedziałem mamie. O Hitlerze. To dopiero był wódz. Wielki wódz. Człowiek z wizją. Powiem Daudowi Chanowi, żeby pamiętał o jednym: gdyby pozwolono Hitlerowi dokończyć to, co zaczął, byłoby teraz lepiej na świecie.

– *Baba* uważa, że Hitler był szaleńcem, że kazał zabić mnóstwo niewinnych ludzi. – Wypowiedziałem te słowa, zanim zdążyłem przyłożyć rękę do ust.

Asef parsknął śmiechem.

– Mówi jak moja mama, która powinna być mądrzejsza, bo jest Niemką. Ale oni chcą, żebyśmy w to wierzyli, czy nie tak? Wolą nie ujawniać prawdy.

Nie wiedziałem, kim są ci „oni” ani jaką prawdę ukrywają, i nie chciałem się dowiedzieć. Żałowałem, że w ogóle otworzyłem usta. Znów zapragnąłem podnieść oczy i zobaczyć ojca wchodzącego na wzgórze.

– Ale przecież trzeba czytać również inne książki prócz szkolnych. Ja czytam. I chodzę po świecie z otwartymi oczami. A teraz mam wizję, którą podzielę się z naszym nowym prezydentem. Domyślasz się, o co mi chodzi?

Pokręciłem głową. Wiedziałem, że sam mi powie. Zadawał pytania i zawsze na nie odpowiadał.

Przerzucił wzrok na Hasana.

– Afganistan to ziemie Pasztunów. Tak było i tak będzie. My jesteśmy prawdziwymi, czystymi Afgańczykami, a nie ten płaskonosy. Jego lud kala naszą ojczyznę, naszą *watan*. Zanieczyszcza naszą krew. – Wykonał zamaszysty, pretensjonalny ruch ręką. – Afganistan dla Pasztunów, tak uważam. Taka jest moja wizja.

Znów spojrzał na mnie. Wyglądał jak człowiek, który budzi się z głębokiego snu.

– Hitlera już nie ma – dodał – ale jesteśmy my.

Sięgnął do tylnej kieszeni dżinsów.

– Poproszę prezydenta, żeby zdobył się na to, na co nie zdobył się król. Żeby oczyścił kraj z tych *kasif*, parszywych Hazarów.

– Asef, puść nas. My ci nie przeszkadzamy – powiedziałem, zawstydzony brzmieniem własnego drżącego głosu.

– A właśnie że przeszkadzacie – rzekł Asef.

Zesztywniałem, widząc, co wyjął z kieszeni. Można było się domyślić. W słońcu pobłyskiwał stalowy kastet.

– Bardzo mi przeszkadzacie – mówił dalej Asef. – Tak naprawdę ty przeszkadzasz mi bardziej niż ten Hazara. Nie mieści mi się w głowie, że z nim rozmawiasz, bawisz się, pozwalasz, żeby cię dotykał.

Przepełniała go odraza. Wali i Kamal kiwnęli głowami i wydali potakujące pomruki. Asef zmrużył oczy. Potrząsnął głową.

– Jak możesz nazywać go swoim przyjacielem? – odezwał się po chwili ze zdumieniem, które rozbrzmiewało w jego głosie i malowało się na twarzy.

On wcale nie jest moim przyjacielem! Jest służącym! – mało brakowało, a bym wykrzyknął. Czy rzeczywiście tak pomyślałem? Ależ skąd. Nie pomyślałem tak. Traktowałem go dobrze, jak przyjaciela, a nawet lepiej, raczej jak brata. W takim razie dlaczego, gdy znajomi ojca przychodzili ze swoimi dziećmi w odwiedziny, nigdy nie włączałem Hasana do naszych zabaw? Dlaczego bawiłem się z Hasanem tylko wtedy, gdy nikogo innego nie było w pobliżu?

Asef wsunął kastet na palce i spojrzał na mnie lodowatym wzrokiem.

– Jesteś częścią problemu, Amirze. Gdyby tacy idioci jak ty i twój ojciec nie brali tych ludzi pod swój dach, już zdołalibyśmy się ich pozbyć. Po prostu zgniliby w Hazaradżacie, gdzie jest ich miejsce. Przynosicie hańbę Afganistanowi.

Spojrzałem w jego wariackie oczy i zrozumiałem, że on mówi poważnie, naprawdę chce mi dołożyć. Uniósł pięść i rzucił się w moim kierunku.

Poczułem za plecami jakieś szybkie ruchy. Kątem oka zobaczyłem, że Hasan pochyla się i zaraz prostuje. Oczy Asefa pobiegły ku czemuś za mną i rozszerzyły się ze zdumienia. Zaskoczenie malowało się również na twarzach Kamala i Walego, którzy też widzieli, co się za mną działo.

Odwróciłem się i ujrzałem procę Hasana. Szeroka elastyczna taśma była maksymalnie napięta. W miseczce znajdował się kamień wielkości orzecha włoskiego. Hasan celował prosto w twarz Asefa. Z wysiłku, jakiego wymagało utrzymanie rozciągniętej taśmy, drżały mu ręce, a na czoło wystąpiły krople potu.

– Zostaw nas w spokoju, *agha* – powiedział bezbarwnym głosem.

Słysząc to *agha* skierowane do Asefa, uprzytomniłem sobie, jak głęboko zakorzeniło się w Hasanie poczucie własnego miejsca w hierarchii społecznej.

– Odłóż to, porzucony przez matkę Hazaro – wycedził przez zęby Asef.

– Daj nam spokój, *agha* – rzekł Hasan.

– Chyba nie zauważyłeś, że nas jest trzech, a was dwóch – odparł z uśmiechem Asef.

Hasan wzruszył ramionami. W oczach osoby postronnej nie sprawiał wrażenia wystraszonego. Ale jego twarz była moim najwcześniejszym wspomnieniem, rozpoznawałem najdrobniejsze w niej zmiany, umiałem

odczytać każdy skurcz i każde drgnienie. Widziałem, że był wystraszony. I to jak.

– Masz rację, *agha*, ale chyba ty nie zauważyłeś, że to ja trzymam procę. Jeśli się tylko ruszysz, będą cię nazywać nie Uchożercą, ale Jednookim, bo właśnie celuję w twoje lewe oko.

Powiedział to tak beznamiętnie, że nawet ja musiałem wsłuchać się w jego głos, żeby wyczuć strach maskowany spokojem.

Usta Asefa zadrżały. Wali i Kamal obserwowali tę wymianę zdań niemal zafascynowani. Ktoś rzucił wyzwanie ich bogowi. Upokorzył go. Co najgorsze, dokonał tego jakiś chuderlawy Hazara. Asef przeniósł wzrok z kamienia na twarz Hasana. W skupieniu usiłował go przeniknąć. To, czego się doszukał, najwyraźniej przekonało go, że Hasan nie żartuje. Opuścił pięść.

– Trzeba ci wiedzieć, Hazaro – odezwał się z powagą – że jestem bardzo cierpliwym człowiekiem. Ta sprawa jeszcze się nie skończyła, wierz mi. – Zwrócił się do mnie: – Nie skończyła się również dla ciebie, Amirze. Pewnego dnia zmuszę cię, żebyś zmierzył się ze mną jeden na jednego.

Zrobił krok w tył. Jego stronnicy także się cofnęli.

– Twój Hazara popełnił dzisiaj wielki błąd, Amirze – dodał, po czym wszyscy trzej odwrócili się i odeszli.

Patrzyłem, jak schodzili ze wzgórza, a potem zniknęli za murem. Hasanowi trzęsły się ręce, gdy wsuwał procę za pas. Jego usta wywinęły się w uśmiechu, który miał wyglądać pokrzepiająco. Pięć razy zawiązywał sznurek spodni, nim mu się to udało. Żaden z nas nie odezwał się słowem, gdy szliśmy do domu przejęci niepokojem, mając pewność, ilekroć musieliśmy skręcić za róg, że czai się tam Asef ze swoimi kumplami. Nie zasadzili się na nas i to powinno dodać nam otuchy. Ale nie dodało. Ani trochę.

*

W ciągu następnych paru lat słowa „rozwój gospodarczy” i „reforma” nie schodziły z ust wielu mieszkańcom Kabulu. Monarchia konstytucyjna została obalona i utworzono republikę z prezydentem na czele. Przez jakiś czas w kraju panowało ożywienie i żyło się z poczuciem celu. Mówiono o prawach kobiet i nowoczesnych technologiach.

Choć nowy przywódca zamieszkał w Argu – pałacu królewskim w Kabulu – życie w zasadzie toczyło się jak dawniej. Ludzie chodzili do pracy od soboty do czwartku i w piątki urządzali pikniki w parkach, nad jeziorem Ghargha i w ogrodach Paghmanu. Kolorowe autobusy i ciężarówki pełne pasażerów toczyły się wąskimi kabulskimi uliczkami, a siedzący okrakiem na tylnych zderzakach pomocnicy kierowców wskazywali im drogę, nieustannie wykrzykując polecenia donośnym głosem, z wyraźnym lokalnym akcentem. Podczas święta Eid, trzydniowych uroczystości na zakończenie świętego miesiąca ramadan, kabulczycy wkładali najnowsze, wyjściowe ubrania i odwiedzali krewnych. Ludzie padali sobie w objęcia, całowali się i pozdrawiali słowami „*Eid-e Mubarak*”, czyli pomyślnego Eid. Dzieci dostawały prezenty i bawiły się malowanymi jajkami na twardo.

Któregoś dnia na początku zimy 1974 roku bawiłem się z Hasanem w ogrodzie – budowaliśmy zamek ze śniegu – gdy Ali zawołał swojego syna.

– Hasan, *agha saheb* chce z tobą rozmawiać!

Ali stał przy drzwiach frontowych, ubrany na biało, trzymając ręce pod pachami i wydychając obłoczki pary.

Uśmiechnęliśmy się do siebie. Cały dzień czekaliśmy na to wezwanie. Hasan miał urodziny.

– Wiesz, co to będzie, tato? Powiesz nam? – dopytywał się z roziskrzonym wzrokiem.

– *Agha saheb* nie rozmawiał o tym ze mną – odrzekł Ali, wzruszając ramionami.

– No powiedz, Ali – nalegałem. – Podręcznik rysowania? Nowy pistolet?

Ali był niezdolny do kłamstwa, jak Hasan. Co roku udawał, że nie wie, jaki prezent *baba* sprawił Hasanowi czy mnie na urodziny. I co roku zdradzały go oczy, i udawało się nam wydobyć od niego tajemnicę. Ale tym razem mieliśmy wrażenie, że mówi prawdę.

Tato nigdy nie zapomniał o urodzinach Hasana. Początkowo pytał go, co chce dostać, ale w końcu zrezygnował, ponieważ skromność nie pozwalała Hasanowi nic zaproponować. A zatem każdej zimy *baba* sam dokonywał wyboru. Raz kupił mu japońską ciężarówkę do zabawy, innym razem elektryczną lokomotywę z kompletem torów kolejowych. Rok wcześniej zaskoczył Hasana, wręczając mu kowbojski kapelusz ze skóry, taki sam, jaki nosił Clint Eastwood w filmie *Dobry, zły i brzydki*, który wyparł *Siedmiu wspaniałych* i stał się naszym ulubionym westernem. Przez całą tamtą zimę nosiliśmy kapelusz na zmianę i nuciliśmy pełnym głosem słynną muzykę z tego filmu, włażąc na zwały śniegu i uśmiercając jeden drugiego strzałami z pistoletów.

Przy drzwiach frontowych zdjęliśmy rękawiczki i zaśnieżone buty. Po wejściu do przedpokoju zobaczyliśmy, że przy żeliwnym piecyku na drewno siedzi *baba* w towarzystwie niskiego, łysiejącego Hindusa w brązowym garniturze i czerwonym krawacie.

– Hasanie – odezwał się *baba*, uśmiechając się z fałszywą skromnością. – Poznaj swój prezent urodzinowy.

Obrzuciliśmy się z Hasanem spojrzeniami pełnymi konsternacji. Nie widzieliśmy pudełka zawiniętego w lśniący papier. Ani torby. Ani zabawki. Był tam tylko Ali, który stał za nami, no i *baba* z tym niepokaźnym Hindusem wyglądającym trochę jak nauczyciel matematyki.

Hindus uśmiechnął się i podał rękę Hasanowi.

– Jestem doktor Kumar – rzekł. – Miło mi cię poznać.

Mówił w języku dari z silnym hinduskim akcentem, ze wznoszącą się i opadającą intonacją.

– *Salam alajkum* – powiedział Hasan niepewnym głosem.

Pochylił grzecznie głowę, ale wzrokiem szukał stojącego z tyłu ojca. Ali podszedł i położył rękę na jego ramieniu.

Baba odpowiedział na nieufne – i zdumione – spojrzenie Hasana.

– Wezwałem doktora Kumara z New Delhi. Jest chirurgiem plastycznym.

– Wiesz, czym się zajmuje chirurg plastyczny? – zapytał Hindus, czyli doktor Kumar.

Hasan pokręcił głową. Spojrzał na mnie prosząco, ja zaś wzruszyłem ramionami. Wiedziałem tylko tyle, że do chirurga szło się z zapaleniem wyrostka robaczkowego. Akurat to wiedziałem, bo kolega z klasy umarł na zapalenie wyrostka rok wcześniej i nauczyciel poinformował nas, że za długo zwlekano z pójściem do chirurga. Obaj popatrzyliśmy na Alego, lecz z nim nigdy nic nie było wiadomo. Miał jak zawsze nieprzeniknioną twarz, tylko jakaś powaga pojawiła się w oczach.

– No więc moja praca polega na naprawianiu ludzkich ciał – oznajmił doktor Kumar. – Bywa, że są to twarze.

– Ojej – wymamrotał Hasan. Powiódł wzrokiem od doktora Kumara do mojego taty i do Alego. Dotknął palcem górnej wargi. – Ojej – powtórzył.

– Wiem, że to zaskakujący prezent – powiedział *baba*. – Prawdopodobnie nie o takim myślałeś, ale będziesz go miał na zawsze.

– Ojej – bąknął Hasan. Oblizał wargi. Odchrząknął. – *Agha saheb,* czy to… czy to…

– W żadnym wypadku – odparł doktor Kumar. – W ogóle nie będzie bolało. Dam ci lekarstwo, po którym nic nie będziesz pamiętał.

– Ojej – powtórzył jeszcze raz Hasan. Uśmiechnął się z ulgą. Przynajmniej z pewną ulgą. – Nie boję się, *agha saheb,* po prostu…

Hasan był łatwowierny, ale nie ja. Gdy lekarze mówią ci, że nie będzie bolało, znalazłeś się w ciężkiej sytuacji. Dreszcz przebiegł mi po plecach na wspomnienie obrzezania, któremu poddano mnie rok wcześniej. Lekarz wciskał mi to samo, że nic a nic nie będzie bolało. Ale gdy wieczorem odeszło znieczulenie, czułem się tak, jakby przyłożono mi do krocza rozżarzony węgiel. Nie mogłem zrozumieć, dlaczego *baba* czekał z tym, aż skończę dziesięć lat. Jest to jedna z rzeczy, której mu nigdy nie wybaczę.

Żałowałem, że i ja nie mam jakiejś szramy, dzięki której zyskałbym współczucie ojca. To było niesprawiedliwe. Hasan nie zrobił nic, żeby zaskarbić sobie jego serce; po prostu urodził się z tą głupią zajęczą wargą.

Operacja się udała. Wszyscy przeżyliśmy lekki szok, gdy zdjęto bandaże, ale zrobiliśmy dobrą minę zgodnie z poleceniami doktora Kumara. Nie poszło nam łatwo, bo górna warga Hasana wyglądała groteskowo, jak siatka z opuchniętej, surowej tkanki. Spodziewałem się, że Hasan zacznie krzyczeć z przerażenia, gdy pielęgniarka poda mu lusterko. Ali trzymał go za rękę, a Hasan długo, w zamyśleniu przyglądał się swojej twarzy. W końcu wymamrotał coś niezrozumiale. Przyłożyłem ucho do jego ust i wyszeptał jeszcze raz:

– *Taszakkor.* Dziękuję.

Potem usta wykrzywiły mu się i tym razem wiedziałem, co robi. Uśmiechał się. Jak wtedy gdy opuszczał łono matki.

Wkrótce opuchlizna zniknęła i rana się zagoiła. Pozostała tylko nierówna różowa kreseczka biegnąca w górę po wardze. Gdy nadeszła kolejna zima, widać było jedynie lekką bliznę. Jak na ironię. Bo tej zimy Hasan przestał się uśmiechać.

6

Zima.

Oto co robię pierwszego śnieżnego dnia rok w rok: wczesnym rankiem wychodzę z domu na dwór, jeszcze w piżamie, i stoję na zimnie, obejmując się ramionami. Patrzę na podjazd, samochód ojca, murowane ogrodzenie, drzewa, dachy i wzgórza, wszystko przysypane trzydziestocentymetrową warstwą puchu. Uśmiecham się. Niebo jest gładkie, całe niebieskie, śnieg tak biały, że aż pali w oczy. Wpycham do ust garść świeżego śniegu, słucham stłumionej ciszy przerywanej krakaniem wron. Schodzę po schodkach przy wejściu, boso, i wołam Hasana, żeby przyszedł i popatrzył.

Zima była ulubioną porą roku wszystkich kabulskich dzieci, przynajmniej tych, których ojcowie mogli sobie pozwolić na porządny żeliwny piecyk. Łatwo zrozumieć dlaczego. Gdy przychodziły mrozy, zamykano szkołę. Dla mnie zima oznaczała koniec dzielenia liczb wielocyfrowych i zastanawiania się, co jest stolicą Bułgarii, i zarazem początek grania z Hasanem w karty przy piecyku przez trzy miesiące, a także bezpłatne pokazy rosyjskich filmów co wtorek rano w kinie Park oraz poranne lepienie bałwanów, a potem lunch: ryż i *ghorma* z rzepy.

No i oczywiście latawce. Puszczanie latawców. I gonienie za latawcami.

Dla grupy pechowców nadejście zimy wcale nie oznaczało końca roku szkolnego. W mieście prowadzono tak zwane zimowe zajęcia, na które

uczęszczali ochotnicy. Żaden znany mi dzieciak nie zgłaszał się dobrowolnie; zapisywali ich oczywiście rodzice. Na szczęście dla mnie *baba* do takich nie należał. Pamiętam chłopca – miał na imię Ahmad – który mieszkał naprzeciwko nas, po drugiej stronie ulicy. Jego ojciec był chyba lekarzem. Ahmad miał padaczkę i zawsze nosił wełnianą kamizelkę oraz grube okulary w czarnej oprawce – regularnie padał ofiarą Asefa. Każdego ranka wstawałem z łóżka i ubrany we flanelową piżamę obserwowałem przez okno swojego pokoju, jak hazarski służący odgarnia śnieg z podjazdu, robiąc miejsce dla czarnego opla. Koniecznie chciałem zobaczyć, jak Ahmad – w wełnianej kamizelce i zimowym palcie, z wypchanym tornistrem – wsiada razem z ojcem do samochodu. Czekałem, aż ruszą i skręcą za róg, a potem wskakiwałem z powrotem do łóżka. Zakrywałem się kocem pod brodę i patrzyłem przez okno na ośnieżone wzgórza na północy. Patrzyłem tak długo, aż znów zapadłem w sen.

Uwielbiałem kabulską zimę. Uwielbiałem, jak nocą śnieżne płatki muskają szybę okna w sypialni, jak chrzęści świeży śnieg pod czarnymi gumowcami, jak rozchodzi się ciepło od żeliwnego piecyka, gdy wiatr świszcze w ogrodach i na ulicach. Ale najbardziej cieszyłem się z tego, że gdy drzewa zamarzły i drogi pokryły się lodem, ocieplały się nieco stosunki między tatą a mną. Dzięki latawcom. Mieszkałem z ojcem pod jednym dachem, ale każdy z nas prowadził osobne życie. Jedynym łącznikiem, cienkim jak kartka papieru, były latawce.

*

Co roku zimą poszczególne dzielnice Kabulu urządzały turnieje latawcowe. Dla kabulskich chłopców ta impreza była bez wątpienia największą atrakcją sezonu. W noc poprzedzającą zawody nie mogłem

zmrużyć oka. Przewracałem się z boku na bok, robiłem na ścianie cienie w kształcie zwierząt, nawet siadałem w ciemności na balkonie, owinięty kocem. Czułem się jak żołnierz w okopach, który usiłuje zaznać trochę snu przed decydującą bitwą. Nie przesadzam. W Kabulu walka na latawce poniekąd przypominała wojnę.

I jak to na wojnie, należało przygotować się do boju. Początkowo Hasan i ja sami robiliśmy latawce. Jesienią odkładaliśmy tydzień w tydzień nasze kieszonkowe, wrzucaliśmy monety do porcelanowego konika, którego *baba* przywiózł nam kiedyś z Heratu. Gdy powiały zimowe wiatry i zaczęły spadać grube płaty śniegu, otwieraliśmy zameczek pod brzuchem konika. Szliśmy na bazar po bambus, klej, sznurek i papier. Codziennie godzinami strugaliśmy bambusowe kijki, z których miał powstać szkielet, przycinaliśmy bibułkowy papier umożliwiający szybkie nurkowanie i wzlot. Oczywiście musieliśmy jeszcze zrobić linkę, czyli *tar.* Gdyby porównać latawca do karabinu, to *tar* – pokryty warstewką szkła sznurek do odcinania latawców rywali – byłby nabojem w komorze. Wychodziliśmy do ogrodu i tam przeciągaliśmy przez mieszankę zmielonego szkła i kleju nawet sto pięćdziesiąt metrów sznurka. Potem rozwieszaliśmy go między drzewami, żeby wysechł. Następnego dnia nawijaliśmy gotową do walki linkę na drewnianą szpulę. Gdy stopniały śniegi i nadciągnęły wiosenne deszcze, każdy chłopiec w Kabulu miał na palcach charakterystyczne cięcia, pozostałości po bojach na latawce toczonych przez całą zimę. Pamiętam, jak pierwszego dnia szkoły zebrani w grupki uczniowie porównywali swoje rany wojenne. Skaleczenia piekły i nie goiły się przez parę tygodni, ale w ogóle się tym nie przejmowałem. Przywoływały wspomnienia ukochanej pory roku, która znów minęła zbyt szybko. Potem starosta klasowy dmuchał w gwizdek i maszerowaliśmy gęsiego do sal, już

stęsknieni za zimą, wiedząc, że najpierw czeka nas zmora kolejnego długiego roku nauki.

Szybko okazało się jednak, że Hasan i ja lepiej spisujemy się, walcząc na latawce, niż je robiąc. Jakaś wada konstrukcji niezmiennie skazywała nas na porażkę. Wobec tego *baba* zabierał nas do sklepu Sajfo, który handlował latawcami. Sajfo był prawie niewidomym starcem, z zawodu *muczi*, to znaczy szewcem. Ale również wyrabiał najlepsze latawce w mieście. Pracował w ciasnej norze przy Dżade Majwand, zatłoczonej ulicy na południe od błotnistego brzegu rzeki Kabul. Pamiętam, że trzeba było nisko się schylić w drzwiach do sklepiku wielkości celi więziennej, a potem podnieść klapę i zejść powoli po drewnianych schodach do zawilgoconej sutereny, gdzie Sajfo trzymał upragnione przez wszystkich latawce. *Baba* kupował po trzy identyczne sztuki dla każdego z nas oraz szpule sznurka pokrytego szklaną masą. Gdy uznałem, że chcę mieć większy, bardziej fantazyjny latawiec, tato zgadzał się, po czym zaraz brał drugi taki sam dla Hasana. Czasem wolałem, żeby tego nie robił, żeby pozwolił mi być faworytem.

Zawody latawcowe były starym zimowym zwyczajem w Kabulu. Rozpoczynały się wczesnym rankiem i kończyły dopiero wtedy, gdy na niebie został tylko jeden latawiec, ten zwycięski – któregoś roku, jak pamiętam, trwały jeszcze po zapadnięciu zmierzchu. Ludzie gromadzili się na chodnikach i dachach domów, kibicując swoim dzieciom. Ulice były wypełnione chłopakami, którzy szarpali i pociągali za linki, patrząc zmrużonymi oczami w niebo i próbując znaleźć się w dogodnej pozycji, żeby odciąć latawce rywali. Każdy zawodnik miał pomocnika – moim był Hasan – który trzymał szpulę i rozwijał sznurek.

Pewnego razu jakiś bezczelny Hindus, który niedawno zamieszkał z rodzicami w naszej dzielnicy, powiedział nam, że w jego rodzinnym

mieście walka na latawce przebiega według ściśle określonych reguł. „Uczestnicy znajdują się na ogrodzonym terenie i muszą stać pod kątem prostym do kierunku wiatru – oznajmił dumnie. – No i nie wolno używać aluminium przy robieniu sznurka pokrytego szklaną masą”.

Spojrzeliśmy na siebie z Hasanem i parsknęliśmy śmiechem. Niedługo potem chłopak przekonał się, tak jak Brytyjczycy przekonali się wcześniej w tym stuleciu, a Rosjanie mieli się w końcu przekonać u schyłku lat osiemdziesiątych, że Afgańczycy są narodem, który ceni niezależność. Pielęgnują tradycję, lecz nie znoszą reguł. To widać podczas wyścigu latawców. Jest jedna prosta zasada: nie ma zasad. Sterujesz swoim latawcem. Podcinasz przeciwników. I niech ci szczęście sprzyja.

Ale to nie wszystko. Prawdziwa zabawa zaczynała się wtedy, gdy latawiec został odcięty. Do gry włączali się biegacze, którzy gonili latawca niesionego wiatrem i krążącego nad dzielnicą, aż opadł spiralnym lotem na pole, wylądował u kogoś w ogrodzie, na drzewie albo na dachu. Pogoń była zażarta; ulicami biegły hordy rozpychających się chłopców, zupełnie jak w Hiszpanii, gdy ludzie uciekają przed pędzącymi bykami – kiedyś o tym czytałem. Któregoś roku kolega z naszej dzielnicy wszedł za latawcem na sosnę. Gałąź złamała się pod ciężarem chłopaka i spadł z wysokości dziewięciu metrów. Złamał sobie kręgosłup i już nigdy nie mógł chodzić. Ale spadł z latawcem w rękach. Gdy biegacz pochwycił latawca, nikt nie miał prawa mu go odebrać. To nie była kwestia zasady. Tak nakazywał obyczaj.

Upragnioną nagrodą dla biegacza było pochwycenie ostatniego latawca w zimowym turnieju. To zaszczytne trofeum stawiało się na półce nad kominkiem, by goście je podziwiali. Gdy z nieba zniknęły wszystkie latawce prócz dwóch ostatnich, biegacze szykowali się do zdobycia tej nagrody. Ustawiali się w miejscach, które miały dać im przewagę nad

rywalami. Napięte mięśnie gotowe do skoku, wyciągnięte szyje, zmrużone oczy. Zdarzały się bójki. A gdy odcięto ostatniego latawca, robiło się piekło.

Przez te wszystkie lata widziałem wielu chłopców, którzy gonili latawce. Ale Hasan był zdecydowanie najlepszy. W zupełnie niepojęty sposób zawsze wiedział, gdzie upadnie latawiec, i znajdował się tam przed nim, jakby wskazywał mu drogę jakiś wewnętrzny kompas.

Pamiętam pewien pochmurny zimowy dzień, gdy razem goniliśmy latawca. Pędziłem za Hasanem przez kilka dzielnic, przeskakiwałem rynsztoki, skręcałem z jednego zaułka w drugi. Byłem o rok starszy od niego, ale on biegał szybciej ode mnie, więc zostałem w tyle.

– Hasan! Poczekaj! – krzyknąłem zasapany, wydychając gorące powietrze.

Odwrócił się raptownie i kiwnął ręką.

– Tędy! – zawołał, po czym znowu śmignął za róg.

Podniosłem głowę i zobaczyłem, że biegniemy w przeciwnym kierunku, niż szybuje latawiec.

– Stracimy go! Nie tędy! – wrzasnąłem.

– Zaufaj mi! – doleciał mnie z przodu głos Hasana.

Dotarłem do rogu i zobaczyłem, jak Hasan gna przed siebie z opuszczoną głową, nawet nie patrzy w niebo, a tył jego koszuli nasiąka potem. Potknąłem się o kamień i upadłem – nie tylko gorzej od niego biegałem, ale też byłem mniej zwinny; zazdrościłem mu wrodzonej sprawności fizycznej. Gdy stanąłem chwiejnie na nogach, dostrzegłem, że Hasan znika za kolejnym rogiem ulicy. Pokuśtykałem za nim, czując kłujący ból w otartym kolanie.

Zorientowałem się, że jesteśmy na porytej koleinami drodze opodal szkoły średniej Esteghlal. Po jednej stronie znajdowało się pole, gdzie latem sadzono sałatę, po drugiej rosły rzędem drzewa wiśniowe. Znalazłem

Hasana pod drzewem; siedział ze skrzyżowanymi nogami i jadł suszone owoce morwy, które trzymał w garści.

– Co ty tu robisz? – wysapałem, czując, że żołądek podchodzi mi do gardła.

– Siadaj, Amir *agha* – odezwał się uśmiechnięty Hasan.

Opadłem na ziemię pokrytą cienką warstwą śniegu i wyciągnąłem się, oddychając ze świstem.

– Przez ciebie marnujemy tylko czas. Poleciał w drugą stronę, nie widziałeś?

Hasan włożył do ust morwę.

– Przyleci – powiedział.

Ledwie łapałem powietrze, a w jego głosie nawet nie było słychać zmęczenia.

– Skąd wiesz? – zapytałem.

– Po prostu wiem.

– Jak można to wiedzieć?

Odwrócił się do mnie. Po jego ogolonej głowie spływało kilka kropli potu.

– Czy mógłbym cię okłamać, Amir *agha?*

Nagle pomyślałem, że trochę się z nim poprzekomarzam.

– Nie wiem. Mógłbyś?

– Prędzej zjadłbym ziemię – obruszył się.

– Naprawdę? Zrobiłbyś to?

Obrzucił mnie pytającym spojrzeniem.

– Niby co?

– Zjadłbyś ziemię, gdybym ci kazał?

Zdawałem sobie sprawę, że jestem wobec niego okrutny, tak jak wtedy gdy naśmiewałem się, bo nie znał jakiegoś trudnego słowa. Ale naigrawanie się z Hasana miało w sobie coś fascynującego – choć również chorobliwego. Przypominało dręczenie owadów. Tyle że teraz on był mrówką, a ja trzymałem w ręku szkło powiększające.

Hasan utkwił we mnie przeciągłe, badawcze spojrzenie. Siedzieliśmy pod tą wiśnią i nagle popatrzyliśmy jeden na drugiego, i naprawdę patrzyliśmy na siebie. I wtedy stało się to znowu: twarz Hasana się zmieniła. Właściwie może się nie zmieniła, tylko raptem odniosłem wrażenie, że patrzę na dwie twarze: na jedną, którą znam, która jest moim najwcześniejszym wspomnieniem, i na drugą, która wyłania się zza tamtej. Coś takiego już mi się przydarzało – i zawsze byłem wtedy trochę wstrząśnięty. Ta druga twarz ukazywała się ledwie na ułamek sekundy, a jednak pozostawał we mnie niepokój, że być może gdzieś ją widziałem. Potem Hasan mrugnął i znów był sobą. Zwykłym Hasanem.

– Gdybyś tego chciał, zjadłbym – odezwał się w końcu, nie odrywając ode mnie oczu.

Spuściłem wzrok. Nawet dziś z trudem patrzę wprost na ludzi takich jak Hasan, którzy mówią to, co myślą.

– Zastanawiam się tylko – dodał – czy kiedykolwiek kazałbyś mi zrobić coś takiego, Amir *agha*.

I mówiąc te słowa, ot tak sobie, przeprowadził na mnie swój mały test. Skoro ja chciałem się z nim podroczyć i wystawić na próbę jego lojalność, to teraz on podroczy się ze mną i wystawi na próbę moją prawość.

Nie należało zaczynać tej rozmowy.

– Nie wygłupiaj się, Hasan – mruknąłem, zmuszając się do uśmiechu. – Wiesz, że bym tego nie zrobił.

Również się uśmiechnął. Ale jego uśmiech nie wyglądał na wymuszony.

– Wiem – rzekł.

I to jest właśnie kłopot z ludźmi, którzy mówią, co myślą. Są przekonani, że inni też tak się zachowują.

– Nadlatuje – powiedział, wskazując niebo.

Wstał i zrobił kilka kroków w lewo. Gdy podniosłem głowę, zobaczyłem spadającego ku nam latawca. Usłyszałem tupot i krzyki gromady biegnących chłopaków. Na darmo się wysilali. Bo Hasan stał już w gotowości, z rozpostartymi ramionami, z uśmiechem na twarzy. I niech Bóg – o ile istnieje, ma się rozumieć – odbierze mi wzrok, jeśli nie jest prawdą, że ten latawiec po prostu wpadł w otwarte ramiona Hasana.

*

Zimą 1975 roku widziałem po raz ostatni, jak Hasan gonił latawca.

Zazwyczaj każda dzielnica organizowała swoje zawody, ale tamtego roku odbywały się w mojej dzielnicy, w Wazir Akbar Chan, i zaproszono na nie jeszcze kilka innych dzielnic: Karta Czar, Karta Parwan, Mikrorajan i Kota Sangi. Dokądkolwiek się poszło, wszyscy rozmawiali o zbliżającej się imprezie. Krążyła pogłoska, że będzie to największy turniej od dwudziestu pięciu lat.

Na cztery dni przed wielkim wydarzeniem siedzieliśmy wieczorem z tatą w wyścielanych fotelach ze skóry, przy płonącym kominku w jego gabinecie. Gawędziliśmy, popijając herbatę. Ali już podał kolację – ziemniaki oraz ryż z kalafiorem w sosie curry – i poszedł z Hasanem do chaty. *Baba* „tuczył” fajkę, a ja namawiałem go, żeby opowiedział historię o tym, jak stado wilków zeszło zimą z gór w prowincji Herat i nikt z mieszkańców nie mógł przez tydzień wystawić nosa z domu. Rozległ się trzask zapalanej zapałki i usłyszałem zadane od niechcenia pytanie:

– Zdaje mi się, że w tym roku masz szansę wygrać turniej. Jak sądzisz?

Nie wiedziałem, co o tym myśleć. Ani co odpowiedzieć. Czy tak sobie założył? Czy właśnie dał mi to do zrozumienia? Byłem dobry w bojach na latawce. Nawet bardzo dobry. Kilka razy mało brakowało, a wygrałbym zawody – raz znalazłem się w trójce najlepszych. Ale być bliskim wygrania to nie to samo, co wygrać, prawda? *Baba* nigdy nie był bliski czegoś tam. On wygrywał, bo zwycięzcy wygrywają, a cała reszta po prostu zabiera się do domów. *Baba* był przyzwyczajony, że odnosi sukcesy, osiąga wszystko, co sobie postanowił. Czy nie miał prawa oczekiwać tego samego od swojego syna? Tylko pomyśleć… Gdybym rzeczywiście wygrał…

Tato mówił, pykając z fajki. Udawałem, że go słucham. Ale tak naprawdę nie mogłem się skupić, bo pod wpływem tej luźno rzuconej uwagi zakiełkowała w mojej głowie myśl, że wygram tegoroczny turniej. Zamierzałem wygrać. Inna możliwość nie wchodziła w rachubę. Wygram i złapię tego ostatniego latawca. Potem przyniosę go do domu i pokażę ojcu. Udowodnię mu raz na zawsze, że jego syn jest czegoś wart. Może wreszcie przestanę żyć w tym domu jak widmo. Oddałem się marzeniom: wyobraziłem sobie kolację, której towarzyszy rozmowa i śmiech, a nie cisza przerywana brzękiem sreber i sporadycznymi chrząknięciami. Roiłem, że w piątek pojedziemy we dwóch samochodem do Paghmanu, po drodze zatrzymamy się nad jeziorem Ghargha i zjemy smażonego pstrąga z ziemniakami. Pójdziemy do zoo i zobaczymy lwa Mardżana, może *baba* nie zacznie ziewać i co rusz spoglądać ukradkiem na zegarek. Może nawet przeczyta któreś z moich opowiadań. Napisałbym mu ze sto, gdybym wiedział, że jedno z nich przeczyta. Może będzie mówił do mnie: Amirze *dżan*, jak to robił Rahim Chan. I niewykluczone, całkiem niewykluczone, że wreszcie zostanie mi wybaczone to, że zabiłem mamę.

Baba opowiadał, jak to jednego dnia odciął czternaście latawców. Uśmiechałem się, kiwałem głową, wybuchałem śmiechem, gdy należało,

ale prawie w ogóle nie słyszałem, co mówi. Miałem zadanie do wykonania. I nie zamierzałem sprawić ojcu zawodu. Nie po raz kolejny.

*

W ostatni wieczór przed turniejem sypał gęsty śnieg. Siedzieliśmy z Hasanem przy *kursi* i graliśmy w *pandżpar,* a w okno stukały kołysane wiatrem gałęzie drzewa. Wcześniej tego dnia poprosiłem Alego, żeby postawił nam *kursi* – jest to elektryczny grzejnik umieszczony pod niskim stołem przykrytym grubą, pikowaną narzutą. Dokoła stołu Ali rozłożył tyle materacy i poduszek, że ze dwadzieścia osób mogłoby tam siedzieć i trzymać nogi pod narzutą. Gdy padał śnieg, spędzaliśmy z Hasanem całe dnie przy cieplutkim *kursi*, grając w szachy albo w karty – najczęściej w *pandżpar.*

Pobiłem dziesiątkę karo Hasana i wyłożyłem parę waletów i szóstkę. W gabinecie obok *baba* i Rahim Chan rozmawiali o interesach z dwoma panami – jednym z nich był ojciec Asefa. Przez ścianę dolatywały zakłócane trzaskami wiadomości Radia Kabul.

Hasan pobił szóstkę i wziął walety. Z radia dochodził głos Dauda Chana, który obwieszczał coś na temat zagranicznych inwestycji.

– Mówi, że pewnego dnia będziemy mieć w Kabulu telewizję.

– Kto?

– Daud Chan, prezydent, ty ośle.

Hasan parsknął śmiechem.

– Podobno w Iranie już jest – powiedział.

Westchnąłem.

– Ci Irańczycy…

Dla wielu Hazarów Iran był swego rodzaju krainą szczęścia – pewnie dlatego, jak przypuszczam, że Irańczycy są w większości szyitami jak

Hazarowie. Przypomniało mi się, co tego lata mówił mój nauczyciel o Irańczykach: że są gładcy w mowie, uśmiechnięci od ucha do ucha, jedną ręką będą cię klepać po plecach, a drugą dobierać ci się do kieszeni. Powtórzyłem jego opinię tacie, a on powiedział, że mój nauczyciel należy do tych trawionych zazdrością Afgańczyków, których drażni fakt, że Iran jest wschodzącą potęgą w Azji, podczas gdy Afganistanu większość ludzi na świecie nawet nie potrafi znaleźć na mapie. „Przykro to mówić – rzekł, wzruszając ramionami. – Ale lepiej, by zraniła cię prawda, niż pocieszyło kłamstwo”.

– Kiedyś ci go kupię – oświadczyłem.

Hasan się rozpromienił.

– Telewizor? Naprawdę?

– Oczywiście. I to nie czarno-biały. Wtedy pewnie będziemy już duzi. Kupię dwa: jeden dla ciebie, drugi dla siebie.

– Postawię go na stole, gdzie leżą moje rysunki – powiedział Hasan.

Zrobiło mi się trochę smutno, gdy to usłyszałem. Smutno na myśl, kim jest Hasan i gdzie mieszka. I że całkowicie pogodził się z tym, iż zestarzeje się w tej lepiance w ogrodzie, jak jego ojciec. Dobrałem ostatnią kartę i wyłożyłem parę dam i dziesiątkę.

Hasan wziął damy.

– Wiesz, wydaje mi się, że jutro *agha saheb* będzie z ciebie bardzo dumny.

– Tak myślisz?

– *Enszallah* – powiedział.

– *Enszallah* – powtórzyłem, ale w moich ustach słowa „jeśli Bóg pozwoli” nie zabrzmiały równie szczerze.

I to był właśnie kłopot z Hasanem. W zestawieniu z cholerną czystością jego serca człowiek zawsze czuł się pozerem.

Pobiłem jego króla i wyłożyłem swoją ostatnią kartę – asa pik. Hasan musiał ją wziąć. Wygrałem, ale tasując karty przed następnym rozdaniem, nie mogłem oprzeć się wrażeniu, że pozwolił mi wygrać.

– Amir *agha?*

– Co?

– Wiesz… Podoba mi się tam, gdzie mieszkam. – Ciągle tak było: czytał w moich myślach. – To jest mój dom.

– Jak tam sobie chcesz – powiedziałem. – Szykuj się na kolejną przegraną.

7

Następnego dnia, gdy Hasan parzył czarną herbatę na śniadanie, opowiedział mi swój sen.

– Byliśmy nad jeziorem Ghargha, ty, ja, tato, *agha saheb*, Rahim Chan i tysiące ludzi. Przygrzewało słońce. Jezioro wyglądało jak lustro. Ale nikt się nie kąpał, ponieważ mówiono, że w jeziorze jest potwór. Pływa, czai się przy dnie.

Nalał mi herbatę, posłodził, podmuchał kilka razy i postawił przede mną filiżankę.

– Wszyscy boją się wejść do wody, a ty, Amir *agha*, raptem zdejmujesz buty i koszulę. „Nie ma żadnego potwora – mówisz. – Udowodnię wam”. I zanim ktokolwiek zdoła cię powstrzymać, dajesz nura i odpływasz. Ja rzucam się za tobą i obaj płyniemy.

– Ale ty nie umiesz pływać.

Hasan się zaśmiał.

– Przecież to sen, Amir *agha*. We śnie wszystko może się zdarzyć. No więc rozlegają się krzyki: „Wracajcie! Wracajcie!”, ale my płyniemy dalej w zimnej wodzie, aż na środek jeziora. Tam zatrzymujemy się, odwracamy i machamy ludziom na brzegu. Są mali jak mrówki, ale słyszymy, jak biją brawo. Przekonali się. W jeziorze nie ma potwora, jest tylko woda. Potem

nadają jezioru nową nazwę: Jezioro Amira i Hasana, sułtanów Kabulu. A my mamy prawo pobierać opłatę od kąpiących się.

– No i co oznacza ten sen? – zapytałem.

Hasan posmarował mi *nan* konfiturą i położył na talerzu.

– Nie wiem. Liczyłem na to, że ty mi powiesz.

– To po prostu głupi sen. Nic się w nim nie dzieje.

– Tato uważa, że sny zawsze coś znaczą.

Popijałem herbatę.

– Więc go zapytaj, skoro jest taki mądry – powiedziałem.

Zabrzmiało to bardziej szorstko, niż było moim zamiarem. W nocy nie zmrużyłem oka. Miałem wrażenie, że szyja i kręgosłup są jak zwinięte sprężyny. Piekły mnie oczy. Ale to nie usprawiedliwiało mojej złośliwości. Byłem bliski przeproszenia Hasana, lecz tego nie zrobiłem. Hasan zrozumiał, że zwyczajnie puściły mi nerwy. Hasan zawsze mnie rozumiał.

Leżąc w swoim pokoju, usłyszałem szum wody w łazience ojca.

*

Na ulicach skrzył się świeży śnieg. Niebo było nieskalanie błękitne. Śnieg zalegał na dachach i przyginał gałęzie skarłowaciałych morw, które rosły przy naszej ulicy. Przez noc wypełnił każdą szczelinę i każde zagłębienie. Zmrużyłem oczy od oślepiającej bieli, gdy wyszliśmy z Hasanem za bramę z kutego żelaza. Zamknął ją za nami Ali i usłyszałem, jak mamrocze pod nosem modlitwę – zawsze tak robił, gdy jego syn wychodził z domu.

Nigdy przedtem nie widziałem tylu ludzi na naszej ulicy. Dzieciaki obrzucały się śnieżkami, sprzeczały się, zaśmiewały i goniły nawzajem. Zawodnicy zbili się w grupy, trzymając szpule za trzonki i wykonując ostatnie czynności przygotowawcze. Z sąsiednich ulic dobiegały rozmowy

i śmiechy. Licznie zgromadzeni na dachach widzowie już rozsiedli się na krzesełkach ogrodowych; z termosów parowała gorąca herbata, a z odtwarzaczy kasetowych płynęły puszczane na pełny regulator piosenki Ahmada Zahira. Ten niezwykle popularny artysta zrewolucjonizował afgańską muzykę, wywołując oburzenie purystów wykorzystywaniem gitary elektrycznej, perkusji i rogu prócz tradycyjnej tabli i fisharmonii; gdy występował na scenie czy podczas przyjęć, nie przybierał poważnej, niemal posępnej miny jak starsi pieśniarze, ale wykonywał swoje utwory, uśmiechając się – czasem nawet do kobiet. Spojrzałem na dach naszego domu i zobaczyłem na ławce tatę w towarzystwie Rahima Chana, obaj mieli na sobie wełniane swetry i popijali herbatę. *Baba* pomachał ręką. Nie byłem pewny, czy mnie, czy Hasanowi.

– Zaczynajmy – powiedział Hasan.

Był ubrany w czarne kalosze, spłowiałe sztruksy i gruby sweter, na który nałożył jaskrawozielony *czapan*. W zalewającym mu twarz słońcu zauważyłem, że różowa blizna nad wargą świetnie się zagoiła.

Ni stąd, ni zowąd wzięła mnie chęć, by się wycofać. Zabrać wszystko i wrócić do domu. Co ja sobie wyobrażałem? Dlaczego poddałem się tej próbie, skoro wynik był wiadomy? *Baba* obserwował mnie z dachu. Czułem na sobie jego przeszywające spojrzenie niczym piekące promienie słońca. To się skończy gigantyczną, nawet na moją miarę, porażką.

– Nie chce mi się puszczać dzisiaj latawca – odezwałem się.

– Piękny dzień – rzucił Hasan.

Przestąpiłem z nogi na nogę. Próbowałem oderwać wzrok od dachu.

– Sam nie wiem. Może powinniśmy wrócić do domu.

I wtedy Hasan stanął przy mnie i cichym głosem wypowiedział słowa, które trochę mnie wystraszyły.

– Pamiętaj, Amir *agha*. Nie ma potwora, jest tylko piękny dzień.

Jak to możliwe, że czytał we mnie jak w otwartej księdze, podczas gdy ja w większości wypadków nie miałem pojęcia, co tłucze mi się po głowie? To ja chodziłem do szkoły, to ja umiałem czytać i pisać. Ja byłem bystrzakiem. Hasan nie potrafił przeczytać jednego słowa z elementarza, ale we mnie czytał doskonale. Budziło to pewien niepokój, ale również dodawało otuchy, że tuż obok jest ktoś, kto wie, czego człowiekowi potrzeba.

– Nie ma potwora – powtórzyłem, ku własnemu zdziwieniu trochę pokrzepiony.

– Nie ma potwora – rzekł z uśmiechem.

– Jesteś pewny?

Zamknął oczy. Kiwnął głową.

Spojrzałem na chłopaków, którzy biegali po ulicy, obrzucając się śnieżkami.

– Piękny dzień, co?

– Więc zaczynamy – powiedział.

Przyszło mi wtedy na myśl, że Hasan może wymyślił ten swój sen. Czy to możliwe? Raczej nie, uznałem. Nie był taki bystry. Nawet ja nie byłem taki bystry. Wymyślony czy prawdziwy, ten głupi sen rozwiał moje obawy. Może powinienem zdjąć koszulę, wskoczyć do jeziora. Czemu nie?

– No to jazda.

Hasan się rozpromienił.

– Dobra – przytaknął.

Podniósł nasz latawiec, czerwony z żółtymi brzegami i z charakterystyczną sygnaturą Sajfo tuż pod skrzyżowaniem listewek. Poślinił i uniósł palec, sprawdzając kierunek wiatru, po czym pobiegł pod wiatr – jeżeli puszczaliśmy latawca w lecie, co zdarzało się rzadko, uderzał sandałem o ziemię i patrzył, w którą stronę niesie się kurz. Odwijałem linkę

ze szpuli, aż Hasan zatrzymał się mniej więcej w odległości piętnastu metrów. Uniósł latawca wysoko nad głowę niczym olimpijczyk prezentujący złoty medal. Szarpnąłem dwa razy za sznurek, co było naszym umówionym znakiem, i Hasan wysłał latawca w powietrze.

Zawieszony między tatą a uczącymi w szkole mułłami wciąż nie wiedziałem, co myśleć o Bogu. Ale teraz, gdy napłynął mi na usta *ajat* z Koranu, zapamiętany z lekcji *dinijat*, wyrecytowałem go pod nosem. Wziąłem głęboki wdech, wypuściłem powietrze i pociągnąłem za linkę. Latawiec zaraz wystrzelił w niebo. Wydawał dźwięk przypominający trzepot skrzydeł papierowego ptaka. Hasan klasnął w dłonie, gwizdnął i wrócił do mnie biegiem. Podałem mu szpulę, przytrzymując sznurek, a Hasan szybko nawinął luźny kawałek.

Ze dwadzieścia pięć latawców już krążyło po niebie, wyglądały jak papierowe rekiny w poszukiwaniu ofiary. Nie minęła godzina, a było ich dwa razy tyle, czerwone, niebieskie i żółte, jedne szybowały po niebie, inne wirowały. Zimny wiatr rozwiewał mi włosy. Był idealny na puszczanie latawców, dość silny, by je unieść i ułatwić zataczanie łuków. Obok mnie stał Hasan i trzymał szpulę sznurka, od którego już krwawiły mu palce.

Niedługo potem zaczęło się podcinanie i pierwszy z pokonanych latawców wyrwał się spod kontroli. Kolejne zlatywały z nieba jak spadające gwiazdy ze wspaniałymi, falującymi ogonami, na całą okolicę spływała lawina nagród dla biegaczy. Już słyszałem ich krzyki i wrzaski, gdy pędzili ulicami. Ktoś wołał, że dwie przecznice dalej doszło do bójki.

Ciągle spoglądałem ukradkiem na ojca, który siedział z Rahimem Chanem na dachu, i zastanawiałem się, o czym myśli. Czy mi kibicuje, czy też w pewnej mierze cieszy się, obserwując moją porażkę? Tak to już jest, gdy puszcza się latawca: myśli płyną razem z nim.

Wszędzie wokół opadały latawce, a mój nadal się unosił. Wciąż byłem w grze. Co rusz zerkałem na ojca zakutanego w wełniany sweter. Czy *baba* był zdziwiony, że wytrwałem tak długo? Jeśli będziesz odrywał wzrok od nieba, długo się nie utrzymasz, przebiegło mi przez głowę i natychmiast spojrzałem na niebo. Zbliżał się do mnie czerwony latawiec – zauważyłem go w samą porę. Po krótkich zmaganiach, gdy zniecierpliwiony próbował podciąć mnie od dołu, w końcu go pokonałem.

Zewsząd wracali triumfujący biegacze, trzymając w górze schwytane latawce. Chwalili się przed rodzicami i kolegami. Ale wszyscy wiedzieli, że najważniejsze jeszcze przed nimi. Główna nagroda wciąż unosiła się w powietrzu. Odciąłem jaskrawożółtego latawca ze spiralnym białym ogonem. Zapłaciłem za to kolejną raną na palcu wskazującym, tak głęboką, że krew ciekła mi po dłoni. Kazałem Hasanowi potrzymać sznurek. Wysysałem ranę i wycierałem palec o dżinsy, aż krew skrzepła.

W ciągu następnej godziny liczba ocalałych latawców skurczyła się z mniej więcej pięćdziesięciu do tuzina. Wśród nich był i mój. Znalazłem się w ostatniej dwunastce. Wiedziałem, że ta część turnieju potrwa jakiś czas, ponieważ ci, co wytrwali do końca, byli dobrymi zawodnikami – nie dawali się tak łatwo zwieść prostymi manewrami, na przykład starą sztuczką „wzlot i nura”, jedną z ulubionych Hasana.

Koło trzeciej po południu napłynęły chmury i przysłoniły słońce. Cienie zaczęły się wydłużać. Siedzący na dachach widzowie opatulili się w szale i ciepłe palta. Zostało nas sześciu, wciąż byłem w grze. Rozbolały mnie nogi, zesztywniała mi szyja. Każdy pokonany latawiec sprawiał, że nadzieja rosła w moim sercu niczym śnieg zbierający się na murze płatek za płatkiem.

Nieustannie śledziłem wzrokiem niebieskiego latawca, który przez ostatnią godzinę siał spustoszenie.

– Ile odciął? – zapytałem.

– Doliczyłem się jedenastu – powiedział Hasan.

– Wiesz, czyj to latawiec?

Hasan cmoknął językiem i wysunął brodę. To był charakterystyczny dla niego gest, który oznaczał: nie mam pojęcia. Niebieski latawiec odciął dużego czerwonego i dwukrotnie zatoczył szerokie koło. Dziesięć minut później wyeliminował dwa następne i chmara biegaczy rzuciła się w pogoń.

Po półgodzinie zostały tylko cztery latawce. Wciąż byłem w grze. Czułem, że na pewno nie popełnię błędu, że sprzyja mi każdy podmuch wiatru. Nigdy dotąd nie miałem wrażenia, że aż tak panuję nad sytuacją, że dopisuje mi szczęście. To było upajające uczucie. Nie śmiałem zerknąć na dach. Nie śmiałem oderwać oczu od nieba. Musiałem być skupiony i sprytny. Po następnych piętnastu minutach to, co rankiem wydawało się żałosnym marzeniem, nagle stało się rzeczywistością: pozostałem tylko ja i ten drugi chłopiec. Mój latawiec i ten niebieski.

Atmosfera była napięta, podobnie jak pokryty szklaną masą sznurek, za który pociągałem pokrwawionymi rękami. Ludzie tupali, klaskali, gwizdali, wołali chórem: „*Beboresz! Beboresz!*”. Odetnij go! Odetnij! Przebiegło mi przez myśl, czy *baba* krzyczy razem z nimi. Dźwięki muzyki wdzierały się w uszy. Z dachów domów i przez otwarte drzwi niosły się zapachy potraw: *mantu* gotowane na parze, smażona *pakora.*

Ale ja słyszałem tylko jedno – i tylko to jedno chciałem słyszeć – pulsowanie krwi we własnej głowie. Widziałem tylko niebieskiego latawca. Czułem tylko zapach zwycięstwa. Zbawienia. Odkupienia. Jeśli *baba* się myli i Bóg istnieje, jak mówiono w szkole, to On pozwoli mi wygrać. Nie wiedziałem, o co walczy ten drugi chłopiec, może po prostu o prawo do chwalenia się. Ale ja miałem jedyną szansę, by być kimś, na kogo się patrzy, a nie tylko się go widzi, kogo się słucha, a nie tylko słyszy. Jeśli Bóg

istnieje, to pokieruje wiatrem, każe mu dmuchnąć tak, żeby wraz z pociągnięciem za sznurek uleciał ze mnie wszystek ból, cała tęsknota. Tyle zniosłem, tak daleko zaszedłem. I nagle, ot tak, nadzieja przemieniła się w pewność. Wygram. To jedynie kwestia czasu.

Okazało się, że nie musiałem długo czekać. Podmuch wiatru podniósł mojego latawca i wykorzystałem okazję. Popuściłem sznurek, uleciałem w górę. Obróciłem latawcem tak, żeby znalazł się nad niebieskim. Utrzymywałem pozycję. Niebieski latawiec zorientował się, że jest w opałach. Rozpaczliwie próbował się wymknąć, ale mu nie pozwalałem. Utrzymywałem pozycję. Tłum widzów wyczuł, że zbliża się koniec. Krzyczał coraz głośniej: „Odetnij go! Odetnij!”, niczym Rzymianie nakłaniający gladiatorów do zadania śmiertelnego ciosu.

– Już blisko, Amir *agha*. Już blisko – wysapał Hasan.

I nadeszła ta chwila. Zamknąłem oczy, lekko rozluźniłem dłoń. Pociągnięty wiatrem sznurek znowu przeciął mi skórę na palcach. A potem… Nie musiałem słyszeć wrzasku widzów, żeby się zorientować. Nie musiałem widzieć. Hasan krzyczał i obejmował mnie za szyję.

– Brawo! Brawo, Amir *agha!*

Otworzyłem oczy i zobaczyłem, że niebieski latawiec wiruje szaleńczo niczym koło, które odpadło od pędzącego samochodu. Mrugnąłem powiekami, spróbowałem coś powiedzieć. Nie zdołałem wydobyć głosu. Nagle wydało mi się, że krążę w powietrzu i z góry spoglądam na siebie. Czarna skórzana kurtka, czerwony szalik, spłowiałe dżinsy. Szczupły chłopiec o nieco ziemistej cerze, ciut za niski jak na dwunastolatka. Wąski w ramionach, jasnoorzechowe oczy trochę podkrążone. Wiatr rozwiewał mu jasnobrązowe włosy. Podniósł na mnie wzrok i uśmiechnęliśmy się do siebie.

Wtedy zacząłem krzyczeć. Wszystko mieniło się kolorami, rozbrzmiewało dźwiękami, było żywe i dobre. Wolną rękę zarzuciłem Hasanowi na szyję. Podskakiwaliśmy, śmiejąc się i płacząc.

– Wygrałeś, Amir *agha!* Wygrałeś!

– Wygraliśmy! My wygraliśmy! – Tyle tylko zdołałem wykrztusić.

To nie działo się naprawdę. Za chwilę mrugnę i obudzę się z tego pięknego snu, wstanę z łóżka i zejdę na dół do kuchni na śniadanie, nie mając nikogo, z kim mógłbym porozmawiać, prócz Hasana. Ubiorę się. Będę czekał na ojca i się go nie doczekam. Wrócę do dawnego życia. I nagle zobaczyłem tatę na dachu naszego domu. Stał przy krawędzi, waląc pięściami w powietrze. Wydawał okrzyki i klaskał w dłonie. To była najwspanialsza chwila w moim dwunastoletnim życiu – *baba* był wreszcie dumny ze mnie.

Zrobił jakiś gest, machnął niecierpliwie rękami. Zrozumiałem go.

– Hasan, musimy…

– Wiem. – Wypuścił mnie z objęć. – *Enszallah*, potem będziemy świętować. Teraz muszę przynieść ci tego niebieskiego latawca.

Rzucił szpulę i puścił się biegiem, zamiatając śnieg skrajem zielonego kaftana.

– Hasan! – zawołałem. – Złap go!

Już skręcał za róg, wzbijając gumiakami śnieg. Przystanął i się odwrócił. Przyłożył dłonie do ust.

– Dla ciebie tysiąc razy! – zawołał.

Uśmiechnąwszy się, jak tylko on potrafił, zniknął za rogiem. Ten sam nieskrępowany uśmiech na jego twarzy zobaczyłem ponownie dwadzieścia sześć lat później na wyblakłym zdjęciu zrobionym polaroidem.

Ściągałem swojego latawca, a zewsząd nadbiegali ludzie z gratulacjami. Podawałem im rękę, dziękowałem. Maluchy patrzyły na mnie z błyskiem

podziwu w oczach; byłem bohaterem. Klepano mnie po plecach, mierzwiono mi włosy. Ciągnąłem za sznurek i odwzajemniałem uśmiechy, ale cały czas myślałem o niebieskim latawcu.

Wreszcie miałem w rękach swojego latawca. Nawinąłem na szpulę leżące przy nogach zwoje sznurka, uścisnąłem jeszcze kilka dłoni i śmignąłem do domu. Gdy znalazłem się przy bramie z kutego żelaza, Ali już czekał na mnie po drugiej stronie. Wsadził rękę między pręty.

– Gratuluję – powiedział.

Podałem mu latawca i szpulę, uścisnąłem mu dłoń.

– *Taszakkor,* Ali *dżan.*

– Cały czas modliłem się za was.

– Módl się dalej. Jeszcze nie skończyliśmy.

Wróciłem szybko na ulicę. Nie zapytałem Alego o tatę. Teraz jeszcze nie chciałem go widzieć. Wszystko sobie ułożyłem. Zrobię efektowne wejście, jak przystało na bohatera, z cennym trofeum w zakrwawionych rękach. Wszyscy zwrócą ku mnie głowy, wbiją we mnie wzrok. Atmosfera jak ze sceny, gdy Rostam i Sohrab mierzą się wzrokiem. Dramatyczna chwila ciszy. Wtedy stary wojownik podejdzie do młodego i weźmie go w ramiona, uznając jego przymioty. Docenienie. Zbawienie. Odkupienie. A potem? Wiadomo – żyli długo i szczęśliwie. Jakżeby inaczej.

Ulice Wazir Akbar Chan były numerowane i przecinały się pod kątem prostym, tworząc kratownicę. Była to nowa dzielnica, wciąż się rozrastała, domy w budowie i puste posesje znajdowały się przy każdej ulicy, między posiadłościami otoczonymi dwuipółmetrowym murem. Biegłem przez kolejne ulice, szukając Hasana. Wszędzie widziałem ludzi, którzy składali krzesełka, pakowali jedzenie i naczynia po długim dniu imprezowania. Niektórzy nadal siedzieli na dachach i wykrzykiwali do mnie słowa gratulacji.

Cztery przecznice na południe za naszą ulicą zobaczyłem Omara – syna inżyniera zaprzyjaźnionego z moim ojcem – który razem z bratem ćwiczył dryblowanie na trawniku przed swoim domem. Chłopak był w porządku. Chodziliśmy razem do czwartej klasy i kiedyś dał mi pióro wieczne, takie z wymiennym wkładem.

– Słyszałem, że wygrałeś. Moje gratulacje – odezwał się.

– Dzięki. Widziałeś Hasana?

– Twojego Hazarę?

Przytaknąłem.

Omar zagłówkował do brata.

– Podobno świetnie łapie latawce.

Tamten też odbił głową. Omar przejął podanie i podrzucił piłkę.

– Zawsze się zastanawiałem, jak on to robi? Czy można cokolwiek widzieć takimi małymi, wąskimi oczami?

Jego brat parsknął krótkim śmiechem i zawołał, że czeka na piłkę. Omar nie zareagował na ten okrzyk.

– Widziałeś go? – powtórzyłem.

Omar wskazał kciukiem za ramię, na południowy zachód.

– Parę minut temu biegł w stronę bazaru.

Podziękowałem i pognałem dalej. Gdy znalazłem się na bazarze, zmierzchające słońce prawie schowało się za wzgórzami, pokrywając niebo różem i fioletem. Kilka przecznic dalej mułła wyśpiewywał donośnie *azan* z meczetu Hadżi Jaghub, wzywając wiernych do rozłożenia dywaników, zwrócenia się na zachód i pochylenia głów w modlitwie. Hasan nigdy nie opuścił ani jednej z pięciu codziennych modlitw. Nawet gdy bawiliśmy się na dworze, przepraszał, że musi odejść, wyciągał wodę ze studni w ogrodzie, mył się i znikał w chacie. Po kilku minutach wychodził stamtąd

uśmiechnięty i zaczynał mnie szukać, a ja czekałem na niego, siedząc pod murem albo na drzewie. Ale tego wieczoru miał pominąć modlitwę z mojego powodu.

Bazar szybko pustoszał, kupcy kończyli całodniowe targi. Biegłem po błocie między rzędami straganów stojących ciasno obok siebie, gdzie w jednym można było kupić świeżo zabitego bażanta, a krok dalej – kalkulator. Lawirowałem w rzednącym tłumie, pośród kulawych żebraków w łachmanach, przekupniów niosących na ramionach dywaniki, handlarzy materiałami i rzeźników, którzy zamykali swoje kramy. Nigdzie nie dostrzegłem Hasana.

Stanąłem przy straganie z suszonymi owocami i opisałem wygląd Hasana staremu kupcowi, który ładował na muła skrzynki z orzeszkami piniowymi i rodzynkami. Starzec miał na głowie jasnoniebieski turban.

Przerwał pracę i dłuższą chwilę przyglądał mi się, nim odpowiedział:

– Chyba go widziałem.

– Którędy poszedł?

Zmierzył mnie wzrokiem od stóp do głów.

– Dlaczego taki chłopiec jak ty szuka tu o tej porze jakiegoś Hazary?

Z podziwem spojrzał na moją skórzaną kurtkę i dżinsy – nazywaliśmy je kowbojskimi portkami. Posiadanie czegokolwiek amerykańskiego, zwłaszcza jeśli nie była to rzecz używana, stanowiło w Afganistanie oznakę zamożności.

– Muszę go znaleźć, *agha*.

– Kim on jest dla ciebie?

Nie rozumiałem, dlaczego o to pyta, ale powiedziałem sobie, że jeśli będę się niecierpliwił, na pewno nie uzyskam odpowiedzi szybciej.

– To syn naszego służącego.

Starzec uniósł siwą brew.

– Ach tak? Szczęściarz z tego Hazary, że ma takiego troskliwego pana. Jego ojciec powinien paść na kolana i rzęsami zmiatać pył sprzed twoich stóp.

– Powie mi pan czy nie?

Oparł się łokciem o grzbiet muła i wskazał na południe.

– Chyba widziałem podobnego chłopca, jak biegł w tamtą stronę. Z latawcem w rękach. Niebieskim.

– Naprawdę?

„Dla ciebie tysiąc razy”, jak powiedział. Dobry chłopak z tego Hasana. Dobry, niezawodny chłopak. Dotrzymał słowa i złapał dla mnie tego ostatniego latawca.

– Naturalnie teraz zapewne już go dogonili – dodał kupiec, stękając i ładując kolejną skrzynkę na grzbiet muła.

– Kto taki?

– Jacyś chłopcy. Gonili go. Byli ubrani jak ty. – Spojrzał na niebo i westchnął. – Zmykaj już. Przez ciebie nie zdążę na *namaz*.

Puściłem się biegiem.

Przez kilka minut przeczesywałem bezskutecznie bazar. Może staruszka zawiódł wzrok. Ale przecież widział niebieskiego latawca. Myśl, że będę miał go w rękach… Zaglądałem w każdy zaułek, do każdego sklepiku. Ani śladu Hasana.

Zacząłem się martwić, że nie odszukam go przed zmrokiem, i wtedy usłyszałem głosy dochodzące gdzieś z przodu. Znajdowałem się na błotnistej drodze na uboczu, która krzyżowała się z główną alejką biegnącą przez środek bazaru, na jej końcu. Skręciłem na wyboistą ścieżkę i podążyłem za głosami. Przy każdym moim kroku słychać było kląskanie butów po błocie, z ust uchodziły mi obłoki pary. Wąska ścieżka ciągnęła się

równolegle do zaśnieżonego wąwozu, którym wiosną zapewne płynął bystry potok. Po drugiej stronie stały rzędy pokrytych śniegiem cyprysów, a między nimi gliniane domy o płaskich dachach – w większości właściwie lepianki oddzielone wąskimi zaułkami.

Znów usłyszałem głosy, tym razem donośniejsze, dobiegające z głębi zaułka. Podszedłem cicho do wylotu, wstrzymałem oddech i wyjrzałem za róg. Zobaczyłem Hasana na końcu ślepej uliczki. Stał w postawie bojowej, na lekko rozstawionych nogach, z zaciśniętymi pięściami. Za nim, na stercie śmieci i gruzu leżał niebieski latawiec. Mój klucz do serca taty.

Wyjście z alejki uniemożliwiali Hasanowi trzej chłopcy, ci sami, którzy dopadli nas tamtego dnia na wzgórzu, dzień po zamachu stanu dokonanym przez Dauda Chana, gdy uratował nas Hasan ze swoją procą. Wali stał z jednej strony, Kamal – z drugiej, w środku – Asef. Czułem, że cały się napinam i zimny dreszcz przebiega mi po plecach. Asef wydawał się rozluźniony, pewny siebie. Wymachiwał kastetem. Pozostali dwaj przestępowali nerwowo z nogi na nogę, wodząc wzrokiem od Asefa do Hasana, jakby osaczyli jakieś dzikie zwierzę, które tylko Asef zdoła poskromić.

– Gdzie masz procę, Hazaro? – zapytał Asef, obracając w dłoni kastet. – Co ty wtedy powiedziałeś? „Będą cię nazywać Jednookim”. No właśnie. Jednookim. Sprytne. Bardzo sprytne. Łatwo jednak wykazać się sprytem, gdy się trzyma naładowaną broń.

Uzmysłowiłem sobie, że przez ten czas nie wypuściłem z płuc powietrza. Zrobiłem wydech – cicho i powoli. Stałem zdrętwiały. Patrzyłem, jak podchodzą coraz bliżej do chłopca, z którym dorastałem, którego twarz z zajęczą wargą była moim najwcześniejszym wspomnieniem.

– Dzisiaj masz jednak szczęście, Hazaro – mówił dalej Asef. Stał tyłem do mnie, ale mógłbym się założyć, że szczerzył zęby w uśmiechu. – Jestem skłonny ci wybaczyć. Co wy na to, chłopaki?

– To wspaniałomyślne – wyrwało się Kamalowi. – Zwłaszcza że ostatnio był wobec nas taki niegrzeczny.

Starał się mówić takim samym tonem jak Asef, ale nie potrafił opanować drżenia w głosie. I nagle zrozumiałem, że on ani trochę nie boi się Hasana – jest w strachu, bo nie wie, co Asef ma na myśli.

– *Bachszida*. Zostało mu wybaczone. Po sprawie. – Asef machnął lekceważąco ręką, po czym dodał ciszej: – Oczywiście nie ma nic za darmo na tym świecie i moja wielkoduszność co nieco kosztuje.

– To zrozumiałe – poparł go Kamal.

– Nie ma nic za darmo – powtórzył Wali.

– Szczęściarz z ciebie – powiedział Asef, robiąc krok w stronę Hasana. – Dzisiaj będzie cię to kosztować tylko tego niebieskiego latawca. Uczciwa cena, prawda, chłopaki?

– Więcej niż uczciwa – oświadczył Kamal.

Nawet z odległości dostrzegłem błysk strachu w oczach Hasana, ale mimo to potrząsnął głową.

– Amir *agha* wygrał turniej. Złapałem tego latawca dla niego. Zrobiłem to czysto. Latawiec należy do Amira.

– Wierny Hazara. Jak pies – rzekł Asef.

Kamal parsknął piskliwym, nerwowym śmiechem.

– Zanim poświęcisz się dla niego, zadaj sobie pytanie: czy on zrobiłby to samo dla ciebie? Zastanawiałeś się, dlaczego nie zależy mu na twoim towarzystwie przy gościach? Dlaczego bawi się z tobą, gdy nie ma nikogo w pobliżu? Wyjaśnię ci, Hazaro. Bo dla niego jesteś tylko brzydkim

zwierzakiem domowym. Dostarczasz mu rozrywki, gdy się nudzi. Może cię kopnąć, gdy jest zły. Nie łudź się, że znaczysz dla niego coś więcej.

– Jesteśmy przyjaciółmi – powiedział Hasan, czerwieniąc się.

– Przyjaciółmi? – Asef się zaśmiał. – Ty żałosny głupcze! Któregoś dnia ockniesz się i zobaczysz, jaki z niego przyjaciel. A teraz *bas!* Dość tego. Dawaj latawca.

Hasan szybkim ruchem podniósł z ziemi kamień.

Asef wykrzywił twarz. Już miał zrobić krok w tył, ale zatrzymał się, mówiąc:

– Masz ostatnią szansę, Hazaro.

W odpowiedzi Hasan podniósł rękę, w której trzymał kamień.

– Jak sobie życzysz – powiedział Asef.

Odpiął guziki zimowej kurtki, zdjął ją, złożył powoli i z namysłem, po czym umieścił pod ścianą domu.

Otworzyłem usta i mało brakowało, a bym się odezwał. Mało brakowało. Gdybym to zrobił, moje życie potoczyłoby się inaczej. Ale tak nie postąpiłem. Tylko stałem i patrzyłem. Skamieniały.

Na znak Asefa tamci dwaj przesunęli się na boki, stając półkolem i zagradzając Hasanowi drogę.

– Zmieniłem zdanie – oznajmił Asef. – Możesz zatrzymać tego latawca, Hazaro. Będzie ci zawsze przypominał o tym, co zaraz zrobię.

Rzucił się do przodu. Hasan cisnął kamień prosto w jego czoło. Asef krzyknął z bólu, dopadł Hasana i przewrócił go na ziemię. Wali i Kamal skoczyli za Asefem.

Zacisnąłem zęby na pięści. Zamknąłem oczy.

*

Wspomnienie:

*Wiedziałeś, że Hasan i ty ssaliście tę samą pierś? Wiedziałeś o tym, Amir a*gha*? Kobieta miała na imię Sakina. Była jasnowłosą, niebieskooką Hazarką z Bamijanu i śpiewała wam stare weselne pieśni. Podobno ludzi wykarmionych przez tę samą mamkę łączy braterska więź. Wiedziałeś o tym?*

Wspomnienie:

„Rupia od każdego, chłopcy. Dajcie tylko po jednej rupii, a odsłonię przed wami prawdę". Stary człowiek siedzi pod glinianym murem. Jego niewidzące oczy wyglądają jak lane srebro osadzone w głębokich bliźniaczych kraterach. Zgarbiony nad laską wróżbita przesuwa sękate palce po swoich zapadniętych policzkach. Wyciąga do nas rękę złożoną w miseczkę. „Rupia od każdego to chyba niewiele za prawdę, co?". Hasan kładzie monetę na szorstkiej dłoni. Dokładam drugą. „W imię Allaha najbardziej wspaniałomyślnego i miłosiernego" – szepcze leciwy wróżbita. Ujmuje za rękę najpierw Hasana, gładzi jego dłoń paznokciem podobnym do rogu, wodzi paznokciem w koło, raz, drugi, trzeci. Potem palec podnosi się do twarzy Hasana i z suchym szelestem śledzi zaokrąglenie policzków i kontur uszu. Zgrubiałe poduszki palców dotykają oczu Hasana. Ręka się zatrzymuje. Nieruchomieje. Po twarzy starca przemyka cień. Wymieniamy z Hasanem spojrzenia. Wróżbita bierze Hasana za rękę i oddaje mu rupię. Odwraca się do mnie. „A ty, młody przyjacielu?" – mówi. Za murem pieje kogut. Starzec chce wziąć mnie za rękę, ale ją cofam.

Sen:

Gubię drogę podczas śnieżycy. Wyje wiatr, sypie kłującym śniegiem w oczy. Zataczając się, brnę przez pokłady ruchomej bieli. Wołam pomocy, ale wichura zagłusza moje krzyki. Upadam i leżę w puchu, ciężko oddychając, zagubiony w białości, słysząc zawodzenie wiatru. Patrzę, jak

śnieg zasypuje odciski moich butów. Stałem się duchem, myślę, duchem, który nie pozostawia śladów. Znowu wołam, nadzieja znika jak ślady moich stóp. Tym razem słyszę jednak stłumiony odzew. Osłaniam oczy i z trudem siadam. Między kołyszącymi się zasłonami śniegu widzę jakiś ruch, coś kolorowego. Wyłania się znajoma postać. Wyciąga do mnie rękę. Widzę głębokie nacięcia na dłoni, jedno przy drugim, skapująca krew plami śnieg. Ujmuję tę dłoń i nagle śnieg znika. Stoimy na łące porośniętej zieloną trawą, nad nami przepływają smużki chmur. Podnoszę głowę i widzę na czystym niebie mnóstwo latawców, zielonych, żółtych, czerwonych, pomarańczowych. Migoczą w popołudniowym słońcu.

*

Zaułek był pełen śmieci i gruzu. Zdarte opony rowerowe, butelki bez nalepek, podarte czasopisma, pożółkłe gazety – to wszystko walało się wśród cegieł i płyt cementowych. Zardzewiały żeliwny piecyk z dziurą na boku stał pod murem. Na tym wysypisku znajdowały się dwie rzeczy, od których nie mogłem oderwać oczu: niebieski latawiec oparty o ścianę przy żeliwnym piecyku i brązowe sztruksy Hasana rzucone na stertę popękanych cegieł.

– Sam nie wiem – odezwał się Wali. – Mój tato uważa, że to grzech.

Mówił niepewnym głosem, zarazem podnieconym i wystraszonym. Hasan leżał przyciśnięty twarzą do ziemi. Kamal i Wali trzymali go za ręce, zgięte w łokciach i wykręcone do tyłu. Asef stał nad nimi, obcasem śniegowca przygniatając kark Hasanowi.

– Twój tato się nie dowie – odparł Asef. – Poza tym nie jest grzechem dać nauczkę aroganckiemu osłowi.

– Sam nie wiem – wymamrotał Wali.

– Jak chcesz – rzekł Asef i zwrócił się do Kamala: – A ty?

– Ja… no więc…

– To tylko Hazara – powiedział Asef.

Kamal patrzył jednak w bok.

– No dobra, mięczaki – warknął Asef. – Chcę, żebyście go trzymali. Podołacie?

Kiwnęli głowami. Wyglądało na to, że odetchnęli z ulgą.

Asef uklęknął za Hasanem, chwycił go za biodra i uniósł jego gołe pośladki. Jedną ręką przytrzymał Hasana, a drugą rozpiął sprzączkę swojego paska i suwak dżinsów. Ściągnął bieliznę. Ustawił się za Hasanem. Hasan się nie szamotał. Ani razu nie jęknął. Gdy odrobinę przechylił głowę, mignęła mi jego twarz. Zobaczyłem w niej rezygnację. Ten sam wyraz widziałem wcześniej. W oczach jagnięcia.

*

Jutro jest dziesiąty dzień zelhedża, *ostatniego miesiąca w kalendarzu muzułmańskim, i pierwszy z trzech dni Eid al-Adha – Afgańczycy mówią: Eid-e Ghorban – upamiętniający gotowość proroka Ibrahima do złożenia w ofierze Bogu swego własnego syna. Tego roku b*aba *znowu sam wybrał jagnię, białe jak mąka, z zagiętymi czarnymi uszami.*

Wszyscy stoimy w ogrodzie: Hasan, Ali, baba *i ja. Mułła recytuje modlitwę, gładzi się po brodzie.* Baba *mamrocze pod nosem: „Skończże wreszcie”. Chyba jest poirytowany długimi modłami i ceremonią, po której mięso będzie* halal. *Tato natrząsa się z opowieści leżącej u podstaw tego święta, tak jak natrząsa się ze wszystkiego, co ma związek z religią. Ale z szacunkiem podtrzymuje tradycję Eid-e Ghorban. Wedle zwyczaju dzieli się mięso na trzy części: dla rodziny, dla przyjaciół i dla biednych. Co roku tato oddaje wszystko biednym. Bogacze już się utuczyli, mówi.*

Mułła kończy modły. Ameeen. Bierze nóż kuchenny z długim ostrzem. Zwyczaj nakazuje nie pokazywać noża jagnięciu. Ali podtyka mu kostkę cukru – kolejny zwyczaj – żeby osłodzić śmierć. Jagnię kopie, ale tylko trochę. Mułła chwyta je od dołu za szczękę i przykłada ostrze do szyi. Przez ułamek sekundy, tuż zanim fachowym ruchem poderżnie mu gardło, widzę oczy jagnięcia. Wyraz tych oczu będzie mnie dręczył w snach wiele tygodni. Nie wiem, dlaczego uczestniczę w tej corocznej ceremonii w naszym ogrodzie; nocne koszmary prześladują mnie długo po tym, jak znikną plamy krwi na trawniku. Chcę brać w niej udział. Chcę zobaczyć w oczach jagnięcia to pogodzenie się z losem. Towarzyszy mi absurdalna myśl, że zwierzę rozumie, o co chodzi. Wydaje mi się, że pojmuje, iż jego rychły zgon służy wyższemu celowi. Taki wyraz oczu…

*

Przestałem się przyglądać. Odwróciłem się. Poczułem, że coś ciepłego spływa mi po ręce. Mrugnąłem powiekami, uprzytomniłem sobie, że nadal przygryzam pięść, zaciskam na niej zęby tak mocno, że krwawią mi kostki palców. Uprzytomniłem sobie coś jeszcze: że płaczę. Zza rogu słyszałem szybkie, miarowe sapanie Asefa.

Musiałem wreszcie podjąć decyzję. Miałem ostatnią szansę zadecydować, jakim będę człowiekiem. Mogłem wejść do zaułka, stanąć w obronie Hasana – tak jak on tyle już razy bronił mnie – i pogodzić się z tym, co mnie spotka. Albo mogłem uciec.

Uciekłem.

Uciekłem, bo stchórzyłem. Bałem się Asefa. Bałem się, co mi zrobi. Że mnie pobije. Tak to sobie tłumaczyłem, odwracając się tyłem do uliczki i do Hasana. Kazałem sobie w to uwierzyć. W istocie chciałem być tchórzem, gdyż w przeciwnym razie musiałbym przyznać, że prawdziwym powodem

mojej ucieczki było to, iż Asef miał rację. Nie ma nic za darmo na tym świecie. Może Hasan był ceną, jaką musiałem zapłacić, jagnięciem, które musiałem zabić, żeby pozyskać ojca. Czy to uczciwa cena? Odpowiedź dotarła do mojej świadomości, zanim ją zdusiłem. Przecież on jest tylko Hazarą, prawda?

Biegiem pokonałem drogę z powrotem do niemal opustoszałego bazaru. Na chwiejnych nogach dopadłem jakiegoś kramu i oparłem się o wahadłowe drzwi zamknięte na kłódkę. Stałem tam zasapany i spocony, żałując, że sprawy nie potoczyły się inaczej.

Po jakichś piętnastu minutach usłyszałem głosy i tupot nóg. Przykucnąłem za kramem i patrzyłem, jak Asef z chłopakami, zaśmiewając się, biegną wyludnioną alejką. Odczekałem jeszcze dziesięć minut. Potem wróciłem na wyboistą ścieżkę prowadzącą nad zaśnieżonym wąwozem. Przymrużywszy oczy w mroku, dostrzegłem Hasana, który wolno szedł w moją stronę. Spotkaliśmy się przy bezlistnej brzozie na skraju wąwozu.

Trzymał w rękach niebieskiego latawca – to była pierwsza rzecz, jaką zauważyłem. Nie chcę teraz kłamać, mówiąc, że nie zerknąłem na papier, szukając rozdarć. *Czapan* Hasana był z przodu zabłocony, koszula rozdarta pod samym kołnierzykiem. Hasan przystanął. Zachwiał się, jakby miał upaść, ale odzyskał równowagę. Podał mi latawca.

– Gdzie byłeś? Szukałem cię. – Wypowiedziałem te słowa, jakbym miał w ustach kamień.

Hasan przejechał rękawem po twarzy, wycierając gile i łzy. Czekałem, aż coś powie. Staliśmy w milczeniu, a dokoła robiło się coraz ciemniej. Byłem zadowolony, że wczesnowieczorny mrok kładł się na jego twarzy i zasłaniał moją. Cieszyłem się, że nie muszę odpowiadać na jego spojrzenie. Czy wiedział, że wiem? A jeśli wiedział, to co bym zobaczył, gdybym jednak spojrzał mu w oczy? Zarzut? Oburzenie? Albo, nie daj

Boże, to, czego obawiałem się najbardziej: szczere oddanie? Przede wszystkim tego nie mógłbym znieść.

Zaczął coś mówić, ale załamał mu się głos. Zamknął usta, otworzył i znowu zamknął. Zrobił krok w tył. Otarł twarz. Tylko tyle zostało powiedziane o tym, co się wydarzyło w tamtej uliczce. Myślałem, że Hasan wybuchnie płaczem. Odetchnąłem z ulgą, gdy tak się nie stało, i udałem, że nie zwracam uwagi na to, iż nie może dobyć głosu. Udałem również, że nie widzę ciemnej plamy na siedzeniu jego spodni. Ani kropelek, które skapują mu między nogami i zostawiają czarne ślady na śniegu.

– *Agha saheb* będzie się martwił – wykrztusił i poszedł dalej, utykając.

*

Było tak, jak sobie wyobraziłem. Otworzyłem drzwi do zadymionego gabinetu i wszedłem do środka. *Baba* popijał herbatę z Rahimem Chanem i razem słuchali wiadomości z trzeszczącego radia. Odwrócili głowy. Usta ojca rozchyliły się w lekkim uśmiechu. Wyciągnął grube, owłosione ręce. Odłożyłem latawca, zrobiłem kilka kroków i znalazłem się w jego objęciach. Przytuliłem twarz do ciepłej piersi i wybuchnąłem płaczem. *Baba* przygarnął mnie, zaczął kołysać. W jego ramionach zapomniałem o swoim uczynku. I poczułem się dobrze.

8

Przez następny tydzień prawie nie widywałem Hasana. Rano szedłem do kuchni i na stole już były grzanka, ugotowane jajko i zaparzona herbata. Świeże ubranie, uprasowane i złożone, leżało na krześle z wyplatanym siedzeniem, w przedpokoju, gdzie Hasan zazwyczaj robił prasowanie. Do tej pory zaczynał prasować, gdy usiadłem do śniadania – wtedy mogliśmy porozmawiać. Machając syczącym żelazkiem, śpiewał stare hazarskie piosenki o polach tulipanów. Teraz czekała na mnie złożona w kostkę garderoba. I śniadanie, którego zacząłem nie dojadać.

Pewnego pochmurnego poranka, gdy siedząc przy stole, jeździłem jajkiem po talerzu, do kuchni wszedł Ali z naręczem porąbanego drewna. Zapytałem go, gdzie jest Hasan.

– Położył się z powrotem do łóżka – powiedział Ali, klękając przed piecykiem i otwierając kwadratowe drzwiczki.

– Będzie mógł się dzisiaj pobawić?

Ali odwrócił się, trzymając w ręku kawałek drewna. Po jego twarzy przemknęło zafrasowanie.

– Zdaje się, że ostatnio chce tylko spać. Wypełnia swoje obowiązki, dopilnowuję tego, a potem wchodzi pod koc. Mogę cię o coś prosić?

– Skoro musisz.

– Po turnieju latawcowym wrócił do domu trochę zakrwawiony, miał rozdartą koszulę. Gdy go zapytałem, co się stało, powiedział, że to nic wielkiego, że wdał się z chłopakami w bójkę o latawca.

Nie odezwałem się. Suwałem jajko po talerzu.

– Czy coś mu się stało, Amir *agha?* Czy coś przemilczał?

Wzruszyłem ramionami.

– Skąd mam wiedzieć?

– Powiedziałbyś mi, prawda? *Enszallah*, powiedziałbyś mi, gdyby coś się stało?

– Jeszcze raz ci mówię: skąd mam wiedzieć, co mu jest? – burknąłem. – Może zachorował? Ludziom ciągle coś dolega. Rozpalisz wreszcie w tym piecyku czy mam zamarznąć na śmierć?

*

Tego wieczoru zapytałem tatę, czy moglibyśmy pojechać w piątek do Dżalalabadu. Czytał gazetę, kiwając się na skórzanym fotelu obrotowym za biurkiem. Odłożył ją i zdjął okulary, których okropnie nie lubiłem – nie był stary, wcale nie, miał przed sobą wiele lat życia, więc dlaczego zakładał te głupie okulary?

– Czemu nie – odrzekł.

Ostatnio zgadzał się na wszystko, o co prosiłem. Co więcej, dwa dni wcześniej sam zapytał, czy mam ochotę zobaczyć *Cyda* z Charltonem Hestonem w kinie Arjana.

– Chcesz zaprosić Hasana na wycieczkę do Dżalalabadu? – dodał.

Dlaczego *baba* musiał wszystko zepsuć?

– Jest *mariz* – oświadczyłem. To znaczy: źle się czuje.

– Ach tak? – Tato przestał się kiwać. – Co mu jest?

Wzruszyłem ramionami i opadłem na kanapę przy kominku.

– Chyba się przeziębił czy coś. Ali mówi, że sen dobrze mu zrobi.

– Ostatnimi dniami rzadko widywałem Hasana – powiedział tato. – Tylko przeziębienie, tak?

Nie mogłem znieść widoku ściągniętych z niepokoju brwi na jego twarzy.

– Przeziębienie. No to co? Wybierzemy się w piątek, *baba?*

– Tak, tak. – Odsunął się od biurka. – Szkoda, że Hasan nie może jechać. Sądziłem, że z nim byłoby ci przyjemniej.

– We dwóch też może nam być przyjemnie – zauważyłem.

Baba uśmiechnął się i dodał:

– Ubierz się ciepło.

*

Miało być nas dwóch – na tym mi zależało – ale do środy wieczorem *baba* zdążył już zaprosić ponad dwadzieścia osób. Zadzwonił do swojego kuzyna Homajuna – w istocie był on dalekim krewnym taty – i napomknął, że w piątek wybieramy się do Dżalalabadu, a Homajun, który ukończył studia inżynierskie we Francji i miał w Dżalalabadzie dom, powiedział, że z największą ochotą wszystkich ugości, przywiezie swoje dzieci i obie żony, a skoro o tym mowa, to kuzynka Szafigha razem z rodziną przyjeżdża z Heratu, więc może też chciałaby się zabrać, a ponieważ zatrzyma się w Kabulu u kuzyna Nadera, to jego rodzina również jest zaproszona, choć Homajun i Nader są trochę skłóceni, no i jeżeli zaprosiło się Nadera, niewątpliwie trzeba zaprosić jego brata Farugha, w przeciwnym razie Farugh może być urażony i nie zaprosi ich na wesele swojej córki w przyszłym miesiącu, ponadto…

Wypełniliśmy trzy mikrobusy. Razem ze mną jechali *baba*, Rahim Chan i *kaka* Homajun – w dzieciństwie *baba* kazał mi mówić do starszych panów *kaka*, czyli wujku, a do starszych pań *chala*, czyli ciociu. Do naszego busa *kaka* Homajun załadował również swoje żony – starsza miała wychudłą twarz i brodawki na rękach, a młodsza niezmiennie roztaczała woń perfum i tańczyła z zamkniętymi oczami – oraz córki bliźniaczki. Siedziałem z tyłu, wciśnięty między siedmioletnie dziewczynki, które cały czas machały przede mną rękami, próbując uderzyć jedna drugą. Kręciło mi się w głowie i było mi niedobrze. Jazda do Dżalalabadu zajmuje dwie godziny przez góry, krętymi drogami nad urwiskiem. Na każdym zakręcie o sto osiemdziesiąt stopni czułem, że żołądek podchodzi mi do gardła. Wszyscy gadali, głośno i jednocześnie, niemal wrzeszczeli – tak rozmawiają z sobą Afgańczycy. Poprosiłem jedną z bliźniaczek – może Fazilę, a może Karimę, nigdy ich nie odróżniałem – żeby ustąpiła mi miejsca przy oknie, bo mam nudności i potrzebuję świeżego powietrza. Ale ona pokazała mi język i odmówiła. Trudno, powiedziałem, ale niech mnie nie wini, gdy zwymiotuję na jej nową sukienkę. Chwilę później wystawiałem głowę przez okno. Patrzyłem, jak nasza wyboista droga wznosi się i opada, zawija się dokoła zbocza; liczyłem toczące się wolno ciężarówki, różnokolorowe, z siedzącymi w kucki mężczyznami na pace. Zamykałem oczy, wystawiałem twarz na podmuchy wiatru, otwierałem usta i połykałem świeże powietrze, ale nadal mnie mdliło. Poczułem szturchnięcie palcem w bok. Trąciła mnie albo Fazila, albo Karima.

– Co takiego? – zapytałem.

– Opowiadam wszystkim o turnieju – rzekł *baba*, który prowadził samochód.

Kaka Homajun i jego żony, siedzący w środkowym rzędzie, odwrócili się do mnie i uśmiechnęli.

– Po niebie latało ze sto latawców, prawda, Amirze? – mówił dalej *baba.*

– Chyba tak – wymamrotałem.

– Setka latawców, Homajun *dżan.* To nie *laf.* I ten jeden kołyszący się na niebie pod koniec dnia należał do Amira. W domu jest również ostatni, który został odcięty. Piękny niebieski latawiec. Złapali go razem Hasan z Amirem.

– Gratuluję – powiedział *kaka* Homajun.

Jego pierwsza żona, ta z brodawkami, klasnęła w dłonie, wołając:

– Ho, ho, Amirze *dżan.* Jesteśmy z ciebie bardzo dumni!

Młodsza żona również wyraziła uznanie. Wszyscy klaskali, wykrzykiwali pochwały, powtarzali, że jestem ich dumą. Tylko Rahim Chan, który siedział obok ojca, na miejscu dla pasażera, milczał i dziwnie mi się przyglądał.

– *Baba,* zatrzymaj się – wykrztusiłem.

– Dlaczego?

– Niedobrze mi.

Przechyliłem się przez siedzenie, napierając na córki wujka Homajuna.

– Stój, *kaka!* – zawołała, krzywiąc się, Fazila albo Karima. – On zzieleniał na twarzy. Nie chcę, żeby zwymiotował na moją nową sukienkę!

Tato zahamował, ale ja nie wytrzymałem. Parę minut później siedziałem na kamieniu przy drodze, a samochód się wietrzył. Tato i wujek Homajun palili papierosy. Wujek mówił Fazili albo Karimie, żeby nie płakała, że kupi jej nową sukienkę w Dżalalabadzie. Zamknąłem oczy i zwróciłem twarz do słońca. Pod powiekami tworzyły się jakieś kształty, jakby dłonie rzucające cienie na ścianę. Zwijały się, łączyły, aż zlały się w jeden obraz: brązowych sztruksów Hasana rzuconych na stos cegieł w zaułku.

*

Biały piętrowy dom wujka Homajuna w Dżalalabadzie miał balkon, z którego rozciągał się widok na duży, otoczony murem ogród z jabłoniami i persymonami. Były tam również żywopłoty, którym ogrodnik nadawał w lecie kształty zwierząt, i basen wyłożony szmaragdowozielonymi płytkami. Siedziałem na brzegu basenu pokrytego śnieżną breją, machając nogami. Dzieci wujka Homajuna bawiły się w chowanego na drugim końcu ogrodu. Kobiety zajmowały się gotowaniem; dolatywał mnie zapach smażonej cebuli; słyszałem puf, puf szybkowara, muzykę i śmiechy. *Baba*, Rahim Chan, *kaka* Homajun i *kaka* Nader siedzieli na balkonie i palili papierosy. *Kaka* Homajun mówił, że zabrał z sobą projektor, żeby zrobić pokaz slajdów z Francji. Minęło dziesięć lat od jego powrotu z Paryża, a on wciąż pokazywał te głupie slajdy.

Dziwne, że ogarnął mnie taki nastrój. Przecież wreszcie zostaliśmy z tatą przyjaciółmi. Kilka dni wcześniej odwiedziliśmy w zoo lwa Mardżana i gdy nikt nie patrzył, rzuciłem w niedźwiedzia kamieniem. Potem poszliśmy do kebabiarni Dadchoda naprzeciwko kina Park, zjedliśmy kebab jagnięcy z chlebem *nan* świeżo upieczonym w piecu *tandur*. Tato opowiadał mi o swoich podróżach do Indii i Rosji, o spotkanych tam ludziach: o pozbawionej rąk i nóg parze z Bombaju, która była małżeństwem od czterdziestu siedmiu lat i wychowała jedenaścioro dzieci. Spędzenie całego dnia z tatą i słuchanie jego historyjek powinno sprawiać mi przyjemność. Nareszcie miałem to, czego pragnąłem przez te wszystkie lata. Tylko że gdy już tak się stało, byłem pusty w środku jak ten zaniedbany basen, nad którym siedziałem, machając nogami.

O zachodzie słońca żony i córki podały obiad: ryż, *kofta* i *ghorma* z kurczaka. Jedliśmy w tradycyjny sposób, siedząc na poduszkach w grupkach po cztery, pięć osób, na podłodze leżał obrus, na nim stały

półmiski, z których braliśmy jedzenie palcami. Nie byłem głodny, ale usiadłem razem z tatą, wujkiem Farughem, wujkiem Homajunem i jego dwoma synami. Tato wypił przed obiadem kilka szklaneczek szkockiej i nadal rozprawiał o turnieju latawcowym, o tym, że wytrwałem najdłużej i przyniosłem do domu ostatniego latawca. Jego głos dudnił w całym pokoju. Krewni podnosili głowy znad półmisków, głośno gratulowali sukcesu. *Kaka* Farugh klepnął mnie czystą ręką po plecach. Miałem ochotę wbić sobie nóż w oko.

Potem *baba* grał przez kilka godzin w pokera z kuzynami. Było już dobrze po północy, gdy mężczyźni położyli się spać na materacach rozłożonych jeden przy drugim w pokoju, gdzie jedliśmy. Kobiety spały na piętrze. Przez godzinę nie mogłem zasnąć, wierciłem się i przewracałem z boku na bok, słysząc pomruki, westchnienia i chrapanie śpiących krewniaków. W końcu usiadłem na materacu. Światło księżyca wpadało do pokoju wąskim strumieniem.

– Patrzyłem, jak gwałcili Hasana – rzekłem, nie zwracając się do nikogo.

Tato poruszył się we śnie. Wujek Homajun stęknął. Coś we mnie chciało, żeby któryś z mężczyzn obudził się i usłyszał te słowa, a wtedy nie musiałbym dłużej żyć w kłamstwie. Nikt się jednak nie obudził i w ciszy, która nastała, zrozumiałem, na czym będzie polegało moje nowe przekleństwo: ujdzie mi to na sucho.

Przypomniałem sobie sen Hasana, ten o płynięciu przez jezioro. „Nie ma żadnego potwora – powiedział. – Jest tylko woda”. Ale co do tego się mylił. W jeziorze znajdował się potwór. Złapał Hasana za kostki i ściągnął na mętne dno. Tym potworem byłem ja.

Od tej nocy zaczęła dręczyć mnie bezsenność.

*

Nie miałem okazji rozmawiać z Hasanem do połowy następnego tygodnia. Tamtego dnia skubnąłem lunch, a Hasan w tym czasie zmywał naczynia. Szedłem do swojego pokoju na piętrze, gdy zapytał, czy chcę pójść na wzgórze. Powiedziałem, że jestem zmęczony. Też wyglądał na zmęczonego – schudł, miał opuchnięte, podkrążone oczy. Ale gdy zaproponował to jeszcze raz, zgodziłem się niechętnie.

Szliśmy na wzgórze, grzęznąc w rozmokłym śniegu. Żaden z nas się nie odzywał. Usiedliśmy pod naszym drzewem granatu i zrozumiałem, że popełniłem błąd. Nie należało tu przychodzić. Słowa, które wyryłem na pniu nożem kuchennym Alego: AMIR I HASAN, SUŁTANOWIE KABULU… Teraz nie mogłem na nie patrzeć.

Hasan chciał, żebym poczytał mu *Szahname*. Odparłem, że nie mam ochoty dłużej tu siedzieć i wracam do domu. Spojrzał w bok i wzruszył ramionami. W drodze powrotnej też szliśmy w milczeniu. Po raz pierwszy w życiu nie mogłem doczekać się wiosny.

*

Mgliście pamiętam, jak minęła reszta zimy 1975 roku. Byłem w miarę szczęśliwy, gdy tato przebywał w domu. Jedliśmy razem posiłki, chodziliśmy do kina albo w odwiedziny do wujka Homajuna czy wujka Farugha. Gdy czasami pojawiał się u nas Rahim Chan, *baba* pozwalał mi siedzieć z nimi przy herbacie w palarni. Nawet poprosił, żebym przeczytał mu parę swoich opowiadań. Było przyjemnie i miałem nadzieję, że tak już pozostanie. *Baba* chyba też tak sądził. Obaj powinniśmy byli mieć lepsze rozeznanie. Co najmniej przez kilka miesięcy po zawodach latawcowych żyliśmy w błogich złudzeniach, widywaliśmy się codziennie jak nigdy

dotąd. Zdołaliśmy wmówić sobie, że zabawka zrobiona z bibułki, kleju i bambusa w jakiś sposób zlikwiduje przepaść między nami.

Gdy *baba* przebywał poza domem – a wychodził często – przesiadywałem w swoim pokoju. Pochłaniałem książki, kilka na tydzień, pisałem opowiadania, uczyłem się rysować konia. Słyszałem, jak Hasan kręci się rano po kuchni, słyszałem brzęk sreber, gwizd czajnika. Nasłuchiwałem trzasku drzwi i dopiero wtedy schodziłem na śniadanie. W kalendarzu zakreśliłem pierwszy dzień szkoły i rozpocząłem odliczanie.

Z konsternacją zauważyłem, że Hasan stara się znów być ze mną w komitywie. Pamiętam jego ostatnią próbę zbliżenia się. Byłem w swoim pokoju i czytałem skrócone wydanie *Ivanhoe* w tłumaczeniu na dari, gdy Hasan zapukał do drzwi.

– Czego chcesz?

– Idę do piekarza po *nan* – odpowiedział zza drzwi. – Przyszło mi na myśl… czy nie chciałbyś pójść ze mną.

– Wolę poczytać.

Potarłem skronie. Ostatnio, gdy tylko zjawiał się Hasan, zaczynała boleć mnie głowa.

– Taki słoneczny dzień – dorzucił.

– Widzę.

– Miło będzie się przejść.

– To idź.

– Chciałbym, żebyś też poszedł. – Urwał. Coś uderzyło w drzwi, może stuknął czołem. – Nie wiem, co takiego zrobiłem, Amir *agha*. Mógłbyś mi powiedzieć? Nie wiem, dlaczego przestaliśmy się bawić.

– Nic nie zrobiłeś, Hasan. Idź już.

– Powiedz mi, to nie będę tego robił.

Wsadziłem głowę między kolana i ścisnąłem jak w imadle.

– Powiem ci, czego masz nie robić – rzekłem, zamykając mocno oczy.

– Zgadzam się na wszystko.

– Przestań mi się naprzykrzać. Idź sobie – burknąłem.

Chciałem, żeby się odciął, pchnął drzwi i nawrzeszczał na mnie – to by ułatwiło, poprawiło sytuację. Ale niczego takiego nie zrobił. Gdy po paru minutach otworzyłem drzwi, jego już nie było. Padłem na łóżko, przykryłem głowę poduszką i się rozpłakałem.

*

Potem Hasan egzystował gdzieś na obrzeżach mojego życia. Dbałem o to, żeby nasze drogi przecinały się jak najrzadziej, i odpowiednio planowałem swoje dni. Bo w jego obecności zaczynał uciekać tlen z pokoju. Ściskało mnie w klatce piersiowej i nie mogłem zaczerpnąć dość powietrza. Ciężko sapiąc, stałem we własnej dusznej bańce. Nawet gdy nie było go w pobliżu, czułem jego obecność – w ręcznie upranych, wyprasowanych ubraniach leżących na krześle z wyplatanym siedzeniem, w ciepłych kapciach postawionych pod drzwiami, w drewnie już palącym się w piecyku, gdy schodziłem na śniadanie. Gdziekolwiek się obróciłem, widziałem oznaki jego wierności, cholernej niezłomnej wierności.

Wczesną wiosną, na kilka dni przed początkiem nowego roku szkolnego sadziliśmy z tatą tulipany w ogrodzie. Śnieg właściwie już stopniał, a na wzgórzach otaczających miasto od północy pojawiły się połacie zielonej trawy. Był chłodny szary poranek. Przykucnięty obok mnie *baba* wzruszał ziemię i sadził cebulki, które mu podawałem. Akurat mówił, że wbrew powszechnej opinii wcale nie należy sadzić tulipanów jesienią, gdy raptem wyrwało mi się:

– *Baba*, myślałeś o najęciu nowych służących?

Upuścił cebulkę i wbił łopatkę w ziemię. Zdjął rękawice ogrodnicze. Był zaskoczony.

– *Czi?* Co takiego?

– Tylko się zastanawiałem.

– Dlaczego miałbym to zrobić? – rzucił szorstkim tonem.

– Pewnie nie masz powodu. Tak się spytałem. – Mówiłem coraz ciszej, w końcu niemal szeptem, żałując, że w ogóle o tym wspomniałem.

– Chodzi o ciebie i Hasana? Wiem, że coś się dzieje między wami, ale cokolwiek to jest, sami musicie sobie z tym poradzić. Mnie w to nie wciągaj.

– Przepraszam, *baba*.

Włożył z powrotem rękawice.

– Dorastałem razem z Alim – rzekł przez zaciśnięte zęby. – Mój ojciec przyjął go do domu, kochał jak własnego syna. Ali jest w naszej rodzinie czterdzieści lat. Czterdzieści lat, do cholery. A tobie przyszło do głowy, że mógłbym go ot tak wyrzucić? – Spojrzał na mnie, czerwony jak tulipan. – Nigdy nie tknąłem cię palcem, Amirze, ale jeśli jeszcze raz powiesz… – Odwrócił się, kręcąc głową. – Przynosisz mi wstyd. A Hasan… nigdzie nie pójdzie. Rozumiesz?

Spuściłem wzrok i podniosłem garść chłodnej ziemi. Zacząłem przesypywać ją między palcami.

– Pytam cię: rozumiesz? – zagrzmiał *baba*.

Wzdrygnąłem się.

– Tak, rozumiem.

– Hasan nigdzie nie pójdzie – powtórzył. Zrobił kolejny dołek, wbijając łopatkę mocniej, niż było trzeba. – Zostanie z nami, tu jest jego miejsce. Tu

ma swój dom, a my jesteśmy jego rodziną. Żebyś mi się nie ważył zadawać więcej tego pytania.

– Nie będę, *baba*. Przepraszam.

W milczeniu posadziliśmy resztę tulipanów.

Tydzień później z ulgą powitałem początek roku szkolnego. Uczniowie wyposażeni w nowe zeszyty i zatemperowane ołówki krążyli po dziedzińcu, wzbijając kurz, gawędząc w grupkach i czekając na gwizdek starosty klasowego. *Baba* zajechał alejką przed główne wejście. Szkoła mieściła się w starym piętrowym budynku z popękanymi szybami w oknach, mrocznymi brukowanymi przedsionkami i odpadającym tynkiem, spod którego było widać zszarzałą żółtą farbę. Większość chłopców przychodziła do szkoły pieszo, więc czarny ford mustang ojca przyciągał wiele zawistnych spojrzeń. Powinienem pękać z dumy, że tato podwiózł mnie do szkoły – dawniej tak by było – ale teraz odczuwałem jedynie lekkie zażenowanie. No i pustkę. Tato odjechał bez pożegnania.

Nie wziąłem udziału w zwyczajowej procedurze porównywania cięć na dłoniach po walkach na latawce i stanąłem w szeregu. Po dzwonku pomaszerowaliśmy parami do klas. Usiadłem w tylnym rzędzie. Gdy nauczyciel dari wręczał nam podręczniki, modliłem się, żeby zadał nam dużo pracy domowej.

Pod pretekstem odrabiania lekcji siedziałem godzinami w swoim pokoju. Zajęcia szkolne na jakiś czas odwróciły moją uwagę od tego, co się stało – za moim przyzwoleniem – tamtej zimy. Przez kilka tygodni byłem tak zaabsorbowany grawitacją i pędem, atomami i komórkami, i wojnami angielsko-afgańskimi, że nie myślałem o Hasanie ani o tym, co przeżył. Ale ciągle miałem w głowie obraz tego zaułka. Brązowych sztruksów Hasana leżących na stercie cegieł. Kropelek krwi pozostawiających ciemnoczerwone, niemal czarne plamy na śniegu.

Pewnego leniwego, mglistego popołudnia na początku lata poprosiłem Hasana, żeby poszedł ze mną na wzgórze. Powiedziałem, że chcę mu przeczytać swoje nowe opowiadanie. W jego oczach pojawił się błysk radości i zaczął szybciej rozwieszać pranie na sznurku w ogrodzie.

Wdrapaliśmy się na wzgórze, gawędząc o wszystkim i o niczym. Pytał o szkołę, czego tam się uczę. Opowiadałem mu o nauczycielach, głównie o wrednym matematyku, który karał rozmawiających na lekcji uczniów, wkładając im metalowy pręt między palce i ściskając rękę. Hasan skrzywił się, życząc mi, abym tego nigdy nie doświadczył. Powiedziałem, że jak dotąd mam szczęście – choć zdawałem sobie sprawę, że akurat szczęście nie odgrywa tu żadnej roli. Należałem do grupy rozgadanych uczniów, ale mój ojciec był zamożnym, powszechnie znanym człowiekiem, więc nie potraktowano mnie metalowym prętem.

Usiedliśmy w cieniu drzewa granatu, opierając się o niski mur cmentarny. Za niecałe dwa miesiące zbocze pokryłoby się gąszczem pożółkłych, wypalonych chwastów, ale tego roku wiosenne deszcze padały dłużej niż zazwyczaj, prawie do samego lata, i upstrzona polnymi kwiatami trawa wciąż się zieleniła. W dole pobłyskiwała w słońcu dzielnica Wazir Akbar Chan z domami o białych ścianach i płaskich dachach, z ogrodami, w których rozwieszone na sznurkach pranie kołysało się na wietrze jak motyle.

Zerwaliśmy kilkanaście owoców granatu. Rozpostarłem przyniesione kartki z opowiadaniem, spojrzałem na pierwszą stronę i odłożyłem na bok. Wstałem i podniosłem z ziemi przejrzały granat.

– Co byś zrobił, gdybym cię tym uderzył? – zapytałem, podrzucając owoc.

Hasan zmarkotniał. Wyglądał starzej niż kiedykolwiek przedtem. Nie, nie starzej, wyglądał staro. Jak to było możliwe? Ogorzała twarz pokryła się

zmarszczkami, bruzdy pojawiły się wokół oczu i ust. Zupełnie jakbym sam wyrył te linie nożem.

– Co byś zrobił? – powtórzyłem.

Pobladł. Leżące obok niego i spięte zszywką kartki z opowiadaniem, które obiecałem mu przeczytać, trzepotały na wietrze. Rzuciłem owocem, który rozbił się na jego piersi i prysnął na wszystkie strony. Krzyk Hasana był przepełniony zdumieniem i bólem.

– Oddaj mi! – warknąłem.

Hasan oderwał wzrok od plamy na piersi i spojrzał na mnie.

– Wstań! Uderz mnie! – zawołałem.

Podniósł się, ale nie wykonał żadnego ruchu, tylko stał oszołomiony jak człowiek porwany falą odpływu na szerokie morze, a przecież jeszcze przed chwilą odbywał przyjemny spacer po plaży.

Rzuciłem w niego drugi raz, trafiając w ramię. Sok prysnął mu na twarz.

– Oddaj mi! – syknąłem. – Walnij mnie, do cholery!

Chciałem, żeby mnie pobił. Chciałem, żeby wymierzył mi karę, której tak pragnąłem, i może wtedy zaznałbym wreszcie nocnego snu. Może sprawy między nami zaczęłyby układać się jak niegdyś. Ciskałem w niego raz po raz, ale ani drgnął.

– Tchórz z ciebie! – powiedziałem. – Zwyczajny tchórz, do cholery!

Nie wiem, ile razy go uderzyłem. Wiem tylko, że w końcu przestałem, wyczerpany i zasapany. Hasan był usmarowany na czerwono, jakby strzelał do niego pluton egzekucyjny. Upadłem na kolana, zmęczony, pozbawiony sił, pełen zawodu.

I wtedy Hasan podniósł z ziemi owoc granatu. Podszedł do mnie. Rozerwał owoc na połowy i rozgniótł na swoim czole.

– Proszę bardzo! – wychrypiał. Czerwony sok spływał mu po twarzy jak krew. – Jesteś zadowolony? Lepiej ci?

Odwrócił się i ruszył na dół.

Płakałem bez pohamowania, klęcząc i kołysząc się w przód i w tył.

– Co ja mam z tobą zrobić, Hasan? Co ja mam z tobą zrobić?

Gdy wyschły łzy i zwlokłem się ze wzgórza, znałem odpowiedź na to pytanie.

*

Skończyłem trzynaście lat w lecie 1976 roku. Było to przedostatnie lato, gdy Afganistan żył w pokoju, bez rozgłosu na świecie. Stosunki między tatą a mną znów się oziębiały. Przypuszczam, że dała temu początek głupia uwaga o najęciu nowych służących, jaką rzuciłem podczas sadzenia tulipanów. Żałowałem tego – naprawdę – ale wydaje mi się, że nawet gdybym tak nie powiedział, ten miły okres zbliżenia i tak by się skończył. Prędzej czy później. Gdy nadszedł kres lata, stuk łyżki i widelca o talerz zastąpił pogawędkę przy obiedzie, a po kolacji *baba* znowu wycofywał się do gabinetu. I zamykał drzwi. Ja zaś kartkowałem jak dawniej Hafeza i Chajjama, obgryzałem do żywego paznokcie i pisałem opowiadania. Zeszyty z opowiadaniami trzymałem ułożone w stos pod łóżkiem, tak na wszelki wypadek, choć nie wierzyłem, że *baba* kiedykolwiek poprosi mnie, żebym mu przeczytał jedno z nich.

Wydając przyjęcie, tato kierował się dewizą: im więcej gości, tym lepiej. Pamiętam, jak tydzień przed swoimi urodzinami przeglądałem listę zaproszonych i nie rozpoznawałem co najmniej trzech czwartych spośród ponad czterystu wujków i cioć, którzy mieli dać mi prezenty i pogratulować faktu, iż dożyłem trzynastego roku życia. Uprzytomniłem sobie wtedy, że oni tak naprawdę przychodzą nie z mojego powodu. Tego dnia przypadały

moje urodziny, ale zdawałem sobie sprawę, że prawdziwą gwiazdą wieczoru będzie kto inny.

Przez kilka dni z rzędu w domu roiło się od ludzi wynajętych przez ojca do pomocy w przygotowaniach. Rzeźnik Salahuddin przyprowadził cielaka i dwa barany, po czym odmówił przyjęcia zapłaty za którekolwiek zwierzę. Sam zarżnął je w ogrodzie pod topolą. „Krew dobrze robi drzewom” – pamiętam, jak powiedział, gdy poczerwieniała trawa. Nieznani mi mężczyźni wchodzili na dęby, rozwieszając sznury małych lampek elektrycznych, i rozciągali metry przedłużaczy. Inni ustawiali w ogrodzie dziesiątki stołów nakrytych obrusami. W przeddzień bankietu Del-Mohammad, przyjaciel ojca i właściciel kebabiarni w Szahr-e Nau, przyszedł do nas z workami przypraw. Podobnie jak Salahuddin, również Del-Mohammad – przez mojego ojca zwany Dello – nie przyjął należności, twierdząc, że *baba* dość już zrobił dla jego rodziny. Gdy Dello marynował mięso, Rahim Chan wyjawił mi, że tato pożyczył przyjacielowi pieniądze na otwarcie kebabiarni i nie przyjmował zwrotu pożyczki do czasu, aż pewnego dnia tamten zajechał mercedesem benzem przed nasz dom i powiedział, że będzie tu stał, dopóki tato nie zgodzi się na zwrot długu.

Przypuszczam, że mój urodzinowy jubel należał do wielce udanych pod wieloma względami, a przynajmniej tymi, wedle których ocenia się przyjęcia. Jeszcze nigdy nie widziałem w naszym domu takiej masy ludzi. Goście, trzymając w rękach drinki, gawędzili w holu, palili papierosy na schodach, stali oparci o framugi drzwi. Siadali, gdzie się dało – w kuchni na blatach, w przedpokoju, nawet pod krętymi schodami. Krążyli po ogrodzie za domem, gdzie mrugały niebieskie, czerwone i zielone lampki na drzewach; twarze jaśniały w świetle wetkniętych wszędzie pochodni na naftę. Tato kazał postawić podium na balkonie z widokiem na ogród,

a w ogrodzie porozstawiał głośniki. Ahmad Zahir grał na akordeonie i śpiewał, stojąc na balkonie, nad roztańczonym tłumem.

Musiałem osobiście powitać każdego gościa – *baba* dopilnował tego; nie zamierzał dopuścić, by następnego dnia plotkowano, że jego syn nie umie się zachować. Całowałem setki policzków, obejmowałem kompletnie nieznajomych ludzi, dziękowałem za prezenty. Od sztucznego uśmiechu bolały mnie mięśnie twarzy.

Stałem z ojcem przy barze w ogrodzie, gdy usłyszałem: „Najlepsze życzenia, Amir”. Przybył Asef z rodzicami. Jego tato, Mahmud, był niskim, chudym gościem o ciemnej skórze i pociągłej twarzy. Mama, Tanya, była drobna i zalękniona, często się uśmiechała i mrugała powiekami. Asef stał między nimi, wyszczerzony od ucha do ucha; znacznie wyższy od rodziców trzymał dłonie na ich ramionach. Poprowadził ich do nas, tak jakby to oni przyszli z nim, jakby to on był ojcem, a oni jego dziećmi. Zakręciło mi się w głowie. *Baba* podziękował im za przybycie.

– Sam wybrałem prezent dla ciebie – oznajmił Asef.

Po twarzy jego matki przebiegł skurcz, oczy przeniosły się z Asefa na mnie. Uśmiechnęła się nieprzekonująco i mrugnęła powiekami. Zastanawiałem się, czy *baba* to zauważył.

– Wciąż grasz w piłkę nożną, Asefie *dżan?* – zapytał *baba*, który zawsze chciał, żebym zaprzyjaźnił się z tym chłopakiem.

Asef się uśmiechnął. Można było dostać gęsiej skórki, widząc, że potrafi zdobyć się na prawdziwie słodki uśmiech.

– Naturalnie, *kaka dżan.*

– Na prawym skrzydle, jeśli dobrze pamiętam.

– Tak było do tego roku. Teraz jestem środkowym napastnikiem. Ma się wtedy więcej okazji do strzału. W przyszłym tygodniu gramy z drużyną

z Mikrorajan. To powinien być dobry mecz. Mają kilku niezłych zawodników.

Baba kiwnął głową.

– Wiesz, w młodości też grałem jako środkowy napastnik.

– Jestem pewny, że gdyby pan zechciał, nadal mógłby grać na tej pozycji.

Po tych słowach zaszczycił go życzliwym mrugnięciem oka, na co *baba* też puścił do niego oko, mówiąc:

– Widzę, że ojciec przekazał ci swoją słynną na cały świat umiejętność prawienia pochlebstw.

Szturchnął łokciem ojca Asefa, niemal zwalając z nóg tego niepozornego pana, który zaśmiał się równie przekonująco, jak chwilę wcześniej uśmiechnęła się jego żona. Nagle przyszło mi na myśl, czy oni w jakimś sensie nie boją się swojego syna. Spróbowałem zmusić się do uśmiechu, ale zdołałem jedynie lekko unieść kąciki ust – robiło mi się niedobrze na widok ojca bratającego się z Asefem.

Asef przeniósł wzrok na mnie.

– Wali i Kamal też przyszli. Za nic nie opuściliby twoich urodzin. – W jego głosie czaił się śmiech.

W milczeniu kiwnąłem głową.

– Zamierzamy pograć sobie w siatkówkę. Jutro u mnie. Może byś przyszedł? Jeśli chcesz, zabierz Hasana – powiedział Asef.

– Brzmi nieźle – wtrącił *baba*, promieniejąc radością. – Co ty na to, Amirze?

– Nie lubię siatkówki – mruknąłem.

Widziałem, jak gaśnie blask w oczach ojca. Zapadła krępująca cisza.

– Przykro mi, Asefie *dżan* – rzekł tato, wzruszając ramionami.

Zabolało mnie to, że przepraszał za moją odmowę.

– Ależ nic się nie stało – powiedział Asef. – Czuj się zawsze zaproszony, Amirze *dżan.* A w ogóle słyszałem, że lubisz czytać, więc przyniosłem ci książkę. Jedną z moich ulubionych. – Wręczył mi ładnie zapakowany prezent. – Wszystkiego najlepszego.

Miał na sobie bawełnianą koszulę z czerwonym jedwabnym krawatem, niebieskie spodnie i lśniące czarne mokasyny. Jasne włosy zaczesał starannie do tyłu. Pachniał wodą kolońską. Z pozoru był ucieleśnieniem marzeń wszystkich rodziców – silny, wysoki, dobrze ubrany chłopak o doskonałych manierach, licznych talentach i uderzającej urodzie, nie wspominając o bystrości umysłu, która pozwalała mu prowadzić żartobliwą rozmowę z osobą dorosłą. Ale w moim odczuciu zdradzały go oczy. Gdy w nie patrzyłem, pękała fasada i wychodziło kryjące się za nią szaleństwo.

– Dostałeś prezent, Amirze – usłyszałem głos ojca.

– Słucham?

– Prezent – powtórzył cierpko. – Asef *dżan* chce ci wręczyć prezent.

– Aha.

Przyjąłem podarunek i spuściłem wzrok. Żałowałem, że nie mogę być sam w swoim pokoju, ze swoimi książkami, z dala od tych ludzi.

– No i? – powiedział *baba.*

– Słucham?

– Chyba podziękujesz Asefowi *dżan* za jego uprzejmość. – *Baba* mówił cicho, jak zawsze gdy wprawiałem go w zażenowanie na oczach ludzi.

Chciałem, żeby wreszcie przestał zwracać się do niego z taką serdecznością. Ile razy zdarzyło mu się powiedzieć do mnie „Amir *dżan”*?

– Dzięki – rzekłem.

Matka Asefa popatrzyła na mnie tak, jakby zamierzała coś powiedzieć, ale w końcu się nie odezwała. Uprzytomniłem sobie, że z ust rodziców Asefa nie padło ani jedno słowo. Żeby nie przynieść więcej wstydu sobie i ojcu – a przede wszystkim żeby uciec od szeroko uśmiechniętego Asefa – oddaliłem się, mówiąc na pożegnanie:

– Dziękuję państwu za przybycie.

Przecisnąłem się przez tłum gości i wyszedłem za bramę z kutego żelaza. Kawałek od nas, dwa domy dalej, znajdowała się duża, pusta posesja. Słyszałem, jak *baba* mówił Rahimowi Chanowi, że jakiś sędzia kupił ten teren i zlecił architektowi zaprojektowanie domu. Teraz były tam tylko goła ziemia, kamienie i chwasty.

Odpakowałem prezent Asefa i przechyliłem książkę tak, żeby księżyc oświetlał okładkę. Była to biografia Hitlera. Rzuciłem ją w gęste zarośla.

Oparłem się o mur i osunąłem na ziemię. Przez pewien czas siedziałem w ciemnościach, przyciągnąwszy kolana do piersi, patrząc w gwiazdy i czekając, aż skończy się ta noc.

– Czy nie powinieneś bawić gości? – rozległ się znajomy głos.

Zobaczyłem Rahima Chana, który szedł przy murze w moją stronę.

– Do tego nie jestem im potrzebny. Przecież dba o to *baba* – powiedziałem.

Gdy usiadł przy mnie, zabrzęczał lód w szklance z drinkiem.

– Nie wiedziałem, że pijesz, wujku.

– Jak widać, piję. – Żartobliwie szturchnął mnie łokciem. – Ale tylko w wyjątkowo ważnych chwilach.

– Dziękuję. – Uśmiechnąłem się.

Wzniósł szklankę i upił łyk. Zapalił papierosa, pakistańskiego, bez filtra, jakie niezmiennie palił z moim tatą.

– Mówiłem ci, że niewiele brakowało, a bym się ożenił swego czasu?

– Naprawdę?

Uśmiechnąłem się lekko na myśl o małżeństwie Rahima Chana. Zawsze uważałem go za łagodne *alter ego* ojca, za swego mentora w kwestiach pisarstwa, kumpla, bliską osobę, która nigdy nie zapomniała przywieźć mi jakiejś pamiątki, *saughat*, z podróży zagranicznej. Ale żeby był czyimś mężem? Ojcem?

Kiwnął głową.

– Miałem osiemnaście lat. Ona nazywała się Homajra. Była Hazarką, córką służących naszego sąsiada. Piękna jak *pari:* jasnobrązowe włosy, wielkie orzechowe oczy… i ten jej śmiech… niekiedy wciąż go słyszę. – Zakołysał szklanką. – Spotykaliśmy się potajemnie w sadzie jabłoniowym mojego ojca, zawsze po północy, gdy wszyscy poszli spać. Spacerowaliśmy pod drzewami, a ja trzymałem ją za rękę… Czy wprawiam cię w zażenowanie?

– Trochę.

– Nie umrzesz od tego – powiedział i pociągnął papierosa. – No więc roiliśmy sobie, że będziemy mieć wspaniałe, wystawne wesele, że zaprosimy do Kandaharu całe nasze rodziny i wszystkich przyjaciół z Kabulu. Postawię nam wielki biały dom, który będzie miał duże okna i taras wykładany płytkami. W ogrodzie posadzimy drzewa owocowe i rozmaite kwiaty, założymy trawnik, gdzie będą się bawić nasze dzieci. W piątki, po modłach w meczecie, wszyscy będą przychodzić do nas na lunch podawany w ogrodzie, pod drzewami wiśniowymi, będziemy pić świeżą wodę ze źródła. W porze podwieczorku będziemy jeść słodycze i patrzeć, jak nasze dzieci bawią się ze swoimi kuzynami…

Pociągnął duży łyk szkockiej. Zakasłał.

– Trzeba było zobaczyć minę mojego ojca, gdy go o tym powiadomiłem. Matka aż zemdlała. Siostry cuciły ją, spryskiwały twarz wodą i wachlowały, patrząc na mnie tak, jakbym poderżnął jej gardło. Brat Dżalal szedł już po strzelbę, ale ojciec go powstrzymał. – Rahim Chan parsknął gorzkim śmiechem. – Cały świat zwrócił się przeciwko Homajrze i mnie. Jedno ci powiem, Amirze *dżan:* w ostatecznym rozrachunku świat zawsze bierze górę. Tak już jest.

– Co się potem stało?

– Jeszcze tego samego dnia mój ojciec wsadził Homajrę razem z rodziną na ciężarówkę i wysłał do Hazaradżatu. Nigdy więcej jej nie widziałem.

– Przykro mi.

– Prawdopodobnie wyszło to na dobre. – Rahim Chan wzruszył ramionami. – Czekałoby ją dużo cierpienia. Moja rodzina nigdy by jej nie zaakceptowała jako równej sobie. Nie można jednego dnia kazać człowiekowi glansować buty, a następnego nazywać go siostrą. – Spojrzał na mnie. – Wiesz, Amirze *dżan*, że możesz zwrócić się do mnie ze wszystkim. Zawsze.

– Wiem – rzekłem niepewnie.

Przyglądał mi się dłuższą chwilę, jakby na coś czekał; jego bezdenne czarne oczy sugerowały, że mamy jakąś niewypowiedzianą wspólną tajemnicę. Mało brakowało, a powiedziałbym mu. Mało brakowało, a wszystko bym mu powiedział, ale co on by sobie o mnie pomyślał? Znienawidziłby mnie, i słusznie.

– Proszę. – Wręczył mi coś. – Prawie zapomniałem. Najlepsze życzenia. – Podał mi notatnik w brązowej skórzanej oprawie. Pogłaskałem palcami złote szwy na krawędziach. Poczułem zapach skóry. – Na twoje opowiadania – dodał.

Już miałem mu podziękować, gdy rozległy się wybuchy i na niebie pojawiły się rozbłyski światła.

– Sztuczne ognie!

Pobiegliśmy do domu. Goście stali w ogrodzie, patrząc w górę. Dzieciaki krzyczały i piszczały przy każdym syku, po którym następował trzask. Wszyscy wiwatowali, bili brawa, ilekroć fajerwerk rozpryskiwał się na niebie. Co kilka sekund nasz ogród tonął w czerwieni, zieleni i żółci.

Podczas takiego rozbłysku zobaczyłem coś, czego nigdy nie zapomnę. Hasan częstował Asefa i Walego napojami, które roznosił na srebrnej tacy. Światło zgasło, rozległ się syk i trzask, w blasku pomarańczowej kuli Asef trącał Hasana w pierś wysuniętym knykciem palca.

Potem, litościwie, zapadła ciemność.

9

Następnego ranka, siedząc na środku pokoju, rozrywałem pudełka z prezentami, jedno po drugim. Nie wiem, po co zadawałem sobie trud, bo i tak obrzucałem je osowiałym spojrzeniem i ciskałem w kąt. Sterta sięgała coraz wyżej, znalazły się na niej między innymi polaroid, radio tranzystorowe, wieloczęściowa kolejka elektryczna, no i kilkanaście zaklejonych kopert z gotówką. Wiedziałem, że nie wydam tych pieniędzy, nie będę słuchał radia, nie postawię pociągów na szynach w swoim pokoju. Nie chciałem tych rzeczy – były zapłatą za zdradę. Tato nie wydałby dla mnie takiego hucznego przyjęcia, gdybym nie wygrał zawodów.

Od niego dostałem dwa prezenty. Nie miałem wątpliwości, że jeden ściągnie zawistne spojrzenia dzieciaków z sąsiedztwa: nowiutki rower Schwinn Stingray – najlepszy na świecie. Tylko garstka chłopców w całym Kabulu posiadała nowego stingraya, a ja należałem teraz do tych szczęśliwców. Rower miał wysoko ustawioną kierownicę z czarnymi gumowymi rączkami i charakterystyczne siodełko w kształcie banana. Szprychy były złociste, a stalowa rama – czerwona jak wóz strażacki. Albo jak krew. Każdy chłopak natychmiast wskoczyłby na rower i przejechał się po najbliższych ulicach. Kilka miesięcy wcześniej też bym tak zrobił.

– Podoba ci się? – zapytał *baba*, zaglądając do mojego pokoju.

Uśmiechnąłem się z zakłopotaniem i rzuciłem krótkie „dziękuję”, żałując, że nie mogę wykrzesać z siebie więcej radości.

– Moglibyśmy się przejechać. – To zaproszenie było niezbyt entuzjastyczne.

– Może później. Jestem trochę zmęczony – powiedziałem.

– Oczywiście.

– *Baba?*

– Słucham.

– Dziękuję za fajerwerki. – To podziękowanie było niezbyt entuzjastyczne.

– Odpoczywaj – rzekł tato i poszedł do swojego pokoju.

Drugim prezentem – *baba* nawet nie czekał, aż go rozpakuję – był zegarek na rękę. Miał niebieską tarczę i złote wskazówki w kształcie błyskawicy. Nie założyłem go, tylko od razu cisnąłem na stos zabawek w kącie. Jedynym prezentem, który tam się nie znalazł, był oprawiony w skórę notatnik od Rahima Chana. Wyłącznie ta rzecz nie kojarzyła mi się z zapłatą za zdradę.

Siedziałem na brzegu łóżka, obracałem notatnik w rękach i zastanawiałem się nad tym, co Rahim Chan mówił o Homajrze. Że decyzja jego ojca, by wysłać dziewczynę w jej rodzinne strony, w końcu wyszła na dobre. „Czekałoby ją dużo cierpienia”. Przemykał mi przez myśl ciągle ten sam obraz, niczym slajd zakleszczony w projektorze wujka Homajuna – obraz Hasana z pochyloną głową, gdy podawał napoje Asefowi i Walemu. Może to rzeczywiście wyjdzie na dobre. Zmniejszy jego cierpienie. I moje. Tak czy owak, było oczywiste, że jeden z nas musi odejść.

Później tego popołudnia wybrałem się na pierwszą i ostatnią przejażdżkę schwinnem. Zrobiłem kilka rund po najbliższych ulicach

i skierowałem się ku domowi. Wjechałem na podjazd i potem do ogrodu za domem, gdzie Hasan z Alim likwidowali bałagan po wczorajszym przyjęciu. W ogrodzie walały się papierowe kubki, zmięte serwetki i puste butelki po napojach gazowanych. Ali składał krzesła i ustawiał pod murem. Widząc mnie, pomachał ręką.

– *Salam*, Ali – powitałem go i też mu pomachałem.

Uniósł palec, prosząc, żebym zaczekał, i poszedł do swojej chaty. Po chwili wyszedł stamtąd, niosąc coś w rękach.

– Wczoraj wieczorem nie mieliśmy z Hasanem okazji wręczyć ci prezentu – powiedział. – To skromna rzecz, niegodna ciebie, Amir *agha*. Ale mamy nadzieję, że mimo to przypadnie ci do gustu. Wszystkiego najlepszego.

Ścisnęło mnie w gardle. Podziękowałem Alemu, choć wolałem nic od nich nie dostać. Odwinąłem papier i zobaczyłem nowiutką *Szahname* w twardej oprawie, z lśniącymi kolorowymi ilustracjami pod tekstem. Była tam Ferangis, która patrzyła na swego nowo narodzonego syna, Kaja Chosrawa. Dalej Afrasijab z mieczem w ręku, jak jedzie konno na czele armii. No i oczywiście Rostam, który śmiertelnie rani swego syna, dzielnego wojownika Sohraba.

– Piękna książka – odezwałem się.

– Hasan mówił, że ta, którą masz, jest stara i podarta i że brakuje w niej kartek – mówił Ali. – Tu wszystkie rysunki są zrobione ręcznie piórkiem i tuszem – dodał z dumą, patrząc na książkę, której ani on, ani jego syn nie umieli przeczytać.

– Śliczna – powiedziałem szczerze.

Rzeczywiście taka była, i na pewno nie tania.

Chciałem powiedzieć Alemu, że to nie książka, ale ja jestem niegodny. Wskoczyłem na rower.

– Podziękuj ode mnie Hasanowi – dorzuciłem.

Koniec końców książka wylądowała na stercie prezentów w kącie pokoju. Ponieważ ciągle powracałem do niej wzrokiem, wetknąłem ją na samo dno. Tego wieczoru, przed pójściem spać, zapytałem ojca, czy nie widział gdzieś mojego nowego zegarka.

*

Następnego ranka zostałem w swoim pokoju i czekałem, aż Ali sprzątnie ze stołu kuchennego po śniadaniu, zmyje naczynia i wytrze blaty. Wyglądając przez okno sypialni, czekałem, aż Ali z Hasanem pójdą po zakupy na bazar, pchając puste taczki.

Potem wyjąłem ze sterty prezentów kilka kopert z pieniędzmi i zegarek na rękę. Na palcach wyszedłem z pokoju. Zatrzymałem się pod gabinetem ojca i przyłożyłem ucho do drzwi. Cały ranek siedział w tym pokoju i dzwonił do ludzi. Akurat rozmawiał o dostawie dywaników, która miała nadejść w następnym tygodniu. Zszedłem po schodach, przeciąłem ogród i zakradłem się do stojącej pod nieszpułką chaty Alego i Hasana. Podniosłem materac Hasana i wsadziłem tam nowy zegarek oraz garść afgańskich banknotów.

Po półgodzinie zapukałem do pokoju ojca. To, co mu powiedziałem, miało być ostatnim z wielu bezwstydnych kłamstw.

*

Stojąc w oknie sypialni, patrzyłem, jak na podjeździe Ali i Hasan pchają taczki pełne mięsa, *nan*, owoców i warzyw. Widziałem, jak *baba* wychodzi z domu i zmierza w kierunku Alego. Ich usta poruszały się, ale nie słyszałem słów. *Baba* wskazał chatę i Ali kiwnął głową. Rozeszli się – *baba* wrócił do domu, Ali udał się za Hasanem do chaty.

Kilka minut później *baba* zapukał do mojego pokoju.

– Chodź do gabinetu – powiedział. – Musimy usiąść wszyscy razem i załatwić tę sprawę.

Poszedłem tam i usiadłem na skórzanej kanapie. Minęło ponad pół godziny, zanim dołączyli do nas Ali z Hasanem.

*

Przed przyjściem obaj płakali – domyśliłem się, widząc ich czerwone, zapuchnięte oczy. Stanęli przed moim ojcem, trzymając się za ręce. Zadałem sobie pytanie, jak i kiedy nauczyłem się sprawiać tyle bólu.

– Hasanie, ukradłeś te pieniądze? – zaczął bez ogródek *baba*. – Ukradłeś Amirowi zegarek?

Hasan odpowiedział jednym słowem.

– Tak – wychrypiał cicho.

Zachwiałem się jak pod ciosem. Byłem taki przybity, że mało brakowało, a wyznałbym prawdę. I wtedy zrozumiałem: Hasan poświęcił się dla mnie po raz ostatni. Gdyby zaprzeczył, *baba* uwierzyłby mu, ponieważ wszyscy wiedzieliśmy, że Hasan nie kłamie. A wtedy przeciwko mnie skierowano by oskarżenie. Musiałbym się tłumaczyć i wyszłoby na jaw, jaki jestem naprawdę. *Baba* nigdy, przenigdy by mi nie wybaczył. Zarazem zrozumiałem jeszcze jedno: Hasan wiedział. Wiedział, że widziałem wszystko, co się wydarzyło w tamtym zaułku. Że stałem tam i nie kiwnąłem palcem. Że go zdradziłem. A mimo to teraz znowu mnie ratował, może po raz ostatni. Przez tę krótką chwilę kochałem go, kochałem go bardziej niż kogokolwiek przedtem i chciałem powiedzieć im wszystkim, że to ja jestem wężem w trawie, potworem w jeziorze. Nie zasługiwałem na takie poświęcenie; byłem kłamcą, oszustem i złodziejem. I rzeczywiście wyznałbym prawdę, gdybym tak się nie cieszył, że to

wszystko wkrótce się skończy. *Baba* ich odprawi, będzie trochę bolało, ale życie potoczy się dalej. Tego chciałem – ruszyć z miejsca, zapomnieć, zacząć od nowa z czystą kartą. Chciałem móc znowu oddychać.

Tyle że *baba* wprawił mnie w osłupienie, mówiąc:

– Wybaczam ci.

Wybacza?! Przecież kradzież jest niewybaczalnym grzechem, wspólnym mianownikiem wszystkich grzechów. „Gdy zabijasz człowieka, kradniesz życie. Kradniesz żonie prawo do męża, zabierasz dzieciom ojca. Gdy kłamiesz, kradniesz komuś prawo do prawdy. Gdy oszukujesz, kradniesz prawo do uczciwości. Nie ma podlejszego czynu niż popełnienie kradzieży”. Czyż nie posadził mnie na kolanach i nie powiedział tego? Jak więc mógł po prostu wybaczyć Hasanowi? A skoro mógł wybaczyć kradzież, to dlaczego nie mógł wybaczyć mnie tego, że nie jestem takim synem, jakiego zawsze chciał mieć? Dlaczego…

– Odchodzimy, *agha saheb* – odezwał się Ali.

– Co takiego? – Krew odpłynęła ojcu z twarzy.

– Nie możemy tu dłużej mieszkać.

– Przecież mu wybaczyłem, Ali. Nie słyszałeś?

– Nasze życie tutaj stało się niemożliwe, *agha saheb*. Odchodzimy – powtórzył.

Otoczył syna ramieniem i przyciągnął do siebie. Tym opiekuńczym gestem chciał go osłonić – dobrze wiedziałem przed kim. Odwrócił się w moją stronę i obrzucił mnie zimnym, nieprzejednanym spojrzeniem. Zrozumiałem, że i on wie. Hasan wszystko mu opowiedział – o tym, co zrobili mu Asef i jego kumple, o latawcu, o mnie. Dziwne, ale ucieszyłem się, że ktoś wie, jaki naprawdę jestem; miałem dość udawania.

– Nie zależy mi na pieniądzach ani na zegarku – oświadczył *baba*. Rozłożył ręce. – Nie rozumiem, dlaczego tak postępujesz… Co to znaczy

„niemożliwe”?

– Przykro mi, *agha saheb*. Już się spakowaliśmy. Takie jest nasze postanowienie.

Tato wstał. Na jego twarzy malował się smutek.

– Ali, czy nie zapewniłem ci należytego utrzymania? Czy nie troszczyłem się o ciebie i Hasana? Jesteś bratem, którego nigdy nie miałem, Ali, dobrze wiesz. Nie rób tego.

– Proszę nie utrudniać mi sytuacji jeszcze bardziej, *agha saheb* – rzekł Ali.

Usta mu zadrżały i przez chwilę myślałem, że się skrzywił. Wtedy wyczułem głębię zadanego cierpienia, czarną rozpacz, w jaką wszystkich wprawiłem, tak przejmującą, że było ją widać nawet na sparaliżowanej twarzy Alego. Zmusiłem się, żeby spojrzeć na Hasana, ale stał ze spuszczoną głową, zgarbiony, w palcach kręcił nitkę, która wystawała z rąbka koszuli.

– Przynajmniej wyjaśnij mi dlaczego – odezwał się *baba* błagalnym tonem. – Muszę wiedzieć!

Ali nic nie powiedział tacie, podobnie jak nie zaprotestował, gdy Hasan przyznał się do kradzieży. Nigdy się nie dowiem, dlaczego milczał, ale potrafię sobie wyobrazić, jak siedzą zapłakani w tej ciemnej chatce, a Hasan błaga Alego, żeby mnie nie wydał. Nie potrafię sobie jednak wyobrazić, jak bardzo Ali musiał panować nad sobą, by dotrzymać danego słowa.

– Czy wielmożny pan mógłby odwieźć nas na dworzec autobusowy?

– Zabraniam ci stąd odchodzić! – ryknął *baba*. – Słyszysz? Zabraniam!

– Z całym szacunkiem, ale wielmożny pan nie może mi nic zabronić – odparł Ali. – Już dla pana nie pracujemy.

– Dokąd pojedziecie? – zapytał *baba* łamiącym się głosem.

– Do Hazaradżatu.

– Do twojego kuzyna?

– Tak. Czy wielmożny pan odwiezie nas na dworzec?

Wtedy po raz pierwszy w życiu zobaczyłem, że *baba* płacze. Trochę się wystraszyłem, widząc dorosłego mężczyznę wstrząsanego szlochem. Ojcowie przecież nie płaczą.

– Proszę cię – odezwał się *baba*.

Ali już szedł do drzwi, a za nim wlókł się Hasan. Nigdy nie zapomnę zbolałego, wystraszonego głosu taty, gdy mówił te słowa.

*

Latem w Kabulu rzadko padał deszcz. Na wysokim niebieskim niebie jak okiem sięgnąć nie było ani jednej chmurki; słońce prażyło niemiłosiernie w kark. Wyschły strumienie, na których przez całą wiosnę puszczałem z Hasanem kaczki. Przejeżdżające riksze wzbijały kurz. Ludzie szli do meczetu, żeby odmówić dziesięć rakatów modlitwy w południe, a potem chowali się w cieniu na drzemkę i czekali na wieczorne ochłodzenie. Latem spędzaliśmy długie dni w szkole, spoceni siedzieliśmy w ciasnych, dusznych salach, ucząc się na pamięć wersetów z Koranu i zmagając się z arabskimi słowami, obco brzmiącymi i trudnymi do wymówienia. Łapaliśmy muchy, mułła ględził swoje, gorący wiatr przywiewał smród z wychodka za boiskiem i wzbijał kurz wokół pojedynczego, rozchybotanego słupa z obręczą do koszykówki.

Ale tego popołudnia, gdy *baba* odwoził Alego i Hasana na dworzec autobusowy, padało. Nadciągnęły chmury burzowe, pokrywając niebo stalową szarością. W ciągu kilku minut lunął rzęsisty deszcz. Nieprzerwany szum ulewy narastał mi w uszach.

Tato zaproponował, że sam zawiezie ich do Bamijanu, lecz Ali się nie zgodził. Przez zamazane, ociekające wodą okno patrzyłem, jak Ali ciągnie walizkę z całym ich dobytkiem do samochodu czekającego z zapalonym silnikiem za bramą. Hasan dźwigał na plecach swój materac, ciasno zwinięty w rulon i obwiązany linką. Wszystkie zabawki zostawił w chacie – znalazłem je następnego dnia, rzucone na stos w kącie zupełnie jak prezenty urodzinowe w moim pokoju.

Krople ściekały po szybie. Widziałem, jak ojciec zatrzasnął klapę bagażnika. Zlany deszczem otworzył drzwi od strony kierowcy. Wsadził głowę i mówił coś do Alego, który siedział na tylnym siedzeniu; może podejmował ostatnią próbę przekonania go, żeby zmienił zdanie. Rozmawiali tak przez chwilę – *baba* nachylony, z ręką opartą na dachu auta, coraz bardziej przemoczony. W końcu się wyprostował. Widząc jego pochylone ramiona, zrozumiałem, że skończyło się życie, jakie znałem od urodzenia. *Baba* wsunął się na miejsce dla kierowcy. Zapaliły się reflektory, wycinając w deszczu dwa bliźniacze leje światła. Gdyby ta scena rozgrywała się w hinduskim filmie, jakich wiele oglądaliśmy z Hasanem, powinienem wypaść na dwór i popędzić za samochodem, rozchlapując bosymi stopami kałuże i wołając, żeby się zatrzymali. Wyciągnąłbym Hasana z tylnego siedzenia i zaczął go przepraszać, gorąco przepraszać, a moje łzy mieszałyby się z kroplami deszczu. W strugach wody lejącej się z nieba rzucilibyśmy się sobie w objęcia. Ale to nie była scena z hinduskiego filmu. Rzeczywiście było mi przykro, ale nie rozpłakałem się i nie pobiegłem za samochodem. Patrzyłem, jak *baba* odjeżdża od krawężnika, zabierając człowieka, którego pierwszym wypowiedzianym słowem było moje imię. Mignął mi niewyraźny obraz Hasana zgarbionego na tylnym siedzeniu i samochód skręcił za róg, gdzie wielokrotnie graliśmy w kulki.

Cofnąłem się i zobaczyłem już tylko deszcz za szybami wyglądającymi jak ciekłe srebro.

10

Marzec 1981

Naprzeciwko nas siedziała młoda kobieta. Miała na sobie oliwkową sukienkę i czarną chustę, którą owinęła ciasno wokół głowy, by chronić się przed nocnym chłodem. Ilekroć ciężarówka szarpnęła albo wjechała w dziurę, kobieta zaczynała się raptownie modlić – żarliwe *bismillah* zwieńczało każdy wstrząs i podskok samochodu. Jej mąż, tęgi pan w workowatych spodniach i błękitnym turbanie, trzymał na ręku małe dziecko, a palcami wolnej dłoni przesuwał koraliki różańca, poruszając ustami w bezgłośnej modlitwie. Było tam z dziesięciu pasażerów, prócz ojca i mnie. Ściśnięci wśród obcych ludzi siedzieliśmy, trzymając między nogami walizki, na przykrytej brezentem pace starej rosyjskiej ciężarówki.

Od wyjazdu z Kabulu, tuż po drugiej nad ranem, żołądek podchodził mi do gardła. Tato nie skomentował tego słowem, ale wiedziałem, że traktuje chorobę lokomocyjną jako jedną z wielu moich słabości – dostrzegłem jego zażenowaną minę, gdy kilka razy tak ścisnęło mnie w brzuchu, że aż jęknąłem. Kiedy tęgi mężczyzna z różańcem – mąż rozmodlonej kobiety – zapytał, czy zbiera mi się na mdłości, przytaknąłem. *Baba* odwrócił głowę w bok. Mężczyzna podniósł róg brezentu, zapukał w szybę szoferki i poprosił kierowcę, żeby stanął. Ale tamten – miał na imię Karim i był

chudym człowiekiem o ciemnej skórze i drapieżnych rysach twarzy z cienkim wąsikiem – pokręcił przecząco głową.

– Za blisko Kabulu! – krzyknął w odpowiedzi. – Powiedz mu, żeby się trzymał.

Baba burknął coś pod nosem. Chciałem się pokajać, ale naraz poczułem napływającą do ust ślinę i smak żółci w tyle gardła. Uniosłem brezent i zwymiotowałem na boczną klapę ciężarówki. Z tyłu tato przepraszał pasażerów. Tak jakby choroba lokomocyjna była występkiem. Jakby osiemnastolatkowi nie wolno było mieć mdłości. Wymiotowałem jeszcze dwa razy, zanim Karim zgodził się przystanąć, najprawdopodobniej dlatego, żebym nie zasmrodził mu pojazdu, jego źródła utrzymania. Karim zajmował się przemytem ludzi – w tamtych czasach przewożenie mieszkańców Kabulu, który okupowali *Szourawi,* do względnie bezpiecznego Pakistanu było całkiem dochodowym interesem. Wiózł nas około stu siedemdziesięciu kilometrów na południowy wschód od Kabulu, do Dżalalabadu, gdzie czekał jego brat Tur z drugą grupą uchodźców, żeby przerzucić wszystkich swoją większą ciężarówką przez przełęcz Chajber do Peszawaru.

Znajdowaliśmy się kilka kilometrów na zachód od urwiska Mahipar, gdy Karim zjechał na pobocze. Mahipar – co znaczy Latająca Ryba – było wysoką górą z uskokiem wznoszącą się nad hydroelektrownią, którą Niemcy zbudowały dla Afganistanu w 1967 roku. Mnóstwo razy pokonywaliśmy z tatą to wzniesienie, udając się do Dżalalabadu, miasta cyprysów i plantacji trzciny cukrowej, dokąd Afgańczycy przybywali na zimowe wakacje.

Zeskoczyłem z paki i chwiejnym krokiem zbliżyłem się do ziemnego nasypu na skraju drogi. W ustach zbierała mi się ślina, co oznaczało, że będę wymiotował. Zataczając się, podszedłem na brzeg urwiska, skąd było

widać głęboką dolinę tonącą w ciemnościach. Pochyliłem się, opierając dłonie na kolanach, i czekałem na torsje. Gdzieś złamał się konar, huknęła sowa. Lekki, zimny wiatr zaszeleścił w gałęziach drzew i poruszył krzakami rosnącymi tu i ówdzie na zboczu. Z dołu dolatywał cichy szum rzeki toczącej się doliną.

Stojąc na skarpie, myślałem o tym, w jaki sposób opuściliśmy dom, gdzie spędziłem całe życie. Wyglądało to tak, jakbyśmy wyszli coś przegryźć – w zlewie były naczynia z resztkami klopsików, w sieni znajdował się wiklinowy kosz pełen rzeczy do prania, łóżka były nieposłane, garnitury biurowe taty wisiały w szafie. Kobierce nadal pokrywały ściany w salonie, a książki mamy nadal stały na półkach w ojcowskim gabinecie. Oznaki ucieczki ledwie dawało się dostrzec: zniknęło zdjęcie ślubne moich rodziców oraz ziarnista fotografia mojego dziadka z królem Naderem Szahem, jak stoją nad martwym jeleniem. W szafach brakowało kilku ubrań. Nie było notatnika, który dostałem od Rahima Chana przed pięcioma laty.

Z rana nasz służący Dżalaluddin – siódmy z kolei przez ostatnich pięć lat – uzna zapewne, że udaliśmy się na spacer albo na przejażdżkę. Nic mu nie powiedzieliśmy. Nie mogliśmy ufać już nikomu w Kabulu. Przekupieni albo zastraszeni ludzie donosili jeden na drugiego: sąsiad na sąsiada, dziecko na rodziców, brat na brata, służący na pana, przyjaciel na przyjaciela. Przypomniał mi się piosenkarz Ahmad Zahir, który grał na akordeonie podczas przyjęcia z okazji moich trzynastych urodzin. Wybrał się z przyjaciółmi na przejażdżkę samochodem i jakiś czas później znaleziono go na poboczu drogi, zabitego strzałem w tył głowy. Wszechobecni *rafigh*, czyli towarzysze, podzielili mieszkańców Kabulu na dwie grupy: podsłuchujących i niepodsłuchujących. Kłopot polegał na tym, że nie wiadomo było, kto należy do której grupy. Zdawkowa uwaga

rzucona w obecności krawca podczas przymiarki garnituru mogła zaprowadzić cię do lochów więzienia w Pul-e Czarchi. Utyskiwałeś na godzinę policyjną w rozmowie z rzeźnikiem i już siedziałeś za kratkami, patrząc na wycelowaną w ciebie lufę kałasznikowa. Nawet przy stole jadalnym we własnym domu trzeba było ważyć słowa. Komunistycznych towarzyszy nie brakowało również w szkołach – uczyli dzieci szpiegować rodziców, wybierać warte donosu informacje i ludzi, którym należało je przekazywać.

Zastanawiałem się, co ja robię na tej drodze w środku nocy. Powinienem być w łóżku, leżeć pod kocem, mieć przy poduszce książkę z oślimi uszami. To wszystko sen. Na pewno sen. Rano obudzę się i zerknę przez okno: nie zobaczę idącego chodnikiem patrolu rosyjskich żołnierzy o srogich twarzach; nie zobaczę przetaczających się tam i z powrotem ulicami mojego miasta czołgów z obrotowymi wieżyczkami kierującymi się w różne strony niczym oskarżycielskie palce; nie będzie gruzów, godziny policyjnej ani transporterów armii rosyjskiej przeciskających się alejkami bazarów. I wtedy z tyłu doleciały mnie głosy ojca i Karima, którzy przy papierosie rozmawiali o przesiadce w Dżalalabadzie. Karim zapewniał tatę, że jego brat ma dużą ciężarówkę „pierwsza klasa, w doskonałym stanie” i że podróż do Peszawaru minie gładko i spokojnie. „Mógłby pana zawieźć tam z zamkniętymi oczami”. Słyszałem, jak mówił, że obaj znają rosyjskich i afgańskich żołnierzy z punktów kontrolnych i doszli z nimi do porozumienia zadowalającego obie strony. To nie był sen. Nagle, jak na sygnał, z rykiem przeleciał nad nami MiG. Karim wyrzucił papierosa i wyjął zza pasa rewolwer. Udając, że strzela do samolotu, splunął i zaczął pomstować.

Zastanawiałem się, gdzie jest Hasan. W końcu stało się to, co było nieuniknione. Zwymiotowałem na zarośla; moje jęki i odgłosy torsji

zginęły w ogłuszającym wyciu MiG-a.

*

Dwadzieścia minut później zajechaliśmy pod punkt kontrolny w Mahipar. Nasz kierowca wrzucił luz i zeskoczył na ziemię, żeby się przywitać. Słychać było jakieś głosy i chrzęst żwiru pod stopami. Wymieniono kilka słów, krótko, po cichu. Błysk zapalniczki. „*Spasiba*”.

Znowu błysk zapalniczki. Ktoś się zaśmiał, zarechotał piskliwie, aż podskoczyłem. Ręka taty zacisnęła się na moim udzie. Rozbawiony mężczyzna zaczął śpiewać z wyraźnym rosyjskim akcentem, bełkotliwie i fałszywie, starą afgańską pieśń weselną.

Ahesta boro, Mah-e man, ahesta boro.

Wędruj powoli, mój śliczny księżycu, wędruj powoli.

Obcasy ciężkich butów zastukały na asfalcie. Z tyłu paki podniesiono brezent i pojawiły się trzy głowy – Karima i dwóch żołnierzy: Afgańczyka i szeroko uśmiechniętego Rosjanina o twarzy buldoga, z papierosem zwisającym w kąciku ust. Za nimi stał na niebie księżyc koloru kości. Karim i afgański żołnierz wymienili kilka zdań w języku paszto. Usłyszałem coś o pechowcu Turze. Rosjanin wetknął głowę do środka. Nucił pieśń weselną i bębnił palcami w tylną klapę. Nawet w słabym świetle księżyca dostrzegłem szkliste spojrzenie jego oczu wędrujące od jednego pasażera do drugiego. Mimo zimna pot spływał mu z czoła. Zatrzymał wzrok na młodej kobiecie w czarnej chuście. Nie odrywając wzroku, odezwał się po rosyjsku do Karima. Ten rzucił coś szorstko po rosyjsku i otrzymał jeszcze bardziej szorstką odpowiedź. Afgańczyk wtrącił cicho kilka słów tonem wyjaśnienia. Na co Rosjanin wrzasnął i tamci aż się wzdrygnęli. Poczułem, że siedzący obok mnie *baba* cały się spiął. Karim

chrząknął, spuścił głowę i powiedział, że rosyjski żołnierz chce spędzić pół godziny z panią siedzącą w tyle ciężarówki.

Kobieta zasłoniła twarz chustą i wybuchnęła płaczem. Malec siedzący na kolanach jej męża też się rozpłakał. Mąż zrobił się blady jak tarcza księżyca. Poprosił Karima, żeby zwrócił się do „wielmożnego pana żołnierza” z prośbą o okazanie odrobiny litości, może sam ma siostrę lub matkę, może też ma żonę. Wysłuchawszy Karima, Rosjanin warknął coś przez zęby.

– Mówi, że to jest należność za pozwolenie przejazdu – wyjaśnił Karim, nie mogąc spojrzeć w oczy mężowi kobiety.

– Przecież już dostał uczciwą zapłatę. To były niemałe pieniądze – powiedział mąż.

Karim i Rosjanin znów się porozumieli.

– On mówi… że od każdej sumy jest podatek.

Wtedy *baba* się podniósł. Teraz ja zacisnąłem rękę na jego udzie, ale się wyrwał. Stał, zasłaniając księżyc.

– Chcę, żebyś zadał temu człowiekowi pytanie. – Zwrócił się do Karima, ale patrzył prosto na rosyjskiego żołnierza. – Zapytaj, czy on nie ma wstydu.

Tamci wymienili kilka zdań.

– Mówi, że toczy się wojna. Na wojnie nie ma się co wstydzić.

– Powiedz mu, że jest w błędzie. Wojna nie zwalnia od przyzwoitości. W istocie wymaga przyzwoitego postępowania jeszcze bardziej niż czasy pokoju.

Czy ty zawsze musisz być bohaterem? Czy nie możesz choć raz odpuścić? – pomyślałem z trzepoczącym sercem. Wiedziałem jednak, że nie mógł postąpić inaczej – taki miał charakter. Kłopot polegał na tym, czy z powodu jego charakteru my wszyscy nie postradamy życia.

Rosyjski żołnierz odpowiedział Karimowi, wykrzywiając lekko usta w uśmiechu.

– *Agha saheb* – rzekł Karim – ci *Rusi* są inni niż my. Nie mają pojęcia o szacunku, o honorze.

– Co on powiedział?

– Mówi, że wsadzi panu kulkę w łeb prawie z taką samą przyjemnością, jak… – Umilkł, wskazując głową młodą kobietę, która wpadła w oko strażnikowi.

Rosjanin wyrzucił niedopałek papierosa i wyjął z kabury rewolwer.

A więc tu umrze *baba*, przebiegło mi przez myśl, tak to się odbędzie. W duchu zacząłem odmawiać modlitwę, której nauczono mnie w szkole.

– Powiedz mu, że może mnie podziurawić jak sito, ale nie dopuszczę do takiej nieprzyzwoitości – oświadczył tato.

W mojej pamięci odżyło wspomnienie tamtego zimowego dnia przed sześcioma laty. Zerkam zza węgła w zaułek, Kamal i Wali przytrzymują Hasana. Pośladki Asefa zaciskają się i rozluźniają, biodra poruszają się w przód i w tył. Wielki był ze mnie bohater, skoro tak bardzo zależało mi na latawcu. Czasem i ja zastanawiałem się, czy rzeczywiście jestem synem swego ojca.

Rosjanin o twarzy buldoga uniósł broń.

– Proszę cię, tato, usiądź – szepnąłem, pociągając ojca z rękaw. – On naprawdę chce cię zastrzelić.

Baba strząsnął moją dłoń.

– Czy ja cię niczego nie nauczyłem? – warknął, po czym odezwał się do Karima, patrząc na uśmiechniętego szeroko żołnierza: – Powiedz mu, żeby postarał się zabić mnie jednym strzałem. Bo jeśli nie padnę od razu, to rozerwę go na kawałki! Przeklęty niech będzie jego ojciec!

Rosjanin wysłuchał tłumaczenia z niezmiennym uśmiechem. Rozległ się trzask odbezpieczanego rewolweru. Lufa została skierowana w pierś taty. Serce podeszło mi do gardła. Schowałem twarz w dłoniach.

Huknął strzał.

A więc stało się, przemknęło mi przez myśl. Mam osiemnaście lat, jestem sam na świecie. *Baba* nie żyje i muszę go teraz pochować. Gdzie go pogrzebię? Dokąd potem pójdę?

Gonitwa urywanych myśli ustała, gdy uchyliłem powieki i ujrzałem wciąż stojącego ojca. Obok żołnierzy pojawił się drugi Rosjanin, oficer. To z jego broni skierowanej lufą w górę wydobywała się smużka dymu. Żołnierz, który chciał zastrzelić mojego ojca, już schował rewolwer do kabury. Przestępował z nogi na nogę. Jeszcze nigdy nie czułem się tak, jakbym miał jednocześnie rozpłakać się i roześmiać.

Rosyjski oficer, przysadzisty, o szpakowatych włosach, odezwał się do nas łamanym dari. Przeprosił za zachowanie kolegi.

– Rosja wysyła ich tutaj, żeby walczyli – powiedział. – Ale to jeszcze chłopcy. Po przyjeździe znajdują przyjemność w narkotykach. – Popatrzył na młodego żołnierza ze smutkiem, jak ojciec przygnębiony niewłaściwym zachowaniem syna. – On coś wziął. Spróbuję go pohamować… – Machnął ręką na pożegnanie.

Chwilę później ruszyliśmy. Usłyszałem śmiech, a potem głos młodego Rosjanina, który znowu śpiewał starą weselną pieśń, bełkocząc i fałszując.

*

Jechaliśmy w milczeniu może piętnaście minut, gdy mąż młodej kobiety nagle wstał i wykonał gest, który na moich oczach zrobiło wcześniej wielu: pocałował mego ojca w rękę.

*

Pechowiec Tur. Czy w Mahipar nie doleciał moich uszu ten strzęp rozmowy?

Wjechaliśmy do Dżalalabadu mniej więcej na godzinę przed wschodem słońca. Karim szybko przeprowadził nas z ciężarówki do parterowego domu stojącego przy skrzyżowaniu dwóch dróg gruntowych, wzdłuż których stały parterowe, podzielone na mieszkania domy, akacje i zamknięte sklepy. Było zimno, więc podniosłem kołnierz kurtki, gdy w pośpiechu wchodziliśmy do środka, ciągnąc za sobą nasz dobytek. Nie wiem dlaczego, ale pozostał mi w pamięci zapach rzodkiewki.

Gdy znaleźliśmy się w słabo oświetlonym, nieumeblowanym salonie, Karim zaciągnął podarte prześcieradła, które służyły jako zasłony. Następnie wziął głęboki oddech i przekazał nam złe wiadomości: jego brat Tur nie może zabrać nas do Peszawaru, ponieważ przed tygodniem rozleciał się silnik jego ciężarówki i jeszcze nie przyszły części.

– Przed tygodniem?! – zawołał ktoś. – Skoro o tym wiedziałeś, dlaczego nas tu przywiozłeś?

Kątem oka dostrzegłem jakiś ruch. Rozmazana smuga śmignęła przez pokój i sekundę później zobaczyłem przygwożdżonego do ściany Karima, jego stopy w sandałach wisiały pół metra nad podłogą. Ręce ojca zaciskały się na jego szyi.

– Wyjaśnię wam – warknął *baba*. – Dostał zapłatę za przywiezienie nas tutaj i nic więcej go nie obchodziło.

Karim zaczął się krztusić i dławić. Z kącika ust skapywała mu ślina.

– Niech pan go puści. Jeszcze go pan zabije – powiedział jeden z pasażerów.

– Właśnie to zamierzam zrobić – odrzekł *baba*.

Nikt w pokoju nie przypuszczał, że tato mówi serio. Karim zrobił się czerwony na twarzy, wierzgał nogami. *Baba* trzymał go za szyję, aż w końcu młoda matka, która spodobała się rosyjskiemu żołnierzowi, zaczęła go błagać, żeby przestał.

Ojciec zwolnił uchwyt. Karim runął na podłogę i gwałtownie łapał powietrze. W pokoju zapadła cisza. Niecałe dwie godziny wcześniej tata wystawiał się dobrowolnie na strzał, żeby bronić czci nieznanej sobie kobiety. A teraz niemal udusił człowieka, zabiłby go z przyjemnością, gdyby nie wstawiennictwo tej samej kobiety.

Obok rozległo się walenie. Nie, nie obok – z dołu.

– Co to takiego? – zapytał ktoś.

– Pozostali – wysapał ciężko Karim. – W piwnicy.

– Jak długo tam siedzą? – warknął *baba*, stojąc nad Karimem.

– Dwa tygodnie.

– Jak mi się zdaje, mówiłeś, że ciężarówka zepsuła się w zeszłym tygodniu.

Karim potarł szyję.

– Może było to tydzień wcześniej – wychrypiał.

– Kiedy przyjadą?

– Że co?

– Części! – ryknął *baba* tak głośno, że Karim zadygotał, ale nie odezwał się słowem.

Cieszyłem się, że w mroku nie widzę krwiożerczego oblicza swego ojca.

*

Smród stęchlizny, jakby pleśni, natychmiast buchnął mi w twarz, gdy Karim otworzył drzwi na rozklekotane schody, które prowadziły do piwnicy. Schodziliśmy gęsiego. Stopnie skrzypiały pod ciężarem taty. Stojąc w zimnej piwnicy, czułem na sobie spojrzenia mrugających w ciemności oczu. Dostrzegłem zbite w grupki postacie, których cienie kładły się na ściany w świetle dwóch lamp naftowych. W piwnicy niósł się cichy pomruk – z dołu dochodził odgłos cieknącej gdzieś wody – i coś w rodzaju chrobotu.

Stojący za mną *baba* westchnął i postawił bagaże.

Karim powiedział nam, że to kwestia zaledwie paru dni, ciężarówka zostanie zreperowana i ruszymy do Peszawaru. Tam będziemy wolni i bezpieczni.

Piwnica stała się naszym domem na następny tydzień. Po trzech dniach zorientowałem się, co tak chrobocze. Szczury.

*

Gdy oczy przywykły do mroku, doliczyłem się trzydziestu uchodźców zamkniętych w piwnicy. Siedzieliśmy ramię przy ramieniu pod ścianami, jedliśmy herbatniki, chleb, daktyle i jabłka. Pierwszej nocy wszyscy mężczyźni wspólnie odprawiali modły. Jeden z nich zapytał ojca, dlaczego nie chce się przyłączyć.

– Bóg nas wszystkich ocali – rzekł. – Dlaczego się do Niego nie modlisz?

Baba zażył odrobinę tabaki. Wyciągnął przed siebie nogi.

– Ocali nas osiem cylindrów i dobry gaźnik – oświadczył.

Tym stwierdzeniem uciął dalsze rozmowy o Bogu.

Później tej pierwszej nocy zorientowałem się, że razem z nami ukrywają się Kamal i jego ojciec. Przeżyłem wstrząs, widząc Kamala

siedzącego w odległości zaledwie kilku metrów ode mnie. Ale gdy obaj podeszli do nas i zobaczyłem twarz Kamala, gdy naprawdę mu się przyjrzałem…

Zmarniał – inaczej nie dało się tego określić. Patrzył na mnie pustym wzrokiem jak na nieznajomego. Był przygarbiony, miał zapadnięte policzki, można by sądzić, że wymęczona skóra nie chciała trzymać się kości. Jego ojciec, właściciel kina w Kabulu, mówił tacie, że przed trzema miesiącami zabłąkana kula trafiła jego żonę w skroń i zabiła ją na miejscu. Potem opowiedział o Kamalu. Wychwyciłem tylko strzępy rozmowy. „W żadnym wypadku nie powinienem był puszczać go samego… wiesz, taki przystojny… było ich czterech… stawiał opór… Boże… wzięli go… płynęła mu stamtąd krew… całe spodnie… przestał się odzywać… tylko patrzy tępo…”.

*

Ciężarówka nie przyjedzie, poinformował nas Karim po tygodniu naszego siedzenia w zaszczurzonej piwnicy. Nie dało się jej zreperować.

– Jest inna możliwość – podniósł głos, starając się przekrzyczeć żałosny jęk.

Jego kuzyn ma autocysternę i już kilka razy przemycał nią ludzi. Jest tutaj, w Dżalalabadzie. Wszyscy się zmieścimy.

Cała grupa, prócz starszego małżeństwa, zgodziła się.

Wyjechaliśmy tej samej nocy – *baba* i ja, Kamal ze swoim ojcem i reszta. Z pomocą Karima i jego kuzyna Aziza, łysiejącego mężczyzny o kwadratowej twarzy, wchodziliśmy do samochodu z już pracującym silnikiem: gęsiego, na tylny podest, po drabince, do zbiornika na paliwo. Pamiętam, że *baba* wdrapał się do połowy drabinki, zeskoczył na dół i wyjął z kieszeni tabakierkę. Opróżnił pudełko i zebrał garść ziemi z drogi

gruntowej. Pocałował ziemię. Wsypał do pudełka i schował do kieszonki na piersi, przy sercu.

*

Popłoch.

Otwierasz usta. Otwierasz tak szeroko, że strzela ci szczęka. Każesz płucom zaczerpnąć powietrza – natychmiast – nie masz czym oddychać, musisz natychmiast nabrać powietrza. Ale drogi oddechowe cię nie słuchają. Nie funkcjonują, zaciskają się, kurczą, nagle oddychasz przez słomkę. Usta się zamykają, wargi się sznurują i wydajesz z siebie zduszony skrzek. Machasz drżącymi rękami. Gdzieś rozwiera się tama i wycieka zimny pot, oblewa cię całego. Chcesz krzyczeć. Zrobiłbyś to, gdybyś mógł. Ale żeby krzyczeć, trzeba oddychać.

Popłoch.

W piwnicy było ciemno. W zbiorniku na paliwo było ciemno choć oko wykol. Patrzyłem w prawo, w lewo, w górę, w dół, machałem rękami przed nosem i nie widziałem ani drgnienia. Mrugałem powiekami raz i drugi. Nic. Powietrze też było nie takie jak należy, za gęste, niemal skrzepłe. Powietrze nie powinno krzepnąć. Chciałem wyciągnąć ręce, rozbić powietrze na kawałki, wepchnąć je do tchawicy. I ten smród benzyny. Oczy piekły mnie od oparów, jakby ktoś wywinął mi powieki i wtarł w nie cytrynę. Przy każdym oddechu paliło mnie w nosie. W takim miejscu można umrzeć, pomyślałem. Rósł we mnie krzyk, wzmagał się i wzmagał…

I wtedy wydarzył się mały cud. *Baba* pociągnął mnie za rękaw i w ciemności zabłysło coś zielonego. Światło! Zegarek taty. Nie odrywałem wzroku od tych fluorescencyjnych zielonych wskazówek. Ze strachu, że mi znikną, nie śmiałem mrugać powiekami.

Z wolna uprzytamniałem sobie, co się dzieje dokoła mnie. Słyszałem pojękiwanie i stłumione słowa modlitwy. Słyszałem płacz dziecka i kojący szept jego matki. Komuś zbierało się na wymioty. Ktoś inny przeklinał *Szourawi*. Cysterna kołysała się, podskakiwała. Głowy uderzały o metalowe ściany.

– Myśl o czymś dobrym – powiedział mi *baba* do ucha. – O czymś przyjemnym.

Coś dobrego. Coś przyjemnego. Błądziłem myślami i w końcu dopuściłem to do siebie.

Piątkowe popołudnie w Paghmanie. Rozległa murawa nakrapiana kwitnącymi drzewami morwowymi. Stoimy z Hasanem po kostki w bujnej trawie. Pociągam za linkę, szpula obraca się w zrogowaciałych dłoniach Hasana, obaj patrzymy w górę na latawca. Nie pada ani jedno słowo – nie dlatego, że nie mamy sobie nic do powiedzenia, ale dlatego, że nie musimy nic mówić. Tak już jest między ludźmi, którzy są dla siebie nawzajem najwcześniejszym wspomnieniem, których wykarmiła ta sama kobieta. Źdźbła trawy kołyszą się na wietrze. Linka odwija się ze szpuli trzymanej luźno przez Hasana. Latawiec wiruje, pikuje, odzyskuje równowagę. Nasze bliźniacze cienie tańczą na falującej trawie. Gdzieś zza niskiego ceglanego muru na przeciwległym krańcu murawy dochodzi nas gwar rozmów, śmiech, plusk fontanny. I muzyka, stara i znajoma, chyba *Ja Moula* wykonywany na rebabie. Zza ogrodzenia ktoś wykrzykuje nasze imiona, woła na podwieczorek.

Nie pamiętałem, w jakim to było miesiącu ani nawet w którym roku. Wiedziałem tylko tyle, że to wspomnienie we mnie żyje, doskonale zachowany okruch dobrej przeszłości, barwna smuga na szarym, gołym płótnie, jakim stało się nasze życie.

*

Reszta tej podróży pozostawiła w mojej pamięci wyrywkowe wspomnienia, które napływają i odpływają, przede wszystkim dotyczą dźwięków i zapachów. Pamiętam huk przelatujących nad nami MiG-ów, staccato karabinów maszynowych, ryki osła gdzieś niedaleko, pobrzękiwanie dzwonków i beczenie owiec, chrzęst żwiru pod kołami cysterny, zawodzenie dziecka w ciemności, smród benzyny, rzygowin i gówna.

Następne wspomnienie to oślepiające światło poranka, gdy wyszliśmy ze zbiornika. Pamiętam, jak uniosłem głowę do nieba, zmrużyłem oczy i oddychałem, tak jakby zaraz miało zabraknąć na świecie powietrza. Położyłem się przy kamienistym rowie na skraju drogi gruntowej i patrzyłem na szare poranne niebo, wdzięczny za powietrze, za światło, za to, że żyję.

– Jesteśmy w Pakistanie, Amirze – powiedział *baba*, stając nade mną. – Karim mówi, że ściągnie autobus, którym dojedziemy do Peszawaru.

Wciąż leżąc na chłodnej ziemi, przewróciłem się na brzuch i zobaczyłem nasze walizki na lewo i na prawo od ojca. W odwróconym V między jego nogami widziałem kawałek pobocza i stojącą z zapalonym silnikiem autocysternę, z której schodzili po drabince z tyłu pozostali uchodźcy. Dalej droga ciągnęła się wśród pól wyglądających przy szarości nieba jak blachy ołowiane, przecinała małą wioskę na spieczonym słońcem zboczu i znikała za linią kopulastych wzgórz.

Przeniosłem wzrok z powrotem na nasze bagaże i zrobiło mi się żal taty. Tyle zbudował, zaplanował, wywalczył, tyle miał trosk, tyle marzeń, a z całego życia pozostało mu teraz tylko to: jeden niespełniający oczekiwań syn i dwie walizki.

Ktoś krzyczał. Nie, nie krzyczał – zawodził. Zobaczyłem stojących w kole pasażerów, usłyszałem ich gniewne głosy. Doleciało mnie słowo „opary”. Ktoś inny je powtórzył. Zawodzenie przeszło w krzyk rozdzierający gardło.

Podbiegliśmy do gromadki ludzi i przepchnęliśmy się do środka. W kręgu siedział ze skrzyżowanymi nogami ojciec Kamala, kołysał się w przód i w tył, całując poszarzałą twarz syna.

– On nie może oddychać! Mój syn nie może oddychać! – wołał.

Trzymał na kolanach martwe ciało. Prawa ręka Kamala, wyciągnięta i bezwładna, podskakiwała przy każdym szlochu jego ojca.

– Mój syn! Nie może oddychać! Niech Allah sprawi, żeby zaczął oddychać!

Baba uklęknął przy nim i objął go ramieniem. Ojciec Kamala odepchnął go i rzucił się na Karima, który stał opodal ze swoim kuzynem. Wszystko potoczyło się bardzo szybko, trwało tak krótko, że nawet nie można było nazwać tego szamotaniną. Zaskoczony Karim krzyknął i się cofnął. Zobaczyłem rękę zataczającą łuk, nogę wymierzającą kopniaka. Chwilę później ojciec Kamala stał z bronią Karima w ręce.

– Nie zabijaj mnie! – krzyknął Karim.

Zanim ktokolwiek zdążył się odezwać czy ruszyć, ojciec Kamala wsadził sobie lufę do ust. Nigdy nie zapomnę echa tego wystrzału. Ani rozbłysku i tryskającej krwi.

Zgięty wpół stałem na poboczu, nie mogąc już nic zwymiotować.

11

Fremont, Kalifornia, lata osiemdziesiąte

B*aba* uwielbiał Amerykę, w swoich wyobrażeniach.

Ale żyjąc tam, dostał wrzodu żołądka.

Pamiętam, jak szliśmy razem przez park nad jeziorem Elizabeth we Fremoncie, kilka przecznic od naszego mieszkania, przyglądając się chłopcom ćwiczącym uderzenia kijem baseballowym i rozchichotanym dziewczynkom, które bujały się na huśtawkach na placu zabaw. Podczas tych spacerów *baba* wygłaszał rozwlekłe wykłady, żeby zapoznać mnie ze swoimi poglądami politycznymi.

– Na świecie jest tylko trzech prawdziwych mężczyzn, Amirze – mówił, po czym odginał palce i wyliczał: Ameryka, arogancki zbawca, Wielka Brytania i Izrael. – Reszta to, phi, stare plotkary. – Machał lekceważąco ręką.

Jego sądy o Izraelu wprawiały w gniew Afgańczyków z Fremontu, którzy zarzucali mu prożydowskość i de facto antyislamizm. Spotykali się w parku, przy herbacie i cieście kardamonowym, i tam *baba* doprowadzał ich do szaleństwa, wyłuszczając swoje poglądy polityczne.

– Oni nie mogą pojąć – mówił mi później – że religia nie ma z tym nic wspólnego.

Jego zdaniem Izrael stanowił wyspę prawdziwych mężczyzn w morzu Arabów zbyt zajętych dorabianiem się na ropie, by dbać o swoich.

– Izrael postępuje tak, Izrael postępuje siak – drwił, naśladując arabską wymowę. – No to zróbcie coś z tym! Zacznijcie działać. Jesteście Arabami, więc pomóżcie Palestyńczykom!

Nie znosił Jimmy'ego Cartera, nazywał go „zębatym kretynem". W 1980 roku, gdy jeszcze mieszkaliśmy w Kabulu, Stany Zjednoczone ogłosiły bojkot Igrzysk Olimpijskich w Moskwie.

– *Wah, wah!* – wykrzyknął oburzony *baba*. – Breżniew masakruje Afgańczyków, a ten hodowca orzeszków ziemnych umie tylko powiedzieć: „Nie będę pływać w waszym basenie".

Twierdził, że Carter mimowolnie przysłużył się komunizmowi bardziej niż Breżniew.

– On się nie nadaje na przywódcę tego kraju. To tak jakby posadzić chłopca, który nie umie jeździć na rowerze, za kółkiem nowiutkiego cadillaca.

Według niego Ameryce i całemu światu był potrzebny twardy człowiek, z którym wszyscy będą się liczyć i który zamiast załamywać ręce, podejmie działania. Tym człowiekiem okazał się Ronald Reagan. Gdy Reagan wystąpił w telewizji i nazwał *Szourawi* „imperium zła", *baba* poszedł kupić portret prezydenta, który z szerokim uśmiechem unosi kciuk. Oprawił wizerunek i zawiesił w holu u nas w domu, obok czarno-białej fotografii przedstawiającej jego samego w wąskim krawacie, jak ściska dłoń króla Zahera Szaha. Nasi sąsiedzi we Fremoncie byli w większości kierowcami autobusów, policjantami, pracownikami stacji benzynowych albo samotnymi matkami na zasiłkach. Właśnie tacy pracownicy fizyczni mieli wkrótce dusić się pod poduchą reaganomiki przyciśniętej im do twarzy. *Baba* był jedynym republikaninem wśród mieszkańców naszego budynku.

Jednak smog w Bay Area piekł go w oczy, ruch uliczny przyprawiał o ból głowy, pyłki zaś wywoływały kaszel. Owoce nigdy nie były dostatecznie słodkie, a woda wystarczająco czysta, no i gdzie się podziały drzewa i otwarte pola? Przez dwa lata starałem się namówić ojca, żeby podreperował swój łamany angielski na kursach dla cudzoziemców. Ale on z drwiną odrzucał ten pomysł: „Może wtedy uda mi się przeliterować poprawnie słowo *cat* i nauczyciel przypnie mi gwiazdkę ze złotka, a ja przylecę do domu, żeby ci się pochwalić. Tego chcesz?”.

Pewnej niedzieli wiosną 1983 roku wszedłem do małej księgarni z używanymi książkami, mieszczącej się obok hinduskiego kina, na zachód od przecięcia się linii kolejowej Amtraku z Fremont Boulevard. Powiedziałem ojcu, że spędzę tam nie więcej niż pięć minut, na co on wzruszył ramionami. Pracował na stacji benzynowej we Fremoncie i tego dnia miał wolne. Patrzyłem, jak przecina Fremont Boulevard w niedozwolonym miejscu i wchodzi do Fast & Easy, małego sklepu spożywczego, który prowadziło wietnamskie małżeństwo, państwo Nguyenowie, sympatyczni starsi ludzie o siwych włosach; ona chorowała na parkinsona, on miał wymieniony staw biodrowy. „Mąż jest teraz jak z filmu *Człowiek za sześć milionów dolarów* – mówiła pani Nguyen, obdarzając mnie bezzębnym uśmiechem. – Pamiętasz ten serial, Amirze?”. A wtedy pan Nguyen marszczył gniewnie brwi niczym Lee Majors i udawał, że biegnie w zwolnionym tempie.

Przeglądałem zniszczony kryminał z Mikiem Hammerem, gdy nagle rozległ się krzyk i brzęk tłuczonego szkła. Rzuciłem książkę i przebiegłem przez ulicę. Zastałem właścicieli sklepu za ladą, przyklejonych do ściany, pobladłych, pan Nguyen trzymał w objęciach żonę. Na podłodze leżały pomarańcze, stojak z rozrzuconymi czasopismami i rozbity słój z paskami suszonej wołowiny; u stóp mojego ojca było pełno szkła.

Okazało się, że *baba* nie miał przy sobie pieniędzy, żeby zapłacić za pomarańcze. Wypisał czek panu Nguyenowi, a ten poprosił go o dowód tożsamości.

– On domaga się mojego prawa jazdy! – ryczał *baba* w języku dari. – Prawie dwa lata kupujemy jego cholerne owoce i napychamy mu kieszeń pieniędzmi, a ten psi syn domaga się mojego prawa jazdy!

– Pan Nguyen nie ma nic przeciwko tobie, *baba* – powiedziałem, uśmiechając się do Wietnamczyka. – Oni mają obowiązek prosić o dowód tożsamości.

– Nie chcę pana więcej tu widzieć – odezwał się właściciel sklepu, stając przed żoną i czubkiem laski wskazując mojego ojca, po czym zwrócił się do mnie: – Pan jest miłym młodzieńcem, ale pański ojciec to szaleniec. Niepożądany klient.

– Czy on ma mnie za złodzieja? – zapytał *baba* podniesionym głosem. Przed sklepem już gromadzili się gapie. – Co za kraj! Nikt nikomu nie ufa!

– Wezwę policję – odezwała się właścicielka sklepu, wystawiając głowę zza pleców męża. – Zabierajcie się stąd, bo wezwę policję.

– Proszę tego nie robić, pani Nguyen. Zaprowadzę go do domu. Tylko niech pani nie dzwoni po policję, dobrze? Proszę.

– No właśnie, niech pan zaprowadzi go do domu. Dobry pomysł – rzekł pan Nguyen, cały czas patrząc na tatę przez dwuogniskowe okulary w drucianej oprawce.

Poprowadziłem ojca do wyjścia. Po drodze kopnął leżące na podłodze czasopismo. Kazałem mu obiecać, że nie wejdzie znów do tego sklepu, a potem wróciłem tam, by przeprosić państwa Nguyenów. Powiedziałem, że ojciec przeżywa ciężkie chwile. Podałem pani Nguyen nasz adres i numer telefonu i poprosiłem, żeby oszacowała straty.

– Gdy tylko pani to zrobi, proszę do mnie zadzwonić. Zapłacę za wszystko. Bardzo mi przykro.

Wzięła kartkę i kiwnęła głową. Widząc, że ręce trzęsą jej się bardziej niż zwykle, byłem zły na tatę, że doprowadził staruszkę do takiego stanu.

– Mój ojciec jeszcze nie zaaklimatyzował się w Ameryce – dodałem gwoli wyjaśnienia.

Chciałem powiedzieć państwu Nguyenom, że w Kabulu odłamywaliśmy z Hasanem gałąź i spełniała ona funkcję karty kredytowej. Zanosiliśmy kij do piekarza, a ten nacinał go nożem – jedno nacięcie za każdy chleb *nan* wyjęty z huczącego ognia w piecu *tandur*. Pod koniec miesiąca ojciec płacił należność zgodnie z liczbą nacięć. I załatwione. Bez pytań. Bez dowodu tożsamości.

Nie zrobiłem tego, tylko wyraziłem wdzięczność właścicielowi sklepu za to, że nie zadzwonił na policję. Zaprowadziłem tatę do domu. Nadąsany usiadł z papierosem na balkonie, a ja zacząłem szykować ryż z duszonymi szyjkami kurczaka. Minęło półtora roku od dnia, gdy wysiedliśmy z boeinga lecącego z Peszawaru, a *baba* jeszcze się nie zaaklimatyzował.

Tego wieczoru jedliśmy w milczeniu. Po dwóch kęsach odsunął talerz.

Zerknąłem na siedzącego naprzeciwko mnie ojca: paznokcie połamane i czarne od oleju silnikowego, knykcie otarte, ubranie zalatujące zapachem stacji benzynowej – kurzu, potu i benzyny. Przypominał wdowca, który żeni się powtórnie, ale nie może zapomnieć o zmarłej żonie. Tęsknił za polami trzciny cukrowej w Dżalalabadzie i ogrodami w Paghmanie. Brakowało mu ludzi przewijających się przez jego dom, spacerów zatłoczonymi alejkami bazaru Szor, gdzie zawsze spotykał masę znajomych, swoich, swego ojca i swego dziadka, pozdrawiał ludzi, którzy byli z nim spokrewnieni, których przeszłość splatała się z jego przeszłością.

Dla mnie Ameryka była miejscem, gdzie grzebałem wspomnienia.

Dla taty była miejscem, gdzie lamentował nad wspomnieniami.

– A może byśmy wrócili do Peszawaru? – powiedziałem, patrząc na kostkę lodu pływającą w szklance z wodą.

Spędziliśmy w Peszawarze pół roku, czekając, aż Urząd Imigracyjny wyda nam wizy. W naszym zapuszczonym dwupokojowym mieszkaniu unosił się zapach brudnych skarpetek i kocich odchodów, ale otaczali nas ludzie, których znaliśmy – których znał *baba*. Zapraszał sąsiadów z całego piętra na kolacje, w większości Afgańczyków czekających na wizy. Jak było do przewidzenia, jeden przynosił tablę, drugi fisharmonię. Parzono herbatę. Ci, którzy mieli znośny głos, śpiewali, aż wzeszło słońce, ucichło bzykanie komarów i gości rozbolały dłonie od klaskania.

– Tam byliśmy szczęśliwsi, *baba*. Czuliśmy się bardziej jak w domu – dodałem.

– Peszawar był dobry dla mnie. Nie dla ciebie.

– Za ciężko tu pracujesz.

– Teraz nie jest tak źle – odparł.

Miał na myśli to, że pracował lżej, od kiedy został kierownikiem dziennej zmiany na stacji benzynowej. Gdy przychodziły deszczowe dni, widziałem jednak, jak krzywi się i rozciera nadgarstki. Widziałem, jak po posiłkach występuje mu na czoło pot i *baba* sięga po butelkę ze środkiem neutralizującym kwasy żołądkowe.

– Poza tym przywiozłem cię tutaj nie ze względu na siebie – dorzucił.

Wyciągnąłem rękę przez stół i przykryłem jego dłoń swoją. Moja studencka dłoń, czysta i delikatna, leżała na jego robociarskiej dłoni, brudnej i zrogowaciałej. Pomyślałem, ile ciężarówek, kolejek i rowerów kupił mi w Kabulu. A teraz Ameryka. Ostatni podarunek dla Amira.

Miesiąc po przyjeździe do Stanów *baba* znalazł zatrudnienie na stacji benzynowej opodal Washington Boulevard, należącej do znajomego

Afgańczyka – zaczął szukać pracy już pierwszego tygodnia. Pracował przez sześć dni w tygodniu po dwanaście godzin – nalewał paliwo, obsługiwał kasę, wymieniał olej i mył przednie szyby. Gdy przynosiłem mu czasem lunch, zastawałem go za usmarowaną olejem ladą, jak szukał na półkach paczki papierosów, a po drugiej stronie czekał klient. W jaskrawym świetle jarzeniówki miał mizerną, bladą twarz. Wchodziłem do środka i rozlegało się dzyń, dzyń elektronicznego dzwonka nad drzwiami; *baba* spoglądał wtedy przez ramię załzawionymi ze zmęczenia oczami i machał do mnie z uśmiechem.

W dniu gdy go zatrudniono, poszliśmy do naszej opiekunki społecznej w San Jose, pani Dobbins. Była otyłą Murzynką, miała błyszczące oczy i dołki w policzkach, gdy się uśmiechała. Pewnego razu powiedziała mi, że śpiewa w kościele; uwierzyłem na słowo – jej głos kojarzył mi się z ciepłym mlekiem i miodem. *Baba* położył na biurku plik bonów żywnościowych.

– Bardzo dziękuję, nie trzeba – rzekł. – Zawsze praca. W Afganistanie praca, w Ameryce praca. Bardzo dziękuję, pani Dobbins, nie lubię pieniędzy za nic.

Kobieta zrobiła wielkie oczy. Wzięła do ręki bony, spojrzała na mnie, potem na tatę takim wzrokiem, jakbyśmy spłatali jej figla albo „wykręcili numer”, jak mówił Hasan.

– Pracuję tu piętnaście lat i coś takiego widzę po raz pierwszy – powiedziała.

Tak *baba* zakończył tę upokarzającą procedurę wręczania bonów kasjerce i uwolnił się od jednego ze swych największych lęków: że jakiś Afgańczyk przyłapie go na kupowaniu żywności z zapomogi. Gdy wychodził z biura opieki społecznej, wyglądał jak człowiek wyleczony z raka.

*

Latem 1983 roku, w wieku dwudziestu lat, ukończyłem szkołę średnią. Byłem bez wątpienia najstarszym z maturzystów zgromadzonych tamtego dnia na boisku do rugby, którzy podrzucali w powietrze kwadratowe czapki z płaskim denkiem. Pamiętam, że *baba* zapodział mi się w tłumie rodziców, wśród błysków fleszy i szafirowych tog. Zobaczyłem go przy linii dwudziestu jardów, z rękami w kieszeniach i aparatem fotograficznym dyndającym na piersi. Znikał i pojawiał się w gęstwinie rozdzielających nas ludzi: ubranych na szafirowo dziewcząt, które obejmowały się z piskiem i płaczem, oraz chłopców przybijających piątkę ojcom i sobie nawzajem. Tacie zaczęła siwieć broda, włosy przerzedziły się na skroniach – czyżby mi się wydawało, że w Kabulu był wyższy? Miał na sobie brązowy garnitur – posiadał tylko ten jeden i wkładał go na afgańskie wesela i pogrzeby – oraz czerwony krawat, który kupiłem mu tamtego roku na pięćdziesiąte urodziny. Gdy mnie dostrzegł, pomachał ręką. Uśmiechnął się. Gestem pokazał, żebym włożył czapkę, i zrobił mi zdjęcie na tle szkolnej wieży zegarowej. Posłałem mu uśmiech – w pewnym sensie ten dzień był większym świętem dla niego niż dla mnie. Ojciec podszedł do mnie, objął za szyję i pocałował w czoło.

– Jestem *moftacher,* Amirze – rzekł. To znaczy dumny.

Oczy mu lśniły, gdy to mówił, a ja byłem uradowany, że jego spojrzenie pada na mnie.

Wieczorem zabrał mnie do afgańskiej kebabiarni w Hayward. Zamówił więcej dań, niż mogliśmy zjeść. Powiedział właścicielowi, że jego syn idzie jesienią na studia. Tuż przed maturą doszło między nami do krótkiej sprzeczki na ten temat. Wspomniałem mu, że chcę podjąć pracę. Pomóc finansowo, odłożyć trochę pieniędzy i być może rozpocząć studia za rok.

Gdy *baba* obrzucił mnie swoim piorunującym spojrzeniem, słowa zamarły mi na ustach.

Po kolacji ojciec postanowił pójść ze mną do baru po drugiej stronie ulicy. Lokal był mroczny, przesiąknięty ostrym zapachem piwa, którego nigdy nie lubiłem. Mężczyźni w podkoszulkach i czapkach baseballowych grali w bilard, chmury dymu papierosowego unosiły się nad zielonymi stołami i kłębiły w świetle jarzeniówek. Przyciągaliśmy spojrzenia – *baba* w brązowym garniturze, ja w spodniach z zaszewkami i sportowej marynarce. Usiedliśmy przy bufecie, obok jakiegoś staruszka, którego szorstka twarz wyglądała niezdrowo w padającym z góry niebieskim świetle reklamy piwa Michelob. *Baba* zapalił papierosa i zamówił dwa piwa.

– Dzisiaj nie posiadam się ze szczęścia – rzucił w powietrze. – Dzisiaj piję ze swoim synem. Proszę jeszcze jedno dla mojego przyjaciela – dodał, klepiąc staruszka po plecach.

Tamten uchylił kapelusza i się uśmiechnął. Nie miał ani jednego zęba w górnej szczęce.

Baba wypił piwo trzema haustami i zamówił następne. Zdążył wypić trzy, zanim ja zmusiłem się do przełknięcia ćwierci swojego. W tym czasie postawił szkocką staruszkowi i po kuflu budweisera czterem bilardzistom. Gracze ściskali mu dłoń i klepali go po plecach. Pili jego zdrowie. Jeden z nich podał mu ogień. *Baba* rozluźnił krawat i dał staruszkowi garść ćwierćdolarówek. Wskazując szafę grającą, zwrócił się do mnie:

– Powiedz temu panu, żeby wybrał swoją ulubioną piosenkę.

Staruszek kiwnął głową i zasalutował ojcu. Po chwili zagrzmiała muzyka country i *baba*, ot tak, zaczął wspólną zabawę. W pewnej chwili wstał, uniósł kufel, rozlewając piwo na posypaną trocinami podłogę, i zawołał:

– Chrzanić Rusków!

Gruchnął śmiech i rozszedł się echem po sali. *Baba* postawił wszystkim następną kolejkę piwa.

Gdy wychodziliśmy, żegnano nas ze smutkiem. Czy to Kabul, Peszawar, czy Hayward, pomyślałem z uśmiechem, wszędzie ten sam stary *baba*.

Usiadłem za kierownicą zdezelowanego brunatnożółtego buicka century ojca i pojechaliśmy do domu. Tato przysnął po drodze, chrapał jak smok. Zalatywało od niego słodkim, ostrym zapachem tytoniu i alkoholu. Ale gdy stanąłem przed domem, wyprostował się i powiedział ochrypłym głosem:

– Jedź dalej do następnej przecznicy.

– Po co?

– Jedź.

Kazał mi zaparkować na południowym krańcu ulicy. Sięgnął do kieszeni marynarki i wręczył mi komplet kluczyków.

– Ten – powiedział, wskazując samochód przed nami.

Był to stary ford, długi i szeroki, ciemnego koloru, którego nie potrafiłem sprecyzować w słabym świetle księżyca.

– Trzeba dać nowy lakier. No i poproszę pracowników stacji, żeby wymienili amortyzatory. Ale jest na chodzie.

Oszołomiony trzymałem kluczyki i przenosiłem wzrok z taty na samochód i z powrotem.

– Przyda ci się w podróżach na uczelnię – dodał.

Ująłem jego rękę i uścisnąłem. Miałem pełne łez oczy i cieszyłem się, że w mroku nie widać naszych twarzy.

– Dziękuję, *baba*.

Przesiedliśmy się do forda. Tato powiedział, że to grand torino, granatowy. Objechaliśmy kwartał, sprawdzając działanie hamulców, radia i kierunkowskazów. Zaparkowałem samochód na parkingu przy naszym bloku i wyłączyłem silnik.

– *Taszakkor, baba.*

Chciałem powiedzieć mu dużo więcej – że jestem wzruszony jego dobrocią, wdzięczny za wszystko, co dla mnie zrobił i robi nadal. Wiedziałem jednak, że wprawię go w zażenowanie, więc tylko podziękowałem mu raz jeszcze.

Baba uśmiechnął się i oparł o zagłówek, niemal dotykając czołem sufitu. W milczeniu siedzieliśmy w ciemnym aucie i słuchaliśmy podzwaniania stygnącego silnika i zawodzenia syreny w oddali. *Baba* przechylił ku mnie głowę.

– Żałuję, że nie było dzisiaj z nami Hasana – rzekł.

Na dźwięk tego imienia poczułem, jak stalowe łapy chwytają mnie za gardło. Opuściłem szybę. Czekałem, aż uścisk zelżeje.

*

Następnego dnia po otrzymaniu dyplomu oświadczyłem ojcu, że jesienią zapiszę się do dwuletniej szkoły wyższej. Akurat pił zimną czarną herbatę i żuł nasiona kardamonu, co było jego wypróbowanym sposobem na kaca.

– Chyba pójdę na anglistykę – oznajmiłem. Trząsłem się w środku, czekając na jego reakcję.

– Na anglistykę?

– Chcę studiować sztukę pisania.

Zastanawiał się przez chwilę. Popijał herbatę małymi łykami.

– Chodzi ci o pisanie opowiadań, tak?

Spuściłem wzrok.

– Płacą za to? – zapytał.

– Jeśli autor jest dobry. I ktoś go odkryje.

– Jakie jest prawdopodobieństwo, że ktoś go odkryje?

– Takie rzeczy się zdarzają.

Kiwnął głową.

– A co będziesz robił, czekając, aż staniesz się dobrym pisarzem i ktoś cię odkryje? Skąd weźmiesz pieniądze? Gdy się ożenisz, jak utrzymasz swoją *chanum?*

Nie miałem odwagi spojrzeć mu w oczy.

– Znajdę… pracę…

– Ach tak. *Wah, wah!* – zawołał. – O ile dobrze rozumiem, zamierzasz studiować kilka lat, żeby dostać dyplom, a potem będziesz wykonywał jakąś *czati* pracę jak ja, którą równie dobrze możesz dostać dzisiaj, i wszystko w nadziei, że szczęśliwym trafem dyplom wyższej uczelni przyczyni się do tego, iż ktoś cię… odkryje.

Wziął głęboki oddech i upił łyk herbaty. Mruknął coś o medycynie, prawie i „pracy w pełnym tego słowa znaczeniu”.

Piekły mnie policzki i przepełniało poczucie winy – że zaspokajam swoje zachcianki kosztem jego wrzodów żołądka, czarnych paznokci i bolesnych nadgarstków. Uznałem jednak, że nie ustąpię. Nie chciałem więcej poświęcać się dla taty. Ostatnim razem gdy to zrobiłem, skazałem się na potępienie.

Baba westchnął i włożył do ust nie jedno nasienie, ale całą garść kardamonu.

*

Czasem siadałem za kierownicą forda, opuszczałem szybę i jeździłem godzinami – ze wschodniego wybrzeża zatoki na południowe, na północ obszaru między San Francisco a południowym brzegiem zatoki, zwanego Peninsula, i z powrotem. Przemierzałem przecinające się pod kątem prostym i wysadzane topolami ulice naszego Fremontu. Widziałem parterowe domy podzielone na mieszkania, obskurne, z zakratowanymi oknami, gdzie mieszkali ludzie, którzy nigdy nie ściskali dłoni króla; widziałem stare samochody jak mój, z których olej wyciekał na asfalt. W naszej dzielnicy podwórka za domami były ogrodzone grafitową siatką, a na zaniedbanych trawnikach od frontu walały się zabawki, łyse opony i butelki po piwie z odklejającymi się nalepkami. Mijałem cieniste parki, z których dolatywał zapach kory, i ciągnące się wzdłuż ulic centra handlowe o takiej powierzchni, że można by tam urządzić pięć zawodów *buzkaszi* jednocześnie. Jeździłem na Los Altos Hills, snułem się pośród posiadłości z oknami panoramicznymi i kutymi bramami, których strzegły srebrne lwy, i pośród domów, gdzie przy wypielęgnowanych alejkach tryskały fontanny z cherubinami i na podjazdach nie było ani jednego forda torino. Przy tych rezydencjach dom ojca w Wazir Akbar Chan wyglądał jak chata dla służby.

Nieraz wstawałem w sobotę wczesnym rankiem i ruszałem na południe autostradą numer 17, zmuszałem samochód do jazdy krętymi drogami przez góry do Santa Cruz. Przy starej latarni morskiej parkowałem i siedziałem w aucie, czekając na wschód słońca i patrząc, jak napływa mgła znad oceanu. Kiedy mieszkałem w Afganistanie, ocean widziałem tylko w kinie. Siedząc w ciemności obok Hasana, wielokrotnie zastanawiałem się, czy to prawda, że – jak dowiedziałem się z książek – morskie powietrze pachnie solą. Mówiłem Hasanowi, że pewnego dnia będziemy spacerować po plaży z wyrzuconymi na brzeg wodorostami, patrząc, jak nogi zapadają się nam

w piasku i woda odpływa od stóp. Gdy zobaczyłem Pacyfik pierwszy raz, niemal się rozpłakałem. Był wielki i niebieski jak oceany widziane w dzieciństwie na ekranach kin.

Pod wieczór zdarzało się, że zostawiałem samochód i wchodziłem na wiadukt nad autostradą. Przyciskając twarz do siatki zabezpieczającej, liczyłem mrugające tylne światła aut, które wolno się przesuwały i ciągnęły, jak wzrokiem sięgnąć. BMW. Saaby. Porsche. Samochody, których nie widziałem w Kabulu, bo tam jeżdżono zazwyczaj rosyjskimi wołgami, starymi oplami albo irańskimi pajkanami.

Minęły już prawie dwa lata od naszego przyjazdu do Stanów, a mnie wciąż zdumiewały rozmiary tego kraju, jego ogrom. Za jedną autostradą biegła kolejna, za jednym miastem zaczynało się drugie, za wzgórzami wyrastały góry, za górami wznosiły się wzgórza, a jeszcze dalej znajdowały się następne miasta i następni ludzie.

Na długo przed tym, nim do Afganistanu wkroczyły rosyjskie wojska, nim zaczęto palić wioski, burzyć szkoły, zaminowywać tereny nasionami śmierci, grzebać zabite dzieci pod stosami kamieni – na długo przed tym wszystkim Kabul stał się dla mnie miastem duchów. Duchów z zajęczą wargą.

Ameryka była inna. Niczym wartka rzeka parła do przodu, nie zważając na przeszłość. Mogłem brodzić w tej rzece, moje grzechy opadały na dno, fale niosły mnie gdzieś daleko. Tam gdzie nie było duchów, wspomnień ani grzechów.

Choćby tylko z tego powodu przyjąłem Amerykę z szeroko otwartymi ramionami.

*

Następnego lata – 1984 roku, gdy obchodziłem dwudzieste pierwsze urodziny – *baba* sprzedał buicka i nabył zdezelowanego volkswagena minibusa z 1971 roku. Kupił go za pięćset pięćdziesiąt dolarów od starego znajomego, Afgańczyka, który niegdyś prowadził zajęcia z przedmiotów ścisłych w szkole średniej w Kabulu. Sąsiedzi wybałuszyli oczy, gdy klekoczący bus pojawił się w godzinach popołudniowych na naszej ulicy i prychając, wjechał na parking. *Baba* wyłączył silnik, zapadła cisza i samochód rozpędem wtoczył się na przydzielone nam miejsce. Zapadliśmy się w fotele i śmialiśmy się, aż łzy popłynęły nam po policzkach i, co ważniejsze, aż mieliśmy pewność, że sąsiedzi przestali się na nas gapić. Z samochodu został metalowy szkielet pokryty rdzą, okna bez szyb, zaklejone czarnymi plastikowymi torbami, łyse opony i wytarta tapicerka z wyłażącymi sprężynami. Dawny nauczyciel zapewnił jednak ojca, że silnik i skrzynia biegów są w porządku, i tu nie skłamał.

W soboty *baba* budził mnie o świcie. Gdy on się ubierał, ja przeglądałem ogłoszenia w lokalnej prasie i zakreślałem kółkiem informacje o wyprzedażach garażowych. Planowałem naszą trasę: najpierw Fremont, Union City, Newark i Hayward, potem San Jose, Milpitas, Sunnyvale – no i Campbell, jeśli czas pozwalał. *Baba* prowadził, popijając gorącą herbatę z termosu, a ja byłem pilotem. Zajeżdżaliśmy pod garaż z wyprzedażą i kupowaliśmy bibeloty, których ludzie chcieli się pozbyć. Targowaliśmy się o stare maszyny do szycia, lalki Barbie z jednym okiem, drewniane rakiety tenisowe, gitary z brakującymi strunami i wysłużone odkurzacze Electroluksa. W porze popołudniowej tylna część busa była pełna rupieci. W niedzielę rano jechaliśmy na pchli targ opodal Berryessa Road w San Jose, wynajmowaliśmy stanowisko i sprzedawaliśmy graty z małym zyskiem – płyta winylowa z wytwórni w Chicago, którą poprzedniego dnia kupiliśmy za ćwierć dolara, mogła pójść za dolara albo

pięć płyt za cztery dolary; zdezelowana maszyna do szycia Singera kupiona za dziesięć dolarów mogła się sprzedać, po odpowiednich targach, za dwadzieścia pięć.

Latem tamtego roku Afgańczycy całymi rodzinami handlowali na rozległym targowisku w San Jose. Afgańska muzyka rozlegała się w alejkach, gdzie wystawiano rzeczy używane. Wszyscy postępowali zgodnie z niepisanymi normami, które obowiązują Afgańczyków na pchlim targu: trzeba było pozdrowić sprzedającego po drugiej stronie alejki, zaprosić go do siebie, poczęstować odrobiną *bolani* z nadzieniem ziemniaczanym, podać trochę *ghabuli,* jakiś czas pogawędzić. Należało wyrazić *tassali,* czyli kondolencje, z powodu śmierci ojca czy matki, złożyć gratulacje z powodu narodzin dzieci i pokręcić ze smutkiem głową, gdy mówiło się o Afganistanie i Rosjanach – a prędzej czy później rozmowa nieuchronnie schodziła na ten temat. Ale nie wspominało się o sobocie. Mogło się bowiem okazać, że dzień wcześniej to właśnie naszego sąsiada z naprzeciwka omal nie stuknęliśmy przy zjeździe z autostrady, chcąc pojawić się przed nim na obiecującej wyprzedaży.

W alejkach targowiska częściej niż herbatę roznoszono tylko plotki. Popijając zieloną herbatę i pogryzając migdałowe *kolcza,* można było się dowiedzieć, czyja córka zerwała zaręczyny i uciekła ze swoim amerykańskim chłopakiem, kto w Kabulu należał do Parczami – czyli partii komunistycznej – i kto będąc na zasiłku, zarabiał „na lewo” i kupił sobie dom. Składnikami afgańskiej niedzieli na pchlim targu były: herbata, polityka i plotki z posmakiem skandalu.

Czasami ja zajmowałem się handlem, a *baba* przechadzał się wtedy alejką, na znak szacunku trzymając ręce na piersi i pozdrawiając znajomych z Kabulu – mechaników i krawców, którzy sprzedawali używane płaszcze

z wełny i odrapane kaski rowerowe, oraz byłych ambasadorów, bezrobotnych chirurgów i profesorów uniwersytetu.

Pewnego niedzielnego poranka w lipcu 1984 roku, gdy *baba* rozkładał towar, poszedłem kupić dwie kawy w koncesjonowanym barze i po powrocie zastałem ojca w towarzystwie dystyngowanego starszego pana. Postawiłem kubki na tylnym zderzaku busa, obok nalepki: „Reagan/Bush wybory 1984”.

– Amirze – przywołał mnie *baba* – to jest pan generał Eghbal Taheri. W Kabulu otrzymał wiele odznaczeń, pracował w Ministerstwie Obrony.

Taheri. Skąd ja znam to nazwisko?

Generał roześmiał się tonem bywalca oficjalnych przyjęć, na których należało okazywać rozbawienie w odpowiedzi na drobne żarty ważnych figur. Miał wiotkie srebrzystoszare włosy zaczesane do góry nad gładkim, opalonym czołem i krzaczaste brwi z siwymi kępkami. Pachniał wodą kolońską. Był ubrany w stalowoszary trzyczęściowy garnitur, wyświecony po wielokrotnym prasowaniu; z kieszeni kamizelki zwisał złoty łańcuszek zegarka.

– Jakaż podniosła prezentacja. – Mówił głębokim, kulturalnym głosem. – *Salam, baczem.* – To znaczy: witaj, moje dziecko.

– *Salam,* panie generale.

Podaliśmy sobie ręce. Miał szczupłą dłoń, ale mocny uścisk, tak jakby nawilżona skóra okrywała stalowe kości.

– Amir będzie wielkim pisarzem – oznajmił *baba.* Jego słowa dotarły do mnie z opóźnieniem. – Zaliczył pierwszy rok w szkole wyższej. Z najlepszymi ocenami ze wszystkich przedmiotów.

– W dwuletniej szkole wyższej – uściśliłem.

– *Maszallah* – powiedział generał Taheri. – Zamierzasz pisać o naszym kraju? Jego historii? Gospodarce?

– Zajmuję się beletrystyką – wyjaśniłem, myśląc o dziesiątkach opowiadań, które zapisałem w oprawionym w skórę notesie od Rahima Chana, i zastanawiając się, dlaczego nagle odczuwam zażenowanie, gdy mówię o nich temu człowiekowi.

– Aha, snujesz opowieści – rzekł generał. – Cóż, ludzie potrzebują rozrywki w takich ciężkich czasach. – Położył rękę na ramieniu taty i zwrócił się do mnie: – Skoro mówimy o rozrywkach, któregoś letniego dnia w Dżalalabadzie polowaliśmy razem z twoim ojcem na bażanty. To były wspaniałe czasy. Jak pamiętam, twój ojciec miał równie dobre oko do zwierzyny, jak i do interesów.

Baba kopnął czubkiem buta drewnianą rakietę tenisową, która leżała na rozpostartym brezencie.

– Wielkie mi interesy.

Generał Taheri zdobył się na uśmiech, pełen smutku i zarazem uprzejmości, i lekko poklepał tatę po ramieniu.

– *Zendagi migzara.* – Westchnął. Życie toczy się dalej.

Przeniósł wzrok na mnie i dodał:

– My, Afgańczycy, mamy dużą skłonność do wpadania w przesadę, *baczem.* Nieraz byłem świadkiem, jak bezmyślnie określano ludzi mianem wielkich. Natomiast twój ojciec może się szczycić tym, iż należy do mniejszości naprawdę zasługującej na to miano.

W moich oczach ta krótka przemowa, podobnie jak garnitur tego człowieka, była wyświechtana.

– Pochlebiasz mi – odezwał się *baba.*

– Ależ skąd – odparł generał, przechylając głowę na bok i przykładając dłoń do piersi w geście pokory. – Młodzież musi wiedzieć, co otrzymuje w spuściźnie po ojcach. – Zwrócił się do mnie: – Potrafisz docenić swego ojca, *baczem?* Czy rzeczywiście znasz jego wartość?

– *Balaj,* panie generale – odpowiedziałem twierdząco, pragnąc, by wreszcie przestał mówić do mnie „moje dziecko”.

– Tylko pogratulować. Bardzo się cieszę, widząc, że jesteś w połowie drogi do dorosłości – pochwalił mnie ze swobodą impertynenta, bez cienia ironii i poczucia humoru.

– *Padar dżan,* zapomniałeś o herbacie – rozległ się głos młodej kobiety.

Za nami stała wąska w biodrach piękność o aksamitnych włosach czarnych jak węgiel, trzymała otwarty termos i kubek ze styropianu. Zamrugałem powiekami, zabiło mi szybciej serce. Miała gęste czarne brwi, które stykały się niczym wygięte w łuk skrzydła ptaka w locie, i wdzięcznie zakrzywiony nos, wyglądała jak perska księżniczka sprzed wieków – może jak Tahmine, postać z *Szahname,* żona Rostama i matka Sohraba. Orzechowe oczy ocienione wachlarzowatymi rzęsami napotkały moje spojrzenie. Jej wzrok zatrzymał się na mnie i szybko uciekł.

– Jesteś bardzo miła, kochanie – rzekł generał Taheri, biorąc od niej kubek.

Zanim się odwróciła, zauważyłem, że na gładkiej skórze tuż nad szczęką z lewej strony ma brązowe znamię w kształcie sierpa. Poszła dwie alejki dalej i zostawiła termos w stojącej tam ciemnoszarej furgonetce. Włosy spłynęły jej na bok, gdy przyklękła między pudłami pełnymi starych płyt i tanich książek.

– To moja córka, Soraja *dżan* – powiedział generał i westchnął głęboko, jakby chciał zmienić temat rozmowy, po czym wyjął z kieszeni złoty zegarek. – Czas otwierać kram. – Na pożegnanie ucałowali się z tatą w policzki. Generał ujął obiema rękami moją dłoń i spojrzał mi w oczy, mówiąc: – Powodzenia w pisaniu. – Ze spojrzenia jego bladoniebieskich oczu nie dało się odczytać myśli.

Do końca dnia walczyłem z sobą, by nie patrzeć w stronę szarej furgonetki.

*

Przypomniało mi się w drodze do domu. Taheri. To nazwisko rzeczywiście nie było mi obce.

– Czy nie krążyły jakieś opowieści o córce generała Taheriego? – zapytałem ojca jakby od niechcenia.

– Znasz mnie – powiedział, wolno posuwając się w ciągu samochodów opuszczających pchli targ. – Gdy rozmowa zamienia się w plotkowanie, ja wychodzę.

– Ale coś tam gadano, prawda?

– Dlaczego pytasz? – Spojrzał na mnie z rezerwą.

Wzruszyłem ramionami i pohamowałem uśmiech.

– Ze zwykłej ciekawości.

– Czyżby? Tylko dlatego? – Przez chwilę przyglądał mi się z rozbawieniem. – Zrobiła na tobie wrażenie?

Przewróciłem oczami.

– Daj spokój, *baba*.

Uśmiechnął się i z zamachem skręcił kierownicę, wyjeżdżając z targowiska. Skierowaliśmy się na autostradę numer 680. Przez jakiś czas jechaliśmy w milczeniu.

– Doszły mnie słuchy, że był jakiś mężczyzna i sprawy… nie potoczyły się dobrze.

Powiedział to z powagą, jakby wyjawił, że dziewczyna ma raka piersi.

– Aha.

– Podobno jest przyzwoitą dziewczyną, pracowitą i życzliwą. Ale od tamtej pory żaden *chastegar,* żaden konkurent, nie zapukał do drzwi generała. – *Baba* westchnął. – Może to niesprawiedliwe, lecz wydarzenia paru dni, czasem nawet jednego dnia, mogą zmienić bieg całego życia, Amirze.

*

Tamtej nocy, leżąc w łóżku i nie mogąc zasnąć, myślałem o znamieniu w kształcie sierpa na twarzy Sorai Taheri, o jej delikatnie zakrzywionym nosie i świetlistych oczach, gdy na ułamek sekundy napotkały moje spojrzenie. Serce zaczynało mi szybciej bić na myśl o tej dziewczynie. Soraja Taheri. Moja księżniczka z pchlego targu.

12

W Afganistanie słowem *jelda* określa się pierwszą noc miesiąca *dżadi,* pierwszą noc zimy i najdłuższą w roku. Zgodnie z tradycją siedzieliśmy z Hasanem do późna przy *kursi,* z nogami wsuniętymi pod narzutę, a Ali wrzucał skórki jabłek do piecyka i snuł wiekowe opowieści o sułtanach i złodziejach, by szybciej minęła ta najdłuższa noc. To od Alego dowiedziałem się o mądrościach ludowych z nią związanych, o tym, że ćmy opętane przez złe moce rzucają się w płomienie świec i że wilki włażą na szczyty gór w poszukiwaniu słońca. Ali zaręczał, że jeśli tej nocy człowiek zje arbuza, to nie będzie odczuwał pragnienia w nadchodzącym lecie.

Gdy podrosłem, wyczytałem w zbiorkach poezji, że *jelda* jest nocą bez gwiazd, podczas której cierpiący udręki zakochani czuwają w nieskończenie długich ciemnościach, aż wzejdzie słońce i przyprowadzi umiłowaną osobę. Po spotkaniu z Sorają Taheri każda noc tygodnia była dla mnie jak *jelda,* a w niedzielne poranki wstawałem z łóżka, mając w głowie obraz Sorai o orzechowych oczach. Podczas jazdy minibusem liczyłem mile, nie mogąc się doczekać, kiedy wreszcie zobaczę, jak siedzi bosa i ustawia pudła z pożółkłymi encyklopediami, jej białe pięty odcinają się od asfaltu, na szczupłych nadgarstkach podzwaniają srebrne bransolety. Wyobrażałem sobie, jak jej włosy zsuwają się z pleców na bok i wiszą niczym aksamitna zasłona, rzucając cień na ziemię. Soraja. Moja

księżniczka z pchlego targu. Poranne słońce rozpraszające moją długą, ciemną noc.

Pod najrozmaitszymi pretekstami, które wywoływały uśmieszek rozbawienia na twarzy taty, wyruszałem na spacer alejkami, żeby przejść obok stoiska Taherich. Machałem ręką generałowi niezmiennie ubranemu w szary garnitur wyświecony od częstego prasowania, a generał odpowiadał mi tym samym. Czasem wstawał z dyrektorskiego krzesła i prowadził ze mną kurtuazyjną rozmowę o moich opowiadaniach, o wojnie i o dokonanych tego dnia transakcjach. Ja zaś robiłem wszystko, by nie rzucać okiem w kierunku Sorai, która siedziała z książką w ręku. Potem żegnaliśmy się z generałem i odchodziłem, starając się nie garbić.

Zdarzało się, że siedziała sama, gdyż generał udzielał się towarzysko w innej alejce. Przechodziłem obok, udając, że jej nie znam, ale marząc, by ją poznać. Czasami była z nią korpulentna pani w średnim wieku, o bladej cerze i ufarbowanych na rudo włosach. Powziąłem postanowienie, że zagadnę Soraję przed końcem lata, ale rozpoczął się kolejny rok szkolny, liście poczerwieniały, pożółkły i opadły, nadeszły zimowe słoty, powodując u taty bóle stawów, potem znów pojawiły się zawiązki liści na drzewach, a ja wciąż miałem zbyt bojaźliwe serce, brakowało mi *dil,* żeby choć spojrzeć jej w oczy.

Wiosenne zajęcia na nowej uczelni skończyły się u schyłku maja 1985 roku. Wszystkie obowiązkowe przedmioty zaliczyłem z najlepszymi ocenami, co zakrawało na cud, zważywszy na to, że wykłady mijały mi na rozmyślaniach o delikatnie zakrzywionym nosie Sorai.

Potem nadeszło lato i którejś upalnej niedzieli siedzieliśmy przy naszym kramie na pchlim targu, wachlując się gazetami. Choć słońce prażyło niemiłosiernie, na targowisku panował tłok i sprzedaż szła świetnie – było dopiero wpół do pierwszej, a już zarobiliśmy sto sześćdziesiąt dolarów.

Wstałem, przeciągnąłem się i zapytałem ojca, czy chce colę. Odrzekł, że z przyjemnością się napije.

– Uważaj, Amirze – powiedział, gdy zrobiłem kilka kroków.

– Na co, *baba?*

– Nie jestem *ahmagh,* więc nie udawaj głupiego.

– Nie wiem, co masz na myśli.

– Tylko pamiętaj – rzekł, mierząc we mnie palcem – że ten człowiek jest Pasztunem do szpiku kości. Ma *nang* i *namus.*

Nang. Namus. Honor i duma. Przymioty pasztuńskich mężczyzn. Zwłaszcza gdy chodzi o niewinność żony. Albo córki.

– Idę tylko po napoje.

– Nie zrób mi wstydu. O nic więcej nie proszę.

– Nie zrobię, *baba.* Święty Boże.

Ojciec zapalił papierosa i znowu zaczął się wachlować.

Poszedłem w kierunku koncesjonowanego baru, ale po chwili skręciłem w lewo przy straganie z T-shirtami, gdzie za pięć dolarów można było wprasować w biały podkoszulek twarz Jezusa, Elvisa, Jima Morrisona albo wszystkich trzech razem. Z góry dolatywała muzyka mariachi. Rozchodził się zapach pikli i grillowanego mięsa.

Dwa rzędy za naszą alejką zauważyłem szarą furgonetkę Taherich, tuż przy kiosku, gdzie sprzedawano mango na patyku. Soraja była sama, czytała. Tego dnia w białej letniej sukience do kostek. W sandałach bez palców. Włosy zaczesane do tyłu i upięte na czubku głowy w kok w kształcie tulipana. Zamierzałem znów przejść obok niej – i wydawało mi się, że tak zrobiłem – tylko że nagle znalazłem się na rogu białego obrusa Taherich, na którym leżały metalowe lokówki i stare krawaty, i wpatrywałem się w Sorajȩ. Podniosła głowę.

– *Salam* – powiedziałem. – Przepraszam, że jestem *mozahem.* Nie chciałem zakłócić spokoju.

– *Salam.*

– Czy pan generał jest tu dzisiaj?

Piekły mnie uszy. Nie mogłem się zmusić, żeby spojrzeć jej w oczy.

– Poszedł w tamtą stronę.

Wyciągnęła rękę w prawo. Bransoleta zsunęła się do łokcia, srebrny pasek na oliwkowej skórze.

– Przekażesz mu ode mnie wyrazy uszanowania?

– Dobrze.

– Dziękuję. – Szybko dodałem: – Mam na imię Amir. Teraz wiesz od kogo. I możesz mu powiedzieć. Że zaszedłem… by złożyć wyrazy uszanowania.

– Powiem mu.

Przestąpiłem z nogi na nogę. Odchrząknąłem.

– Pójdę już. Przepraszam, że przeszkodziłem.

– W niczym nie przeszkodziłeś – zapewniła mnie.

– Całe szczęście. – Przechyliłem głowę i uśmiechnąłem się półgębkiem. – No to pójdę.

Czy ja już tego nie mówiłem? – przemknęło mi przez myśl.

– *Chada hafez* – pożegnałem się.

– *Chada hafez.*

Odszedłem parę kroków. Przystanąłem i się odwróciłem. Odezwałem się, zanim straciłem zimną krew.

– Mogę zapytać, co czytasz?

Zamrugała.

Wstrzymałem oddech. Nagle poczułem na sobie zbiorowe spojrzenie wszystkich Afgańczyków na targowisku. Wydało mi się, że ucichły rozmowy. Usta zamarły w pół zdania. Odwróciły się głowy. Zmrużyły się przenikliwe oczy.

Co to ma znaczyć?

Jeszcze przed chwilą można było uznać, że nasze spotkanie wynikło z wyrażonej z całym szacunkiem przez jednego mężczyznę chęci poznania miejsca pobytu drugiego mężczyzny. Ale teraz zadałem jej pytanie na inny temat i jeśli ona odpowie, to zaczniemy… no właśnie, zaczniemy z sobą gawędzić. Ja – *modżarad*, młody mężczyzna stanu wolnego, i ona – młoda niezamężna kobieta. Na dodatek kobieta z przeszłością. Istniało niebezpieczeństwo, że ta sytuacja zostanie potraktowana jako materiał na plotkę, i to najsmakowitszą. Jadowite języki pójdą w ruch. I działanie tego jadu odczuje ona, nie ja – doskonale znałem afgańską podwójną moralność korzystną dla płci męskiej. Ludzie nie powiedzą: „Widzieliście, jak on ją zaczepił?”, tylko oburzą się: „Coś podobnego! Widzieliście, jak przedłużała rozmowę? Ale z niej *ladżok!*”.

Wedle afgańskich norm zachowania moje pytanie było oznaką śmiałości. Zadając je, odsłoniłem się i niedwuznacznie dałem do zrozumienia, że ta kobieta mnie interesuje. Ale byłem mężczyzną i groziło mi jedynie zranione ego. Rany znikają. Natomiast niesława pozostaje. Czy Soraja zaakceptuje moją zuchwałość?

Przekręciła książkę, pokazując mi okładkę. *Wichrowe wzgórza*.

– Czytałeś? – zapytała.

Kiwnąłem głową. Miałem wrażenie, że serce pulsuje mi w czaszce.

– Smutna historia – powiedziałem.

– Ze smutnej historii wychodzi dobra książka.

– To prawda.

– Słyszałam, że piszesz.

Skąd to wiedziała? Może od swojego ojca, może go zapytała. Natychmiast odrzuciłem obie możliwości jako niedorzeczne. Ojcowie mogą swobodnie rozmawiać z synami o kobietach. Ale żadna młoda Afganka – jeżeli jest przyzwoita i *mohtaram* – nie będzie wypytywać ojca o młodego mężczyznę. I żaden ojciec, zwłaszcza Pasztun z *nang* i *namus*, nie będzie rozmawiał o kawalerze ze swoją córką, chyba że ów kawaler jest kandydatem do jej ręki i zachował się godnie, wysyłając swego ojca do rodziców wybranki.

Nie mogłem dać wiary, że z moich ust padły słowa:

– Chciałabyś przeczytać któreś z moich opowiadań?

– Tak. Chętnie przeczytam.

Zauważyłem, że ogarnia ją niepokój: zaczęła strzelać oczami na boki. Być może próbowała się upewnić, czy nie ma w pobliżu generała. Zastanawiałem się, jak by zareagował, przyłapawszy mnie na tak niestosownie długiej rozmowie z jego córką.

– Któregoś dnia ci przyniosę.

Miałem powiedzieć coś jeszcze, ale zobaczyłem, że alejką zbliża się kobieta, którą czasem widziałem z Sorają. Niosła plastikową torbę pełną owoców. Gdy nas dostrzegła, jej oczy zaczęły biegać między Sorają a mną. Uśmiechnęła się.

– O, Amir *dżan.* Miło cię widzieć – odezwała się.

Wyłożyła owoce na obrus. Czoło lśniło jej od potu. Ruda fryzura podobna do hełmu błyszczała w słońcu – w miejscach gdzie przerzedziły się włosy, prześwitywała skóra. Kobieta miała małe zielone oczy zagłębione w okrągłej niczym kapusta twarzy, koronki na zębach i krótkie palce jak kiełbaski. Na piersi leżał złoty naszyjnik z wykaligrafowanym słowem „Allah”, łańcuszek ginął pośród brodawek i fałdów skóry na szyi.

– Jestem Dżamila, matka Sorai *dżan.*

– *Salam, chala dżan* – przywitałem się.

Byłem zakłopotany, że ona zna mnie, a ja nie mam pojęcia, z kim rozmawiam – często mi się to zdarzało w towarzystwie Afgańczyków.

– Jak się miewa twój ojciec? – zapytała.

– Dziękuję, dobrze.

– Wiesz, że twój dziadek, *ghazi saheb,* sędzia, miał wuja, który był kuzynem mojego dziadka? A zatem jesteśmy spokrewnieni.

Uśmiechnęła się, odsłaniając koronki. Zauważyłem, że prawa strona ust lekko jej opada. Znów wodziła wzrokiem między Sorają a mną.

Jakiś czas temu zapytałem tatę, dlaczego córka generała Taheriego wciąż jest panną. „Bo nikt się o nią nie starał – odrzekł i zaraz poprawił się: – Nikt odpowiedni”. Nie dodał ani słowa, dobrze wiedząc, że bezmyślne gadanie może pozbawić młodą kobietę szans na dobre zamążpójście. Afgańscy mężczyźni, zwłaszcza wywodzący się z szacownych rodzin, są płochymi istotami. Wystarczyło, że ktoś coś szepnął, coś zasugerował, a czmychali niczym przestraszone ptactwo. I tak mijał jeden ślub za drugim, a Sorai nikt nie śpiewał *Ahesta boro,* nie malował dłoni henną, nie trzymał Koranu nad głową i na każdym przyjęciu weselnym tańczył z nią generał Taheri.

I jeszcze ta matka ze swoim skwapliwym, chytrym uśmiechem rozdzierającym serce i ledwie skrywaną nadzieją w oczach. Byłem trochę zażenowany, czując, jaką przyznano mi władzę – a wszystko dlatego, że na loterii genetycznej przypadł mi wygrany los: płeć męska.

Nigdy nie umiałem odczytać, jakie myśli ujawniają się w oczach generała; co zaś tyczy się jego żony, wiedziałem tyle: jeśli to – cokolwiek to ma być – spotka się z czyimkolwiek sprzeciwem, to na pewno nie z jej strony.

– Usiądź, Amirze *dżan* – zaproponowała. – Soraja, przynieś mu krzesło, *baczem.* I opłucz brzoskwinie. Są świeże i słodkie.

– Dziękuję, ale nie mogę – odparłem. – Powinienem już iść. Ojciec czeka.

– O! – Najwyraźniej zrobiłem korzystne wrażenie na *chanum* Taheri, zachowując się kulturalnie i nie przyjmując zaproszenia. – No to przynajmniej weź to. – Włożyła kilka kiwi i parę brzoskwiń do papierowej torby i wcisnęła mi ją do ręki. – Przekaż ode mnie *salam* swemu ojcu. I zajrzyj do nas ponownie.

– Dobrze, *chala dżan.* Dziękuję.

Kątem oka widziałem, jak Soraja odwraca głowę.

*

– Zdaje się, że miałeś iść po colę – powiedział *baba.*

Wziął torbę z owocami, spoglądając na mnie z powagą i zarazem z rozbawieniem. Zacząłem zmyślać jakąś historyjkę, ale on nadgryzł brzoskwinię i machnął ręką.

– Nie wysilaj się. Tylko pamiętaj, co ci powiedziałem.

*

Leżąc w łóżku tego wieczoru, myślałem o słonecznych cętkach w oczach Sorai i o delikatnych zagłębieniach nad jej obojczykiem. Nieustannie przypominałem sobie naszą rozmowę. Czy powiedziała: „Słyszałam, że piszesz”, czy: „Słyszałam, że jesteś pisarzem”? Jak się wyraziła? Przewracałem się z boku na bok i wpatrywałem w sufit, przerażony, że od następnego spotkania z nią dzieli mnie sześć ciężkich, ciągnących się w nieskończoność *jelda.*

*

Tak to wyglądało przez kilka tygodni. Czekałem, aż generał uda się na przechadzkę, i ruszałem w stronę kramu Taherich. Gdy była tam *chanum* Taheri, częstowała mnie herbatą, dawała *kolcza* i rozmawialiśmy o dawnym Kabulu, o wspólnych znajomych, o jej artretyzmie. Bez wątpienia zauważyła, że przychodzę pod nieobecność jej męża, ale nigdy nie dała tego po sobie poznać. „Och, właśnie minąłeś się z *kaka*” – mówiła. W istocie byłem zadowolony, zastając tam panią Taheri, nie tylko ze względu na jej miły sposób bycia. Soraja była bardziej rozmowna i odprężona w obecności matki. Tak jakby jej towarzystwo sankcjonowało to, co się między nami działo – choć z pewnością nie w takim samym stopniu, jak czyniłoby to towarzystwo jej ojca. Dzięki pani Taheri w roli przyzwoitki nasze spotkania były nie tyle odporne na plotki, ile niewarte plotkowania – aczkolwiek jej graniczące z przymilaniem się zachowanie wyraźnie żenowało Sorajȩ.

Pewnego dnia byliśmy z Sorają sami na stoisku, zajęci rozmową. Opowiadała mi, że chodzi do Ohlone Junior College, dwuletniej szkoły wyższej we Fremoncie, i że też przygotowuje się do zaliczenia przedmiotów obowiązkowych.

– Jaką wybrałaś specjalizację?

– Chcę być nauczycielką.

– Naprawdę? Dlaczego?

– Zawsze tego pragnęłam. Gdy mieszkaliśmy w Wirginii, ukończyłam kurs angielskiego dla cudzoziemców i raz w tygodniu prowadzę teraz wieczorne zajęcia w bibliotece publicznej. Mama też była nauczycielką, uczyła języka dari i historii w żeńskiej szkole średniej Zarghuna w Kabulu.

Brzuchaty klient w kaszkiecie zaproponował trzy dolary za komplet świeczników wystawionych za pięć dolarów i Soraja dobiła targu. Wrzuciła

pieniądze do małej puszki po cukierkach, która stała przy jej nogach. Spojrzała na mnie nieśmiało.

– Chciałabym opowiedzieć ci historię, ale trochę się krępuję – rzekła.

– Mów.

– Jest głupawa.

– Nie przejmuj się.

Parsknęła śmiechem.

– Kiedy w Kabulu chodziłam do czwartej klasy, tato najął do pomocy w domu kobietę o imieniu Ziba. Miała siostrę, która mieszkała w Iranie, w Maszadzie. Ziba była analfabetką, więc co jakiś czas prosiła mnie, żebym napisała list do jej siostry. Gdy tamta odpowiadała, czytałam listy Zibie. Któregoś dnia zapytałam ją, czy chciałaby nauczyć się pisać i czytać. Uśmiechnęła się szeroko, zmrużyła oczy i zgodziła się z radością. Po odrobieniu lekcji siadałam więc z nią przy stole kuchennym i uczyłam ją *alef-be*. Pamiętam, że podnosiłam głowę znad zeszytu i nieraz widziałam, jak Ziba stoi w kuchni i miesza mięso w szybkowarze, a potem bierze ołówek i odrabia pracę domową, którą jej zadałam poprzedniego dnia. Nim minął rok, sięgała już po książki dla dzieci. Siedziałyśmy w ogrodzie, a ona czytała mi opowieści o Darze i Sarze, wolno, ale poprawnie. Zaczęła mówić do mnie: *moalem Soraja*, nauczycielko Soraju. – Znowu parsknęła śmiechem. – Wiem, że to zabrzmi infantylnie, ale gdy Ziba napisała swój pierwszy list, uprzytomniłam sobie, że chcę zostać wyłącznie nauczycielką. Byłam taka dumna z tej dziewczyny i miałam wrażenie, że zrobiłam coś naprawdę ważnego. Rozumiesz?

– Tak – skłamałem.

Przypomniało mi się, jak ja wykorzystywałem swoją znajomość alfabetu, żeby naśmiewać się z Hasana. Jak natrząsałem się, że nie zna trudnych słów.

– Tato chce posłać mnie na prawo, mama nieustannie napomyka o medycynie, ale wybiorę zawód nauczycielki. Nie jest dochodowy w tym kraju, ale to chcę robić.

– Moja mama też była nauczycielką – wtrąciłem.

– Wiem – powiedziała Soraja. – Mama mi mówiła.

Oblała się rumieńcem, uprzytomniwszy sobie, co wypaplała i co można wywnioskować z jej słów: że temat Amira powracał, gdy nie było mnie w pobliżu. Z ogromnym trudem pohamowałem uśmiech.

– Przyniosłem ci coś. – Z tylnej kieszeni wyciągnąłem rulon spiętych kartek. – Zgodnie z obietnicą. – Podałem jej jedno ze swoich opowiadań.

– Och, pamiętałeś. – Rozpromieniła się. – Dziękuję!

Ledwie dotarło do mnie, że pierwszy raz zwróciła się do mnie, mówiąc *tu,* zamiast formalnego *szoma.* Nagle spoważniała, zbladła i utkwiła wzrok w czymś za moimi plecami. Odwróciłem się i stanąłem twarzą w twarz z generałem Taherim.

– Amir *dżan,* nasz początkujący literat. Co za przyjemność. – Uśmiechnął się słabo.

– *Salam,* panie generale – wyjąkałem.

Minął mnie i podszedł do stoiska.

– Mamy piękny dzień – oświadczył.

Zahaczył kciuk o kieszonkę na piersi, drugą rękę wyciągnął do Sorai. Dała mu kartki.

– Przepowiadają deszcze w tym tygodniu. Aż trudno uwierzyć, prawda? – powiedział.

Wrzucił rulon do kosza na śmieci. Odwrócił się do mnie i położył dłoń na moim ramieniu. Zrobiliśmy kilka kroków razem.

– Polubiłem cię, *baczem*. Przyzwoity z ciebie chłopiec. Naprawdę tak uważam, ale… – westchnął i machnął ręką – nawet przyzwoitym chłopcom trzeba czasem przypominać o pewnych rzeczach. Moim obowiązkiem jest zatem przypomnieć ci, że na tym targowisku masz równych sobie. – Przystanął. – Tu każdy snuje opowieści, rozumiesz? – Uśmiechnął się, odsłaniając idealnie równe zęby. – Przekaż wyrazy uszanowania swojemu ojcu, Amirze *dżan.*

Opuścił dłoń i znów się uśmiechnął.

*

– Coś się stało? – zapytał *baba*.

Właśnie przyjmował od starszej pani należność za konia na biegunach.

– Nie.

Usiadłem na starym odbiorniku telewizyjnym. Po chwili i tak wszystko opowiedziałem ojcu.

– Och, Amirze. – Westchnął.

Sprawy ułożyły się tak, że nie miałem czasu rozpamiętywać tego, co się stało. Pod koniec tygodnia *baba* się zaziębił.

*

Zaczęło się od suchego kaszlu i kataru. Katar minął, ale kaszel pozostał. *Baba* kasłał w chustkę i chował ją do kieszeni. Ciągle mu mówiłem, żeby zrobił badania, ale mnie zbywał. Nie znosił lekarzy i szpitali. O ile wiem, *baba* był u lekarza tylko raz – gdy zapadł w Indiach na malarię.

Dwa tygodnie później przyłapałem go, jak wypluwa flegmę z krwią do ubikacji.

– Jak długo to trwa? – zapytałem.

– Co na obiad? – odrzekł.

– Zabieram cię do lekarza.

Choć ojciec był kierownikiem stacji benzynowej, jej właściciel nie zapewnił mu ubezpieczenia zdrowotnego, a *baba* był tak lekkomyślny, że nie nalegał. Zawiozłem więc tatę do szpitala okręgowego w San Jose. Lekarz, który nas przyjął, miał ziemistą twarz i spuchnięte oczy. Przedstawił się jako rezydent na drugim roku specjalizacji.

– Wygląda na młodszego od ciebie i bardziej niedomagającego ode mnie – zrzędził *baba*.

Lekarz wysłał nas na prześwietlenie klatki piersiowej. Gdy pielęgniarka wezwała nas ponownie do gabinetu, wypełniał formularz.

– Proszę zanieść to do recepcji – powiedział, szybko pisząc.

– Co to jest? – zapytałem.

– Skierowanie. – Pisał dalej.

– Jakie skierowanie?

– Do pulmonologa.

– Kto to taki?

Obrzucił mnie wzrokiem. Poprawił okulary i znów zaczął pisać.

– Ojciec ma plamę na prawym płucu. Chcę, żeby to sprawdzili.

– Plamę? – Nagle zrobiło mi się za ciasno w tym pokoju.

– Raka? – wtrącił od niechcenia tato.

– Możliwe. W każdym razie wygląda to podejrzanie – mruknął lekarz.

– Może pan powiedzieć coś więcej?

– Teraz nie. Trzeba zrobić tomografię komputerową i skonsultować się ze specjalistą od chorób płucnych. – Wręczył mi skierowanie. – Mówił pan, że ojciec pali, tak?

– Pali.

Kiwnął głową. Spojrzał na mnie, na tatę i znowu na mnie.

– Dostaniecie wezwanie w ciągu dwóch tygodni.

Chciałem go zapytać, jak mam żyć z myślą o tej podejrzanej plamie przez całe dwa tygodnie. Czy zdołam jeść, pracować, uczyć się? Jak on może zostawiać mnie z tą myślą?

Wziąłem skierowanie i oddałem recepcjonistce.

Tego wieczoru poczekałem, aż *baba* zaśnie, po czym złożyłem koc i rozesłałem jak dywanik modlitewny. Pochylając głowę do podłogi, recytowałem na wpół zapamiętane wersety z Koranu, które wbijał nam do głowy mułła w Kabulu, i zanosiłem prośby do Boga, wcale nieprzekonany, czy istnieje. Zazdrościłem teraz mulle siły jego wiary i przekonań.

Minęły dwa tygodnie i nikt się do nas nie odezwał. W końcu sam zadzwoniłem. Dowiedziałem się, że nie mogą znaleźć naszego skierowania. Czy na pewno je oddałem? Poinformowali mnie, że skontaktują się za kolejne trzy tygodnie. Zrobiłem piekielną awanturę i udało mi się skrócić oczekiwanie na tomografię z trzech tygodni do jednego i do dwóch tygodni na konsultację ze specjalistą.

Wizyta u pulmonologa, doktora Schneidera, przebiegała całkiem dobrze, dopóki *baba* nie zapytał go, skąd pochodzi. Okazało się, że lekarz pochodzi z Rosji. Tato stracił panowanie nad sobą.

– Przepraszam, panie doktorze – powiedziałem, odciągając ojca na bok.

Lekarz uśmiechnął się i cofnął o krok, nadal trzymając słuchawki w ręku.

– Posłuchaj, *baba*. Siedząc w poczekalni, przeczytałem jego życiorys. Urodził się w Michigan. Słyszysz? W Michigan! Jest Amerykaninem, jakim ani ty, ani ja nigdy nie będziemy.

– Nieważne, gdzie się urodził. Jest *Rusi* – rzekł *baba*, krzywiąc się ze wstrętem. – Jego rodzice byli *Rusi* i jego dziadkowie też. Przysięgam na głowę twojej matki, że złamię mu rękę, jeżeli spróbuje mnie dotknąć.

– Czy ty nie rozumiesz, że rodzice doktora Schneidera uciekli od *Szourawi?* Uciekli!

Ale do taty nic nie docierało. Czasem wydaje mi się, że równie mocno jak swą nieżyjącą żonę kochał tylko Afganistan. Chciało mi się krzyczeć z bezsilności. W końcu westchnąłem i zwróciłem się lekarza:

– Bardzo przepraszam pana doktora, ale nic z tego nie będzie.

Drugi pulmonolog, doktor Amani, był Irańczykiem i tato go zaakceptował. Doktor Amani miał zakręcone wąsy i grzywę siwych włosów. Łagodnym głosem powiedział nam, że przeanalizował wyniki badania tomograficznego i będzie musiał zrobić bronchoskopię, żeby pobrać wycinek płuca do badania histopatologicznego. Zapisał nas na następny tydzień. Podziękowałem lekarzowi i wyprowadziłem tatę z gabinetu, nie mogąc pozbyć się myśli, że teraz będę musiał żyć przez cały tydzień z nowym wyrażeniem: „wycinek płuca”, które brzmiało jeszcze bardziej złowieszczo niż „podejrzana plama”. Chciałem mieć przy sobie Soraję.

Okazało się, że rak – jak Szatan – ma wiele imion. Stwierdzono raka owsianokomórkowego. W zaawansowanym stadium. Nieoperacyjnego. Tato zapytał doktora Amaniego, jakie są rokowania. Lekarz przygryzł wargi, użył słów „poważny stan”.

– Oczywiście możemy zastosować chemioterapię, ale będzie miała wyłącznie paliatywne działanie – powiedział.

– Co to znaczy? – zapytał *baba.*

Doktor Amani westchnął.

– To znaczy, że przesuniemy w czasie nieunikniony skutek choroby.

– Jasno się pan wyraził, doktorze. Jestem panu wdzięczny – rzekł *baba.* – Z chemii rezygnuję. – Z jego twarzy biła taka sama stanowczość

jak w dniu, gdy położył plik bonów żywnościowych na biurku pani Dobbins.

– Ależ, *baba*…

– Żebyś nigdy więcej nie ważył mi się sprzeciwiać przy ludziach, Amirze. Za kogo ty się masz?

*

Deszcze, o których mówił generał Taheri na targowisku, zaczęły się z kilkutygodniowym opóźnieniem. Gdy wyszliśmy od doktora Amaniego, spod kół przejeżdżających aut pryskała na chodniki brudna woda. *Baba* zapalił papierosa. Palił przez całą drogę do samochodu i do domu.

Gdy miał otworzyć kluczem drzwi na klatkę schodową, powiedziałem:

– Chciałbym, żebyś spróbował z chemią.

Włożył klucze do kieszeni i wciągnął mnie z deszczu pod pasiastą markizę przed budynkiem. Wbił mi w pierś pięść z papierosem między palcami.

– *Bas!* Podjąłem decyzję.

– A ja? Co mam robić? – zapytałem ze łzami w oczach.

Jego mokra od deszczu twarz wykrzywiła się z odrazą. Tak samo spoglądał na mnie, gdy w dzieciństwie upadłem, starłem sobie kolana i płakałem. Taką reakcję wywoływał u niego mój płacz – zarówno wówczas, jak i teraz.

– Masz dwadzieścia dwa lata, Amirze! Jesteś dorosłym mężczyzną! Ty… – Zamknął usta, znów je otworzył, zastanawiał się chwilę.

Deszcz bębnił w płótno nad naszymi głowami.

– Pytasz, co się z tobą stanie? Przez te wszystkie lata starałem się uczyć cię, co robić, żebyś nigdy nie musiał zadać tego pytania.

Otworzył drzwi. Odwrócił się do mnie.

– Jeszcze jedno. Nikt nie może się o tym dowiedzieć, słyszysz? Nikt. Nie chcę niczyjego współczucia – oświadczył i zniknął w ciemnym korytarzu.

Do końca dnia palił papierosa za papierosem, siedząc przed telewizorem. Nie wiedziałem, czemu ani komu stawiał czoło. Mnie? Doktorowi Amaniemu? A może Bogu, w którego nie wierzył przez całe życie.

*

Przez jakiś czas nawet rak nie zdołał odciągnąć taty od pchlego targu. W soboty jeździliśmy od garażu do garażu, ojciec za kierownicą, ja jako pilot, a w niedziele rozstawialiśmy towar. Mosiężne lampy. Rękawice baseballowe. Kurtki narciarskie z zepsutymi suwakami. *Baba* witał się ze znajomymi ze starego kraju i targował się z klientami o jednego czy dwa dolary. Jakby to miało jakiekolwiek znaczenie. Jakby dzień, w którym zostanę sierotą, nie zbliżał się z każdym zwijaniem stoiska.

Niekiedy podczas swego spaceru składali nam wizytę państwo Taheri. Generał, wieczny dyplomata, uśmiechał się na powitanie i obiema rękami ściskał mi dłoń. Natomiast w zachowaniu pani Taheri dało się zauważyć powściągliwość, której dotychczas nie okazywała. Dopiero gdy coś odciągało uwagę generała, posyłała mi ukradkiem smętne uśmiechy i przepraszające spojrzenia.

Ten okres zapadł mi w pamięć jako seria „pierwszych razów”. Pamiętam, jak pierwszy raz usłyszałem dolatujące z łazienki jęki taty. Jak pierwszy raz zobaczyłem ślady krwi na jego poduszce. Pracując przez ponad trzy lata na stanowisku kierownika stacji benzynowej, ojciec nigdy nie wziął wolnego z powodu choroby. Aż nastał dzień, gdy pierwszy raz nie pojawił się w pracy.

Niedługo przed Halloween ojca zaczęło ogarniać wczesnym popołudniem takie zmęczenie, że siedział w aucie, a ja targowałem się o cenę kupowanych staroci. Niedługo przed Świętem Dziękczynienia zaczęło brakować mu sił już przed dwunastą. Gdy na trawniku przed domem postawiono sanie, a daglezje posypano sztucznym śniegiem, zostawał w domu, ja zaś sam przemierzałem volkswagenem półwysep San Francisco.

Przebywający na targowisku znajomi z Afganistanu napomykali czasem o tym, że tato jest coraz szczuplejszy. Początkowo prawili mu komplementy, nawet pytali, co to za cudowna dieta. Ale przestali go pytać i chwalić, widząc, że dalej chudnie. Tracił kolejne funty. Zapadały mu się policzki. Oczy uciekały w głąb czaszki.

Aż minął Nowy Rok i pewnej chłodnej niedzieli byliśmy jak zwykle na pchlim targu. *Baba* sprzedawał abażur krępemu Filipińczykowi, a ja szukałem w busie koca, żeby przykryć tacie nogi.

– Hej, człowieku, ten gość potrzebuje pomocy! – nagle rozległ się przerażony głos Filipińczyka.

Gdy się odwróciłem, *baba* leżał na ziemi, dygotały mu ręce i nogi.

– *Komak!* – krzyknąłem. – Na pomoc!

Rzuciłem się do taty. Z jego ust wydobywała się spieniona ślina i wsiąkała w brodę. Oczy wywróciły się białkami do góry.

Zewsząd nadbiegali ludzie.

– To atak – powiedział ktoś.

– Wezwijcie karetkę! – krzyknął ktoś inny.

Słyszałem wypowiadane słowa i tupot pospiesznych kroków. Niebo ściemniało, gdy wokół nas zebrał się tłum.

Ślina taty nabrała czerwonego koloru, bo przygryzł sobie język. Uklęknąłem przy nim, chwyciłem za ramiona. „Jestem tutaj, *baba* –

powtarzałem. – Wszystko będzie dobrze. Jestem przy tobie”. Jakbym potrafił powstrzymać drgawki. Nakłonić je, by zostawiły tatę w spokoju. Poczułem wilgoć na kolanach spodni i zobaczyłem, że tato nie zapanował nad pęcherzem. „Cii, *baba dżan,* jestem tu. Twój syn jest przy tobie”.

*

Łysy lekarz z białą brodą wyciągnął mnie z pokoju.

– Chciałbym, żebyśmy razem obejrzeli tomografię pańskiego ojca – powiedział.

Włożył klisze pod negatoskop znajdujący się na korytarzu i zakończonym gumką ołówkiem wskazywał guzy niczym funkcjonariusz, który pokazuje rodzinie ofiary policyjne zdjęcia zabójcy. Na zdjęciach mózg taty, przypominający dużego orzecha włoskiego w przekroju poprzecznym, był usiany szarymi plamami w kształcie piłki tenisowej.

– Jak pan widzi, rak się rozprzestrzenił. Pański ojciec będzie musiał brać sterydy, żeby zmniejszyć obrzęk mózgu, oraz leki przeciwpadaczkowe. Ponadto zalecałbym również naświetlania paliatywne. Wie pan, co się z tym wiąże?

Potaknąłem. Nieźle orientowałem się w sprawach dotyczących nowotworów.

– No dobrze. – Spojrzał na pager. – Muszę już iść, ale proszę kontaktować się ze mną przez pager, jeśli będzie pan miał jakieś pytania.

– Dziękuję.

Całą noc siedziałem na krześle przy łóżku taty.

*

Następnego ranka w poczekalni na końcu korytarza kłębili się Afgańczycy. Rzeźnik z Newark. Inżynier, który pracował u ojca przy

budowie sierocińca. Wchodzili jeden po drugim i przyciszonym głosem składali wyrazy uszanowania oraz życzenia szybkiego powrotu do zdrowia. Tato był przytomny – otumaniony lekarstwami i osłabiony, ale przytomny.

Późnym rankiem przybył generał Taheri z żoną. Za nimi szła Soraja. Spojrzeliśmy na siebie i jednocześnie odwróciliśmy wzrok.

– Jak się czujesz, przyjacielu? – zapytał generał Taheri, biorąc tatę za rękę.

Baba wskazał kroplówkę podłączoną do ramienia i uśmiechnął się słabo. Generał odpowiedział uśmiechem.

– Nie powinniście byli fatygować się tutaj. Całą rodziną – wychrypiał tato.

– Żadna fatyga – odparła *chanum* Taheri.

– Naprawdę – przytaknął generał. – Ważniejsze jest to, czy czegoś potrzebujesz. Czegokolwiek. Zwracaj się do mnie jak do brata.

Przypomniały mi się słowa, które *baba* wypowiedział kiedyś o Pasztunach. „Może mamy nieczułe serca i na pewno jesteśmy zbyt dumni, ale możesz mi wierzyć, że w godzinie potrzeby najlepiej mieć przy sobie Pasztuna”.

Tato pokręcił głową, nie podnosząc jej z poduszki.

– Wasze odwiedziny dodały blasku moim oczom.

Generał uśmiechnął się i ścisnął tatę za rękę.

– Jak się miewasz, Amirze *dżan?* Potrzebujesz czegoś?

Spojrzał na mnie takim wzrokiem, z taką dobrocią…

– Nie, dziękuję, panie generale. Ja…

Poczułem ucisk w gardle i łzy napłynęły mi do oczu. Wybiegłem z pokoju.

Płakałem, stojąc na korytarzu przy negatoskopie, gdzie poprzedniego wieczoru widziałem twarz zabójcy.

Z pokoju taty wyszła Soraja. Stanęła przy mnie. Była ubrana w dżinsy i szarą bluzę. Miała rozpuszczone włosy. Chciałem znaleźć pocieszenie w jej ramionach.

– Tak mi przykro, Amirze – odezwała się. – Wszyscy zauważyliśmy, że coś jest nie w porządku, ale nie wiedzieliśmy, o co chodzi.

Wytarłem oczy rękawem.

– Zabronił mówić komukolwiek.

– Można ci w czymś pomóc?

– Nie, dziękuję. – Spróbowałem się uśmiechnąć.

Przykryła dłonią moją dłoń. Po raz pierwszy się dotknęliśmy. Uniosłem jej rękę do swojej twarzy, do oczu, i zaraz puściłem.

– Lepiej wracaj do nich. W przeciwnym razie twój ojciec da mi nauczkę.

– Masz rację – powiedziała z uśmiechem, kiwając głową, i się odwróciła.

– Soraja?

– Słucham.

– Cieszę się, że przyszłaś. To dla mnie… bezcenne.

*

Po dwóch dniach wypisali tatę ze szpitala. Nim wyszedł, sprowadzili specjalistę, radiologa onkologa, żeby namówił go na naświetlania. *Baba* się nie zgodził. Próbowali nakłonić mnie, żebym nakłonił ojca. Ale wiedziałem, jak na mnie spojrzy. Podziękowałem lekarzom, podpisałem dokumenty i zabrałem go do domu swoim fordem torino.

Wieczorem tato leżał na kanapie, przykryty wełnianym kocem. Przyniosłem mu gorącą herbatę i prażone migdały. Objąłem rękami za plecy i podniosłem go z zaskakującą łatwością. Jego łopatka przypominała w dotyku ptasie skrzydło. Podciągnąłem mu koc do piersi, gdzie żebra wystawały pod cienką skórą o ziemistym kolorze.

– Chcesz coś jeszcze, *baba?*

– Nie, *baczem*. Dziękuję.

Usiadłem przy kanapie.

– Chciałbym cię o coś prosić. Jeśli nie jesteś zbyt zmęczony.

– O co?

– Żebyś dokonał *chastegari* i w moim imieniu poprosił generała Taheriego o rękę jego córki.

Jego suche usta rozciągnęły się w uśmiechu. Coś w rodzaju plamy zieleni na zwiędłym liściu.

– Jesteś pewny?

– Niczego nie byłem jeszcze tak pewny.

– Przemyślałeś to?

– *Balaj, baba.*

– W takim razie podaj mi telefon. I mój notesik.

Zrobiłem wielkie oczy.

– Teraz? – wydukałem.

– A kiedy?

– No dobrze. – Uśmiechnąłem się.

Przyniosłem mu aparat i czarny notesik z telefonami jego afgańskich przyjaciół. Wykręcił numer Taherich i przyłożył słuchawkę do ucha. Serce dokonywało w mojej piersi cudów akrobacji.

– Dżamila *dżan? Salam alajkum.* – Potem przedstawił się i umilkł. – Znacznie lepiej, bardzo dziękuję. Okazali mi państwo wielką uprzejmość, przychodząc z wizytą. – Przez chwilę słuchał. Kiwnął głową. – Będę o tym pamiętał, dziękuję. Czy pan generał jest w domu? – Milczenie. – Dziękuję.

Rzucił na mnie okiem. Nie wiedzieć czemu, chciało mi się śmiać. Albo krzyczeć. Przyłożyłem kłąb kciuka do ust i przygryzłem. *Baba* zaśmiał się cicho przez nos.

– *Salam alajkum*, panie generale… Tak, o wiele lepiej… *Balaj*… Jest pan bardzo uprzejmy, generale. Chciałbym zapytać, czy mogę złożyć państwu wizytę jutro rano? W sprawie honorowej… Tak… Godzina jedenasta pasuje mi doskonale. A zatem do jutra. *Chada hafez.*

Odłożył słuchawkę. Spojrzeliśmy na siebie. Parsknąłem śmiechem. *Baba* też się roześmiał.

*

Baba zwilżył włosy i zaczesał do tyłu. Pomogłem mu włożyć czystą białą koszulę i zawiązałem krawat. Zauważyłem, że między guzikiem przy kołnierzyku a szyją pozostało z pięć centymetrów wolnego miejsca. Pomyślałem, ileż to wolnych miejsc pozostanie po odejściu taty, i siłą woli zająłem się czymś innym. On nie odszedł. Jeszcze nie odszedł. Poza tym był to dzień na dobre myśli. Marynarka od garnituru, który miał na sobie podczas uroczystości wręczenia świadectw maturalnych, wisiała na nim – tak bardzo skurczył się przez ten czas. Musiałem podwinąć rękawy. Pochyliłem się, żeby zasznurować mu buty.

Państwo Taheri zajmowali jedno z mieszkań w parterowym domu w dzielnicy Fremontu znanej z tego, że osiedliło się tam wielu Afgańczyków. Dom miał wykuszowe okna, spadzisty dach i oszkloną

frontową werandę z pelargoniami w doniczkach. Na podjeździe stała szara furgonetka generała.

Pomogłem tacie wysiąść z forda, po czym znów usiadłem za kierownicą. Tato pochylił się przy oknie od strony pasażera.

– Bądź w domu. Zadzwonię do ciebie za godzinę – powiedział.

– Dobrze, *baba*. Powodzenia.

Uśmiechnął się.

Odjechałem. W lusterku wstecznym widziałem, jak *baba*, utykając, szedł podjazdem do domu Taherich, żeby spełnić swój ostatni ojcowski obowiązek.

*

Chodziłem tam i z powrotem po salonie, czekając na telefon od taty. Piętnaście kroków wzdłuż. Dziesięć i pół kroku wszerz. A jeśli generał się nie zgodzi? A jeśli mnie nie cierpi? Co rusz zaglądałem do kuchni, żeby sprawdzić godzinę na zegarze piekarnika.

Telefon zadzwonił tuż przed dwunastą. Odezwał się *baba*.

– No i? – zapytałem.

– Generał wyraził zgodę.

Gwałtownie wypuściłem powietrze z płuc. Usiadłem. Trzęsły mi się ręce.

– Naprawdę?

– Tak. Soraja *dżan* jest w swoim pokoju. Chce porozmawiać z tobą pierwsza.

– Dobrze.

Baba powiedział do kogoś kilka słów. Rozległ się dwukrotny trzask po odłożeniu słuchawki.

– Amir? – Głos Sorai.

– *Salam.*

– Mój ojciec się zgodził.

– Wiem. – Przełożyłem słuchawkę do drugiej ręki. Uśmiechałem się. – Tak się cieszę. Brak mi słów.

– Ja też się cieszę. Aż… trudno mi uwierzyć, że to się dzieje naprawdę.

– No właśnie. – Zaśmiałem się.

– Posłuchaj. Chcę ci coś powiedzieć. Muszę to zrobić, zanim…

– To dla mnie bez znaczenia.

– Musisz wiedzieć. Nie chcę, żebyśmy od początku mieli przed sobą tajemnice. I wolę, żebyś dowiedział się ode mnie.

– Jeżeli tak ci zależy, mów. Ale to nic nie zmieni.

Po drugiej stronie zapadła długa cisza.

– Kiedy mieszkaliśmy w Wirginii, uciekłam z Afgańczykiem. Miałam wtedy osiemnaście lat… byłam zbuntowana… głupia… on był narkomanem… Mieszkaliśmy razem prawie miesiąc… Wszyscy Afgańczycy w Wirginii gadali o tym. *Padar* znalazł nas w końcu. Stanął w drzwiach i… chciał zabrać mnie do domu. Wpadłam w histerię. Ryczałam. Wrzeszczałam. Mówiłam, że go nienawidzę… Ale wróciłam i… – Rozpłakała się. – Przepraszam.

Słyszałem, jak odkłada słuchawkę na bok i wydmuchuje nos.

– Przepraszam – odezwała się chrapliwym głosem. – Po powrocie dowiedziałam się, że mama miała udar. Prawa strona twarzy była sparaliżowana… Czułam się winna. Mama nie zasłużyła na coś takiego. Wkrótce potem *padar* zabrał nas do Kalifornii.

Zapadła cisza.

– Jak układa ci się teraz z ojcem? – spytałem.

– Nigdy nie byliśmy jednomyślni i to się nie zmieniło. Ale jestem mu wdzięczna, że przyjechał wtedy po mnie. Głęboko wierzę, że mnie uratował. – Po chwili dodała: – Przejąłeś się tym?

– Trochę.

W tej sprawie musiałem być z nią szczery. Nie mogłem skłamać, że mojej dumy, mojej *iftichar,* nie zraniło to, iż żyła z mężczyzną, podczas gdy ja jeszcze nie spałem z kobietą. Nieco mnie to zmartwiło, ale przez tych kilka tygodni, zanim poprosiłem tatę, żeby dokonał *chastegari*, wielokrotnie się nad tym zastanawiałem. Za każdym razem dochodziłem do tego samego wniosku: kto jak kto, ale ja nie mam prawa wypominać komukolwiek dawnych uczynków.

– Czy przejmujesz się tym aż tak, by zmienić zdanie?

– Nie, Soraja. W żadnym wypadku – odparłem. – To, co powiedziałaś, niczego nie zmienia. Chcę, żebyśmy się pobrali.

Znowu się rozpłakała.

Zazdrościłem jej. Jej tajemnica została ujawniona. Wyznana na głos. Sprawa była zamknięta. Otworzyłem usta, żeby powiedzieć jej, jak zdradziłem Hasana, dopuściłem się kłamstw, wygnałem go z domu i zniszczyłem czterdziestoletni związek taty z Alim. Ale nie wymówiłem słowa. Przypuszczałem, że Soraja Taheri przewyższa mnie pod wieloma względami. Choćby odwagą.

13

Gdy następnego wieczoru przyjechaliśmy do Taherich na *lafz*, ceremonię „dania słowa”, musiałem zaparkować po drugiej stronie ulicy. Podjazd był zapchany samochodami. Miałem na sobie granatowy garnitur, który kupiłem dzień wcześniej, po przywiezieniu ojca z *chastegari*. W lusterku wstecznym poprawiłem krawat.

– Jesteś *chosztip* – oświadczył tato. To znaczy szykowny.

– Dziękuję, *baba*. Dobrze się czujesz? Zniesiesz to?

– Czy zniosę? To najszczęśliwszy dzień w moim życiu, Amirze – powiedział z bladym uśmiechem.

*

Zza drzwi dolatywał gwar rozmów, śmiech i cicho grająca muzyka afgańska – brzmiała jak klasyczny *ghazal* Ustada Sarahanga. Przycisnąłem dzwonek. Ktoś spojrzał przez zasłonę w oknie holu i zniknął. „Już są!” – usłyszałem kobiecy głos. Rozmowy się urwały. Ucichła muzyka.

Drzwi otworzyła *chanum* Taheri.

– *Salam alajkum* – powitała nas rozpromieniona.

Zauważyłem, że zrobiła sobie trwałą ondulację. Była ubrana w elegancką czarną suknię do kostek. Gdy wszedłem do holu, oczy zaszły jej łzami.

– Ledwie przekroczyłeś próg, a ja już płaczę, Amirze *dżan.*

Ucałowałem jej dłoń, jak poinstruował mnie *baba* poprzedniego wieczoru.

Poprowadziła nas przez rzęsiście oświetlony hol do salonu. Na wyłożonych boazerią ścianach zobaczyłem zdjęcia ludzi, którzy mieli stać się moją nową rodziną: młoda pani Taheri z tapirowaną fryzurą i pan generał na tle wodospadu Niagara; pani Taheri w obcisłej sukience bez szwów i pan generał z bujnymi czarnymi włosami, w marynarce z wąskimi klapami i wąskim krawacie; uśmiechnięta Soraja w wesołym miasteczku, wsiada do wagonika kolejki górskiej, machając ręką, słońce odbija się od srebrnych drucików na zębach; fotografia generała w eleganckim mundurze wojskowym ściskającego dłoń jordańskiego króla Husajna. Portret Zahera Szaha.

W salonie tłoczyło się ze dwadzieścia pięć osób; wszyscy siedzieli na krzesłach pod ścianami. Gdy wszedł *baba,* wstali. Obeszliśmy dokoła pokój, tato pierwszy, wolnym krokiem, ja za nim, podawaliśmy ręce i witaliśmy się z gośćmi. *Baba* i generał – w swoim szarym garniturze – wzięli się w objęcia, lekko poklepali jeden drugiego po plecach. Wypowiedzieli powitalne *salam* cicho, z szacunkiem.

Generał przytrzymał mnie na odległość wyciągniętych rąk i uśmiechnął się znacząco, jakby chciał powiedzieć: tak należy to robić, po afgańsku, *baczem*. Ucałowaliśmy się trzykrotnie w policzki.

Usiedliśmy w przepełnionym pokoju: *baba* i ja obok siebie, państwo Taheri naprzeciwko nas. Tato zaczął oddychać nierówno, często ocierał pot z czoła i łysiny. Zauważył moje spojrzenie i na jego twarzy pojawił się wymuszony uśmiech.

– Jest dobrze – powiedział samym ruchem warg.

Jak nakazuje tradycja, Sorai z nami nie było.

Po kilku minutach towarzyskiej pogawędki o tym i owym generał odchrząknął. Zrobiło się cicho i wszyscy z szacunkiem spuścili wzrok. Generał kiwnięciem głowy dał znak tacie.

Baba odchrząknął i zaczął mówić, ale nie mógł wypowiedzieć całego zdania, nie urywając dla zaczerpnięcia powietrza.

– Wielmożny panie generale, wielmożna pani… z głęboką pokorą przybywam wraz z synem do państwa. Jesteście… prawymi ludźmi… pochodzicie z wybitnych, cenionych rodzin… z dumnych rodów. Przychodzę tu jedynie z najwyższym *ehteram*… pełen najgłębszego poważania dla was, waszych nazwisk i pamięci… waszych przodków. – Urwał, żeby zaczerpnąć powietrza. Otarł czoło. – Amir *dżan* jest moim jedynym synem… jedynym dzieckiem. Był dla mnie dobrym synem. Mam nadzieję, że zasłuży na waszą dobroć. Proszę, byście uczynili zaszczyt Amirowi *dżan* i mnie… przyjmując mojego syna do swojej rodziny.

Generał kiwnął uprzejmie głową.

– Poczytujemy to sobie za honor i witamy w naszej rodzinie syna takiego znamienitego człowieka – powiedział. – Zanim przyszło do naszego spotkania, słyszeliśmy, jak wielkim cieszysz się uznaniem. Podziwiałem cię jeszcze w Kabulu i nadal podziwiam. Jesteśmy zaszczyceni, że nasze rodziny się połączą. A ciebie, Amirze *dżan*, witam w swoim domu jako syna i jako męża mojej córki, która jest *nur* moich oczu. Będziemy dzielić z tobą radości i smutki. Mam nadzieję, że *chala* Dżamila i ja staniemy się dla ciebie drugimi rodzicami. Będę się modlił za twoje szczęśliwe życie z naszą śliczną Sorają *dżan*. Macie nasze błogosławieństwo.

Rozległy się oklaski i jednocześnie wszystkie głowy obróciły się w stronę holu. Czekałem na tę chwilę.

Na końcu korytarza pojawiła się Soraja. Wyglądała olśniewająco w tradycyjnej afgańskiej sukni, ciemnoczerwonej, z długimi rękawami

i złotym obszyciem. *Baba* ścisnął mnie za rękę. *Chanum* Taheri znowu się rozpłakała. Wolnym krokiem Soraja zbliżała się do nas, a za nią posuwał się orszak młodych krewniaczek.

Ucałowała ręce mojego ojca i wreszcie usiadła przy mnie, ze spuszczonymi oczami.

Rozległy się jeszcze huczniejsze brawa.

*

Zgodnie z tradycją do rodziny Sorai należało urządzenie przyjęcia zaręczynowego, *szirini-chori*, czyli ceremonii „jedzenia słodyczy". Potem przez kilka miesięcy trwałby okres narzeczeństwa. Na koniec odbyłoby się wesele na koszt mojego ojca.

Postanowiliśmy zrezygnować z *szirini-chori*. Wszyscy wiedzieli dlaczego, więc nie trzeba było mówić o tym głośno – *baba* nie miał przed sobą tylu miesięcy życia.

Gdy czyniono przygotowania do wesela, nie mogłem spotykać się poza domem sam na sam z Sorają – byłoby to niestosowne, ponieważ nie zawarliśmy małżeństwa ani nawet nie mieliśmy *szirini-chori*. Musiałem zadowolić się chodzeniem z tatą na obiady do Taherich i siedzeniem naprzeciwko Sorai przy stole jadalnym. I wyobrażaniem sobie, jak to będzie, gdy położy głowę na mojej piersi, gdy poczuję zapach jej włosów. Pocałuję ją. Będę się z nią kochać.

Baba wydał trzydzieści pięć tysięcy dolarów, niemal całe oszczędności swego życia, na *arusi*, czyli ceremonię zaślubin. Wynajął we Fremoncie dużą salę bankietową, gdzie bawili się Afgańczycy – właścicielem lokalu był kabulski znajomy ojca, który udzielił mu pokaźnego rabatu. *Baba* zapłacił za *czela*, to znaczy obrączki, i za wybrany przeze mnie pierścionek

z brylantem. Kupił mi smoking i tradycyjny zielony garnitur na *nika*, ceremonię składania przysięgi.

Z gorączkowych przygotowań, które trwały do samego wieczoru w dniu ślubu i którymi, na szczęście, zajmowała się *chanum* Taheri ze swoimi przyjaciółkami, pamiętam zaledwie kilka wydarzeń.

W pamięci utkwiła mi *nika*. Usadzono wszystkich przy stole. Soraja i ja byliśmy ubrani na zielono – to kolor islamu, a także kolor wiosny i początków nowych rzeczy. Ja w garniturze, Soraja (jedyna kobieta przy stole) – w sukni z długimi rękawami i burce. Byli tam jeszcze *baba*, generał Taheri (tym razem w smokingu) i kilku wujków Sorai. Oboje z Sorają siedzieliśmy ze spuszczonymi oczami, poważni i pełni szacunku, i czasem tylko zerkaliśmy na siebie z ukosa. Mułła wypytał świadków i przeczytał wersety z Koranu. Złożyliśmy przysięgę. Podpisaliśmy świadectwa. Szarif *dżan* – mieszkający w Wirginii wujek Sorai, brat *chanum* Taheri – wstał i odchrząknął. Mieszkał w Stanach od ponad dwudziestu lat, jak powiedziała mi wcześniej Soraja, pracował w Urzędzie Imigracyjnym i miał amerykańską żonę, a do tego był poetą. Ten niski mężczyzna o ptasiej twarzy i puszystych włosach odczytał przydługi wiersz dedykowany Sorai, zapisany na hotelowym papierze listowym. Gdy skończył, wszyscy zawołali: „*Wah, wah,* Szarif *dżan!*”.

Pamiętam również, jak szliśmy przez salę bankietową w stronę podium, trzymając się za ręce – ja w smokingu, Soraja na biało niczym *pari* okryta burką. *Baba* szedł przy mnie, utykając, a państwo Taheri przy swojej córce. Za nami wujowie, ciotki i krewni. Przed tym orszakiem rozstępował się tłum klaszczących i strzelających fleszami gości. Jeden z kuzynów Sorai, syn Szarifa *dżana*, trzymał Koran nad naszymi głowami. Z głośników rozbrzmiewała pieśń weselna, *Ahesta boro*, puszczona na cały regulator, ta

sama, którą śpiewał rosyjski żołnierz w punkcie kontrolnym w Mahipar tamtej nocy, gdy uciekliśmy z Kabulu.

Uczyń z poranka klucz i wrzuć go do studni,
wędruj powoli, mój śliczny księżycu, wędruj powoli.
Niech poranne słońce zapomni wstać na wschodzie,
wędruj powoli, mój śliczny księżycu, wędruj powoli.

Pamiętam też, jak siedziałem na kanapie ustawionej na podium niczym tron i trzymałem Soraję za rękę, a jakieś trzysta osób nie odrywało od nas wzroku. Odprawiliśmy ceremonię *ajina masszaf,* podczas której dostaliśmy lustro i przykryto nas chustą, żebyśmy byli sami, gdy jedno spogląda na odbicie twarzy drugiego. Patrząc na uśmiechniętą twarz Sorai, skorzystałem z chwili prywatności pod zasłoną i szeptem wyznałem jej po raz pierwszy, że ją kocham. Czerwony jak henna rumieniec rozkwitł na jej policzkach.

Wciąż mam przed oczami kolorowe półmiski z *czuban kabab, szola guszti* i dzikim ryżem z pomarańczą. Widzę uśmiechniętego tatę, który siedzi między nami na kanapie. Pamiętam zlanych potem mężczyzn, którzy tańczyli w kręgu tradycyjny taniec *atan,* podskakiwali, wirowali szybko, coraz szybciej, w zawrotnym tempie, jaki dyktowała tabla, aż w końcu niemal wszyscy, do cna wyczerpani, wypadli z kręgu. Pamiętam, że żałowałem, iż nie ma z nami Rahima Chana.

Zastanawiałem się również, czy Hasan też się ożenił. A jeśli tak, czyją twarz zobaczył w lustrze pod zasłoną? Kogo trzymał za pomalowane henną ręce?

*

Koło drugiej nad ranem zabawa przeniosła się z sali bankietowej do domu taty. Znowu lała się strumieniami herbata i grała muzyka, aż sąsiedzi

wezwali policję. Może na godzinę przed wschodem słońca goście się rozeszli. Pierwszy raz położyłem się do łóżka z Sorają. Całe dotychczasowe życie spędziłem w otoczeniu mężczyzn. Tamtej nocy poznałem czułość kobiety.

*

To Soraja zaproponowała, że przeniesie się do nas.

– Sądziłem, że będziesz chciała mieć własne mieszkanie – powiedziałem.

– Gdy *kaka dżan* jest taki chory?

Jej spojrzenie mówiło, że tak nie rozpoczyna się życia razem.

– Dziękuję. – Pocałowałem ją.

Zajmowała się moim ojcem z oddaniem. Robiła mu grzankę i herbatę na śniadanie, pomagała wstawać z łóżka i kłaść się spać. Podawała tabletki przeciwbólowe, prała ubranie i każdego popołudnia czytała artykuły w dziale zagranicznym gazety. Przyrządzała mu jego ulubione danie, którym była zupa *szorwa* z ziemniakami, choć zjadał nie więcej niż kilka łyżek. Codziennie zabierała go na spacery dokoła domu. Gdy już nie wstawał z łóżka, co godzinę przewracała go z boku na bok, żeby nie dostał odleżyn.

Któregoś dnia poszedłem do apteki kupić tacie tabletki morfiny i po powrocie do domu, ledwie zamknąwszy drzwi, zauważyłem, że Soraja szybko wsuwa coś ojcu pod koc.

– Chwileczkę, zauważyłem te manipulacje. Co robicie?

– Nic takiego – powiedziała z uśmiechem Soraja.

– Ty kłamczucho. – Uniosłem koc taty. – A co to? – zadałem retoryczne pytanie, biorąc do ręki oprawiony w skórę notatnik i dotykając złotych szwów na krawędziach.

Przypomniałem sobie fajerwerki tamtego wieczoru, gdy Rahim Chan wręczył mi ten prezent na trzynaste urodziny, syki i wybuchy petard, które tworzyły na niebie czerwone, zielone i żółte bukiety.

– Nie do wiary, że potrafisz tak pisać – rzekła Soraja.

Baba z trudem uniósł głowę z poduszki.

– To ja ją namówiłem. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu.

Podałem notatnik Sorai i wyszedłem z pokoju. *Baba* nie znosił, gdy płakałem.

*

Miesiąc po ślubie zaprosiliśmy do siebie na obiad państwa Taheri, Szarifa i jego żonę Suzy oraz kilka ciotek Sorai. Soraja przygotowała *sabzi czalow* – biały ryż ze szpinakiem i baraniną. Po posiłku piliśmy zieloną herbatę i graliśmy w karty w czteroosobowych grupkach. Soraja i ja graliśmy z Szarifem i Suzy przy niskim stoliku. Tuż obok leżał na kanapie *baba* przykryty wełnianym kocem. Przyglądał się, jak żartuję z Szarifem, jak splatają się palce Sorai z moimi, jak poprawiam jej niesforny kosmyk włosów. Widziałem, że rozświetla go wewnętrzny uśmiech, szeroki jak nocne kabulskie niebo, gdy drżą topole i świerszcze cykają głośno w ogrodach.

Tuż przed północą *baba* chciał pójść spać i poprosił o pomoc. Objął Sorajȩ i mnie za szyje, a my spletliśmy ręce za jego plecami i zaprowadziliśmy do łóżka. Gdy go położyliśmy, poprosił Sorajȩ, żeby zgasiła lampkę nocną, a potem kazał nam się pochylić i oboje nas ucałował.

– Przyniosę morfinę i wodę, *kaka dżan* – powiedziała Soraja.

– Nie trzeba – odparł. – Nie czuję bólu.

Opatuliła go kocem i wyszliśmy, zamykając drzwi.

Baba już się nie obudził.

*

Parking przed meczetem w Hayward był zapełniony. SUV-y i samochody osobowe stały na łysiejącej murawie za budynkiem, ciasno jeden przy drugim, w rzędach jak popadło. Niektórzy musieli pojechać kilka przecznic na północ od meczetu, żeby znaleźć wolne miejsce.

Sala dla mężczyzn była duża, kwadratowa, z równolegle ułożonymi dywanikami i cienkimi materacami. Wchodzili jeden za drugim, zostawiając obuwie przy wejściu, i siadali ze skrzyżowanymi nogami na materacach. Mułła recytował do mikrofonu sury Koranu. Siedziałem przy drzwiach, gdzie zwyczajowo przypada miejsce rodzinie zmarłego, a obok mnie generał Taheri.

Przez otwarte drzwi widziałem kolejne podjeżdżające samochody i błyski słońca na przednich szybach. Ze środka wysiadali mężczyźni w czarnych garniturach, kobiety w czarnych sukniach i tradycyjnych białych *hidżab.*

Gdy w sali rozbrzmiewały słowa Koranu, przypomniała mi się dawna opowieść o tym, jak *baba* zmagał się z czarnym niedźwiedziem w Beludżystanie. Całe życie walczył z niedźwiedziami. Stracił młodą żonę. Sam wychował syna. Opuścił swoją ukochaną ojczyznę, *watan.* Zaznał biedy. Zaznał upokorzeń. W końcu przyszedł niedźwiedź, z którym nie zdołał wygrać. Ale nawet wówczas został pokonany na własnych warunkach.

Po każdym cyklu modłów grupa żałobników ustawiała się do mnie w kolejce i pozdrawiała mnie przed wyjściem. Zgodnie ze zwyczajem ściskałem im ręce. Wielu prawie nie znałem. Uśmiechałem się uprzejmie, dziękowałem za życzenia, słuchałem wspomnień o ojcu.

– …pomógł mi wybudować dom w Tajmani…

– …niech go Bóg błogosławi…

– …do kogo się zwrócić i on pożyczył mi…

– …znalazł mi pracę… ledwie mnie znał…

– …był mi jak brat…

Uprzytomniłem sobie, w jakim stopniu to, kim jestem i jak mnie widzą, zostało określone przez niego i jego wpływ na życie innych ludzi. Zawsze byłem „synem swego ojca”. Ale *baba* odszedł. Już nie wskazywał mi drogi. Musiałem znaleźć własną.

Na tę myśl ogarnęło mnie przerażenie.

Trochę wcześniej przy grobie w muzułmańskiej części cmentarza patrzyłem, jak opuszczają ojca do wykopanego dołu. Mułła wdał się w sprzeczkę z jakimś mężczyzną o to, który *ajat* Koranu należy wyrecytować nad grobem. Gdyby nie wtrącił się generał Taheri, mogła z tego wyniknąć nieprzyjemna sprawa. W końcu mułła wybrał i wypowiedział werset, obrzucając swego oponenta gniewnymi spojrzeniami. Gdy zaczęli zasypywać grób, poszedłem na drugi kraniec cmentarza i usiadłem w cieniu czerwonego klonu.

Wreszcie ostatni żałobnicy złożyli wyrazy uszanowania. W meczecie został jedynie mułła, który odłączył mikrofon i zawinął Koran w zieloną tkaninę. Razem z generałem wyszedłem na popołudniowe słońce. Zeszliśmy po schodach, mijając grupki mężczyzn palących papierosy. Doleciały mnie strzępy rozmów: o meczu piłkarskim w Union City w następny weekend, o nowej afgańskiej restauracji w Santa Clara. Życie toczyło się dalej, *baba* należał do przeszłości.

– Jak samopoczucie, *baczem*? – spytał generał.

Zacisnąłem zęby. Powstrzymałem łzy, które cisnęły się do oczu przez cały dzień.

– Spróbuję znaleźć Soraję – powiedziałem.

– Dobrze.

Poszedłem w stronę sali dla kobiet. Soraja stała na schodach meczetu razem z matką i kilkoma paniami, które mgliście pamiętałem z wesela. Dałem jej znak, a ona powiedziała coś matce i podeszła do mnie.

– Może się przejdziemy? – zaproponowałem.

– Oczywiście.

Wzięła mnie za rękę i w milczeniu poszliśmy krętą żwirowaną ścieżką wzdłuż niskiego żywopłotu. Usiedliśmy na ławce i patrzyliśmy na starszych państwa, którzy klęczeli przy grobie kilka rzędów dalej, kładąc bukiecik stokrotek obok płyty nagrobnej.

– Soraja?

– Słucham.

– Będzie mi go brak.

Położyła mi rękę na udzie. *Czela*, którą kupił *baba*, zalśniła na jej palcu serdecznym. Popatrzyłem jej przez ramię i zobaczyłem, że żałobnicy odjeżdżają Mission Boulevard. Niedługo my też stąd odejdziemy i *baba* po raz pierwszy pozostanie zupełnie sam.

Soraja przytuliła mnie do siebie i wreszcie popłynęły mi z oczu łzy.

*

Ponieważ w naszym wypadku ślubu nie poprzedził okres narzeczeństwa, bliżej poznałem państwa Taheri, dopiero gdy stałem się członkiem ich rodziny. Dowiedziałem się na przykład, że generał cierpi na niezwykle dokuczliwe migreny, które trwają prawie tydzień. Gdy zaczynał się taki napad, szedł do swojego pokoju, rozbierał się, gasił światło, zamykał drzwi i nie pokazywał się, dopóki ból nie ustąpił. Nikomu nie wolno było zajrzeć do pokoju ani nawet zapukać. W końcu pojawiał się z zapuchniętymi i przekrwionymi oczami, ubrany jak zwykle w szary garnitur, roztaczając zapach snu i pościeli. Soraja wyjawiła mi, że jej

rodzice śpią w osobnych pokojach, jak daleko sięgnie pamięcią. Przekonałem się, że generał potrafi być małostkowy – na przykład smakował odrobinę jedzenia, które postawiła przed nim żona, po czym z westchnieniem odsuwał talerz. „Zrobię ci coś innego” – mówiła wtedy *chanum* Taheri, ale on nie zwracał na nią uwagi, dąsał się i jadł chleb z cebulą. Złościło to Sorajȩ i doprowadzało do łez jej matkę. Soraja powiedziała mi, że ojciec bierze środki antydepresyjne. Dowiedziałem się, że utrzymywał rodzinę z zasiłku i od przyjazdu do Stanów nie podjął żadnej pracy; wolał realizować czeki od państwa, niż poniżać się i wykonywać pracę nieodpowiednią dla człowieka z jego pozycją. Handlowanie na pchlim targu traktował jako hobby, które ułatwiało kontakty towarzyskie z rodakami. Generał uważał, że prędzej czy później Afganistan będzie wyzwolony, monarchia przywrócona, a on znów powołany do służby. Tak więc codziennie wdziewał szary garnitur, nakręcał zegarek kieszonkowy i czekał, aż to nastąpi.

Okazało się, że *chanum* Taheri – do której zacząłem mówić *chala* Dżamila – słynęła w Kabulu z zachwycającego głosu. Nie śpiewała zawodowo, choć miała tej miary talent – wykonywała pieśni ludowe, gazele, nawet ragi, które zazwyczaj są domeną mężczyzn. Mimo że generał chętnie słuchał muzyki – a nawet miał duży zbiór taśm z klasycznymi gazelami w wykonaniu afgańskich i hinduskich śpiewaków – uważał, że występowanie na scenie należy zostawić ludziom mniejszego kalibru. Gdy mieli się pobrać, generał postawił warunek, że jego małżonka nigdy nie będzie śpiewać publicznie. Soraja powiedziała mi, że matka chciała zaśpiewać na naszym ślubie, tylko jedną pieśń, ale generał obrzucił ją tym swoim spojrzeniem i nie było dyskusji. *Chala* Dżamila raz w tygodniu kupowała kupon lotto i co wieczór oglądała show Johnny’ego Carsona.

Dzień spędzała w ogrodzie na pielęgnowaniu róż, pelargonii, wilców i orchidei.

Po naszym ślubie jej zainteresowanie kwiatami i Johnnym Carsonem osłabło. Znalazła upodobanie we mnie. W przeciwieństwie do generała, który zachowywał się w sposób powściągliwy i układny – nie oponował, gdy nadal mówiłem do niego „panie generale” – *chala* Dżamila nie kryła, jak wielkim darzy mnie uwielbieniem. Przede wszystkim słuchałem opowieści o jej rozlicznych niedomaganiach, a na te narzekania jej mąż był głuchy już od dawna. Soraja powiedziała mi, że po przebytym udarze każde kołatanie w klatce piersiowej oznaczało dla jej matki atak serca, bolący staw świadczył o początkach gośćca, a drżenie oka sygnalizowało następny udar. Pamiętam, jak *chala* Dżamila wspomniała mi pierwszy raz o jakimś zgrubieniu na szyi.

– Opuszczę jutrzejsze zajęcia i zawiozę cię do lekarza – powiedziałem.

Na to generał uśmiechnął się, mówiąc:

– W takim razie w ogóle zapomnij o studiach, *baczem*. Jej karta chorobowa wygląda jak dzieła Rumiego: tom za tomem.

Ale poza tym, że *chala* Dżamila znalazła słuchacza swoich monologów o chorobach, było coś jeszcze. Gdybym chwycił za broń i zaczął mordować ludzi na lewo i na prawo, i tak kochałaby mnie niezłomnie. Ponieważ zdjąłem z jej serca najcięższe brzemię. Uwolniłem ją od najgorszego strachu, jakiego może doświadczyć afgańska matka: tego, że żaden uczciwy *chastegar* nie poprosi o rękę jej córki. Że dziewczyna zestarzeje się w samotności, bez męża, bez dzieci. Każda kobieta potrzebuje mężczyzny. Nawet jeśli on tłumi w niej pieśń.

Poza tym dowiedziałem się – od Sorai – co dokładnie zaszło w Wirginii.

Byliśmy na weselu. Syn wuja Szarifa, tego, który pracował w Urzędzie Imigracyjnym, żenił się z Afganką z Newark. Wuj wydał przyjęcie w tej

samej sali bankietowej, gdzie pół roku wcześniej odbyło się nasze *arusi*. Staliśmy w tłumie gości, patrząc, jak panna młoda przyjmuje pierścionki od rodziny pana młodego, gdy doleciał nas fragment rozmowy dwóch pań w średnim wieku, odwróconych do nas plecami.

– Jaka śliczna panna. Tylko popatrz. *Maghbul* jak księżyc.

– Do tego czysta i cnotliwa. Żadnych chłopaków.

– No właśnie. Ten kawaler słusznie postąpił, nie żeniąc się ze swoją kuzynką.

W drodze do domu Soraja wybuchnęła płaczem. Zjechałem na bok i zaparkowałem pod latarnią na Fremont Boulevard.

– Wszystko w porządku – powiedziałem, odgarniając jej włosy z czoła. – Nie warto się przejmować.

– Cholerna niesprawiedliwość – burknęła Soraja.

– Zapomnij o tym.

– Ich synowie łażą po nocnych klubach w poszukiwaniu lasek, robią dzieci swoim dziewczynom, mają nieślubne potomstwo i nikt nie powie im złego słowa. Wiadomo, po prostu chcą się zabawić. Ja zaś popełniłam jeden błąd i nagle wszyscy rozprawiają o *nang* i *namus*, będą mi to wytykać do końca życia.

Kciukiem otarłem łzę spływającą po jej twarzy, tuż nad znamieniem.

– Nie mówiłam ci o tym – kontynuowała, przykładając chusteczkę do oczu – ale tato miał z sobą broń, gdy przyjechał po mnie tamtego wieczoru. Oznajmił… mu… że w komorze są dwie kule: jeżeli nie wrócę do domu, najpierw zastrzeli jego, a potem siebie. Wrzeszczałam, obrzucałam ojca wyzwiskami, mówiłam, że nie może w nieskończoność trzymać mnie pod kluczem, że życzę mu śmierci. Naprawdę tak powiedziałam: że życzę mu śmierci.

Znowu zalała się łzami.

– Gdy przyjechaliśmy do domu, mama chwyciła mnie w objęcia i też się rozpłakała. Mówiła coś, ale tak bełkotliwie, że nie mogłam zrozumieć. Tato zaprowadził mnie do mojej sypialni i posadził przed toaletką. Podał nożyczki, po czym spokojnym tonem kazał obciąć włosy. Cały czas mi się przyglądał. Tygodniami nie wystawiałam nosa z domu. Gdy w końcu zaczęłam wychodzić do miasta, na każdym kroku słyszałam szepty albo tak mi się zdawało. To się działo cztery lata temu, trzy tysiące mil stąd, a ja wciąż słyszę te głosy.

– Chrzanić to – powiedziałem.

Z jej piersi wydobyło się na wpół łkanie, na wpół śmiech.

– Gdy rozmawiałam z tobą przez telefon w dniu *chastegari*, byłam przekonana, że zmienisz zdanie.

– W żadnym wypadku, Soraja.

Uśmiechnęła się i wzięła mnie za rękę.

– Miałam szczęście, że cię znalazłam. Nie znam drugiego Afgańczyka takiego jak ty.

– Nie mówmy o tym nigdy więcej, dobrze?

– Dobrze.

Pocałowałem ją w policzek i włączyłem się do ruchu. Podczas jazdy zastanawiałem się, co jest powodem mojej odmienności. Może to, że wychowali mnie mężczyźni; nie dorastałem pośród kobiet i nie zetknąłem się bezpośrednio z przejawami stosowania przez afgańskie społeczeństwo podwójnej miary: innej wobec kobiet, innej wobec mężczyzn. Może to, że *baba* był takim nietuzinkowym ojcem, jak na afgańskie standardy, liberałem żyjącym wedle własnych zasad, indywidualistą, który nic sobie nie robił ze zwyczajów społecznych albo przyjmował je wedle swego uznania.

Wydaje mi się jednak, że nie przywiązywałem wagi do przeszłości Sorai przede wszystkim dlatego, iż zmagałem się z własną. Doskonale znałem uczucie żalu.

*

Niedługo po śmierci ojca przeprowadziliśmy się z Sorają do dwupokojowego mieszkania we Fremoncie, oddalonego o kilka przecznic od domu jej rodziców. Generał i *chala* Dżamila kupili nam w prezencie „na zasiedlenie” brązową skórzaną kanapę i zastawę Mikasa. Ja dostałem od generała dodatkowy prezent: nowiutką maszynę do pisania IBM. W walizeczce znalazłem liścik napisany w języku dari:

Amirze dżan!
Mam nadzieję, że na tej klawiaturze skomponujesz wiele opowieści.
Generał Eghbal Taheri

Sprzedałem minibusa taty i nigdy więcej nie poszedłem na pchli targ. W każdy piątek jeździłem na cmentarz i czasem zastawałem bukiecik świeżych frezji na grobie, co oznaczało, że była tam również Soraja.

Nasze życie małżeńskie toczyło się w rytmie codziennych zajęć – i drobnych cudowności. Zdarzało się, że jedno myło zęby szczoteczką drugiego i nosiło jego skarpetki; przy śniadaniu wymienialiśmy się częściami porannej gazety. Soraja spała po prawej stronie łóżka, mnie bardziej pasowała lewa. Ona lubiła miękkie poduszki, ja wolałem twarde. Ona jadła płatki zbożowe na sucho, jak chrupki, a potem popijała je mlekiem.

W lecie zostałem przyjęty na uniwersytet stanowy w San Jose i wybrałem anglistykę. Znalazłem pracę jako ochroniarz na drugą zmianę w składzie meblowym w Sunnyvale. Robota była okropnie nudna, ale miała

tę szczególną zaletę, że o szóstej wieczorem, gdy wszyscy udawali się do domów i w przejściach między owiniętymi plastikiem kanapami zapadał mrok, mogłem wyjąć książki i zabrać się do nauki. Właśnie tam, w pomieszczeniu biurowym zalatującym środkami czyszczącymi firmy Pine-Sol, zacząłem pisać swoją pierwszą powieść.

Rok później również Soraja została studentką tej uczelni; ku wielkiemu niezadowoleniu swego ojca zapisała się na pedagogikę.

– Nie rozumiem, dlaczego chcesz zmarnować swoje zdolności – powiedział generał, gdy któregoś wieczoru jedliśmy razem kolację. – Wiesz, Amirze *dżan*, że ona zbierała same celujące oceny w szkole średniej? – Zwrócił się do córki: – Z taką inteligencją mogłabyś zostać prawnikiem albo politologiem i gdy Afganistan odzyska wolność, *enszallah*, służyć pomocą przy pisaniu nowej konstytucji. Kraj będzie potrzebował młodych utalentowanych ludzi jak ty. Może nawet zaproponują ci stanowisko ministerialne, biorąc pod uwagę to, z jakiej pochodzisz rodziny.

Widziałem, jak Soraja stara się pohamować, jak tężeje jej twarz.

– Masz do czynienia nie z dziewczynką, *padar,* lecz z dorosłą, zamężną kobietą. Poza tym nauczycielki też są potrzebne.

– Uczyć potrafi każdy.

– Mogę prosić o dokładkę ryżu, *madar?* – zapytała Soraja.

Gdy generał pożegnał się i pojechał do Hayward na spotkanie z przyjaciółmi, *chala* Dżamila próbowała pocieszyć Sorajȩ.

– On ma dobre intencje. Po prostu chce, żebyś odnosiła sukcesy.

– I żeby mógł się chwalić przed znajomymi, że jego córka jest panią mecenas. Kolejny powód do dumy dla generała.

– Co za bzdury! – zirytowała się *chala* Dżamila.

– Sukcesy! – prychnęła Soraja. – Przynajmniej nie jestem taka jak on. Siedzi tu sobie z założonymi rękami, podczas gdy inni walczą z *Szourawi.* Czeka, aż opadnie kurz, a wtedy wkroczy i odzyska swoją atrakcyjną posadkę w rządzie. Zawód nauczycielski może nie należy do dobrze płatnych, ale chcę go wykonywać, bo uwielbiam uczyć dzieci! A tak na marginesie, jest to o wiele lepsze zajęcie niż zgarnianie zasiłku.

Chala Dżamila ugryzła się w język i powiedziała tylko:

– Jeśli usłyszy, że mówisz takie rzeczy, nigdy więcej się do ciebie nie odezwie.

– Nie martw się – burknęła Soraja, rzucając serwetkę na stół. – Jego szlachetne ego nie ucierpi.

*

Latem 1988 roku, jakieś sześć miesięcy przed wycofaniem się Rosjan z Afganistanu, skończyłem swoją pierwszą powieść – osadzoną w Kabulu historię o ojcu i synu – napisaną niemal w całości na maszynie, którą podarował mi generał. Wysłałem ofertę do kilkunastu agencji i pewnego sierpniowego dnia oniemiałem, znalazłszy w skrzynce odpowiedź od nowojorskiej agencji, która prosiła o przysłanie pełnego tekstu. Zrobiłem to następnego dnia. Soraja pocałowała starannie zapakowany maszynopis, natomiast *chala* Dżamila nalegała, żeby przesunąć paczkę pod księgą Koranu. Zobowiązała się złożyć w mojej intencji *nazr,* to znaczy ślubowanie, iż każe zabić jagnię i rozda mięso biedakom, jeśli książka zostanie przyjęta.

– Powstrzymaj się od ślubowania, *chala dżan*, proszę – powiedziałem, całując ją w policzek. – Wystarczy *zakat,* daj jałmużnę potrzebującemu, dobrze? Żadnego zabijania jagnięcia.

Sześć tygodni później odebrałem telefon z Nowego Jorku. Mój rozmówca przedstawił się jako Martin Greenwalt i zaproponował, że zostanie moim agentem. Podzieliłem się tą wiadomością tylko z Sorają.

– Posiadanie agenta nie oznacza, że książka zostanie wydana. Poczekajmy ze świętowaniem, aż Martin sprzeda powieść.

Po miesiącu Martin zawiadomił mnie, że będę publikowanym pisarzem. Gdy powiedziałem o tym Sorai, zapiszczała z radości.

Tego wieczoru zaprosiliśmy jej rodziców na wspólne świętowanie. Na stole znalazły się *kofta*, czyli klopsiki z białym ryżem, i białe *ferni* – oba dania zrobiła *chala* Dżamila. Generałowi lekko zwilgotniały oczy, gdy powiedział, że napawam go dumą. Po ich wyjściu świętowaliśmy z Sorają przy butelce kosztownego merlota, którą kupiłem w drodze do domu – generał nie pochwalał picia alkoholu przez kobiety, więc Soraja nie brała wina do ust w jego obecności.

– Jestem taka dumna z ciebie – powiedziała, trącając się ze mną kieliszkiem. – *Kaka* też nie posiadałby się z dumy.

– Wiem. – Pomyślałem o ojcu, żałując, że nie widzi mnie teraz.

Późnym wieczorem, gdy Soraja zasnęła – po winie zawsze ogarniała ją senność – stałem na balkonie i oddychałem świeżym powietrzem. Myślałem o Rahimie Chanie i o liściku, który napisał po przeczytaniu mojego pierwszego opowiadania, chcąc dodać mi otuchy. Myślałem też o Hasanie. „Pewnego dnia, *enszallah*, staniesz się wielkim pisarzem – powiedział kiedyś. – Cały świat będzie czytał twoje opowiadania”. W moim życiu było tyle dobrego, tyle szczęścia. Zacząłem się zastanawiać, czy na to zasłużyłem.

Powieść ukazała się latem 1989. Wydawca wysłał mnie do pięciu miast na spotkania autorskie. Stałem się sławą pomniejszego kalibru w środowisku Afgańczyków. W tamtym roku *Szourawi* wycofali się

ostatecznie z Afganistanu. Powinien to być czas chwały dla jego mieszkańców, ale wojna nadal trwała – tym razem afgańscy mudżahedini wystąpili przeciwko rządowi Nadżibullaha będącego marionetką Sowietów. Afgańscy uchodźcy przybywali tłumnie do Pakistanu. Tamtego roku skończyła się zimna wojna, upadł mur berliński. Wtedy też doszło do masakry na placu Tiananmen. W natłoku wydarzeń zapomniano o Afganistanie. Generał Taheri, w którym wyjście Sowietów rozbudziło nadzieję, znów zaczął nakręcać zegarek kieszonkowy.

Również tamtego roku staraliśmy się z Sorają mieć dziecko.

*

Na myśl o ojcostwie szalała we mnie burza uczuć. Byłem wystraszony, ożywiony, zniechęcony i podekscytowany – wszystko naraz. Zastanawiałem się, jakim będę ojcem. Chciałem być taki jak *baba*, a jednocześnie w ogóle do niego niepodobny.

Minął jednak rok i nie zostaliśmy rodzicami. Z każdą miesiączką Soraja była coraz bardziej podenerwowana, zniecierpliwiona i rozdrażniona. *Chala* Dżamila, która dotychczas robiła delikatne aluzje, zaczęła pytać bez ogródek: „*Cho dega!* – co znaczy no więc – kiedy wreszcie zaśpiewam *allahu* swojemu maleńkiemu *nawasa?*”. Generał, jak zawsze Pasztun, nie wnikał w te sprawy – zadawanie takich pytań stanowiłoby aluzję do współżycia seksualnego jego córki z mężczyzną, a to nie uchodziło, nawet jeśli ów mężczyzna był jej mężem od ponad czterech lat. Ale rozbłyskiwały mu oczy, gdy *chala* Dżamila wspominała żartobliwie o dziecku.

– Niekiedy to trwa trochę czasu – powiedziałem do Sorai któregoś wieczoru.

– Nie uważam, że rok to „trochę czasu”! – odparła obcesowo, co było do niej niepodobne. – Na pewno coś jest nie w porządku.

– No to pójdźmy do lekarza.

*

Doktor Rosen, pan z brzuszkiem, pulchną twarzą i drobnymi, równymi zębami, mówił z lekkim wschodnioeuropejskim akcentem, jakby nieco słowiańskim. Pasjonowały go pociągi – jego gabinet był zawalony książkami o historii kolejnictwa, modelami lokomotyw, obrazami pociągów toczących się po szynach przez mosty i pośród zielonych wzgórz. Nad biurkiem miał tabliczkę z napisem: „Życie to pociąg – proszę wsiadać. Ruszamy!”.

Przedstawił nam swój plan działania. Najpierw ja poddam się badaniom.

– Z mężczyzną sprawa jest prosta – powiedział, stukając palcami w blat mahoniowego biurka. – Jego instalacja, podobnie jak sposób myślenia, jest nieskomplikowana i właściwie pozbawiona niespodzianek. Natomiast panie… no cóż, Pan Bóg skonstruował was z pomyślunkiem.

Zastanawiałem się, czy każdej parze pacjentów wciska ten tekst o instalacji.

– Szczęściary z nas – wtrąciła Soraja.

Doktor Rosen się zaśmiał. Może odrobinę nienaturalnie. Dał mi karteczkę do laboratorium i plastikowy pojemnik. Soraja dostała skierowanie na standardowe badanie krwi. Uścisnęliśmy sobie dłonie na pożegnanie.

– Ruszamy! – powiedział, odprowadzając nas do wyjścia.

*

Zaliczyłem celująco.

Przez następnych kilka miesięcy Sorai mąciło się w głowie od przeprowadzanych badań: mierzenie temperatury, badanie stężenia każdego możliwego hormonu we krwi, badanie moczu, śluzu szyjkowego, USG, znowu badanie krwi i znowu badanie moczu. Soraja poddała się zabiegowi zwanemu histeroskopią – doktor Rosen chciał obejrzeć wnętrze jej macicy. Nie stwierdził nic niewłaściwego. „Instalacja jest drożna” – oznajmił, ściągając lateksowe rękawiczki. Chciałem, żeby przestał mówić o nas jak o łazience. Po wszystkich badaniach przyznał, że nie wie, dlaczego nie możemy mieć dzieci. Podobno takie przypadki nie należą do rzadkości. Określa się je mianem niepłodności niewyjaśnionej.

Potem rozpoczęło się leczenie. Lekarze zalecili lek o nazwie klomifen oraz terapię hMG i serię zastrzyków, które Soraja robiła sobie sama. Gdy nie odniosły skutku, doktor Rosen zaproponował zapłodnienie in vitro. Dostaliśmy uprzejmy list z HMO, naszego zakładu opieki zdrowotnej, z życzeniami powodzenia i wiadomością, że niestety nie pokryją kosztów.

Pokryliśmy je z własnej kieszeni, wydając zaliczkę od wydawcy. Okazało się, że ta metoda jest czasochłonna, skomplikowana, zniechęcająca i w naszym wypadku nieskuteczna. Po miesiącach spędzonych w poczekalniach na czytaniu „Good Housekeeping” i „Reader’s Digest” oraz w zimnych, sterylnych gabinetach oświetlonych jarzeniówkami, gdzie odziani w papierowe fartuchy przechodziliśmy niekończące się badania, po upokarzających rozmowach z obcymi ludźmi o wszystkich niuansach naszego życia seksualnego, po seriach zastrzyków, ciągłym wziernikowaniu i pobieraniu próbek wróciliśmy do doktora Rosena i jego pociągów.

Pan doktor usiadł naprzeciwko nas, postukał palcami w blat biurka i po raz pierwszy napomknął o adopcji. Soraja płakała przez całą drogę do domu.

W weekend po ostatniej wizycie u doktora Rosena Soraja powiedziała o wszystkim swoim rodzicom. Siedzieliśmy na składanych krzesłach w ogrodzie Taherich, grillowaliśmy pstrągi i piliśmy *dogh*. Był wczesny wieczór w marcu 1991 roku. *Chala* Dżamila podlała już róże i kwitnące kapryfolium, których woń mieszała się z zapachem ryby. Dwa razy pogłaskała córkę po włosach, powtarzając:

– Bóg wie najlepiej, *baczem*. Może nie było pisane, żebyście mieli dzieci.

Soraja siedziała ze spuszczoną głową. Wiedziałem, że ma już dość tego wszystkiego.

– Lekarz wspomniał o adopcji – wymamrotała.

Generał Taheri podniósł gwałtownie głowę i zatrzasnął pokrywę grilla.

– Ach tak? – mruknął.

– Uważał, że to jest jakieś rozwiązanie – dodała Soraja.

Rozmawialiśmy o tym w domu. Sorają w najlepszym razie targały sprzeczności.

– Wiem, że jestem głupia, nawet próżna – powiedziała w drodze do swoich rodziców – ale nic na to nie poradzę. Zawsze marzyłam, żeby trzymać je w ramionach ze świadomością, że żywiło się moją krwią przez dziewięć miesięcy, żeby pewnego dnia spojrzeć mu w oczy i ze zdumieniem zobaczyć w nich ciebie albo siebie, rozpoznać twój albo mój uśmiech na jego twarzy, gdy będzie dorosłym człowiekiem. Bez tego… Czy to jest złe?

– Nie – odparłem.

– Czy jestem egoistką?

– Nie jesteś.

– Bo jeśli bardzo chcesz to zrobić…

– Nie, Soraja. Taką decyzję musimy podjąć jednomyślnie, bez żadnych wątpliwości. W przeciwnym razie byłoby to nie w porządku wobec dziecka.

Oparła głowę o szybę i milczała przez resztę drogi.

Generał usiadł obok córki.

– *Baczem.*… ta cała adopcja… chyba jest nie dla nas, Afgańczyków.

Soraja spojrzała na mnie znużonym wzrokiem i westchnęła.

– Te dzieci z czasem chcą wiedzieć, kim byli ich biologiczni rodzice – mówił dalej generał. – I nie można ich za to winić. Niekiedy opuszczają dom, w którym całymi latami zapewniało im się ciężką pracą utrzymanie, i jadą szukać ludzi, którzy dali im życie. Więzy krwi są bardzo silne, *baczem,* nigdy o tym nie zapominaj.

– Nie chcę więcej o tym rozmawiać – rzekła Soraja.

– Jeszcze jedno. – Generał nie dał się zbyć. Już zaczął się rozkręcać i najwyraźniej zamierzał wystąpić z przemową. – Spójrzmy na przykład na Amira *dżan.* Wszyscy znamy jego ojca. Wiem, kim był jego dziadek w Kabulu, kim był pradziadek. Gdybyście chcieli, mógłbym wymienić jego przodków, sięgając wiele pokoleń wstecz. Dlatego gdy jego ojciec, niech spoczywa w pokoju, dokonał *chastegari,* w ogóle się nie wahałem. Zapewniam cię, że jego ojciec nie zgodziłby się poprosić o twoją rękę, gdyby nie wiedział, z jakiej wywodzisz się rodziny. Krew ma wielką siłę, *baczem.* Adoptując dziecko, nie wiesz, jaką krew wprowadzasz do swojego domu. Amerykanie nie przykładają do tego wagi. Tu ludzie pobierają się z miłości, rodowe nazwisko i pochodzenie nie odgrywają roli. Także przy adoptowaniu dziecka. Jeśli tylko jest zdrowe, wszyscy są zadowoleni. Ale my jesteśmy Afgańczykami, *baczem.*

– Ryby są już chyba gotowe – powiedziała Soraja.

Generał nadal spoglądał na córkę. Poklepał ją po kolanie.

– Ciesz się, że dopisuje ci zdrowie i masz dobrego męża.

– Co ty na to, Amirze *dżan?* – zapytała *chala* Dżamila.

Postawiłem szklankę na parapecie, między ociekającymi wodą pelargoniami w doniczkach.

– Wydaje mi się, że generał ma rację.

Generał kiwnął z zadowoleniem głową i podszedł do grilla.

Każde z nas miało swoje powody, by sprzeciwiać się adopcji. I Soraja, i generał, i ja. Ja myślałem tak: kto wie, czy nie dano mi doświadczyć ojcostwa za dawne uczynki, czy nie wymierzono mi takiej kary – co więcej, sprawiedliwej. „Może nie było pisane, żebyście mieli dzieci” – powiedziała *chala* Dżamila.

A może było pisane, żebyśmy nie mieli dzieci.

*

Kilka miesięcy później postanowiliśmy wykorzystać zaliczkę na poczet drugiej powieści i dokonać przedpłaty na śliczny trzypokojowy dom w stylu wiktoriańskim, znajdujący się w Bernal Heights w San Francisco. Dom miał spadzisty dach, podłogi z twardego drewna i malutki ogród z altaną na końcu i obudowanym miejscem na ognisko. Generał pomógł mi odnowić altanę i pomalować ściany. *Chala* Dżamila lamentowała, że będziemy mieszkać o godzinę jazdy od nich, a Soraja potrzebuje przecież wsparcia i miłości najbliższych, i w ogóle nie zdawała sobie sprawy, że właśnie jej przytłaczające, choć podyktowane najlepszymi intencjami współczucie skłoniło córkę do przeprowadzki.

*

Bywało, że Soraja spała obok mnie, a ja leżałem w łóżku i słuchałem cykania świerszczy w ogrodzie albo uderzeń stukających na wietrze drzwi z siatką przeciwko owadom. Wówczas niemal czułem pustkę w łonie Sorai,

miałem wrażenie, że ta pustka żyje i oddycha. Przenika nasze małżeństwo, żarty i kochanie się. Późną nocą w ciemnej sypialni czułem, jak wydobywa się z Sorai i układa między nami. Śpi przy nas jak nowo narodzone dziecko.

14

Czerwiec 2001

Odłożyłem słuchawkę na widełki i przez długi czas wpatrywałem się w telefon. Dopiero gdy Aflatun wyrwał mnie z zamyślenia szczekaniem, uprzytomniłem sobie, że wokół panuje kompletna cisza. Gdy rozmawiałem, Soraja wyłączyła dźwięk w telewizorze.

– Zbladłeś, Amirze – zauważyła.

Leżała na kanapie – tej samej, którą dostaliśmy od jej rodziców w prezencie „na zasiedlenie” naszego pierwszego mieszkania – z nogami wsuniętymi pod wytarte poduszki i głową Aflatuna na piersi. Oglądała program stacji PBS o zagrożonej egzystencji wilków w Minnesocie, a jednocześnie poprawiała wypracowania uczniów uczęszczających na letnie zajęcia w szkole, gdzie uczyła już sześć lat. Gdy wstała z kanapy, pies zeskoczył na podłogę. To generał nadał takie imię naszemu cocker-spanielowi – Platon w języku dari – twierdził bowiem, że jeśli dostatecznie długo i uważnie patrzy się w jego szkliste czarne oczy, to naprawdę widać, jakie mądre myśli chodzą mu po głowie.

Na podbródku Sorai odłożył się już tłuszczyk, cieniutka warstewka. Przez ostatnich dziesięć lat trochę zaokrągliły się jej biodra, a czarne jak węgiel włosy były przeplecione popielatymi pasemkami. Ale nadal miała

twarz księżniczki na balu – łuki brwi przypominały skrzydła ptaka w locie, zakrzywienie nosa przywodziło na myśl elegancki kształt starego arabskiego pisma.

– Zbladłeś – powtórzyła, kładąc plik kartek na stole.

– Muszę jechać do Pakistanu.

– Do Pakistanu?

– Rahim Chan jest ciężko chory. – Mówiąc to, czułem ściskanie w żołądku.

– Dawny wspólnik twojego ojca, tak?

Soraja nie poznała osobiście Rahima Chana, tylko słyszała o nim ode mnie. Kiwnąłem głową.

– To smutna wiadomość – dodała.

– Kiedyś łączyła nas zażyłość – powiedziałem. – Był pierwszym dorosłym, którego uważałem za swojego przyjaciela w dziecięcych latach.

Przed moimi oczami pojawił się obraz z przeszłości: Rahim Chan i *baba* popijają herbatę w gabinecie, potem palą papierosy przy oknie, lekki wiaterek przynosi z ogrodu słodką woń i kołysze bliźniaczymi smużkami dymu.

– Opowiadałeś mi o tym. – Umilkła na chwilę. – Jak długo cię nie będzie?

– Nie wiem. On chce się ze mną widzieć.

– Czy to…?

– Tak, zupełnie bezpieczne. Wrócę cały i zdrowy. – Wiedziałem, że od razu chciała o to zapytać. Po piętnastu latach małżeństwa umieliśmy czytać w swoich myślach. – Pójdę na spacer.

– Iść z tobą?

– Chciałbym być sam.

*

Pojechałem do parku Golden Gate i wybrałem się na spacer po jego północnej części, nad brzegiem jeziora Spreckels. Było piękne niedzielne popołudnie; po migoczącej w słońcu wodzie pływały dziesiątki małych żaglówek popychanych rześkim wiatrem charakterystycznym dla San Francisco. Usiadłem na ławce i zacząłem obserwować mężczyznę, który rzucał synowi piłkę do rugby i mówił mu, żeby wykonywał rzut, trzymając piłkę nad ramieniem, a nie z boku. Gdy uniosłem wzrok, zobaczyłem dwa latawce, czerwone z niebieskimi ogonami. Leciały wysoko nad drzewami w zachodniej części parku i nad wiatrakami.

Pomyślałem o słowach Rahima Chana tuż przed odłożeniem słuchawki. Rzucił je mimochodem, niemal machinalnie. Przymknąłem powieki i wyobraziłem go sobie na końcu trzeszczącej linii – z lekko rozwartymi ustami i przechyloną na bok głową. Jego bezdenne czarne oczy sugerowały, jak wtedy, że mamy jakąś niewypowiedzianą wspólną tajemnicę. Ale teraz wiedziałem, że on wiedział. Przypuszczenia, które miałem przez te wszystkie lata, były słuszne. On wiedział o Asefie, latawcu, pieniądzach, zegarku ze wskazówkami w kształcie błyskawicy. Cały czas wiedział.

„Przyjedź. Można znowu być dobrym” – powiedział tuż przed odłożeniem słuchawki. Mimochodem, niemal machinalnie.

Znowu być dobrym.

*

Gdy wszedłem do domu, Soraja rozmawiała z matką przez telefon.

– Szybko wróci, *madar dżan.* Za tydzień, za dwa tygodnie… Tak, możecie przenieść się do mnie.

Dwa lata wcześniej generał złamał prawą nogę w biodrze. Po ataku migreny wyszedł ze swojego pokoju, półprzytomny, z zapuchniętymi

oczami, i potknął się o brzeg dywanu. Słysząc jego krzyk, *chala* Dżamila przybiegła z kuchni. „To był taki dźwięk, jakby złamał się *dżaru*, kij od miotły” – chętnie opowiadała potem, choć lekarz uważał, że raczej nie mogła nic słyszeć. Uszkodzenie stawu biodrowego oraz późniejsze komplikacje – zapalenie płuc, zakażenie krwi, przeciągający się pobyt w domu opieki dla przewlekle chorych – położyły kres monologom, które *chala* Dżamila od dawna wygłaszała na temat własnego zdrowia, i dały początek monologom na temat zdrowia małżonka. Gdy tylko znalazła chętne ucho, opowiadała, że zdaniem lekarzy szwankują mu nerki. „Ale oni nigdy przecież nie widzieli afgańskich nerek, czyż nie tak?” – mówiła z dumą. Z pobytu generała w szpitalu najmocniej wbiło mi się w pamięć to, że *chala* Dżamila czekała, aż mąż zaśnie, a potem mu śpiewała – śpiewała pieśni, których słuchałem w trzeszczącym radiu tranzystorowym mojego ojca, gdy mieszkaliśmy w Kabulu.

Z powodu słabowitości generała – a także upływu czasu – stosunki między ojcem a córką złagodniały. Razem odbywali spacery, szli na lunch w soboty i czasem generał był obecny na jej zajęciach. Przychodził w swoim wyświeconym szarym garniturze, siadał z tyłu, kładąc laskę na kolanach, i słuchał z uśmiechem. Zdarzało się, że nawet robił notatki.

*

Tamtej nocy Soraja leżała przy mnie, dotykając plecami mojej piersi, a ja wtulałem twarz w jej włosy. Przemykały mi przez głowę wspomnienia, jak to kiedyś leżeliśmy, stykając się czołami, wymieniając czułe pocałunki i rozmawiając szeptem, aż zamknęły się nam powieki – mówiliśmy o malutkich, zagiętych paluszkach, o pierwszych uśmiechach, pierwszych krokach, pierwszych słowach. Niekiedy nadal prowadziliśmy przyciszone rozmowy, ale teraz dotyczyły spraw szkolnych, mojej nowej książki czy

absurdalnie śmiesznego stroju, w jakim ktoś przyszedł na przyjęcie. Kochanie się nadal sprawiało nam przyjemność, czasem więcej niż przyjemność, ale nieraz z ulgą myślałem, że mam to za sobą i mogę zapaść w sen, zapominając przynajmniej na pewien czas o daremności dokonanego właśnie aktu. Wiem, że Sorai też nie były obce takie odczucia, choć nigdy o tym nie napomknęła. Wtedy każde z nas przewracało się na swoją stronę łóżka, szukając wybawienia – Soraja we śnie, ja niezmiennie w książce.

Tamtej nocy gdy zadzwonił Rahim Chan, leżałem w ciemnościach i wodziłem wzrokiem po ścianie, na którą padały równoległe paski srebrnego światła księżyca sączącego się przez listwy żaluzji. Chyba dopiero tuż przed świtem zasnąłem. Śnił mi się Hasan; biegł, ubijając śnieg czarnymi kaloszami i zamiatając go skrajem zielonego kaftana; wołał przez ramię: „Dla ciebie tysiąc razy!”.

*

Tydzień później siedziałem na miejscu przy oknie w samolocie pakistańskich linii lotniczych i patrzyłem, jak dwóch umundurowanych pracowników lotniska usuwa spod kół klocki. Maszyna zakołowała na pas startowy i wkrótce wzniosła się ponad chmury. Oparłem głowę o szybę. Czekałem na sen – daremnie.

15

Po trzech godzinach od wylądowania w Peszawarze siedziałem na postrzępionym tylnym siedzeniu zadymionej taksówki. Kierowca, który przedstawił się imieniem Gholam, spocony, niski mężczyzna palący jednego papierosa za drugim, jechał niefrasobliwie i nieuważnie, wiele razy o mały włos uniknął zderzenia, a przy tym z jego ust wylewał się bezustannie potok słów.

– …straszne, co się dzieje w twoim kraju, *jar.* Afgańczycy i Pakistańczycy to prawie bracia, bez dwóch zdań. Muzułmanie muszą pomagać sobie nawzajem, więc…

Wyłączyłem się i przestawiłem na uprzejme kiwanie głową. Peszawar pamiętałem całkiem nieźle po kilku miesiącach spędzonych tu z ojcem w 1981 roku. Jechaliśmy teraz Jamrud Road w kierunku zachodnim, przez Cantonment, osiedle wojskowe z wytwornymi domami, każdy ogrodzony wysokim murem. Wielkomiejski zamęt za oknami przypominał mi Kabul, jaki znałem, jeszcze bardziej ruchliwy i tłoczny, a zwłaszcza Kocze Morgha, czyli Kurzy Bazar, gdzie kupowaliśmy z Hasanem ziemniaki z czatni i wodę wiśniową. Na ulicach było tłoczno od rowerzystów, przechodniów i motoriksz, które z terkotem wypuszczały niebieskie spaliny – w labiryncie wąskich zaułków i uliczek przemykali ludzie i pojazdy. Brodaci handlarze owinięci cienkimi kocami stali jeden obok

drugiego przy małych straganach i sprzedawali abażury ze skór zwierząt, dywany, haftowane chusty i wyroby z miedzi. W mieście panował zgiełk. Krzyki kramarzy przemieszane z donośną hinduską muzyką, warkotem riksz i dzwonkami furmanek rozbrzmiewały mi w uszach. Intensywne zapachy, bardziej i mniej przyjemne, wpadały przez okno taksówki: pikantne wonie *pakora* i *nihari*, ulubionego dania taty, mieszały się ze spalinami pojazdów na ropę i smrodem zgnilizny, śmieci i odchodów.

Minąwszy zbudowane z czerwonej cegły budynki Uniwersytetu Peszawarskiego, wjechaliśmy do dzielnicy, którą mój gadatliwy kierowca nazwał „miasteczkiem afgańskim”. Ujrzałem stragany ze słodyczami, dywanami i kebabami, dzieciaki wyciągające ubłocone ręce z papierosami na sprzedaż, małe knajpki z mapami Afganistanu wymalowanymi na szybach i biura pomocy humanitarnej w bocznych uliczkach.

– Jest tu wielu twoich ziomków, *jar.* Próbują zakładać interesy, ale większość to biedacy – westchnął, cmokając. – W każdym razie jesteśmy prawie na miejscu.

Przypomniałem sobie ostatnie spotkanie z Rahimem Chanem w 1981 roku. Tego wieczoru gdy uciekaliśmy z Kabulu, przyszedł się pożegnać. Uścisnęli się z ojcem w holu, cicho płacząc. Po naszym przyjeździe do Stanów tato utrzymywał z nim kontakt. Komunikowali się przez telefon cztery, może pięć razy w roku i czasem *baba* przekazywał mi słuchawkę. Ostatni raz rozmawiałem z Rahimem Chanem niedługo po śmierci ojca. Wiadomość dotarła do Kabulu i Rahim Chan zadzwonił do mnie. Po kilku minutach połączenie zostało przerwane.

Kierowca podjechał pod wąski budynek przy ruchliwym skrzyżowaniu dwóch krętych ulic. Zapłaciłem za kurs, wziąłem walizkę i stanąłem przed bogato rzeźbionymi drzwiami. Dom miał drewniane balkony i otwarte okiennice. Na wielu balkonach suszyło się na słońcu pranie. Poszedłem

skrzypiącymi schodami na pierwsze piętro, potem mrocznym korytarzem w prawo, do ostatnich drzwi. Dla pewności spojrzałem na adres zapisany na papierze listowym. Zapukałem.

Na progu pojawił się człowiek, skóra i kości, udający Rahima Chana.

*

Nauczyciel akademicki z San Jose, który uczył nas sztuki pisania, wielokrotnie powtarzał: „Unikajcie komunałów jak zarazy”. Potem śmiał się z własnych słów i cała grupa razem z nim. Ale ja zawsze uważałem, że nie należy drwić z komunałów, ponieważ często trafiają w sedno. Trafność komunału zostaje jednak przyćmiona jego banalnością. Weźmy na przykład takie wyrażenie: „ze zręcznością słonia w składzie porcelany”. Nic lepiej nie ilustruje pierwszych chwil spotkania z Rahimem Chanem.

Siedzieliśmy na cienkim materacu pod ścianą, naprzeciwko okna wychodzącego na hałaśliwą ulicę. Słońce wpadało ukosem, rzucając trójkątny snop światła na afgański dywanik na podłodze. Dwa składane krzesła stały oparte o ścianę, a naprzeciwko nich w rogu pokoju znajdował się mały miedziany samowar. Z niego nalałem nam herbaty.

– Jak mnie odnalazłeś? – zapytałem.

– Nietrudno znaleźć kogoś w Ameryce. Kupiłem mapę Stanów Zjednoczonych i zacząłem dzwonić do biur informacji w większych miastach północnej Kalifornii – wyjaśnił. – Jakie to wspaniałe i zarazem dziwne poznać cię jako dorosłego mężczyznę.

Uśmiechnąłem się i wrzuciłem trzy kostki cukru do swojej herbaty. Pamiętałem, że Rahim Chan pije czarną herbatę gorzką.

– *Baba* nie miał sposobności powiedzieć ci o moim ślubie. Ożeniłem się piętnaście lat temu.

Tak naprawdę ojciec tracił wówczas pamięć na skutek raka mózgu, zaniedbywał wiele spraw.

– Ach tak? Z kim?

– Z Sorają Taheri.

Całe szczęście, że nie jest sama, pomyślałem, na pewno siedzi w domu i martwi się o mnie.

– Taheri… Kto jest jej ojcem? – zastanawiał się Rahim Chan.

Gdy mu powiedziałem, rozpromienił się.

– No tak, już pamiętam. Czy generał Taheri nie poślubił siostry Szarifa *dżan?* Jakże ona miała na imię…

– Dżamila *dżan.*

– *Balaj!* – zawołał z uśmiechem. – Znałem Szarifa *dżan*, gdy mieszkaliśmy w Kabulu, dawno temu, przed jego wyjazdem do Ameryki.

– Od lat pracuje w Urzędzie Imigracyjnym, prowadzi wiele spraw Afgańczyków.

– *Hajjjjj*. – Westchnął. – Macie dzieci?

– Nie.

– Och.

Wypił łyk herbaty i przestał się wypytywać. Nie spotkałem człowieka, który miał tyle wyczucia co Rahim Chan.

Zacząłem opowiadać o ojcu, o jego pracy, o pchlim targu i o tym, że umarł szczęśliwy. Powiedziałem, do jakich chodziłem szkół i że mam na swoim koncie cztery wydane powieści. Przyjął tę wiadomość z uśmiechem, mówiąc, że co do tego nigdy nie miał wątpliwości. Napomknąłem, że zapisywałem opowiadania w oprawionym w skórę notatniku, który dał mi w prezencie, ale on tego już nie pamiętał.

Jak było do przewidzenia, rozmowa zeszła na temat talibów.

– Czy rzeczywiście jest tak źle, jak się słyszy? – zapytałem.

– Jest gorzej. Dużo gorzej – powiedział. – Nie pozwalają ci być człowiekiem. – Dotknął krzywej blizny nad prawym okiem, przecinającej krzaczaste brwi. – Byłem na meczu piłkarskim na stadionie Ghazi w dziewięćdziesiątym ósmym roku. Kabul przeciwko Mazar-i Szarif, jeśli dobrze pamiętam. Tak na marginesie, zawodnikom nie wolno grać w szortach. Byłoby to obnażanie się w miejscu publicznym. – Zaśmiał się z trudem. – No więc gdy Kabul strzelił gola, siedzący obok mnie mężczyzna zaczął głośno wiwatować. I nagle jakiś młody brodaty gość, który pilnował porządku na trybunach, z wyglądu nie więcej niż osiemnastolatek, podszedł i uderzył mnie w czoło kolbą kałasznikowa. „Zrobisz to jeszcze raz, a odetnę ci język, ty stary ośle!”, wrzasnął. – Rahim Chan potarł bliznę sękatym palcem. – Mógłbym być jego dziadkiem. Siedziałem na ławce cały zakrwawiony i kajałem się przed tym psim synem.

Dolałem mu herbaty. Rahim Chan mówił dalej o rzeczach w dużej mierze już mi znanych i również o nieznanych. Powiedział, że zgodnie z umową z moim ojcem zamieszkał w jego domu po 1981 roku – to wiedziałem. *Baba* „sprzedał” dom Rahimowi Chanowi tuż przed naszą ucieczką z Kabulu. W tamtych czasach uważał, że trudna sytuacja w Afganistanie tylko przejściowo zaburzyła nasz dotychczasowy tryb życia – jeszcze będą się odbywać przyjęcia w domu w Wazir Akbar Chan i pikniki w Paghmanie. Zatem do tego dnia domem miał się opiekować jego przyjaciel.

Rahim Chan opowiadał, że gdy Sojusz Północny sprawował władzę w Kabulu między 1992 a 1996 rokiem, każde ugrupowanie kontrolowało inną dzielnicę.

– Jeżeli poszedłeś z Szahr-e Nau do Karta Parwan, żeby kupić dywan, mogłeś zginąć od kuli snajpera albo od wybuchu rakiety, zakładając oczywiście, że przepuszczono cię przez wszystkie punkty kontrolne. Zupełnie jakbyś musiał mieć wizę, żeby przedostać się z jednej dzielnicy do drugiej. W tej sytuacji nikt nie ruszał się z miejsca, zanosząc modły, by rakieta nie spadła na jego domostwo.

Opowiadał, że mieszkańcy wybijali dziury w ścianach swoich domów i przechodzili tymi dziurami, żeby uniknąć niebezpieczeństwa na ulicach. Bywało też, że przemieszczali się podziemnymi tunelami.

– Dlaczego nie wyjechałeś? – zapytałem.

– Kabul był moim domem. Wciąż jest. – Zaśmiał się z ironią. – Pamiętasz ulicę, która biegła od waszego domu do Ghiszla, koszar wojskowych przy szkole Esteghlal?

– Tak.

Tamtędy prowadziła droga na skróty do szkoły. Przypomniał mi się dzień, gdy poszliśmy z Hasanem przez koszary i żołnierze naśmiewali się z jego matki. Potem, kiedy byliśmy w kinie, Hasan rozpłakał się, a ja objąłem go ramieniem.

– Gdy weszli talibowie i wyparli z Kabulu żołnierzy Sojuszu, tańczyłem na tej ulicy – mówił dalej Rahim Chan. – I wierz mi, nie byłem jedyny. Ludzie świętowali na *czaman,* w De Mazang, witali talibów na ulicach, fotografowali się z nimi na ich czołgach. Byli wykończeni ciągłymi walkami, spadającymi rakietami, strzelaniną, wybuchami, mieli dość widoku Gulbuddina Hekmatjara i jego band, które strzelały do wszystkiego, co się ruszało. Oddziały Sojuszu spowodowały więcej szkód w Kabulu niż *Szourawi.* Zburzyli sierociniec twego ojca. Wiesz o tym?

– Ale po co? Po co mieliby go zburzyć?

Pamiętam, jak siedziałem za ojcem w dniu otwarcia. Wiatr zwiał mu karakułową czapkę i wszyscy się śmiali, a potem, gdy tato wygłosił przemówienie, oklaskiwali go na stojąco. A teraz była tam tylko sterta gruzów, jedna z wielu. Ileż to pieniędzy wydał *baba*, ile się napocił co wieczór nad projektami, ile się nachodził na plac budowy, żeby sprawdzić, czy każda cegła, każda belka, każdy kloc leżały na swoim miejscu…

– Szkody wynikające z działań wojennych – rzekł Rahim Chan. – Lepiej żebyś nie wiedział, Amirze *dżan*, jak wyglądało przeszukiwanie gruzów tego sierocińca. Porozrywane ciała dzieci…

– A zatem gdy przyszli talibowie…

– Uznano ich za bohaterów.

– Wreszcie nastał pokój.

– Tak. Nadzieja to dziwne uczucie. Wreszcie nastał pokój. Ale za jaką cenę!

Ostry atak kaszlu wstrząsnął jego wymizerowanym ciałem. Gdy Rahim Chan wypluł flegmę w chustkę, od razu się zaczerwieniła. Uznałem, że równie dobrze teraz mogę zadać krępujące pytanie.

– Jak twoje zdrowie? Powiedz szczerze.

– Tak naprawdę umieram – wycharczał. Znów atak kaszlu. Znów czerwona plama na chustce. Wytarł usta, rękawem dotknął wychudłej skroni i przejechał po spoconym czole, po czym obrzucił mnie szybkim spojrzeniem. Gdy kiwnął głową, wiedziałem, że wyczytał z mojej twarzy następne pytanie. – Niewiele mi pozostało – wyszeptał.

– Ile?

Wzruszył ramionami i znowu zakasłał.

– Chyba nie dotrwam do końca lata.

– Jedź ze mną do mojego domu. Znajdę dobrego lekarza. Ciągle odkrywają nowe sposoby leczenia. Są teraz nowe leki i eksperymentalne

kuracje. Moglibyśmy zgłosić cię do takiego programu badawczego…

Wiedziałem, że mówię bez ładu i składu. Ale wolałem gadać, niż płakać, choć prawdopodobnie i tak napłyną mi do oczu łzy.

Rahim Chan parsknął śmiechem, odsłaniając puste miejsca po dolnych siekaczach. Nigdy dotąd nie widziałem, by ktoś śmiał się z takim trudem.

– Zdaje się, że Ameryka tchnęła w ciebie optymizm, który przyczynił się do jej wielkości. Świetnie. Nas, Afgańczyków, cechuje melancholia, prawda? Często pogrążamy się w *ghamchori*, w żalu nad sobą. Poddajemy się w obliczu straty i cierpienia, a nawet uznajemy je za nieodzowny element życia. *Zendagi migzara*, mówimy, życie toczy się dalej. Nie znaczy to, że teraz poddaję się losowi, po prostu jestem realistą. Poszedłem tu do kilku dobrych lekarzy i wszyscy powiedzieli to samo. Mam do nich zaufanie i wierzę, że mają rację. Jest coś takiego jak wola Boga.

– Jest tylko działanie i brak działania – odrzekłem.

Rahim Chan się roześmiał.

– Mówisz zupełnie jak twój ojciec. Bardzo za nim tęsknię. Ale to naprawdę jest wola Boga, Amirze *dżan*. Naprawdę. – Po chwili milczenia dodał: – Poprosiłem, żebyś tu przyjechał, z jeszcze jednego powodu. Chciałem cię zobaczyć przed śmiercią, o tak, ale miałem na myśli również coś innego.

– Zrobię wszystko.

– Chyba wiesz, że po waszym wyjeździe mieszkałem wiele lat w domu twojego ojca.

– Wiem.

– Nie zawsze sam. Przez jakiś czas mieszkał ze mną Hasan.

– Hasan – powtórzyłem.

Kiedy to ostatni raz wymówiłem jego imię? Znowu poczułem, jak gryzie mnie dawne poczucie winy. Jakby sam dźwięk jego imienia sprawił,

że czary przestały działać i wyrzuty sumienia zaczęły dręczyć mnie od nowa. Nagle zgęstniało powietrze w mieszkanku Rahima Chana, uliczne wonie stały się zbyt ciężkie.

– Dawno temu chciałem napisać ci o tym w liście, ale nie byłem pewny, czy chcesz się dowiedzieć. Źle zrobiłem?

Szczere byłoby zaprzeczenie. Kłamliwe – potwierdzenie. Odpowiedziałem wymijająco.

– Nie wiem.

Rahim Chan znowu odkasłał krew. Gdy pochylił się, żeby wypluć flegmę na chustkę, zobaczyłem na skórze głowy zaskorupiałe rany miodowego koloru.

– Ściągnąłem cię tu, bo mam do ciebie prośbę. Chcę, żebyś zrobił coś dla mnie. Ale najpierw pragnę ci opowiedzieć o Hasanie. Rozumiesz?

– Tak – wyszeptałem.

– Opowiem ci o nim. Opowiem o wszystkim. Będziesz słuchał?

Kiwnąłem głową.

Rahim Chan upił kilka łyków herbaty, po czym oparł głowę o ścianę i zaczął mówić.

16

Z wielu powodów pojechałem w 1986 roku do Hazaradżatu, żeby odszukać Hasana. Przede wszystkim, niech Allah mi wybaczy, z samotności. Większość moich przyjaciół i krewnych została zabita albo wyemigrowała do Pakistanu czy Iranu. W Kabulu, gdzie mieszkałem przez całe życie, nie znałem prawie nikogo. Wszyscy uciekli. Chodziłem na spacery po Karta Parwan – niegdyś zbierali się tam handlarze melonów, pamiętasz? – i nikogo nie rozpoznawałem. Nie miałem z kim się przywitać, usiąść i wypić *czaj*, podzielić się opowieściami – dokoła tylko rosyjscy żołnierze patrolujący ulice. W końcu przestałem wychodzić do miasta. Całe dnie spędzałem w domu twego ojca, w gabinecie na piętrze, czytałem stare książki twojej matki, słuchałem wiadomości, oglądałem komunistyczną propagandę w telewizji. Potem odprawiałem *namaz*, gotowałem i jadłem posiłek, znowu czytałem, znowu się modliłem i szedłem spać. Rano wstawałem, modliłem się i tak na okrągło.

Z powodu artretyzmu zajmowanie się domem sprawiało mi coraz większą trudność. Kolana i kręgosłup bolały mnie nieustannie – wstawałem z łóżka i dopiero po dobrej godzinie mijało uczucie sztywności w stawach, zwłaszcza zimą. Nie chciałem dopuścić do tego, żeby dom twojego ojca zmurszał – wszyscy przeżyliśmy tam tyle wspaniałych chwil, mieliśmy tyle wspomnień, Amirze *dżan*. To byłoby nie w porządku – twój ojciec sam

zaprojektował ten dom, był do niego bardzo przywiązany, a poza tym obiecałem dbać o posiadłość po waszym wyjeździe do Pakistanu. W końcu zostałem tylko ja, ten dom i… Robiłem co w mojej mocy. Starałem się podlewać drzewa co kilka dni, strzyc trawnik, pielęgnować kwiaty, dokonywać różnych napraw, ale przecież nie byłem już młody.

Mimo to może dałbym radę. Przynajmniej jeszcze jakiś czas. Ale gdy dotarła do mnie wiadomość o śmierci twojego ojca… po raz pierwszy poczułem, że jestem strasznie samotny w tym domu, że panuje w nim nieznośna pustka.

Wobec tego zatankowałem buicka i pojechałem do Hazaradżatu. Pamiętałem, że po odejściu Alego ze służby twój ojciec powiedział mi, iż obaj z Hasanem przenieśli się na wieś pod Bamijanem. Ali miał tam kuzyna, przypomniałem sobie. Nie wiedziałem, czy Hasan nadal mieszka w wiosce, czy tamtejsi ludzie słyszeli coś o nim lub znają miejsce jego pobytu. Ostatecznie minęło dziesięć lat od ich wyprowadzki z domu twojego ojca. Hasan był już dorosłym mężczyzną – w 1986 roku miał ze dwadzieścia dwa, dwadzieścia trzy lata. Oczywiście o ile pozostawał przy życiu. Z rąk *Szourawi* – niech sczezną w piekle – zginęło przecież tylu naszych chłopców. Nie muszę ci tego mówić.

Dzięki Bogu, zastałem go tam. Poszukiwania trwały krótko – wystarczyło zapytać kilka osób w Bamijanie i wskazano mi drogę do wsi. Już nie pamiętam jej nazwy, o ile w ogóle jakoś się nazywała. Natomiast pamiętam, że było skwarne lato i jechałem wyboistą drogą gruntową, którą wytyczały jedynie spalone słońcem krzaki i kolczaste, sękate drzewa, a za nimi po obu stronach rosła sucha i jasna trawa, jak źdźbła słomy. Minąłem rozkładającego się osła na skraju drogi. Za zakrętem zobaczyłem skupisko lepianek otoczonych nieużytkami, a dalej już tylko niebo aż po horyzont, gdzie wyrastało pasmo gór o graniach jak nierówne zębiska.

Mieszkańcy Bamijanu zapewnili mnie, że bez trudu znajdę Hasana – mieszkał w domu z ogrodem, otoczonym murem, jedynym takim w wiosce. Mur był zrobiony z gliny, niski i dziurawy, i okalał mały domek, a właściwie zwykłą chatę. Bose dzieci biegały po drodze, odbijając kijem podartą piłkę tenisową. Wlepiły we mnie wzrok, gdy zajechałem pod chałupę i wyłączyłem silnik. Zapukałem do drewnianych drzwi i poszedłem do ogródka, gdzie prócz wyschniętego poletka truskawek i nagiego drzewa cytrynowego nie było w zasadzie nic więcej. W rogu, w cieniu pod akacją stał piec *tandur,* przy nim klęczał jakiś mężczyzna. Dużą drewnianą łopatką wkładał ciasto, tak żeby przykleiło się do ścianek pieca. Na mój widok upuścił ciasto i rzucił się całować mi ręce, ale go powstrzymałem.

– Niech no ci się przyjrzę – odezwałem się.

Był bardzo wysoki – stanąłem na palcach, a i tak sięgałem mu zaledwie do brody. Skóra, ogorzała od bamijańskiego słońca, znacznie pociemniała, poza tym stracił kilka przednich zębów. Brodę pokrywały kosmyki rzadkich włosów. Za to miał te same wąskie zielone oczy, bliznę na górnej wardze, okrągłą twarz, na której malował się ten sam przyjazny uśmiech. Na pewno byś go poznał, Amirze *dżan.*

Weszliśmy do środka. W rogu izby siedziała młoda Hazarka o jasnej skórze i szyła chustę. Widać było, że jest w ciąży.

– To moja żona, Rahimie Chanie – rzekł z dumą Hasan. – Nazywa się Farzana *dżan.*

Była tak nieśmiała i uprzejma, że jej głos ledwie dało się słyszeć, a śliczne orzechowe oczy skierowała w dół, żeby nie napotkać mojego wzroku. Ale gdy spoglądała na Hasana, można by sądzić, że ten siedzi na tronie w Argu.

– Kiedy spodziewacie się dziecka? – zapytałem, gdy wszyscy usadowiliśmy się pod ścianami z gliny wysuszonej na słońcu.

W pomieszczeniu znajdowały się jedynie wytarty dywanik, kilka naczyń, dwa materace i lampion.

– W zimie, *enszallah* – powiedział Hasan. – Modlę się o syna, dzięki któremu przetrwa nazwisko mojego ojca.

– Skoro o nim mowa, gdzie jest Ali?

Hasan spuścił wzrok. Okazało się, że Ali i jego kuzyn, który był właścicielem tego domu, zginęli przed dwoma laty na skutek wybuchu miny pod Bamijanem. Zginęli od miny! Czy dzisiejszy Afgańczyk ginie inną śmiercią, Amirze *dżan?* To wariactwo, ale miałem absolutną pewność, że Alego zawiodła prawa noga – ta wykrzywiona po chorobie Heinego-Medina – i nią stąpnął na minę. Ogromnie zasmuciła mnie ta wiadomość. Jak wiesz, dorastałem razem z twoim ojcem, a Ali był z nim, jak sięgnę pamięcią. Pamiętam nasze wspólne dzieciństwo, pamiętam rok, gdy Ali zachorował i mało nie umarł. Twój ojciec nie mógł znaleźć sobie miejsca, płakał cały dzień.

Farzana zrobiła nam zupę *szorwa* z fasolą, rzepą i ziemniakami. Umyliśmy ręce i zaczęliśmy maczać w zupie świeżutki chleb *nan*, prosto z pieca. Takiego dobrego jedzenia nie miałem w ustach od miesięcy. Wtedy poprosiłem Hasana, żeby zamieszkał ze mną w Kabulu. Opowiedziałem o domu, którym nie mam siły sam się zajmować. Obiecałem Hasanowi dobrą zapłatę i wygodne mieszkanie razem z jego *chanum.* Spojrzeli na siebie bez słowa. Potem, gdy umyliśmy ręce i Farzana podała winogrona, Hasan powiedział, że ta wioska jest teraz jego domem i że oboje z Farzaną ułożyli tu sobie życie.

– No i tak blisko stąd do Bamijanu. Znamy tam wielu ludzi. Wybacz, Rahimie Chanie. Proszę, zrozum.

– Oczywiście, rozumiem. Nie ma za co przepraszać.

Po jedzeniu, przy herbacie, Hasan zapytał o ciebie. Powiedziałem, że mieszkasz w Ameryce i poza tym wiem niewiele więcej. Zasypał mnie pytaniami. Czy się ożeniłeś? Czy masz dzieci? Czy jesteś wysoki? Czy wciąż puszczasz latawce i chodzisz do kina? Czy jesteś szczęśliwy? Oznajmił, że zaprzyjaźnił się ze starym nauczycielem języka dari z Bamijanu; staruszek nauczył go pisać i czytać. Gdyby napisał do ciebie list, czy mógłbym go tobie przekazać? Czy sądzę, że odpiszesz? Powiedziałem, że to, co wiem o tobie, pochodzi z kilku rozmów telefonicznych z twoim ojcem, ale nie miałem pojęcia, co mu poradzić. Potem zapytał o twojego ojca. Usłyszawszy wiadomości, zakrył twarz dłońmi i zalał się łzami. Płakał jak dziecko przez wiele godzin.

Nakłonili mnie, żebym został u nich na noc. Farzana przygotowała posłanie, przy którym postawiła szklankę wody ze studni, gdybym był spragniony. Całą noc słyszałem, jak szepcze do Hasana, a on zanosi się szlochem. Rano Hasan oznajmił, że postanowili jechać ze mną do Kabulu.

– Nie powinienem był tu przyjeżdżać – rzekłem. – Miałeś rację, Hasanie *dżan*. Ułożyliście tu sobie życie. Popełniłem zuchwalstwo, przyjeżdżając ot tak i spodziewając się, że wszystko rzucicie. To ja proszę o wybaczenie.

– Mamy niewiele, więc niewiele rzucimy – oświadczył Hasan. Wciąż miał zaczerwienione, opuchnięte oczy. – Pojedziemy z tobą, Rahimie Chanie. Pomożemy ci zająć się domem.

– Jesteście całkowicie pewni?

Kiwnął głową i opuścił wzrok.

– *Agha saheb* był dla mnie drugim ojcem… Niech spoczywa w pokoju.

Na kilku starych szmatach złożyli swoje rzeczy na stos i zawiązali rogi. Załadowaliśmy tobołki do buicka. Hasan stanął na progu z Koranem w ręku; wszyscy po kolei pocałowaliśmy księgę i przeszliśmy pod nią. Gdy

ruszyliśmy w drogę, Hasan odwrócił się i objął domostwo ostatnim spojrzeniem.

Po przyjeździe do Kabulu okazało się, że Hasan nie zamierza wprowadzić się do domu twego ojca.

– Przecież te wszystkie pokoje są puste, Hasanie *dżan* – namawiałem go. – Nikt ich nie zajmie.

Nie dał się przekonać. Uważał, że to kwestia *ehteram,* szacunku. Razem z Farzaną zaniósł tobołki do chaty w ogrodzie, w której się urodził. Prosiłem, żeby zamieszkali w którymś z pokoi gościnnych, ale nie chciał o tym słyszeć.

– Co sobie pomyśli Amir *agha?* – odpowiedział na to. – Co sobie pomyśli, gdy po wojnie wróci do Kabulu i zobaczy, że zająłem jego miejsce w tym domu?

Przez następnych czterdzieści dni Hasan ubierał się na czarno na znak żałoby po twoim ojcu.

Choć nie było to moim życzeniem, we dwoje przygotowywali wszystkie posiłki i sprzątali cały dom. Hasan dbał o kwiaty w ogrodzie, podlewał rośliny, zrywał żółknące liście i sadził róże. Pomalował zewnętrzne ściany. Zamiatał pokoje, w których nikt nie spał od lat, i czyścił łazienki, których nikt nie używał. Można było odnieść wrażenie, że szykuje dom na czyjś powrót. Pamiętasz ten mur za grządką kukurydzy zasadzonej przez twojego ojca? Jak wyście mówili z Hasanem – Mur Słabowitej Kukurydzy? Wczesną jesienią tamtego roku, koło północy, spadła rakieta i rozwaliła duży kawał muru. Hasan odbudował go własnymi rękami, cegła po cegle, przywrócił mu dawny wygląd. Nie wiem, co bym bez niego zrobił.

Późną jesienią Farzana urodziła martwą dziewczynkę. Hasan ucałował zastygłą buzię dziecka i pogrzebaliśmy je w ogrodzie, przy krzakach dzikiej

róży. Kopczyk przysypaliśmy liśćmi topoli. Odmówiłem modlitwę w intencji dziewczynki. Farzana przez cały dzień siedziała w chacie i lamentowała – zawodzenie matki rozdziera serce, Amirze *dżan*. Niech Allah da, byś nigdy nie musiał tego słyszeć.

Dokoła szalała wojna. Ale w domu twego ojca nasza trójka znalazła schronienie. Pod koniec lat osiemdziesiątych zacząłem tracić wzrok, więc poprosiłem Hasana, żeby czytał mi książki twojej matki. Siadaliśmy w holu przy piecu, Hasan czytał *Masnawi* albo wiersze Chajjama, a Farzana gotowała w kuchni. Każdego ranka Hasan kładł kwiat na kopczyku przy krzakach dzikiej róży.

Na początku 1990 roku Farzana ponownie zaszła w ciążę. Tamtego roku, pewnego ranka w środku lata zapukała do bramy kobieta okryta błękitną burką. Gdy poszedłem otworzyć, zobaczyłem, że chwieje się na nogach, jakby nie miała siły ustać. Zapytałem, czego chce, ale nie odezwała się słowem.

Kiedy próbowałem się dowiedzieć, kim jest, runęła na ziemię. Zawołałem Hasana i razem zanieśliśmy ją do domu. Położyliśmy ją na kanapie w salonie i zdjęliśmy burkę. Kobieta była bezzębna, miała siwiejące włosy w strąkach i rany na całych rękach. Wyglądała tak, jak gdyby nie jadła przez wiele dni. A to jeszcze nic w porównaniu z jej twarzą. Ktoś chwycił za nóż i… Amirze *dżan*, ciął bez opamiętania. Jedno cięcie, od kości policzkowej po linię włosów nad czołem, spowodowało utratę oka. To był przerażający widok. Gdy dotykałem jej czoła mokrą szmatką, otworzyła oczy.

– Gdzie jest Hasan? – wyszeptała.

– Tutaj – powiedział Hasan, ściskając ją za rękę.

Jej zdrowe oko spoczęło na nim.

– Szłam długo, z daleka, żeby zobaczyć, czy rzeczywiście jesteś taki piękny jak w moich snach. I jesteś. Jeszcze piękniejszy. – Przyłożyła jego rękę do okaleczonej twarzy. – Uśmiechnij się do mnie. Proszę.

Widząc jego uśmiech, staruszka się rozpłakała.

– Uśmiechałeś się, gdy ze mnie wyszedłeś. Mówił ci ktoś o tym? A ja nie chciałam wziąć cię na ręce, niech Allah mi wybaczy, nie chciałam nawet wziąć cię na ręce.

Nikt z nas nie widział Sanaubar od dnia, gdy uciekła z trupą śpiewaków i tancerzy w 1964 roku, tuż po urodzeniu Hasana. Nie widziałeś jej, Amirze, ale wierz mi, w młodości była zjawiskowo piękna. Miała dołki w policzkach, gdy się uśmiechała, a jej chód doprowadzał mężczyzn do szaleństwa. Przyciągała oko każdego przechodnia, mężczyzny i kobiety. A teraz…

Hasan puścił jej rękę i wypadł z domu. Pobiegłem za nim, ale był szybszy. Widziałem, jak wzbijając obłoki kurzu, pędzi na wzgórze, gdzie się bawiliście. Dałem mu spokój. Siedziałem przy Sanaubar przez cały dzień, aż niebo z jasnoniebieskiego zrobiło się fioletowe. Zapadła noc, chmury kąpały się w blasku księżyca, a Hasan nie wracał. Zapłakana Sanaubar wołała, że nie należało tu przychodzić, że jej powrót był czymś jeszcze gorszym niż ucieczka. Nakłoniłem ją, aby została. Wiedziałem, że Hasan wróci.

Przyszedł następnego ranka tak wyczerpany, jakby nie spał całą noc. Obiema rękami ujął dłoń Sanaubar i powiedział, że może płakać, jeśli chce, ale po co, skoro jest w domu, ze swoją rodziną. Dotknął szram na jej twarzy i pogładził ją po włosach.

Pod opieką Hasana i Farzany powróciła do zdrowia. Karmili ją i prali jej rzeczy. Oddałem jej jeden z pokoi gościnnych na piętrze. Gdy czasem spoglądałem przez okno na ogród, widziałem, jak matka i syn klęczą obok

siebie, zrywając pomidory albo przycinając róże, pogrążeni w rozmowie. Zapewne próbowali nadrobić stracone lata. O ile wiem, Hasan nigdy nie zapytał jej, dlaczego odeszła ani gdzie przebywała, a ona też nie poruszyła tego tematu. Zdaje się, że pewne sprawy lepiej przemilczeć.

To Sanaubar pomagała przy narodzinach syna Hasana zimą 1990 roku. Jeszcze nie spadł pierwszy śnieg, ale zimny wiatr już gnał przez ogród, uginał rośliny i szeleścił liśćmi. Pamiętam, jak Sanaubar wyszła z chaty, niosąc na rękach wnuka owiniętego wełnianym kocem. Niebo był szare, zachmurzone, a ona stała rozpromieniona, łzy spływały jej po policzkach, przenikliwy wiatr rozwiewał jej włosy. Trzymała noworodka w ramionach, jakby ani na chwilę nie chciała go wypuścić. Tym razem nie. Podała chłopca Hasanowi, on podał go mnie, ja zaś wyśpiewałem mu do uszka modlitwę *ajat ul-kursi.*

Dostał na imię Sohrab, ponieważ, jak wiesz, tak nazywał się ulubiony bohater Hasana z księgi *Szahname.* Był urodziwym, słodkim jak cukierek dzieckiem, z usposobienia podobny do ojca. Żałuj, że nie widziałeś Sanaubar z tym chłopczykiem, Amirze *dżan.* Wokół niego zaczęło kręcić się jej życie. Szyła mu ubranka, robiła zabawki z kawałków drewna, szmatek i siana. Gdy dostał gorączki, czuwała całą noc i pościła przez trzy dni. W jego intencji paliła *esfand* na patelni, żeby odczynić *mazar,* zły urok. W wieku dwóch lat Sohrab zaczął mówić do niej Sasa. Byli nierozłączni.

Dożyła jego czwartych urodzin i któregoś ranka po prostu się nie obudziła. Miała spokojną, pogodną twarz, jakby uznała, że teraz może już umrzeć. Pochowaliśmy ją na cmentarzu na wzgórzu, gdzie rośnie drzewo granatu, i również w jej intencji odmówiłem modlitwę. Hasan ciężko przeżył tę stratę – zawsze mocniej boli utrata czegoś, co się miało, niż brak tego. Jeszcze bardziej cierpiał mały Sohrab. Ciągle chodził po domu, szukając Sasa, ale wiesz, jak to jest z dziećmi – szybko zapominają.

Z czasem – to było w 1995 roku – pokonani *Szourawi* wyszli z kraju i Kabulem zaczęli władać Masud, Rabbani i mudżahedini. Toczyły się zażarte walki między frakcjami, ludzie nie wiedzieli, czy dożyją końca dnia. Nasze uszy oswoiły się ze świstem pocisków, z grzmotami ognia artyleryjskiego; oczy przyzwyczaiły się do widoku ludzi wygrzebujących zwłoki spod gruzów. Kabul w tamtych czasach, Amirze *dżan*, był niemal przysłowiowym piekłem na ziemi. Allah okazał nam jednak swoją dobroć. Na dzielnicę Wazir Akbar Chan nie przypuszczano tak częstych ataków jak na inne części miasta, więc żyło się nam trochę lepiej niż innym.

Kiedy nie spadały rakiety i słabła strzelanina, Hasan zabierał Sohraba do kina albo do zoo, żeby zobaczyć lwa Mardżana. Tak dobrze nauczył syna strzelać z procy, że gdy ten miał osiem lat, nigdy nie chybiał – stawał na tarasie i trafiał gołębia siedzącego na wiadrze w połowie ogrodu. Nauczył go również czytać i pisać – nie zamierzał dopuścił, by syn wyrósł na analfabetę jak ojciec. Bardzo przywiązałem się do tego chłopca. Widziałem, jak stawiał pierwszy krok; słyszałem, jak wymawiał pierwsze słowo. Kupowałem książeczki dla dzieci w księgarni przy kinie Park – również zostało zniszczone – a Sohrab natychmiast rzucał się na nie. Przypominał mi ciebie, Amirze *dżan*, od małego uwielbiałeś książki. Czasem czytałem mu wieczorami, dawałem do rozwiązywania zagadki, uczyłem sztuczek karcianych. Bardzo za nim tęsknię.

Zimą Hasan zabierał syna i razem gonili latawce. Zawody latawcowe nie były tak częste jak dawniej – nikt nie czuł się bezpieczny na ulicy – ale zdarzały się od czasu do czasu. Hasan sadzał sobie Sohraba na ramionach i biegli przez miasto za latawcami, wchodzili na drzewa, jeśli któryś tam zawisł. Pamiętasz, Amirze *dżan*, że Hasan świetnie łapał latawce? Wciąż robił to doskonale. Pod koniec zimy razem wieszali schwytane latawce na ścianach w głównym holu. Eksponowali je jak obrazy.

Wspominałem ci, jak w 1996 roku świętowaliśmy wejście talibów i koniec codziennych walk. Pamiętam, że wróciłem wieczorem do domu i zastałem Hasana w kuchni przy radiu. Miał poważny wyraz twarzy. Zapytałem, co się stało, ale tylko pokręcił głową.

– Niech Bóg dopomoże teraz Hazarom, *saheb* Rahimie Chanie – powiedział.

– Wojna się skończyła – rzekłem. – Nastanie pokój, *enszallah.* Będziemy żyć szczęśliwie i spokojnie. Bez rakiet, zabijania i pogrzebów!

Wyłączył radio i spytał, czy ma mi coś przynieść, zanim pójdzie spać.

Kilka tygodni później talibowie zakazali urządzania turniejów latawcowych. A dwa lata później, w 1998, dokonali masakry Hazarów w Mazar-i Szarif.

17

Rahim Chan powoli wyciągnął nogi i oparł się plecami o gołą ścianę, ostrożnie i z rozmysłem, jak człowiek, którego przy każdym ruchu przeszywa ból. Za oknem słychać było ryk osła, ktoś krzyczał w urdu. Zachodzące słońce mieniło się czerwoną barwą między zrujnowanymi domami.

Znowu zdałem sobie sprawę, jakich potworności dopuściłem się tamtej zimy i następnego lata. Rozbrzmiewały mi w głowie imiona: Hasan, Sohrab, Ali, Farzana i Sanaubar. Gdy usłyszałem imię Alego w ustach Rahima Chana, miałem wrażenie, jakby znalazł starą, zakurzoną pozytywkę nieotwieraną od lat; natychmiast odezwała się melodia: „Hej, *babalu*, kogo dzisiaj pożarłeś? Kogo pożarłeś, skośnooki *babalu?*”. Usiłowałem wyczarować zastygłą twarz Alego, wyraźnie zobaczyć jego spokojne oczy, ale czas bywa zachłanny – niekiedy pochłania wszystkie detale.

– Czy Hasan wciąż tam mieszka? – zapytałem.

Rahim Chan uniósł filiżankę do spieczonych ust i upił łyk. Z górnej kieszeni kamizelki wyciągnął kopertę i podał mi.

– Dla ciebie.

Rozdarłem zaklejoną kopertę. Wewnątrz znalazłem zdjęcie zrobione polaroidem i złożony list. Przez dobrą minutę patrzyłem na zdjęcie.

Wysoki mężczyzna odziany w biały turban i *czapan* w zielone pasy stał z małym chłopcem przed dwuskrzydłową bramą z kutego żelaza. Promienie słońca padały ukosem z lewej strony; połowa okrągłej twarzy pozostawała w cieniu. Mężczyzna mrużył oczy i uśmiechał się do obiektywu, odsłaniając puste miejsca po dwóch przednich zębach. Nawet na tym nieostrym zdjęciu wyczuwało się jego pewność siebie i swobodę. Świadczyło o tym to, jak stał: na lekko rozstawionych nogach, z rękami skrzyżowanymi luźno na piersi i głową nieco pochyloną w stronę słońca. Ale najbardziej świadczył o tym jego uśmiech. Miało się wrażenie, że w odczuciu tego mężczyzny świat był mu dotychczas przychylny. Trafnie zauważył Rahim Chan: rozpoznałbym go, gdybyśmy wpadli na siebie na ulicy. Chłopczyk był bosy, jedną ręką obejmował udo ojca, opierał ogoloną głowę o jego biodro. Też mrużył oczy i uśmiechał się szeroko.

Rozłożyłem kartkę. List był napisany w języku dari. Nie brakowało ani jednej kropki, ani jednego krzyżyka, słowa nie zlewały się – pismo było tak staranne, że niemal dziecinne. Zacząłem czytać.

W imię Allaha dobroczynnego, miłosiernego.

Amirze agha, z najgłębszym szacunkiem!

Farzana dżan, Sohrab i ja modlimy się, aby ten ostatnio napisany list zastał cię w zdrowiu i w świetle łask Allaha. Proszę, przekaż moje najgorętsze podziękowania panu Rahimowi Chanowi za przekazanie ci tego listu. Mam nadzieję, że pewnego dnia będę trzymał w rękach list od ciebie i czytał o twoim życiu w Ameryce. A może twoje zdjęcie ucieszy nasze oczy. Wiele opowiadałem o tobie Farzanie dżan i Sohrabowi, o tym, jak razem dorastaliśmy, bawiliśmy się i biegaliśmy po ulicach. Wybuchają śmiechem, słysząc, jakie to urządzaliśmy figle!

Amirze agha!

Afganistan naszej młodości niestety nie istnieje od dawna. Na tej ziemi ludzie już nie okazują sobie dobroci, tylko się zabijają. Ciągle zabijają. W Kabulu panuje strach – wszędzie – na ulicach, na stadionie, na targowiskach. Jest częścią naszego życia, Amirze agha. Dzikusy, które rządzą naszym krajem, gardzą ludzką przyzwoitością. Niedawno towarzyszyłem Farzanie, gdy kupowała ziemniaki i nan na bazarze. Zapytała sprzedawcę o cenę ziemniaków, ale nie dosłyszał, zapewne był głuchy na jedno ucho. Kiedy Farzana powtórzyła pytanie głośniej, nagle podbiegł jakiś młody talib i uderzył ją drewnianą pałką w udo. Aż upadła, tak mocno ją uderzył. Zaczął ją wyzywać, wrzeszczał, że Ministerstwo Cnoty i Występku zakazuje kobietom głośno mówić. Przez wiele dni miała dużego fioletowego siniaka. Nie mogłem zrobić nic innego, jak tylko stać i patrzeć, jak bije się moją żonę. Gdybym stawił opór, ten pies posłałby mi kulkę – i to z przyjemnością! Co by wtedy spotkało mojego Sohraba? Na ulicach dość jest wygłodniałych sierot. Codziennie dziękuję Allahowi, że pozostaję przy życiu. Robię to nie dlatego, że boję się śmierci, ale dlatego, żeby moja żona miała męża, a mój syn nie był sierotą.

Żałuję, że nie możesz zobaczyć Sohraba. To dobry chłopiec. Saheb Rahim Chan i ja nauczyliśmy go czytać i pisać, żeby nie wyrósł na głupka jak jego ojciec. A jak strzela z procy! Od czasu do czasu chodzę z nim do miasta i kupuję mu słodycze. Na Szahr-e Nau nadal stoi człowiek z małpką i jeśli natkniemy się na niego, płacę mu, żeby małpka zatańczyła dla Sohraba. Ależ go to bawi! Często chodzimy we dwóch na cmentarz na wzgórzu. Pamiętasz, jak siadaliśmy tam pod drzewem granatu i czytaliśmy Szahname? Po

suszach ziemia wyschła i drzewo od lat nie rodzi owoców, ale i tak siadamy z Sohrabem w cieniu i czytam mu opowieści z Szahname. Nie muszę ci mówić, że najbardziej lubi opowieść, w której występuje jego imiennik – tę o Rostamie i Sohrabie. Niedługo sam będzie sobie czytał. Jestem bardzo dumnym i bardzo szczęśliwym ojcem.

Amirze agha!

Saheb Rahim Chan jest ciężko chory. Kaszle całymi dniami i gdy ociera usta, widzę na rękawie krew. Bardzo schudł. Chciałbym, żeby jadł zupę szorwa i ryż, które gotuje mu Farzana dżan, ale on przełknie ledwie parę łyżek, a i to zapewne z grzeczności. Ogromnie się martwię o tego kochanego człowieka i codziennie modlę się za niego. Wkrótce jedzie do Pakistanu na wizytę u tamtejszych lekarzy. Oby, enszallah, wrócił z dobrymi wiadomościami. Ale w głębi serca bardzo się o niego boję. Farzana dżan i ja mówimy małemu Sohrabowi, że saheb Rahim Chan wyzdrowieje. Cóż innego nam pozostaje? Chłopiec ma zaledwie dziesięć lat i go uwielbia. Są bardzo zżyci. Saheb Rahim Chan chodził z nim na bazar i kupował mu balony i herbatniki. Teraz brak mu sił.

Ostatnio dużo mi się śni, Amirze agha. Niekiedy mam koszmary – zwłoki powieszonych ludzi rozkładają się na czerwonej od krwi trawie boiska piłkarskiego. Budzę się spocony, z trudem łapiąc dech. Ale najczęściej mam jednak dobre sny, chwała niech będzie Allahowi. Śnię, że saheb Rahim Chan wyzdrowiał. Że mój syn wyrósł na dobrego, wolnego i ważnego człowieka. Że lola znowu kwitną na ulicach Kabulu, że muzyka wykonywana na rebabie rozbrzmiewa w herbaciarniach i latawce szybują po niebie. Śni mi się, że odwiedzasz kraj swego dzieciństwa i przyjeżdżasz

do Kabulu. Jeśli tak się stanie, twój stary, wierny przyjaciel będzie na ciebie czekał.

Niech Allah czuwa nad tobą.

Hasan

Przeczytałem ten list dwukrotnie. Złożyłem kartkę i znowu przez minutę wpatrywałem się w zdjęcie. I list, i zdjęcie włożyłem do kieszeni.

– Co u niego? – zapytałem.

– Napisał ten list pół roku temu, kilka dni przed moim wyjazdem do Peszawaru – rzekł Rahim Chan. – Zdjęcie zrobiłem w przeddzień wyjazdu. Miesiąc później zadzwonił do mnie jeden z kabulskich sąsiadów i przekazał następującą wiadomość. Gdy opuściłem dom, szybko rozeszły się pogłoski, że hazarska rodzina mieszka sama w dużym domu w Wazir Akbar Chan, przynajmniej tak twierdzili talibowie. Dwóch talibskich funkcjonariuszy przyszło zbadać sprawę i przesłuchać Hasana. Powiedział, że mieszka u mnie, i potwierdzili to sąsiedzi, także ten, który do mnie zatelefonował. Talibowie oskarżyli jednak Hasana o kłamstwo, powiedzieli, że jest złodziejem jak wszyscy Hazarowie i że do zachodu słońca ma się wynieść z całą rodziną z domu. Hasan odmówił. Zdaniem sąsiada talibowie patrzyli na ten dom… jakże on się wyraził? „Jak wilki na stado owiec”. Poinformowali Hasana, że zajmą posiadłość i zadbają o jej bezpieczeństwo do mojego powrotu. Hasan ponownie się sprzeciwił. Wtedy wyprowadzili go na ulicę…

– Nie – wyszeptałem.

– …kazali uklęknąć…

– Nie, o Boże, nie.

– …i strzelili mu w tył głowy.

– Nie.

– Farzana wybiegła z krzykiem i rzuciła się na nich…

– Nie.

– Ją też zastrzelili. W obronie własnej, utrzymywali później…

– Nie, nie, nie… – powtarzałem szeptem, na okrągło.

Nic więcej nie zdołałem wykrztusić.

*

Nie przestawałem myśleć o dniu w 1974 roku, gdy *baba,* Rahim Chan, Ali i ja siedzieliśmy dokoła łóżka Hasana w szpitalu tuż po operacji zajęczej wargi i patrzyliśmy, jak ogląda w lusterku swoje nowe usta. Teraz wszyscy, którzy byli w tej sali, już nie żyją albo są bliscy śmierci. Prócz mnie.

Następnie zobaczyłem coś innego: człowiek w kamizelce ze wzorem w jodełkę przykłada lufę kałasznikowa do karku Hasana. Strzał niesie się echem po ulicy, gdzie stoi dom mojego ojca. Hasan pada na asfalt i ulatuje z niego życie pełne nieodwzajemnionej lojalności, niczym niesione wiatrem latawce, które niegdyś łapał.

– Talibowie wprowadzili się do domu – mówił dalej Rahim Chan – pod pretekstem wyeksmitowania dzikiego lokatora. Zabójstwo Hasana i Farzany wytłumaczono działaniem w obronie własnej. Nie padło słowo na ten temat. Głównie ze strachu przed talibami, jak sądzę. Poza tym nikt nie chciał narażać się na jakiekolwiek niebezpieczeństwo dla dwojga hazarskich służących.

– Co z Sohrabem? – spytałem.

Byłem zmęczony, wyprany z sił. Rahim Chan znowu się rozkasłał. Gdy w końcu uniósł głowę, miał czerwoną twarz i przekrwione oczy.

– Podobno jest w sierocińcu gdzieś w Karta Se. Amirze *dżan.*…

Znowu chwycił go kaszel. Gdy ustał, Rahim Chan wyglądał tak, jakby w ciągu paru minut postarzał się jeszcze bardziej, jakby z każdym atakiem przybywało mu lat.

– Wezwałem cię tu, Amirze *dżan*, bo chciałem zobaczyć cię przed śmiercią. Ale jest jeszcze inny powód.

Milczałem. Zacząłem się domyślać, co powie.

– Chcę, żebyś pojechał do Kabulu i przywiózł Sohraba – rzekł.

Szukałem właściwych słów. Dopiero co ledwie poradziłem sobie z wiadomością o śmierci Hasana.

– Proszę, wysłuchaj mnie. Poznałem w Peszawarze amerykańskie małżeństwo, Johna i Betty Caldwellów. Są chrześcijanami i założyli małą organizację dobroczynną, która działa dzięki prywatnym dotacjom. Głównie zajmują się afgańskimi sierotami, dają im dach nad głową i wyżywienie. Widziałem ten dom. Jest czysty i bezpieczny, dzieci mają opiekę. Państwo Caldwellowie są dobrymi ludźmi. Powiedzieli, że przyjmą Sohraba i…

– Chyba nie mówisz poważnie, Rahimie Chanie.

– Dzieci to kruche istoty, Amirze *dżan*. W Kabulu już jest pełno zrozpaczonych maluchów. Nie chcę, żeby Sohrab stał się jednym z nich.

– Nie chcę jechać do Kabulu. Nie mogę!

– Sohrab jest uzdolniony. Możemy dać mu tutaj nowe życie, przywrócić nadzieję, otoczyć ludźmi, którzy będą go kochać. Thomas *agha* jest dobrym człowiekiem, a Betty *chanum* odznacza się wielką życzliwością. Gdybyś tylko widział, jak ona odnosi się do tych sierot.

– Dlaczego wybrałeś mnie? Dlaczego nie zapłacisz komuś, żeby tam pojechał? Jeśli to kwestia pieniędzy, sam pokryję koszty.

– Nie chodzi o pieniądze, Amirze! – ryknął Rahim Chan. – Stoję nad grobem i nie pozwolę, żeby mnie obrażano! Dobrze wiesz, że nigdy nie

zależało mi na pieniądzach. Dlaczego wybrałem ciebie? Sądzę, że obaj znamy odpowiedź na to pytanie, prawda?

Wolałem nie wiedzieć, co ma na myśli. Ale wiedziałem. Zbyt dobrze wiedziałem.

– Mam w Ameryce żonę, dom, życie zawodowe, rodzinne. W Kabulu jest niebezpiecznie, przecież wiesz, a ty chcesz, żebym zaryzykował wszystko dla… – Urwałem.

– Wiesz, pewnego razu, gdy nie było cię w pobliżu, rozmawiałem z twoim ojcem. W tamtych czasach ciągle się o ciebie martwił. Pamiętam, że powiedział wtedy do mnie: „Jeśli jako chłopiec nie będzie się bronił, to gdy dorośnie, nie obroni niczego”. Zastanawiam się, czy wyrosłeś na takiego człowieka.

Spuściłem wzrok.

– Proszę cię, żebyś spełnił ostatnie życzenie umierającego – rzekł z powagą.

Zagrał o wszystko, kładąc swoją najmocniejszą kartę. A w każdym razie tak mi się wtedy wydawało. Jego słowa zawisły między nami, ale on przynajmniej wyraził to, co chciał mi przekazać, ja zaś nadal szukałem właściwych słów, choć byłem pisarzem. W końcu uznałem, że najlepiej powiedzieć:

– Może *baba* miał rację.

– Przykro mi, że tak uważasz, Amirze.

Nie mogłem spojrzeć mu w twarz.

– A ty tak nie uważasz?

– Gdybym tak uważał, nie poprosiłbym cię, żebyś tu przyjechał.

Obracałem obrączkę na palcu.

– Zawsze miałeś o mnie zbyt dobre zdanie.

– A ty zawsze byłeś dla siebie nazbyt surowy. – Umilkł na chwilę. – Jest jeszcze coś, czego nie wiesz.

– Rahimie Chanie, proszę cię…

– Sanaubar nie była pierwszą żoną Alego.

Teraz podniosłem wzrok.

– Był już raz żonaty, z Hazarką z okręgu Dżaghori. Na długo przed twoim narodzeniem. Ich małżeństwo trwało trzy lata.

– Co to ma do rzeczy?

– Byli bezdzietni i po trzech latach zostawiła go, żeby poślubić człowieka z Chost. Drugiemu mężowi urodziła trzy córki. To usiłuję ci powiedzieć.

Zacząłem rozumieć, do czego zmierza. Ale nie chciałem wysłuchać tej historii do końca. Wiodłem przyjemne życie w Kalifornii, miałem śliczny wiktoriański dom ze spadzistym dachem, udane małżeństwo, dobrze zapowiadającą się przyszłość literacką, kochających teściów. Nie chciałem zajmować się tą zasraną sprawą.

– Ali był bezpłodny – powiedział Rahim Chan.

– Ależ skąd. Sanaubar urodziła mu Hasana. Mieli Hasana…

– Nie mieli – odparł Rahim Chan.

– Przecież mieli!

– Nie mieli, Amirze.

– No to kto…

– Sądzę, że wiesz.

Miałem wrażenie, że zsuwam się ze stromej skały, próbując chwycić się jakiegoś kolczastego krzaka czy gałęzi, ale moja ręka trafia w próżnię. Pokój zaczął się unosić i opadać, kołysać na boki.

– Czy Hasan wiedział? – zapytałem, czując, jakby moje usta były jakimś obcym ciałem.

Rahim Chan zamknął oczy. Pokręcił głową.

– Dranie – wykrztusiłem i wstałem. – Cholerne dranie! Wy wszyscy! Banda kłamliwych cholernych drani!

– Proszę cię, usiądź.

– Jak mogliście ukrywać to przede mną? I przed nim! – krzyczałem.

– Zastanów się, Amirze *dżan*. To było żenujące. Ludzie gadaliby. W tamtych czasach wszystko, co człowiek miał, kim był, sprowadzało się do jego honoru, nazwiska, a gdyby zaczęto gadać… Nie mogliśmy nikomu powiedzieć, sam rozumiesz.

Wyciągnął do mnie rękę, ale odtrąciłem ją i skierowałem się do drzwi.

– Proszę cię, Amirze *dżan*, nie wychodź.

Otworzyłem drzwi i odwróciłem się do niego.

– A co? Co możesz mi jeszcze powiedzieć? Mam trzydzieści osiem lat i właśnie się okazało, że całe moje życie jest jednym wielkim kłamstwem! Jasna cholera! Co możesz mi powiedzieć, żeby poprawić sytuację? Nic. Kompletnie nic!

Po tych słowach wypadłem z mieszkania.

18

Słońce chyliło się ku zachodowi, spowijając niebo fioletem i czerwienią. Szedłem ruchliwą wąską uliczką, która ciągnęła się od budynku, gdzie mieszkał Rahim Chan, hałaśliwą jak wszystkie zaułki w tym labiryncie zapchanym pieszymi, rowerami i rikszami. Na rogach wisiały billboardy reklamujące coca-colę i papierosy; afisze filmowe przedstawiały zmysłowe lollywoodzkie aktorki, które tańczyły z przystojnymi śniadymi mężczyznami na polach nagietków.

Wszedłem do małej, zadymionej herbaciarni i zamówiłem herbatę. Usiadłem na składanym krześle, które stanęło na tylnych nogach, gdy przechyliłem się do tyłu, i potarłem twarz. Mijało wrażenie zsuwania się ze skały, za to czułem się jak człowiek, który budzi się we własnym domu, widzi, że żaden mebel nie stoi na swoim miejscu i każdy kąt wygląda obco, po czym zdezorientowany stara się rozeznać w otoczeniu.

Jak mogłem być taki ślepy? Dlaczego nie odczytałem znaków, które cały czas miałem przed oczami? Zaczęły powracać jeden po drugim: *baba* ściąga doktora Kumara, żeby zoperował Hasanowi wargę; *baba* zawsze pamięta o jego urodzinach. Przypomniało mi się, jak sadziliśmy kiedyś tulipany i zapytałem ojca, czy nie myślał o najęciu nowych służących. „Hasan nigdzie nie pójdzie – warknął. – Zostanie z nami, tu jest jego

miejsce. Tu ma swój dom, a my jesteśmy jego rodziną”. I jego płacz – płacz! – gdy Ali oznajmił, że razem z Hasanem odchodzą od nas.

Kelner postawił przede mną filiżankę herbaty. W miejscu gdzie nogi stolika krzyżowały się jak litera x, znajdował się pierścień z mosiężnych kulek wielkości orzecha włoskiego. Jedna z kulek się obluzowała; pochylony próbowałem ją dokręcić. Żałowałem, że nie mogę równie łatwo poprawić swego życia. Wypiłem łyk najczarniejszej herbaty, jaką podano mi od lat, i usiłowałem wrócić myślą do Sorai, jej rodziców, powieści, którą właśnie kończyłem. Starałem się skupić uwagę na pojazdach mknących ulicą, na ludziach tłumnie odwiedzających sklepiki ze słodyczami. Usiłowałem słuchać muzyki *ghawwala* z radia tranzystorowego, które stało na sąsiednim stoliku. Próbowałem wszystkiego, ale i tak miałem przed oczami ojca, jak siedzimy w podarowanym mi dopiero co fordzie tamtego wieczoru po rozdaniu dyplomów ukończenia szkoły średniej, czuję dolatującą od niego woń piwa i słyszę słowa: „Żałuję, że nie było dzisiaj z nami Hasana”.

Jak on mógł okłamywać mnie przez te wszystkie lata? Jak mógł okłamywać Hasana? Gdy byłem mały, wziął mnie na kolana, spojrzał mi prosto w oczy i rzekł: „Grzechem jest tylko jedno. Mianowicie kradzież… Gdy kłamiesz, kradniesz komuś prawo do prawdy”. Czyż nie powiedział tak do mnie? A teraz, piętnaście lat po tym, jak go pochowałem, dowiaduję się, że *baba* był złodziejem najcięższego kalibru, bo wszystko, co ukradł, było święte: mnie odebrał prawo do wiedzy, że mam brata; Hasanowi odebrał tożsamość; Alemu odebrał honor. Jego *nang.* Jego *namus.*

Nasuwały mi się pytania: jak *baba* mógł patrzeć Alemu w oczy? Jak Ali mógł przebywać w tym domu dzień w dzień, wiedząc, że został okryty hańbą przez swego pana w ten jeden najgorszy dla Afgańczyka sposób? Jak ja zdołam pogodzić nowy wizerunek mego ojca z tym od tak dawna

wyrytym w pamięci – z obrazem człowieka w starym brązowym garniturze, idącego niepewnym krokiem do domu Taherich, by poprosić o rękę Sorai.

I oto mamy jeszcze jeden komunał, z którego naśmiewałby się mój nauczyciel sztuki pisania – jaki ojciec, taki syn. Ale to prawda, czyż nie? Okazało się, że podobieństwo między moim ojcem a mną jest większe, niż sądziłem. Obaj zdradziliśmy ludzi, którzy oddaliby za nas życie. I zaraz uprzytomniłem sobie, że Rahim Chan wezwał mnie do siebie, żebym zadośćuczynił nie tylko za swoje grzechy, ale również za grzechy ojca.

Rahim Chan powiedział, że zawsze byłem dla siebie nazbyt surowy. Czy rzeczywiście? To prawda, nie nakierowałem Alego na minę i nie sprowadziłem taliba, żeby zastrzelił Hasana. Ale wypędziłem Hasana i Alego z domu. Czy to przesada wyobrażać sobie, że sprawy potoczyłyby się inaczej, gdybym tego nie zrobił? Może *baba* zabrałby ich do Ameryki. Może Hasan miałby teraz własny dom, pracę, rodzinę, żył w kraju, gdzie nikogo nie obchodzi, że jest Hazarą, gdzie większość ludzi nawet nie wie, kto to taki. Może nie. Ale może tak.

Powiedziałem Rahimowi Chanowi, że nie mogę jechać do Kabulu, że mam w Ameryce żonę, dom, życie zawodowe, rodzinne. Ale jak mógłbym spakować się i wrócić do domu, skoro swymi czynami być może pozbawiłem Hasana szans posiadania tego samego?

Wolałbym, żeby Rahim Chan do mnie nie zadzwonił. Wolałbym, żeby pozwolił mi dalej żyć w nieświadomości. Ale stało się inaczej – zadzwonił. I to, co wyjawił, wiele zmieniło. Uprzytomniło mi, że całe moje życie, na długo przed zimą 1975 roku, od czasu gdy karmiła mnie piersią tamta Hazarka śpiewająca piosenki, było ciągiem kłamstw, zdrad i tajemnic.

„Można znowu być dobrym” – powiedział.

Przerwać ten ciąg.

Dzięki małemu chłopcu. Sierocie. Synowi Hasana. Gdzieś w Kabulu.

*

Wracając rikszą do mieszkania Rahima Chana, przypomniałem sobie słowa ojca, że kłopot ze mną polega na tym, iż zawsze ktoś za mnie walczy. Od tamtej pory przybyło mi lat – miałem teraz trzydzieści osiem. Włosy zaczęły rzednąć mi na skroniach, pojawiły się pasma siwizny i ostatnio dostrzegłem „kurze łapki” w kącikach oczu. Byłem starszy, ale może nie zbyt stary, żeby podjąć własną walkę. *Baba* skłamał w wielu sprawach, jak się przekonałem, ale to stwierdzenie było prawdziwe.

Jeszcze raz spojrzałem na fotografię: okrągła twarz, na którą pada ukośnie słońce. Twarz mojego brata. Hasan kiedyś mnie kochał, kochał tak, jak nikt inny mnie nie kochał i nie pokocha. Już go nie ma, ale jakaś jego cząstka przeżyła. Znajdowała się w Kabulu.

Czekała.

*

Zastałem Rahima Chana na modlitwie. Odmawiał *namaz* w rogu pokoju. Ciemny zarys postaci zwróconej ku zachodowi i pochylonej w pokłonie rysował się na tle krwistoczerwonego nieba. Poczekałem, aż skończy.

Powiedziałem mu, że jadę do Kabulu, i poprosiłem, żeby rano zadzwonił do Caldwellów.

– Będę się za ciebie modlił, Amirze *dżan* – rzekł.

19

Znowu choroba lokomocyjna. Zanim dojechaliśmy do podziurawionej kulami tablicy z napisem: WITAJCIE NA PRZEŁĘCZY CHAJBER, poczułem, że ślina napływa mi do ust i żołądek podchodzi do gardła. Farid, mój kierowca, spojrzał na mnie zimno, bez śladu współczucia.

– Można otworzyć okno? – poprosiłem.

Zapalił papierosa i trzymał go w lewej ręce opartej na kierownicy, między dwoma palcami, które mu pozostały. Nie odrywając czarnych oczu od drogi, pochylił się do przodu, podniósł leżący między nogami śrubokręt i podał mi. Włożyłem spłaszczony czubek w mały otwór w drzwiach, gdzie powinna być rączka, i obracając śrubokrętem, opuściłem szybę.

Farid znów spojrzał na mnie lekceważąco, tym razem ledwie kryjąc wrogość, i skupił się na papierosie. Od wyjazdu z fortu Jamrud wypowiedział nie więcej niż kilka słów.

– *Taszakkor* – mruknąłem.

Wychyliłem się przez okno i wystawiłem twarz na zimne popołudniowe powietrze. Podróż przez terytoria plemienne przy przełęczy Chajber krętą drogą wśród łupkowych i wapiennych skał wyglądała tak, jak ją pamiętałem – po tych samych wertepach jechałem z ojcem w 1974 roku. Okazałe, nagie góry przecięte głębokimi wąwozami wznosiły wysoko swe poszarpane wierzchołki. Na graniach znajdowały się stare, zrujnowane

fortece otoczone murami z suszonej na słońcu gliny. Starałem się nie odrywać wzroku od ośnieżonych szczytów Hindukuszu po północnej stronie, ale ilekroć żołądek trochę się uspokajał, samochodem zarzucało na kolejnym zakręcie i znów dostawałem mdłości.

– Weź cytrynę.

– Słucham?

– Cytryna. Pomaga, gdy człowieka mdli. Zawsze ją zabieram, gdy tędy jadę.

– Nie, dziękuję. – Na samą myśl, że miałbym w żołądku jeszcze więcej kwasu, zrobiło mi się niedobrze.

– To nie jest wymyślne amerykańskie lekarstwo – zadrwił Farid – to po prostu stary sposób, którego nauczyła mnie mama.

– W takim razie spróbuję – powiedziałem, uprzytomniwszy sobie, że marnuję sposobność nawiązania cieplejszego kontaktu.

Chwycił papierową torbę na tylnym siedzeniu i wyjął połówkę cytryny. Ugryzłem ją i odczekałem kilka minut.

– Masz rację. Przechodzi – skłamałem.

Jak każdy Afgańczyk, wiedziałem, że lepiej znosić męki, niż urazić drugiego człowieka. Zmusiłem się do uśmiechu.

– Stary ludowy sposób, nie potrzeba tutaj wymyślnych leków – powiedział tonem niewiele różniącym się od opryskliwego.

Strząsnął popiół z papierosa i z wyrazem samozadowolenia na twarzy spojrzał w lusterko wsteczne. Był Tadżykiem, tyczkowaty, ciemnoskóry, wąski w ramionach, miał ogorzałą twarz i długą szyję z wystającą grdyką, która wyłaniała się zza brody, gdy przekręcał głowę. Jego ubiór przypominał w dużej mierze mój, a właściwie było na odwrót – szary *peirahan-o-tomban* i kamizelka, na to grubo tkany koc z wełny. Na głowie

brązowy *pakol*, nasadzony trochę na bakier, jak go nosił tadżycki bohater Ahmad Szah Masud, zwany przez swoich ziomków Lwem Pandższiru.

Poznałem Farida w Peszawarze za pośrednictwem Rahima Chana. Twierdził, że Farid ma dwadzieścia dziewięć lat, ale pokryta zmarszczkami twarz o nieufnym wyrazie postarzała go o dwadzieścia. Urodził się w Mazar-i Szarif i mieszkał tam do dziesiątego roku życia, gdy ojciec postanowił przeprowadzić się z rodziną do Dżalalabadu. Jako czternastoletni chłopiec razem z ojcem przystąpił do dżihadu przeciwko *Szourawi.* Walczyli w dolinie Pandższiru przez dwa lata i tam zginął jego ojciec rozerwany na strzępy podczas ostrzału z helikoptera. Farid miał dwie żony i pięcioro dzieci. „Miał siódemkę” – powiedział ze smutkiem Rahim Chan, ale przed kilkoma laty dwie najmłodsze córki zginęły wskutek wybuchu miny tuż pod Dżalalabadem, a on sam stracił wtedy duży palec u stopy i trzy palce lewej ręki. Po tej tragedii zabrał żony i dzieci do Peszawaru.

– Punkt kontrolny – mruknął Farid.

Osunąłem się odrobinę na siedzeniu, krzyżując ręce na piersi, i na chwilę całkowicie zapomniałem o nudnościach. Nie było powodu do niepokoju. Dwaj pakistańscy milicjanci podeszli do naszego zdezelowanego land cruisera, omietli wzrokiem wnętrze i machnęli ręką, pozwalając jechać dalej.

Farid zajmował pierwsze miejsce na liście spraw do załatwienia, którą sporządziliśmy z Rahimem Chanem. W następnej kolejności należało wymienić dolary na walutę afgańską i tę w okręgu Kaldar, przyszykować dla mnie odzież i *pakol* – jak na ironię nigdy tak się nie ubierałem, mieszkając w Afganistanie – zabrać zdjęcie Hasana i Sohraba i na koniec, być może sprawa najważniejsza, wystarać się o sztuczną brodę, czarną i długą do piersi zgodnie z nakazami szariatu, a raczej jego talibskiej wersji.

Rahim Chan znał w Peszawarze człowieka zajmującego się wyrobem sztucznych bród, na które było zapotrzebowanie na przykład wśród korespondentów wojennych z Zachodu.

Rahim Chan chciał zatrzymać mnie u siebie kilka dni dłużej, uściślić plany. Ale ja byłem przekonany, że muszę wyjechać jak najszybciej. W przeciwnym razie mógłbym się rozmyślić. Bałem się, że zacznę się zastanawiać, głowić, zadręczać, usprawiedliwiać i wyperswaduję sobie ten wyjazd. Bałem się, że powab mojego amerykańskiego życia skusi mnie do powrotu, znowu wejdę do tej wspaniałej, wielkiej rzeki i puszczę wszystko w niepamięć, pozwolę, by nauka tych kilku ostatnich dni poszła na dno. Bałem się, że ulegnę fali, która zniesie mnie daleko od tego, co mam zrobić. Daleko od Hasana. Od przeszłości, która się odezwała. Od ostatniej szansy na dokonanie zadośćuczynienia. A zatem wyjechałem, zanim coś takiego stało się możliwe.

Co do Sorai – poinformowanie jej o moich planach w ogóle nie wchodziło w rachubę. Gdybym to zrobił, przyleciałaby najbliższym samolotem do Pakistanu.

Po przekroczeniu granicy wszędzie napotykaliśmy oznaki biedy. Wzdłuż drogi, po obu stronach, pojawiały się wioski: chałupy rozrzucone tu i tam wśród skał niczym zabawki, rozpadające się lepianki i wiaty na czterech słupach kryte podartą tkaniną. Przed chatami biegały za piłką dzieci w łachmanach. Kilka mil dalej zobaczyłem grupę mężczyzn siedzących w kucki, jeden obok drugiego niczym wrony, na szkielecie wypalonego sowieckiego czołgu; wiatr targał rogami koców, którymi byli owinięci. Za nimi szła wyboistą ścieżką w kierunku lepianek kobieta w brązowej burce, na ramieniu niosła gliniany gar.

– Jakie to dziwne – odezwałem się.

– Co takiego?

– We własnym kraju czuję się jak turysta – wyjaśniłem, patrząc na pastucha prowadzącego skrajem drogi sześć wychudzonych kóz.

– Nadal uważasz, że to twój kraj? – prychnął ironicznie Farid i wyrzucił niedopałek papierosa.

– Jakaś cząstka mnie chyba zawsze będzie tak myśleć – powiedziałem tonem bardziej defensywnym, niż zamierzałem.

– Po dwudziestu latach pobytu w Ameryce – dorzucił, skręcając kierownicą, by nie wpaść w dziurę wielkości piłki plażowej.

Kiwnąłem głową.

– Dorastałem w Afganistanie.

Farid znowu prychnął ironicznie.

– Dlaczego tak reagujesz? – zapytałem.

– Nieważne – mruknął.

– Powiedz mi dlaczego. Chcę wiedzieć.

W lusterku wstecznym zobaczyłem jakby błysk w jego oczach.

– Chcesz wiedzieć? – Zaśmiał się szyderczo. – Wydaje mi się, *agha saheb,* że pewnie masz piętrowy albo dwupiętrowy dom z ładnym ogrodem pełnym kwiatów i drzew owocowych pielęgnowanych przez ogrodnika. Posiadłość jest oczywiście ogrodzona. Twój ojciec jeździł amerykańskim samochodem. Mieliście służących, pewnie Hazarów. Twoi rodzice najmowali ludzi, żeby dekorowali dom na eleganckie *mehmani*, jakie wydawaliście dla przyjaciół, którzy przychodzili popić sobie i pochwalić się podróżami do Europy czy Ameryki. Jestem gotów założyć się o życie swojego pierworodnego, że po raz pierwszy masz na głowie *pakol.* – Uśmiechnął się do mnie szeroko, odsłaniając dwa rzędy przedwcześnie zepsutych zębów. – Niewiele się mylę, prawda?

– Dlaczego tak mówisz? – zapytałem.

– Bo chciałeś wiedzieć – odpalił. Wskazał człapiącego drogą starca w łachmanach, dźwigającego na plecach wielki pęk chrustu zawiniętego w jutowy materiał. – To jest prawdziwy Afganistan, *agha saheb*. Taki Afganistan znam ja. A ty? Ty zawsze byłeś tu turystą, tylko nie miałeś o tym pojęcia.

Rahim Chan przestrzegł mnie, żebym nie oczekiwał ciepłego powitania od Afgańczyków, którzy zostali w kraju i brali udział w wojnach.

– Przykro mi z powodu twojego ojca – powiedziałem. – I z powodu twoich córek. Przykro mi z powodu twojej ręki.

– To dla mnie bez znaczenia – odparł. Pokręcił głową. – A w ogóle po co tu wróciłeś? Żeby sprzedać ziemię ojca? Z gotówką w kieszeni prysnąć z powrotem do mamusi w Ameryce?

– Moja mama zmarła, wydając mnie na świat.

Westchnął i zapalił kolejnego papierosa. Umilkł.

– Stań.

– Co?

– Stań, do cholery! Zaraz zwymiotuję.

Wygramoliłem się z samochodu na żwirowe pobocze.

*

Późnym popołudniem widziałem wokoło już nie zalane słońcem szczyty i nagie skały, lecz zieleńszy, bardziej wiejski krajobraz. Zjechaliśmy przełęczą Chajber z Landi Kotal przez terytorium plemienia Szinwari do Landi Chana. Granicę z Afganistanem przekroczyliśmy w Torkham. Po obu stronach drogi rosły sosny, mniej liczne, niż zapamiętałem, i pozbawione igieł, ale mimo to ucieszył mnie widok drzew po uciążliwej podróży przez przełęcz Chajber. Zbliżaliśmy się do Dżalalabadu, gdzie mieliśmy zatrzymać się na noc u brata Farida.

Tuż przed zachodem słońca wjechaliśmy do stolicy prowincji Nangarhar, słynącej niegdyś z owoców i ciepłego klimatu. Farid przeciął centrum miasta z kilkupiętrowymi budynkami i domami z kamienia. Nie było tu tylu palm co niegdyś, a po niektórych domach pozostały jedynie ściany bez dachów i sterty rozbitej gliny.

Farid skręcił w drogę gruntową i zaparkował land cruisera przy wyschniętym rynsztoku. Wysiadłem, przeciągnąłem się i wziąłem głęboki oddech. Niegdyś wiatr wiał na okolicznych równinach, gdzie uprawiano trzcinę cukrową, i przynosił do miasta słodką woń. Zamknąłem oczy, próbując wychwycić ten zapach, ale bezskutecznie.

– Idziemy – odezwał się zniecierpliwiony Farid.

Poszliśmy wzdłuż walącego się muru z gliny, przy którym rosło kilka bezlistnych topoli. Farid zaprowadził mnie do zniszczonej parterowej chałupy i zapukał do drzwi z desek.

Wystawiła głowę młoda kobieta o zielonych jak morze oczach, w białej chuście zakrywającej twarz. Najpierw zobaczyła mnie i cofnęła się, potem dostrzegła Farida i rozbłysły jej oczy.

– *Salam alajkum, kaka* Farid!

– *Salam,* Mariam *dżan.*

Obdarzył ją tym, czego nie miał dla mnie przez cały dzień: serdecznym uśmiechem, i ucałował w czubek głowy. Kobieta stanęła z boku i spoglądała na mnie trochę zalękniona, gdy wchodziłem za Faridem do chatki.

Sufit z gliny suszonej na słońcu był niski, ściany z ziemi – gołe. Jedyne światło dawały dwa lampiony w kącie. Zdjąwszy buty, stanęliśmy na słomianej macie pokrywającej klepisko. Pod jedną ścianą, na materacu przykrytym postrzępionym kocem, siedziało ze skrzyżowanymi nogami trzech małych chłopców. Wysoki, barczysty mężczyzna z brodą wstał, żeby

nas powitać. Uścisnęli się z Faridem i pocałowali w policzki. Farid przedstawił go jako swego starszego brata Wahida.

– Przyjechał z Ameryki – poinformował Wahida, wskazując na mnie kciukiem.

Zostawił nas i poszedł przywitać się z chłopcami, którzy zaraz rzucili się na niego i wleźli mu na ramiona. Usiadłem z Wahidem pod ścianą naprzeciwko chłopców. Mimo moich protestów Wahid kazał jednemu z nich przynieść koc, żeby było mi wygodniej siedzieć na ziemi, i poprosił Mariam o herbatę. Wypytywał się, jak przebiegła podróż z Peszawaru i przeprawa przez przełęcz Chajber.

– Mam nadzieję, że nie napotkaliście *dozd* – powiedział.

Przełęcz Chajber słynęła nie tylko z trudnych warunków przeprawy, ale również z napaści bandytów na podróżnych. Zanim zdążyłem otworzyć usta, mrugnął do mnie i dodał głośno:

– Oczywiście żaden *dozd* nie fatygowałby się napadać na taki brzydki samochód jak mojego brata.

Farid przewrócił najmłodszego chłopca na ziemię i pełnosprawną ręką łaskotał go po żebrach. Malec zaśmiewał się i machał nogami.

– Ale ja przynajmniej mam samochód – wysapał Farid. – Jak tam twój osioł?

– Jazda na moim ośle jest lepsza niż twoim samochodem.

– *Char chara miszenasa* – odgryzł się Farid. Trzeba być osłem, żeby rozpoznać osła. Czyli: pozna swój swego.

Obaj wybuchnęli śmiechem, a ja razem z nimi. Zza ściany doszły mnie głosy kobiet. Z miejsca gdzie siedziałem, widać było połowę pomieszczenia. Mariam i starsza kobieta w brązowym *hidżab* – przypuszczalnie jej matka – rozmawiały szeptem, przelewając herbatę z czajnika do imbryka.

– Czym się zajmujesz w Ameryce, Amir *agha?* – zapytał Wahid.

– Jestem pisarzem.

Miałem wrażenie, że po tych słowach rozległ się stłumiony śmiech Farida.

– Pisarzem? – powtórzył z podziwem Wahid. – Piszesz o Afganistanie?

– Kiedyś tak, teraz już nie.

Ostatnia powieść *Pora popiołów* mówiła o profesorze uniwersytetu, który, przyłapawszy żonę w łóżku ze swoim studentem, dołącza do taboru cygańskiego. Książka nie była zła. Kilku krytyków uznało ją za dobrą, a jeden nawet użył określenia „wciągająca”. Ale teraz na myśl o niej zrobiło mi się nagle wstyd. Miałem nadzieję, że Wahid nie zapyta, o czym traktuje.

– Może powinieneś znowu pisać o Afganistanie – mówił dalej. – Powiedziałbyś światu, co wyrabiają tu talibowie.

– Hm, ja nie… Piszę o trochę innych sprawach.

– Aha. – Kiwnął głową i lekko się zarumienił. – Sam wiesz najlepiej, to jasne. Nie mnie mówić…

Do pokoju weszła Mariam ze starszą kobietą, niosąc na małej tacy dwie filiżanki i imbryk z herbatą. Wstałem z szacunkiem, przyłożyłem rękę do piersi i pochyliłem głowę.

– *Salam alajkum* – powiedziałem.

Starsza kobieta, przytrzymując *hidżab* tak, żeby zasłaniał dolną część twarzy, również się skłoniła.

– *Salam* – odrzekła ledwie słyszalnym głosem.

Ani przez chwilę nie spotkaliśmy się wzrokiem. Gdy nalewała herbatę, wciąż stałem.

Postawiła przede mną parującą filiżankę i wyszła, bezgłośnie stąpając boso po klepisku. Usiadłem i upiłem łyk mocnej czarnej herbaty. Zapadła

niezręczna cisza, którą w końcu przerwał Wahid.

– Co cię sprowadza z powrotem do Afganistanu?

– A co sprowadza ich wszystkich, kochany bracie? – wtrącił się Farid, kierując to pytanie do Wahida, ale patrząc z pogardą na mnie.

– *Bas!* – burknął Wahid.

– Zawsze to samo! Sprzedają ziemię, sprzedają dom, zgarniają forsę i uciekają jak szczury. Wracają do Ameryki. I wydają pieniądze na rodzinne wakacje w Meksyku.

– Farid! – ryknął Wahid. Dzieci aż się wzdrygnęły, Farid również. – Nie umiesz się zachować?! Przebywasz pod moim dachem. Amir *agha* jest moim gościem. Przynosisz mi wstyd!

Farid otworzył usta, już miał się odezwać, ale po chwili zastanowienia uznał, że lepiej milczeć. Usiadł ciężko na materacu pod ścianą, mruknął coś pod nosem i założył kaleką nogę na zdrową. Cały czas mierzył mnie oskarżycielskim spojrzeniem.

– Wybacz, Amir *agha* – powiedział Wahid. – Mój brat już od małego szybciej mówi, niż myśli.

– Tak naprawdę to moja wina. – Wysiliłem się na uśmiech pod bacznym wzrokiem Farida. – Nie czuję się urażony. Powinienem był wyjaśnić mu, w jakiej sprawie tu przyjechałem. Nie zamierzam sprzedać ziemi. Jadę do Kabulu, żeby odnaleźć małego chłopca.

– Chłopca – powtórzył Wahid.

Wyjąłem zdjęcie z kieszeni. Gdy znów spojrzałem na Hasana, poczułem, że w sercu otwiera mi się rana po jego śmierci. Musiałem odwrócić wzrok. Podałem Wahidowi fotografię. Uważnie jej się przyglądał, co rusz patrząc na mnie.

– Tego chłopca?

Kiwnąłem głową.

– To Hazara.

Przytaknąłem.

– Co on dla ciebie znaczy?

– Jego ojciec wiele dla mnie znaczył. Ten na zdjęciu. Już nie żyje.

– Był twoim przyjacielem? – zapytał ze zdziwieniem.

Mimowolnie chciałem potwierdzić, jakbym w głębi duszy pragnął chronić tajemnicę swego ojca, ale miałem już dość kłamstw.

– Przyrodnim bratem. – Przełknąłem ślinę. – Z nieprawego łoża.

Obracałem filiżankę w ręku, bawiąc się uszkiem.

– Przepraszam, nie chciałem wścibiać nosa – bąknął.

– Nie wścibiasz nosa.

– Co z nim zrobisz?

– Zabiorę go do Peszawaru. Tam są ludzie, którzy się nim zaopiekują.

Wahid zwrócił mi zdjęcie i położył ciężką rękę na moim ramieniu.

– Jesteś szlachetnym człowiekiem, Amir *agha*. Prawdziwym Afgańczykiem.

Zaczęło mnie skręcać w środku.

– Jestem dumny, mogąc cię gościć – rzekł Wahid.

Podziękowałem mu i zerknąłem na Farida. Siedział ze spuszczonym wzrokiem, mnąc palcami źdźbła słomy wystające z maty.

*

Niedługo potem Mariam i jej matka przyniosły dwie parujące misy z zupą warzywną *szorwa* i dwa bochenki chleba.

– Przepraszam, że nie możemy poczęstować cię mięsem – tłumaczył się Wahid. – W dzisiejszych czasach stać na nie tylko talibów.

– Wygląda wspaniale – powiedziałem zgodnie z prawdą.

Zaproponowałem jemu i dzieciom, żeby się poczęstowali, ale Wahid odrzekł, że cała rodzina jadła przed naszym przybyciem. Farid i ja podwinęliśmy rękawy i zaczęliśmy jeść palcami, maczając chleb w zupie.

Podczas posiłku obserwowałem synów Wahida. Wszyscy trzej byli chudzi, mieli usmarowane ziemią twarze i krótko obcięte brązowe włosy przykryte myckami. Rzucali ukradkowe spojrzenia na mój elektroniczny zegarek na rękę. Najmłodszy szepnął coś do ucha bratu. Tamten kiwnął głową, nie odrywając oczu od zegarka. Najstarszy z chłopców – może dwunastoletni – kiwał się w przód i w tył ze wzrokiem wbitym w zegarek. Po kolacji, gdy umyłem rękę wodą, którą Mariam nalała z glinianego garnka, zapytałem Wahida, czy mogę dać chłopcom *hadija*, podarunek. Dopiero po dłuższych naleganiach wyraził zgodę. Zdjąłem zegarek i podałem najmłodszemu. Zmieszany wymamrotał podziękowanie.

– Pokazuje czas w każdym mieście na świecie – powiedziałem.

Chłopcy pokiwali uprzejmie głowami, podawali zegarek jeden drugiemu i wkładali na ręce. Wkrótce przestał budzić ich zainteresowanie i wylądował na słomianej macie.

*

– Mogłeś mi powiedzieć – rzekł później Farid.

Leżeliśmy obok siebie na słomianych matach, które rozłożyła nam żona Wahida.

– O czym?

– Po co przyjechałeś do Afganistanu.

W jego głosie nie słyszałem już dawnej szorstkości.

– Nie pytałeś.

– Trzeba było powiedzieć.

Odwrócił twarz w moją stronę i podłożył rękę pod głowę.

– Może będę mógł ci pomóc.

– Dziękuję.

– Źle mi się wydawało.

Westchnąłem.

– Nie przejmuj się. Nie tak źle, jak myślisz.

*

Ręce ma związane z tyłu grubo splecioną liną, która wżyna się w nadgarstki. Oczy są zasłonięte czarną szmatą. Klęczy na ulicy, przy rynsztoku ze stojącą wodą, głowa opada mu na pierś. Kołysze się w modlitwie, trąc kolanami o pokrytą żwirem ziemię, aż spodnie nasiąkają krwią. Późnym popołudniem jego długi cień przesuwa się tam i z powrotem na kamykach. Mamrocze coś pod nosem. Podchodzę bliżej. „Tysiąc razy – mówi. – Dla ciebie tysiąc razy". Nieustannie się kiwa. Unosi głowę. Widzę nikłą bliznę nad górną wargą.

Nie jesteśmy sami.

Najpierw dostrzegam lufę. Potem stojącego za nim mężczyznę. Jest wysoki, w czarnym turbanie i w kamizelce ze wzorem w jodełkę. Patrzy w dół na człowieka z przepaską na oczach, jego spojrzenie nic nie wyraża, jest bezdennie puste. Robi krok do tyłu i lufa się unosi. Dotyka karku klęczącego człowieka. W świetle słońca rozbłyskuje metal.

Karabin wypala z ogłuszającym hukiem.

Śledzę ruch lufy po łuku w górę. Widzę twarz za krętą smugą dymu u wylotu. Jestem mężczyzną w kamizelce ze wzorem w jodełkę.

Obudziłem się ze zdławionym w gardle krzykiem.

*

Wyszedłem na dwór. Stanąłem w srebrnym świetle półksiężyca i spojrzałem w usiane gwiazdami niebo.

W nieprzeniknionych ciemnościach cykały świerszcze, wiatr szumiał w gałęziach drzew. Stałem boso na zimnej ziemi i raptem, pierwszy raz od przekroczenia granicy, poczułem, że wróciłem do swojego kraju. Po tylu latach wróciłem do domu, stałem na ziemi swoich przodków. To tu mój pradziadek poślubił trzecią żonę na rok przed śmiercią, podczas epidemii cholery, która dotknęła Kabul w 1915 roku. Ta kobieta dała mu wreszcie to, czego nie dały poprzednie – syna. To tu mój dziadek polował z królem Naderem Szahem i położył jelenia. Na tej ziemi zmarła moja matka. I na tej ziemi walczyłem o miłość swego ojca.

Usiadłem pod ścianą chaty. To poczucie więzi z ojczyzną było… zaskakujące. Tyle czasu mieszkałem za granicą, że sam zapomniałem, jakie to uczucie, i zapomniano o mnie. Miałem dom w kraju, który dla osób śpiących za tą ścianą znajdował się na innej planecie. Wydawało mi się, że zapomniałem, lecz wcale tak nie było. W mizernym świetle półksiężyca wyczuwałem pod stopami tętno życia Afganistanu. Może Afganistan również nie zapomniał o mnie.

Spojrzałem na zachód, zadziwiony, że gdzieś tam za górami wciąż istnieje Kabul. Istnieje naprawdę, a nie we wspomnieniach czy w wiadomości agencyjnej na piętnastej stronie „San Francisco Chronicle”. Tam za górami na zachodzie spało miasto, gdzie goniłem latawce razem ze swoim bratem o zajęczej wardze. Gdzieś tam daleko niepotrzebnie zginął człowiek z przepaską na oczach, który mi się przyśnił. Tam za górami kiedyś dokonałem wyboru. A teraz, ćwierć wieku później, w następstwie tego wyboru ponownie znalazłem się na tej ziemi.

Już miałem wrócić do chaty, gdy doleciała mnie prowadzona tam rozmowa. Rozpoznałem głos Wahida.

– …nie zostało nic dla dzieci.

– Głodujemy, ale nie możemy zachowywać się jak dzikusy! On jest naszym gościem! Co miałem robić? – mówił zdławionym głosem Wahid.

– …znaleźć coś jutro. – Miałem wrażenie, że kobieta ledwie powstrzymuje łzy. – Czym nakarmię…

Odszedłem na palcach. Teraz zrozumiałem, dlaczego chłopców nie zainteresował prezent ode mnie. Nie gapili się na zegarek, tylko na stojące przede mną jedzenie.

*

Pożegnaliśmy się wczesnym rankiem. Stojąc przy samochodzie, podziękowałem Wahidowi za gościnność. Odwrócił się i wskazał na swoją chatę.

– To jest również twój dom – powiedział.

Trzech chłopców stało na progu i patrzyło na nas. Najmłodszemu dyndał na wychudłej rączce zegarek.

Gdy ruszaliśmy, zerknąłem w boczne lusterko. W chmurze pyłu unoszącego się spod kół samochodu stał Wahid otoczony swoimi synami. Przyszło mi na myśl, że w innym świecie ci chłopcy byliby najedzeni i mieliby siły pobiec za samochodem.

Wcześniej tego ranka, upewniwszy się, że nikt nie widzi, zrobiłem to samo co przed dwudziestoma sześcioma laty. Wsadziłem garść zmiętych banknotów pod materac.

20

Farid ostrzegał mnie. To prawda. Ale mówił po próżnicy, jak się okazało.

Jechaliśmy wyboistą, krętą drogą z Dżalalabadu do Kabulu. Ostatni raz zmierzałem tędy w odwrotnym kierunku, na przykrytej brezentem pace ciężarówki. *Baba* o mało nie zginął od kuli naćpanego rosyjskiego żołnierza, który śpiewał afgańską pieśń weselną – tamtej nocy byłem taki wściekły na ojca, taki wystraszony i w końcu taki dumny. Droga łącząca Kabul z Dżalalabadem, która wiła się zakosami przez góry i na której rzucało człowiekiem na wszystkie strony, była przeżytkiem, pozostałością po dwóch wojnach. Przed dwudziestoma laty widziałem nieco tej pierwszej na własne oczy. Jej ponure ślady pozostały po obu stronach: szkielety wypalonych sowieckich czołgów, przewrócone i zardzewiałe ciężarówki wojskowe, rosyjski samochód terenowy, który spadł ze skały i się rozbił. Drugą wojnę znałem z ekranu telewizora. A teraz widziałem ją oczami Farida.

Zgrabnie omijając dziury na środku zniszczonej drogi, Farid był w swoim żywiole. Po noclegu w chacie Wahida stał się bardziej rozmowny. Poprosił, żebym usiadł z przodu, i patrzył na mnie, gdy mówił. Czasem nawet się uśmiechnął. Trzymając kaleką rękę na kierownicy, pokazywał wioski, gdzie dawniej mieszkali w lepiankach jego znajomi. Większość

z nich, mówił, już nie żyła albo schroniła się w pakistańskich obozach dla uchodźców.

– Zmarli mają czasem więcej szczęścia – oświadczył.

Przejeżdżaliśmy obok osmalonych ruin małej wioski, z której pozostały poczerniałe ściany bez dachów. Zauważyłem psa śpiącego pod ścianą.

– Miałem tu przyjaciela – powiedział Farid. – Świetnie naprawiał rowery. Poza tym grał na tabli. Zabili go talibowie. Jego rodzinę też. I spalili wioskę.

Gdy mijaliśmy wypalone chaty, pies się nie poruszył.

*

Dawniej podróż samochodem z Dżalalabadu do Kabulu zajmowała dwie godziny, może troszkę więcej. Jazda z Faridem trwała cztery godziny. A gdy już dojechaliśmy… Tuż po minięciu zapory wodnej w Mahipar Farid przestrzegł mnie:

– Kabul nie jest taki, jak go zapamiętałeś.

– Słyszałem.

Posłał mi spojrzenie, które mówiło: słyszeć a widzieć to nie to samo. Miał rację. Gdy wreszcie otworzył się przed nami widok na miasto, byłem pewny, absolutnie pewny, że skręciliśmy nie tam gdzie trzeba i pobłądziliśmy. Farid dostrzegł moją oszołomioną minę. Kursując tam i z powrotem, przywykł do takiej reakcji ludzi, którzy dawno nie widzieli Kabulu.

Klepnął mnie po ramieniu.

– Witaj w rodzinnym mieście – rzekł posępnie.

*

Wszędzie gruzy i żebracy. Gdziekolwiek spojrzeć. Pamiętam, że przed laty ludzie również żebrali – *baba* zawsze miał w kieszeni garść afgańskich banknotów do rozdania. Nie widziałem, żeby kiedykolwiek nie wpuścił domokrążcy. Ale teraz żebracy siedzieli w kucki na każdym rogu ulicy, w podartych jutowych łachmanach, z usmarowanymi ziemią rękami wyciągniętymi po datek. Co więcej, były to w większości dzieci, wychudłe, o posępnych twarzach, niektóre najwyżej pięcio- czy sześcioletnie. Siedziały na kolanach matek okrytych burkami, wzdłuż rynsztoków na rogach ruchliwych ulic i powtarzały śpiewnie: „*Bachszesz, bachszesz!*”. I było jeszcze coś, co zauważyłem dopiero po chwili: wśród nich prawie nie widziało się dorosłych mężczyzn – na skutek wojen ojcowie stali się rzadkością w Afganistanie.

Jechaliśmy Dżade Majwand – która w latach siedemdziesiątych była główną arterią przecinającą miasto – na zachód, w stronę dzielnicy Karta Se. Odrobinę na północ znajdowała się całkowicie wyschnięta rzeka Kabul. Na wzgórzach od południa wznosiły się stare, zniszczone mury obronne. Na wschód od murów wyrastał fort Bala Hisar – wiekowa twierdza, którą zajął watażka Dostum w 1992 roku. Fort stał w górach Szirdarwaza, skąd mudżahedini ostrzeliwali miasto pociskami rakietowymi między 1992 a 1996 rokiem, powodując większość zniszczeń, na które teraz patrzyłem. Pasmo górskie ciągnęło się daleko na zachód. Pozostała mi w pamięci ustawiona tam „południowa armata”, *tope czaszt*, z której strzelano codziennie o dwunastej i również o zachodzie słońca podczas ramadanu na znak zakończenia postu. Huk wystrzału niósł się po całym mieście.

– W dzieciństwie często przychodziłem na Dżade Majwand – wymamrotałem. – Tu były sklepy, hotele i restauracje. Świeciły neony. U starego Sajfo kupowałem latawce. Miał sklepik przy dawnej komendzie głównej policji.

– Komenda wciąż tam jest. W tym mieście nie brakuje policjantów – powiedział Farid. – Natomiast nie znajdziesz latawców czy sklepów z latawcami na Dżade Majwand ani w całym Kabulu. Te czasy już się skończyły.

Dżade Majwand stała się wielkim zamkiem z piasku. Budynki nie runęły, ale ledwo stały. Miały zapadnięte dachy, przebite pociskami rakietowymi ściany. Całe kwartały legły w gruzach. Zobaczyłem podziurawiony kulami szyld wystający pod kątem z rumowiska. Był na nim napis: PIJ COCA-CO… Zobaczyłem dzieci bawiące się wśród pokruszonych cegieł i kamieni, w ruinach domu bez okien. Ludzie na rowerach i wozach zaprzężonych w muły gwałtownie skręcali, żeby ominąć dzieci, bezpańskie psy i sterty gruzu. Nad miastem wisiała mgiełka pyłu, a po drugiej stronie rzeki unosiła się pojedyncza smuga dymu.

– Co się stało z drzewami? – zapytałem.

– Ludzie ścięli je zimą na opał – wyjaśnił Farid. – Wiele z nich zwalili też *Szourawi*.

– Dlaczego?

– Bo chowali się w nich snajperzy.

Ogarnął mnie smutek. Widząc Kabul po latach nieobecności, czułem się tak, jakbym napotkał starego, zapomnianego przyjaciela, dla którego los nie był łaskawy, pozbawił go dachu nad głową i środków do życia.

– Mój ojciec wybudował sierociniec w Szahr-e Kohna, na Starym Mieście, na południe stąd.

– Pamiętam ten budynek. Został zburzony kilka lat temu.

– Możesz gdzieś tu stanąć? – poprosiłem. – Chciałbym przejść się chwilę.

Farid zaparkował przy krawężniku w bocznej uliczce obok rozpadającego się, opuszczonego budynku bez drzwi.

– Kiedyś była tu apteka – mruknął, gdy wysiedliśmy z samochodu.

Wróciliśmy na Dżade Majwand i skręciliśmy w prawo, na zachód.

– Co to za zapach? – spytałem.

Zaczęły łzawić mi oczy.

– Olej napędowy – odpowiedział Farid. – Miejskie generatory ciągle wysiadają i nie można polegać na dostawie prądu, wobec tego ludzie używają oleju napędowego.

– No tak, olej napędowy. Pamiętasz, czym pachniała ta ulica w dawnych czasach?

– Kebabem. – Farid się uśmiechnął.

– Jagnięcym – dodałem.

– Jagnięcym – potwierdził, rozsmakowując się tym słowem. – Jagnięcinę jedzą teraz w Kabulu tylko talibowie. – Pociągnął mnie za rękaw. – Popatrz, jak na zawołanie…

Podjeżdżał do nas samochód.

– Kontrola bród – szepnął Farid.

Po raz pierwszy widziałem talibów na żywo. Dotychczas oglądałem ich tylko w telewizji, w Internecie, na okładkach czasopism i w gazetach. Ale oto teraz znajdowałem się mniej niż pięćdziesiąt kroków od nich i starałem się przekonać samego siebie, że to, co nagle poczułem w ustach, nie jest smakiem jawnego, czystego strachu. Starałem się przekonać samego siebie, że nie kurczę się w sobie i że serce nie bije mi jak oszalałe. Zbliżali się. W pełni chwały.

Czerwony pick-up marki Toyota wolno przejechał obok nas. W szoferce siedziało w kucki kilku młodych mężczyzn o surowym wyrazie twarzy, z kałasznikowami zawieszonymi na ramionach. Wszyscy mieli brody i czarne turbany. Jeden z nich, dwudziestoparoletni mężczyzna o ciemnej karnacji i gęstych, zmarszczonych brwiach, obracał w dłoni pejcz

i miarowo uderzał nim o bok pick-upa. Jego błąkający się wzrok zahaczył o mnie i się zatrzymał. Nigdy w życiu nie czułem się tak obnażony. Po chwili talib splunął śliną zmieszaną z sokiem tytoniowym i przeniósł wzrok na coś innego. Znów zacząłem oddychać. Pick-up pojechał dalej Dżade Majwand, zostawiając za sobą chmurę pyłu.

– Co ci strzeliło do głowy? – syknął Farid.

– Jak to?

– Nie wolno im się przyglądać! Rozumiesz? W żadnym wypadku!

– To było niechcący.

– Przyjaciel wielmożnego pana ma rację. To tak jakby pan dźgał kijem wściekłego psa – rozległ się czyjś głos.

Należał do leciwego żebraka, który siedział bosy na schodach przed podziurawionym kulami budynkiem. Miał na sobie wytarty, postrzępiony *czapan* i sztywny od brudu turban. Lewa powieka opadała na pusty oczodół. Powykręcaną artretyzmem ręką wskazał oddalających się talibów.

– Jeżdżą ulicami i się rozglądają. Rozglądają się z nadzieją, że ktoś ich sprowokuje. Prędzej czy później pojawia się ktoś taki. I wtedy te psy urządzają sobie ucztę, po całym dniu nudy wreszcie coś się dzieje, i wszyscy mówią: *„Allahu Akbar!”*. A jeżeli przyjdzie taki dzień, gdy nikt ich nie obrazi, cóż, zawsze można wtedy przypadkiem na kogoś napaść, prawda?

– W bliskości talibów zawsze patrz pod nogi – rzekł Farid.

– Pana przyjaciel udziela dobrych rad – dorzucił starzec i umilkł wstrząsany mokrym kaszlem. Wypluł flegmę w brudną chustkę. – Wybaczcie, znalazłoby się parę afgani? – szepnął.

– *Bas.* Idziemy – powiedział Farid i pociągnął mnie za ramię.

Dałem żebrakowi sto tysięcy afgani, równowartość około trzech dolarów. Gdy pochylił się po datek, buchnął mi w nozdrza smród – jakby

skwaśniałego mleka i niemytych tygodniami nóg – i znowu zebrało mi się na mdłości. Starzec szybko wsunął pieniądze za pas, jedynym okiem rzucając na lewo i na prawo.

– Serdeczne dzięki wielmożnemu panu za dobrodziejstwo.

– Może pan wie, gdzie dokładnie jest sierociniec w Karta Se? – spytałem.

– Nietrudno go znaleźć. Tuż obok bulwaru Darulaman po zachodniej stronie – wyjaśnił. – Gdy na stary sierociniec spadły rakiety, dzieci przeniesiono stąd do Karta Se. To tak jakby wyciągnąć kogoś z łap lwa i wepchnąć w łapy tygrysa.

– Dziękuję, *agha.*

Już miałem odejść, gdy dodał:

– Pierwszy raz, co?

– Słucham?

– Pierwszy raz widział pan taliba.

Milczałem. Starzec kiwnął z uśmiechem głową, odsłaniając nieliczne zęby, krzywe i pożółkłe.

– Pamiętam, jak ja zobaczyłem ich pierwszy raz. Wjeżdżali do Kabulu. Ale to była radość! – opowiadał. – Wreszcie ludzie przestaną się zabijać! *Wah, wah!* Ale jak mówi poeta: „Myślałem, że miłość jest łatwa, niestety wikłają się sprawy”*.

Uśmiech rozkwitł mi na twarzy.

– Znam to. Gazel Hafeza.

– Rzeczywiście – przytaknął starzec. – Wiem, co mówię. Uczyłem literatury na uniwersytecie.

– Ach tak?

Staruszek zakasłał.

– Od tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego ósmego do dziewięćdziesiątego szóstego. Prowadziłem zajęcia o Hafezie, Chajjamie, Rumim, Dżamim, Bedilu, Sadim. Nawet zaproponowano mi wygłoszenie wykładu w Teheranie. To było w siedemdziesiątym pierwszym roku. Mówiłem o mistyku Bedilu. Zgotowano mi owację na stojąco! – Pokręcił głową. – Sam pan widział tych młodzieńców w samochodzie. Czy oni potrafią docenić sufich?

– Moja matka uczyła na uniwersytecie – wtrąciłem.

– Jak się nazywała?

– Sofia Akrami.

Rozbłysło dotknięte kataraktą oko.

– „Pustynne zielsko się ostanie, ale wiosenny kwiat zakwitnie i zwiędnie”. Miała tyle wdzięku, tyle godności. Co za tragedia.

– Znał pan moją matkę? – zapytałem, kucając przy nim.

– O tak. Bywało, że po zajęciach spotykaliśmy się na pogawędkę. Pamiętam naszą ostatnią rozmowę w deszczowy dzień, tuż przed końcowymi egzaminami. Jedliśmy na spółkę pyszne ciasto migdałowe z miodem, popijając gorącą herbatę. Pana matka była w widocznej ciąży, ale przy tym jeszcze piękniejsza. Nigdy nie zapomnę jej słów.

– Mianowicie?

W rozmowie ze mną *baba* zawsze mówił o mamie ogólnikowo. Na przykład: „Była wspaniałą kobietą”. A mnie zawsze brakowało szczegółów: jak lśniły w słońcu jej włosy, jakie lody lubiła najbardziej, jakie nuciła piosenki, czy obgryzała paznokcie. Wspomnienia o niej zabrał z sobą do grobu. Może wymawianie jej imienia przypominałoby mu o jego winie, o jego uczynku wkrótce po jej śmierci. A może tak cierpiał, tak był zbolały, utraciwszy ją, że w ogóle nie mógł o niej mówić. A może i jedno, i drugie.

– Powiedziała: „Tak się boję”. Zapytałem, co jest tego powodem. „Nie posiadam się ze szczęścia, doktorze Rasul – odrzekła. – A to przeraża”. Znów spytałem, skąd to odczucie. „Pozwalają człowiekowi zaznać takiego szczęścia tylko wtedy, gdy zamierzają coś mu zabrać”, wyjaśniła. „Jak można mówić takie niemądre rzeczy”, odparłem.

Farid wziął mnie pod ramię.

– Czas na nas, Amir *agha* – powiedział cicho.

Wyrwałem mu się.

– Co jeszcze mówiła? Co jeszcze?

Twarz starca nabrała łagodności.

– Przykro mi, że nie zapamiętałem nic więcej. Pańska matka odeszła dawno temu i moje wspomnienia rozsypały się jak te domy. Bardzo żałuję.

– Choćby drobiazg. Cokolwiek.

Starzec się uśmiechnął.

– Spróbuję sobie przypomnieć. Ma pan moje słowo. Proszę wrócić tu do mnie.

– Dziękuję, bardzo dziękuję.

Byłem mu szczerze wdzięczny. Dowiedziałem się, że moja mama lubiła ciasto migdałowe z miodem oraz gorącą herbatę. Że zaznała szczęścia i bała się je utracić. Od tego staruszka na ulicy uzyskałem więcej informacji o mamie niż przez te wszystkie lata od taty.

Gdy szliśmy z powrotem do land cruisera, żaden z nas nie skomentował faktu, iż napotkany na ulicy żebrak znał moją matkę. Dla mieszkańca każdego innego kraju byłby to nieprawdopodobny zbieg okoliczności, ale my wiedzieliśmy, że w Afganistanie, zwłaszcza w Kabulu, takie zdarzenia są na porządku dziennym. *Baba* często mówił: „Weź dwóch Afgańczyków, którzy nigdy się nie widzieli, i posadź ich na dziesięć minut w pokoju, a rychło wykombinują, jakie łączy ich pokrewieństwo”.

Zostawiliśmy staruszka na schodach przed budynkiem. Zamierzałem skorzystać z jego propozycji i przyjść tu ponownie, sprawdzić, czy odgrzebał jeszcze jakieś wspomnienia o mojej mamie. Ale nie zobaczyliśmy się nigdy więcej.

*

Znaleźliśmy sierociniec w północnej części Karta Se, nad brzegiem wyschniętej rzeki Kabul. Mieścił się w niskim, podobnym do koszar budynku o popękanych ścianach i oknach zabitych deskami. Podczas jazdy Farid powiedział mi, że ten fragment miasta ucierpiał najbardziej w wyniku działań wojennych. Po wyjściu z samochodu byliśmy zdruzgotani rozmiarami zniszczeń. Przy ulicy podziurawionej lejami po bombach znajdowały się ruiny ostrzelanych budynków i opuszczone domostwa. Minęliśmy zardzewiały szkielet przewróconego samochodu, pozbawiony ekranu odbiornik telewizyjny wystający do połowy z gruzów i ścianę z czarnym napisem zrobionym sprayem: ZENDA BAD TALIBAN! (Niech żyją talibowie!).

Drzwi otworzył nam niski, chudy mężczyzna z łysiną i kudłatą siwą brodą. Miał na sobie podartą tweedową marynarkę, myckę i opuszczone na czubek nosa okulary z wyszczerbionym szkłem, zza których spoglądały raz na mnie, raz na Farida maleńkie oczka przypominające ziarna czarnego grochu.

– *Salam alajkum* – powitał nas.

– *Salam alajkum* – odpowiedziałem, wyjmując zdjęcie zrobione polaroidem. – Szukamy tego chłopca.

Zerknął na fotografię.

– Przykro mi, nie znam go.

– Ledwie rzuciłeś okiem, przyjacielu. Może przyjrzałbyś się dokładnie – wtrącił się Farid.

– *Lotfan* – dodałem. Czyli: proszę.

Mężczyzna wziął zdjęcie do ręki. Popatrzył na nie baczniej i oddał mi.

– Niestety. Znam niemal wszystkie dzieci z tego przytułku, ale chłopiec nie wygląda znajomo. Wybaczcie, muszę wrócić do pracy.

Zamknął drzwi na klucz. Zacząłem walić w nie pięścią.

– *Agha, agha!* Niech pan otworzy. Nie chcemy zrobić mu nic złego.

– Powtarzam: tu go nie ma – rozległ się głos zza drzwi. – Proszę odejść.

Farid podszedł do drzwi i oparł się o nie czołem.

– Przyjacielu, nie jesteśmy po stronie talibów – powiedział cicho, wyważonym głosem. – Ten pan chce zabrać chłopca w bezpieczne miejsce.

– Przyjechałem z Peszawaru – tłumaczyłem. – Jeden z moich przyjaciół zna amerykańskie małżeństwo, które zajmuje się działalnością charytatywną i prowadzi dom dziecka. – Przez drzwi czułem obecność tego mężczyzny. Wiedziałem, że stoi tam, przysłuchuje się rozdarty między podejrzliwością a nadzieją. – Proszę posłuchać, znałem ojca Sohraba. Miał na imię Hasan. Matka chłopca miała na imię Farzana. Do swojej babci mówił Sasa. Umie pisać i czytać. Strzela z procy. Tego chłopca można uratować, *agha,* wyciągnąć stąd. Proszę, niech pan otworzy drzwi.

Z drugiej strony cisza.

– Jestem przyrodnim bratem jego ojca – rzekłem.

Minęła dłuższa chwila i rozległ się chrobot klucza w zamku. Wąska twarz mężczyzny pojawiła się w szparze w drzwiach. Wodził wzrokiem ode mnie do Farida i z powrotem.

– W jednym się pan pomylił.

– W czym?

– On świetnie strzela z procy.

Uśmiechnąłem się.

– Zawsze ma ją przy sobie, wetkniętą za pasek spodni. Gdziekolwiek jest.

*

Mężczyzna, który wpuścił nas do środka, przedstawił się jako Zaman, kierownik sierocińca, i zaprosił nas do swojego biura.

Szliśmy za nim mrocznymi, brudnymi korytarzami, gdzie wałęsały się bose dzieci w postrzępionych swetrach. Mijaliśmy pokoje, w których zamiast podłóg były zmierzwione dywany, a otwory okienne zaklejono folią. Całą powierzchnię zajmowały żelazne prycze, w większości bez materacy.

– Ile tu jest sierot? – spytał Farid.

– Więcej, niż możemy pomieścić. Około dwustu pięćdziesięciu – powiedział Zaman, spoglądając przez ramię. – Ale nie wszystkie dzieci są *jatim.* Wiele z nich straciło ojców na wojnie, a matki nie mogą ich wykarmić, bo talibowie zabraniają im pracować. Więc kobiety przyprowadzają dzieci tutaj. – Zatoczył ręką łuk i dodał ze smutkiem: – U nas mają lepiej niż na ulicy, choć różnica nie jest taka wielka. Budynek nie był przeznaczony do zamieszkania, dawniej mieścił się tu magazyn wytwórni dywanów. Dlatego nie zainstalowano grzejników wody, a poza tym doprowadzono do wyschnięcia studni. – Ściszył głos. – Już nie pamiętam, ile razy prosiłem talibów o sfinansowanie budowy nowej studni, ale oni tylko przesuwają paciorki różańca i mówią, że nie ma pieniędzy. Akurat! – prychnął z ironią.

Wskazał rząd łóżek pod ścianą.

– Nie starcza nam łóżek, materacy. Co gorsza, brak koców. Widzicie tę dziewczynkę, która skacze przez skakankę? – zapytał. – Zeszłej zimy dzieci musiały spać razem pod jednym kocem. Jej brat umarł z wyziębienia. – Poszedł dalej. – W spiżarni mamy zapas ryżu na niecały miesiąc. Potem będziemy dawać chleb z herbatą i na śniadanie, i na kolację.

Zauważyłem, że nie wspomniał o obiedzie.

– Schrony są tu za małe, nie starcza jedzenia, nie ma ubrań i czystej wody – mówił dalej, przystanąwszy i odwróciwszy się do mnie. – Za to jest pod dostatkiem maluchów, które nie zaznały dzieciństwa. Tragizm sytuacji polega na tym, że i tak dopisało im szczęście. Sierociniec jest przepełniony i dzień w dzień odprawiam matki z dziećmi. – Zrobił krok w moją stronę. – Twierdzi pan, że Sohraba można uratować? Oby pan nie kłamał, *agha*. Tylko… boję się, czy może nie przybył pan za późno.

– Co to znaczy?

Zaman odwrócił wzrok.

– Proszę za mną.

*

W pomieszczeniu, które uchodziło za pokój kierownika, były cztery gołe i popękane ściany, mata na podłodze, biurko i dwa składane krzesła, na których usiedliśmy Zaman i ja. Po chwili dostrzegłem szarego szczura, który wyjrzał z nory w ścianie i przemknął przez pokój. Aż się skuliłem, gdy wąchał moje buty, potem Zamana i w końcu uciekł przez otwarte drzwi.

– Co to znaczy, że może przybyłem za późno? – spytałem.

– Chce pan napić się herbaty? Chętnie zaparzę.

– Nie, dziękuję. Wolę porozmawiać.

Zaman przechylił się do tyłu razem z krzesłem i założył ręce na piersi.

– Ta wiadomość nie będzie przyjemna. Poza tym może być bardzo niebezpieczna.

– Dla kogo?

– Dla pana, dla mnie. No i oczywiście dla Sohraba, o ile nie jest już za późno.

– Muszę wiedzieć – rzekłem.

Kiwnął głową.

– Tak pan mówi. Najpierw chciałbym jednak zapytać, jak bardzo zależy panu na odnalezieniu bratanka.

Pomyślałem o bójkach ulicznych w czasach dzieciństwa. Ileż to razy Hasan nadstawiał za mnie karku, jeden przeciwko dwom, nawet trzem. A ja przyglądałem się z grymasem bólu, gdy obrywał, czasem chciałem się włączyć, ale zawsze rezygnowałem, zawsze coś mnie powstrzymywało.

Spojrzałem w stronę korytarza, gdzie kilkoro dzieci tańczyło w kręgu. Patrzyła na nich mała dziewczynka z lewą nogą amputowaną pod kolanem; uśmiechnięta siedziała na sfatygowanym materacu i razem z innymi dziećmi klaskała w dłonie. Zobaczyłem, że Farid też się im przygląda, kaleka ręka zwisa mu wzdłuż ciała. Przypomniałem sobie chłopców Wahida i… zdałem sobie sprawę, że nie wyjadę z Afganistanu, dopóki nie odnajdę Sohraba.

– Proszę powiedzieć, gdzie on jest.

Zaman utkwił we mnie wzrok. Po chwili kiwnął głową, wziął ołówek i zaczął obracać go w palcach.

– Niech pan zachowa moje nazwisko w tajemnicy.

– Obiecuję.

Puknął w blat ołówkiem.

– Choć złożył pan obietnicę, jestem pewien, że będę tego żałował. Może jednak wyjdzie na jedno. I tak jestem przeklęty. Ale jeśli można coś zrobić dla Sohraba… Powiem panu, bo zawierzyłem pana słowom. Wygląda pan na człowieka zdeterminowanego. – Milczał dłuższą chwilę. – Jest tu pewien urzędnik talibski – odezwał się cicho. – Przychodzi co miesiąc, co dwa miesiące. Przynosi gotówkę, niezbyt wiele, ale lepsze to niż nic. – Jego rozbiegane oczy spoczęły na mnie i poleciały w bok. – Zwykle zabiera dziewczynkę. Ale nie zawsze.

– I ty na to pozwalasz? – odezwał się Farid zza moich pleców.

Ruszył dokoła biurka w kierunku Zamana.

– A mam inne wyjście? – odpalił tamten i odsunął się do tyłu.

– Jesteś tu kierownikiem – powiedział Farid. – Powinieneś czuwać nad tymi dziećmi.

– Nic nie mogę zrobić, żeby położyć temu koniec.

– Handlujesz dziećmi! – warknął Farid.

– Farid, przestań! – zawołałem.

Ale było za późno.

Nagle zobaczyłem, jak Farid przeskakuje przez biurko. Krzesło upadło, gdy rzucił się na Zamana i przyparł go do podłogi. Kierownik miotał się na wszystkie strony, wydając stłumione krzyki. Gdy kopnął w biurko, wyleciała szuflada i wysypały się z niej jakieś kartki.

Obiegłem biurko i zrozumiałem, dlaczego Zaman krzyczy stłumionym głosem. Dusił go Farid. Obiema rękami złapałem go za ramiona i mocno szarpnąłem, ale mi się wyrwał.

– Dość tego! – zawołałem.

Twarz Farida płonęła, usta rozciągnęły się z wściekłości.

– Zabiję! Nie wtrącaj się! Zabiję! – wrzeszczał.

– Zostaw go!

– Zabiję!

Po tonie jego głosu wyczułem, że jeśli natychmiast czegoś nie zrobię, po raz pierwszy w życiu będę świadkiem morderstwa.

– Dzieci patrzą, Farid. Słyszysz? Dzieci patrzą.

Gdy chwyciłem go za ramię, jego mięśnie znów się napięły i przemknęło mi przez myśl, że i tak nie daruje Zamanowi. Odwrócił głowę i zobaczył dzieci. Stały w milczeniu w drzwiach, trzymały się za ręce, kilkoro płakało. Poczułem, że mięśnie Farida się rozluźniają. Opuścił ręce, wstał. Spojrzał z góry na Zamana i splunął mu w twarz. Potem podszedł do drzwi i zamknął je.

Zaman podniósł się z trudem, rękawem wytarł zakrwawione usta i ślinę z policzka. Kaszląc i dysząc, włożył myckę, następnie okulary, ale zaraz je zdjął, zauważywszy, że oba szkła się potłukły. Zakrył twarz dłońmi. Długo nikt nic nie mówił.

– Zabrał Sohraba miesiąc temu – wychrypiał w końcu, nie odrywając rąk od twarzy.

– I ty uważasz się za kierownika? – powiedział Farid.

Zaman opuścił ręce.

– Od ponad pół roku nie dostaję wynagrodzenia. Jestem zrujnowany, całe oszczędności wydałem na sierociniec. Wszystko, co miałem albo odziedziczyłem, sprzedałem, żeby utrzymać ten zapomniany przez Boga przytułek. Myślicie, że nie mam krewnych w Pakistanie czy Iranie? Mógłbym uciec jak inni. Ale tak nie postąpiłem. Zostałem. Dla nich. – Wskazał ręką drzwi. – Jeżeli sprzeciwię się, gdy będzie chciał zabrać jedno dziecko, zabierze dziesięcioro. Więc zgadzam się, żeby wziął jedno, a osąd pozostawiam Allahowi. Chowam dumę do kieszeni i biorę jego przeklęte, brudne pieniądze. Potem idę na bazar i kupuję jedzenie dla dzieci.

Farid spuścił wzrok.

– Co się dzieje z zabranymi dziećmi? – spytałem.

Zaman potarł oczy kciukiem i palcem wskazującym.

– Czasem wracają.

– Kim on jest? Jak go znajdę?

– Niech pan pójdzie jutro na stadion Ghazi. Zobaczy go pan w przerwie meczu. Człowiek w czarnych okularach przeciwsłonecznych. – Wziął pęknięte okulary i obracał je w rękach. – Idźcie już. Dzieci są wystraszone.

Odprowadził nas do wyjścia.

Gdy odjeżdżaliśmy, spojrzałem w boczne lusterko i zobaczyłem, że stał w drzwiach otoczony dziećmi, które trzymały go za luźną koszulę. Miał na nosie rozbite okulary.

---

* Hafez, *Ej, przynieś saki, wina*, przełożył Władysław Dulęba.

21

Przejechaliśmy przez rzekę i skierowaliśmy się na północ przez zatłoczony plac Pasztunistański. Znajdowała się tam restauracja Chajber, do której ojciec zabierał mnie na kebab. Budynek wciąż stał, ale drzwi były zamknięte na kłódkę, okna wybite i w nazwie restauracji brakowało dwóch liter.

Opodal zobaczyłem zwłoki. Dokonano tu egzekucji. Młody mężczyzna wisiał na linie umocowanej do belki. Miał obrzmiałą, siną twarz. Ubranie, które nosił ostatniego dnia swego życia, było podarte i zakrwawione. Mało kto zwracał na niego uwagę.

Przecięliśmy w milczeniu plac, zmierzając do dzielnicy Wazir Akbar Chan. Gdziekolwiek spojrzeć, mgiełka pyłu wisiała nad miastem, zasnuwając budynki z cegły suszonej na słońcu. Gdy znaleźliśmy się kilka kwartałów na północ od placu Pasztunistańskiego, Farid zwrócił moją uwagę na dwóch mężczyzn rozmawiających z ożywieniem na rogu ruchliwej ulicy. Jeden z nich utykał, drugą nogę miał amputowaną pod kolanem. Trzymał w ramionach protezę.

– Domyślasz się, co oni robią? Targują się o protezę.

– On chce sprzedać swoją nogę?

Farid kiwnął głową.

– Na czarnym rynku osiąga dobrą cenę. Będzie miał z czego wykarmić dzieci przez kilka tygodni.

*

Ku mojemu zdumieniu większość domów w Wazir Akbar Chan miała dachy i całe ściany. Właściwie były w zupełnie dobrym stanie. Drzewa wystawały zza murów jak dawniej, a na ulicach nie leżało tyle gruzu co w Karta Se. Wyblakłe tabliczki z nazwami ulic, niektóre pogięte i podziurawione kulami, nadal wskazywały drogę.

– Nie wygląda tak źle – zauważyłem.

– Nic dziwnego. Tu mieszka wielu ważnych ludzi.

– Talibowie?

– Nie tylko.

– Kto jeszcze?

Wjechaliśmy na szeroką ulicę, gdzie chodniki były dość czyste i po obu stronach znajdowały się domy otoczone murem.

– Ludzie stojący za talibami. Mózgi obecnego rządu, jeśli można tak powiedzieć: Arabowie, Czeczeni, Pakistańczycy – wyjaśnił Farid i wyciągnął rękę w kierunku północno-zachodnim. – Ulica Piętnasta, o tam, nazywa się Sarak-e Mehmana. – To znaczy ulica Gości. – Tak ich tu nazywają. Gośćmi. Moim zdaniem pewnego dnia ci goście zasikają cały dywan.

– To chyba ten! – zawołałem. – O tam!

Wskazałem palcem charakterystyczny obiekt, który w dzieciństwie służył mi jako punkt orientacyjny. „Jeśli zdarzy ci się zabłądzić – mówił *baba* – pamiętaj, że na końcu naszej ulicy stoi taki różowy dom”. Pomalowany na różowo dom ze spadzistym dachem był jedynym tego koloru w okolicy przed laty. Również teraz.

Farid skręcił w tę ulicę. Od razu rozpoznałem dom swego ojca.

*

W gęstwinie dzikich róż rosnących w ogrodzie znajdujemy małego żółwia. Nie wiemy, jak tam trafił, ale jesteśmy zbyt podekscytowani, żeby się nad tym zastanawiać. Malujemy mu na czerwono skorupę – pomysł Hasana, całkiem niezły. Dzięki temu nie zgubi się nam w krzakach. Udajemy nieustraszonych odkrywców, którzy w dalekiej dżungli znaleźli wielkiego prehistorycznego potwora i teraz chcą go pokazać światu. Wkładamy żółwia do drewnianego wózka, który zeszłej zimy Ali zrobił Hasanowi w prezencie urodzinowym, i udajemy, że siedzi w wielkiej stalowej klatce. Patrzcie! Co za monstrum ziejące ogniem! Ciągnąc wózek, maszerujemy po trawniku, dokoła jabłoni i wiśni, które przemieniają się w drapacze chmur, gdzie z tysięcy okien wystawiają głowy ludzie przyglądający się widowisku tam w dole. Przechodzimy przez mostek w kształcie półksiężyca, postawiony przez tatę obok kępy drzew figowych; mostek staje się wielkim mostem zwodzonym, który łączy miasta; mały staw pod nim jest spienionym morzem. Nad potężnymi pylonami mostu wybuchają fajerwerki. Po obu stronach, skąd biegną w górę stalowe liny, salutują nam uzbrojeni żołnierze. Żółw podskakuje, gdy ciągniemy wózek po kolistym podjeździe wyłożonym czerwoną cegłą. Wychodzimy za bramę z kutego żelaza i pozdrawiamy światowych przywódców, którzy urządzają nam owację na stojąco. Lada chwila otrzymamy Medal Honoru za ten śmiały wyczyn, my – Hasan i Amir, słynni poszukiwacze przygód i najwięksi odkrywcy na świecie…

*

Zachowując czujność, wszedłem na podjazd, gdzie między wyblakłymi od słońca cegłami rosły kępy zielska. Stanąłem przed bramą domu mego ojca i poczułem się jak ktoś postronny. Dotknąłem zardzewiałych prętów, przypominając sobie, jak tysiące razy wybiegałem przez tę bramę w dzieciństwie, udając się po coś, co teraz było bez znaczenia, a wówczas zdawało się takie ważne. Zerknąłem na posiadłość.

Podjazd po drugiej stronie – kawałek od bramy do ogrodu, gdzie raz Hasan, raz ja spadaliśmy z roweru tamtego lata, gdy uczyliśmy się jeździć – nie był tak szeroki i długi, jak go zapamiętałem. Na asfalcie utworzyły się zygzakowate szczeliny, z których wyrastały bujne chwasty. Większość topoli – to na nie właziliśmy z Hasanem, żeby puszczać zajączki w okna sąsiadów – ścięto. Pozostałe były niemal całkowicie pozbawione liści. Mur Słabowitej Kukurydzy wciąż stał, ale nie zobaczyłem przy nim kukurydzy ani krzepkiej, ani słabowitej. Farba zaczęła odpadać, tu i ówdzie złuszczyła się do cna. Trawnik nabrał brązowej barwy, takiej samej jak mgiełka pyłu wisząca nad miastem; pojawiły się placki łysej ziemi.

Jeep, który stał na podjeździe, wyglądał nie na miejscu – powinien tu być czarny ford mustang taty. Przez lata osiem cylindrów mustanga budziło się z rykiem do życia każdego ranka i budziło mnie ze snu. Pod jeepem zauważyłem wyciek oleju podobny do wielkiej plamy atramentowej w teście Rorschacha. Za samochodem leżała na boku pusta taczka. Zniknęły róże, które *baba* posadził z Alim po lewej stronie podjazdu; na wyasfaltowaną powierzchnię weszła ziemia. I chwasty.

Z tyłu doleciał mnie dźwięk klaksonu, raz i drugi.

– Ruszajmy, *agha!* Jeszcze ktoś się nami zainteresuje! – zawołał Farid.

– Za chwilę.

Dom w ogóle nie przypominał rozległej białej rezydencji z mojego dzieciństwa. Sprawiał wrażenie mniejszego. Dach się zapadł, tynk skruszał.

Szyby w oknach salonu, holu i gościnnej sypialni na piętrze popękały, więc zawieszono w nich niedbale płachty przezroczystej folii albo przybito do futryn deski. Niegdyś lśniąco białe ściany przybrały odcień widmowej szarości, a tam, gdzie dotknęła ich erozja, widać było warstwy cegieł. Rozpadły się schody przed wejściem od frontu. Dom mojego ojca, jak znaczna część Kabulu, był świadectwem minionej świetności.

Umiejscowiłem okno swojej dawnej sypialni – na piętrze, trzecie od frontowych schodów w kierunku południowym. Wspiąłem się na palce, ale za oknem nie dostrzegłem nic prócz cieni. Przed dwudziestoma pięcioma laty stałem w tym oknie i mój oddech skraplał się na szybie, po której spływały strugi deszczu. Patrzyłem, jak Hasan i Ali ładowali swój dobytek do bagażnika samochodu ojca.

– Amir *agha!* – zawołał ponownie Farid.

– Idę!

Błysnęła mi obłąkańcza myśl, żeby znaleźć się w środku. Chciałem wejść po schodach, gdzie Ali kazał Hasanowi i mnie zdejmować kalosze. Chciałem wejść do holu pachnącego skórką pomarańczową, którą Ali wrzucał razem z trocinami do piecyka. Chciałem usiąść przy stole kuchennym, dostać herbatę z kawałkiem *nan*, posłuchać Hasana śpiewającego stare hazarskie pieśni.

Znowu trąbienie.

Wróciłem do land cruisera zaparkowanego przy chodniku. Farid siedział za kierownicą i palił papierosa.

– Muszę zobaczyć coś jeszcze – powiedziałem.

– Tylko się pospiesz.

– Daj mi dziesięć minut.

– No to idź. – Gdy się odwracałem, dorzucił: – Zapomnij o wszystkim. Będzie ci łatwiej.

– Co łatwiej?

– Żyć. – Wyrzucił niedopałek przez okno. – Nie dość już zobaczyłeś? Żeby oszczędzić ci fatygi, od razu powiem, że z tego, co pamiętasz, nie przetrwało nic. Najlepiej zapomnij.

– Już nie chcę zapomnieć – odparłem. – Daj mi dziesięć minut.

*

Nawet nie występował nam pot na czoła, gdy wspinaliśmy się z Hasanem na wzgórze sąsiadujące od północy z posiadłością mego ojca. Po dotarciu na szczyt goniliśmy się albo siadaliśmy na spadzistym grzbiecie, skąd roztaczał się widok na lotnisko w oddali. Obserwowaliśmy lądujące i startujące samoloty. A potem znowu się goniliśmy.

Gdy teraz wchodziłem na szczyt stromego wzgórza, przy każdym nierównym oddechu miałem wrażenie, jakbym wciągał do płuc rozżarzone powietrze. Pot spływał mi strużkami po twarzy. Stanąłem na wierzchołku, oddychając chrapliwie i czując kłucie w boku. Po chwili zacząłem szukać opuszczonego cmentarza. Nie trwało to długo. Znalazłem i cmentarz, i stare drzewo granatu.

Oparłem się o szare kamienie przy wejściu na cmentarz, gdzie Hasan pochował swoją matkę. Starej żelaznej bramy ledwo wiszącej na zawiasach już nie było. Kamienie nagrobne niemal całkowicie ginęły w gęstwinie zielska. Dwie wrony siedziały na niskim murze cmentarza.

Hasan napisał w liście, że drzewo granatu od lat nie rodziło owoców. Patrząc na zmarniałe, bezlistne gałęzie, powątpiewałem, czy kiedykolwiek jeszcze zaowocuje. Stałem pod nim i wspominałem, ileż to razy wspinaliśmy się i siadaliśmy okrakiem na gałęziach, majtając nogami, a słońce przezierało przez liście, rzucało mozaikę jasnych i ciemnych cętek na nasze twarze. Cierpki smak granatu rozszedł mi się w ustach.

Przyklęknąłem i zacząłem wodzić rękami po pniu. Po chwili znalazłem to, czego szukałem. Wyżłobienia były niewyraźne, prawie nieczytelne, ale nie zniknęły. AMIR I HASAN, SUŁTANOWIE KABULU. Obrysowałem palcem kontur każdej litery. Wydłubałem drobiny kory ze szczelin.

Usiadłem ze skrzyżowanymi nogami pod drzewem i spojrzałem w kierunku południowym, na miasto mojego dzieciństwa. Wówczas czubki drzew wystawały ponad mur otaczający każdy dom. Błękitne niebo rozciągało się szeroko. Powieszone na sznurkach pranie lśniło w słońcu. Jeśli wytężyło się słuch, można było wychwycić głos sprzedawcy owoców, który szedł ze swoim osłem przez Wazir Akbar Chan. „Wiśnie! Morele! Winogrona!” – wołał. Pod wieczór słyszało się *azan*, wezwanie muezina na modlitwę, płynące z meczetu w Szahr-e Nau.

Rozległo się trąbienie i zobaczyłem machającego do mnie Farida. Trzeba było już iść.

*

Pojechaliśmy z powrotem na południe, w kierunku placu Pasztunistańskiego. Minęliśmy jeszcze kilka czerwonych pick-upów z brodatymi młodymi mężczyznami, którzy trzymali w rękach broń i siedzieli stłoczeni w szoferkach. Na ich widok Farid klął pod nosem.

Wynająłem pokój w małym hotelu przy placu Pasztunistańskim. Za ladą stał drobny mężczyzna w okularach, którego trzymały się kurczowo trzy małe dziewczynki w czarnych sukienkach z białymi chustami. Zażądał ode mnie siedemdziesięciu pięciu dolarów, co było sumą nie do pomyślenia za pokój w tak zapuszczonym budynku, ale nie protestowałem. Wykorzystywanie ludzi, żeby nakarmić własne dzieci i żeby postawić dom przy plaży na Hawajach, to dwie różne rzeczy.

W pokoju brakowało bieżącej ciepłej wody, pęknięty klozet się nie spłukiwał. Było tam jedno łóżko: żelazna prycza ze zniszczonym materacem i postrzępionym kocem, do tego drewniane krzesło w kącie. Szyba w oknie wychodzącym na plac była rozbita. Gdy stawiałem walizkę na podłodze, zauważyłem zaschniętą krew na ścianie za łóżkiem.

Dałem Faridowi pieniądze, żeby kupił coś do jedzenia. Przyniósł cztery skwierczące kebaby na szpikulcach, świeży *nan* i miskę białego ryżu. Usiedliśmy na łóżku i pochłonęliśmy wszystko w okamgnieniu. Choć jedno się w Kabulu nie zmieniło: kebab był soczysty i smakowity jak za moich czasów.

Tego wieczoru zająłem łóżko, a Farid leżał na podłodze owinięty dodatkowym kocem, za który musiałem zapłacić ekstra. W pokoju nie było światła; jedynie promienie księżyca wpadające przez rozbite okno rozpraszały mrok. Farid dowiedział się od właściciela hotelu, że w Kabulu nie ma od dwóch dni prądu, a hotelowy generator się zepsuł. Przez jakiś czas rozmawialiśmy. Farid opowiedział mi o swoim dzieciństwie i młodości w Mazar-i Szarif i w Dżalalabadzie. O tym, jak razem z ojcem przystąpili do dżihadu i walczyli przeciwko *Szourawi* w dolinie Pandższiru; pewnego razu znaleźli się w tarapatach, sami, bez żywności, musieli jeść szarańcze, żeby utrzymać się przy życiu. O śmierci swego ojca podczas ostrzału z helikoptera i o śmierci dwóch córek na skutek wybuchu miny. Wypytywał mnie o Amerykę. Powiedziałem, że w amerykańskim sklepie spożywczym jest piętnaście albo dwadzieścia rodzajów płatków zbożowych do wyboru. Jagnięcinę zawsze sprzedają świeżą, a mleko – zimne. Mają pod dostatkiem owoców i czystą wodę. W każdym domu jest telewizor z pilotem i można mieć antenę satelitarną, która pozwala odbierać ponad pięćset kanałów.

– Pięćset? – zdumiał się Farid.

– Tak, pięćset.

Przez chwilę milczeliśmy. Już myślałem, że zasnął, gdy zaśmiał się do siebie.

– Słyszałeś, *agha*, co zrobił mułła Nasruddin, gdy pewnego razu jego córka przyszła do domu i zaczęła się uskarżać, że mąż ją zbił?

Byłem pewny, że uśmiecha się w ciemności, i sam też się uśmiechnąłem. Jak świat długi i szeroki nie ma Afgańczyka, który nie znałby choć kilku dowcipów o niewydarzonym mulle.

– Co zrobił mułła?

– Też ją zbił, a potem odesłał z powrotem do męża, żeby mu powiedziała, że mułła nie jest głupcem: skoro drań zbił jego córkę, to mułła w odwecie zbije mu żonę.

Roześmiałem się. Po części z dowcipu, po części z tego, że afgańskie poczucie humoru w ogóle się nie zmienia. Toczono wojny, wynaleziono Internet, robot jeździł po Marsie, a w Afganistanie nadal opowiadaliśmy dowcipy o mulle Nasruddinie.

– Słyszałeś, jak któregoś razu mułła Nasruddin zarzucił sobie na plecy ciężki wór i wsiadł na osła?

– Nie.

– Jakiś przechodzień zapytał, dlaczego nie załaduje worka na osła. A Nasruddin odpowiedział: „To byłoby okrucieństwem. Wystarczy, że ten biedak dźwiga mnie”.

Na zmianę opowiadaliśmy dowcipy o mulle Nasruddinie. A kiedy się wyczerpały, znowu umilkliśmy.

– Amir *agha* – odezwał się Farid, gdy już zapadałem w sen.

– Słucham.

– Po co tu przyjechałeś? Tak naprawdę.

– Mówiłem ci.

– Po chłopca?

– Tak, po chłopca.

Farid poruszył się na podłodze.

– Trudno w to uwierzyć.

– I mnie czasem trudno uwierzyć, że tu jestem.

– Nie o to… Dlaczego akurat po tego chłopca? Przyjeżdżasz z tak daleka po… jakiegoś szyitę?

Gdy usłyszałem to pytanie, prysnął nastrój rozbawienia. I sen.

– Jestem zmęczony – powiedziałem. – Prześpijmy się.

Chwilę później chrapanie Farida rozchodziło się po pustym pokoju. Nie mogłem zasnąć, leżałem z rękami skrzyżowanymi na piersi, patrząc przez rozbite okno na gwiaździste niebo, i myślałem, że być może to, co ludzie mówią o Afganistanie, jest prawdą. Może ten kraj rzeczywiście nie rokuje nadziei.

*

Stadion Ghazi napełniał się podekscytowanymi widzami, gdy przedostaliśmy się przez wejściowe tunele. Tysiące ludzi kłębiły się na betonowych trybunach z miejscami stojącymi. Dzieci bawiły się w przejściach i biegały w górę i w dół po schodach. W powietrzu niosła się woń ciecierzycy z pikantnym sosem, przemieszana z zapachem gnoju i potu. Mijaliśmy handlarzy ulicznych sprzedających papierosy, orzeszki piniowe i herbatniki.

Cherlawy chłopak w tweedowej kurtce chwycił mnie za łokieć i szeptem zapytał prosto do ucha, czy chcę kupić „seksowne obrazki”.

– Bardzo seksowne, *agha* – powiedział, strzelając oczami na boki, czym przypominał mi dziewczynę, która cztery lata wcześniej chciała sprzedać mi crack w biednej dzielnicy Tenderloin w San Francisco.

Chłopak odchylił na ułamek sekundy połę kurtki i przed oczami mignęły mi jego seksowne obrazki: pocztówki ze scenami z hinduskich filmów, przedstawiające ponętne aktorki o sarnich oczach, ubrane od stóp do głów, w ramionach odtwórców głównych ról.

– Bardzo seksowne – powtórzył.

– Nie, dziękuję – odparłem, przepychając się do przodu.

– Jeśli wpadnie w ich łapy, tak go wychłoszczą, że jego ojciec obudzi się w grobie – mruknął Farid.

Miejsca były oczywiście nienumerowane. Nikt nie zaprowadził nas grzecznie do naszego sektora, przejścia, rzędu i krzesła. Nigdy tak nie było, nawet dawniej, za czasów monarchii. Dzięki Faridowi, który musiał mocno rozpychać się łokciami, znaleźliśmy przyzwoite miejsca siedzące, na lewo od środka pola.

Przypomniałem sobie zieloną trawę na boisku w latach siedemdziesiątych, gdy *baba* zabierał mnie tu na mecze piłkarskie. Teraz boisko wyglądało fatalnie: wszędzie wyrwy i leje, zwłaszcza za bramką od południowej strony widać było dwa głębokie doły. Trawy ani śladu, po prostu bita ziemia. Gdy zawodnicy wyszli wreszcie na boisko – wszyscy w długich spodniach, mimo upału – i zaczął się mecz, trudno było śledzić piłkę w tumanach kurzu wzbijanych przez obie drużyny. Młodzi talibowie z pejczami w rękach chodzili po trybunach, uderzając każdego, kto za głośno kibicował.

Wprowadzono ich zaraz po odgwizdaniu przerwy. Dwa brudne czerwone pick-upy – takie same widziałem wcześniej w mieście – wjechały przez bramy na stadion. Tłum podniósł się z miejsc. W szoferce jednego samochodu siedziała kobieta okryta zieloną burką, w drugim był mężczyzna z opaską na oczach. Pick-upy zrobiły rundę po bieżni, powoli, jakby widzowie mieli im się dobrze przyjrzeć. Zamierzony efekt został

osiągnięty. Ludzie wyciągali szyje, wskazywali sobie nawzajem bieżnię, wspinali się na palce. Spojrzałem w bok na Farida – grdyka poruszała mu się w górę i w dół, gdy mamrotał pod nosem słowa modlitwy.

Pick-upy wjechały na boisko i wzbijając bliźniacze tumany kurzu, w których połyskiwały lśniące w słońcu kołpaki, skierowały się na jego kraniec. Tam dołączył do nich trzeci pick-up, który coś wiózł. Nagle dotarło do mnie, czemu mają służyć te dwa doły za bramką. Rozładowano trzeci samochód. Rozległ się pomruk zniecierpliwionego tłumu.

– Chcesz zostać? – zapytał poważnym tonem Farid.

– Nie chcę. – Jeszcze nigdy tak mocno nie pragnąłem przenieść się w jakieś odległe miejsce. – Ale musimy zostać.

Dwaj talibowie z przewieszonymi przez ramię kałasznikowami wyprowadzili z samochodu mężczyznę z opaską na oczach, a dwaj inni pomogli wysiąść kobiecie okrytej burką. Pod kobietą ugięły się kolana i upadła. Żołnierze podnieśli ją, ale znowu osunęła się na ziemię. Gdy chcieli postawić ją na nogi, zaczęła krzyczeć i kopać. Nigdy, przenigdy nie zapomnę tego krzyku. Przypominał ryk dzikiego zwierzęcia, które usiłuje wydobyć tkwiącą w potrzasku łapę. Podeszło jeszcze dwóch talibów i w czwórkę zepchnęli kobietę do dołu, którego brzeg znajdował się na wysokości jej piersi. Natomiast mężczyzna z opaską na oczach nie protestował, gdy spuszczano go do drugiego dołu. Z dołów wystawały tylko torsy obojga oskarżonych.

Opodal bramki stanął pucołowaty mułła z białą brodą, odziany w szarą szatę. Odchrząknął do trzymanego w ręku mikrofonu. Kobieta stojąca w dole za jego plecami nadal krzyczała. Gdy zaczął recytować długą modlitwę z Koranu nosowym, falującym głosem, tłum ucichł w jednej chwili. Przypomniały mi się słowa ojca wypowiedziane przez laty: „Sikaj na brody tych przemądrzałych małp. Nic nie robią, tylko przesuwają

koraliki różańców i recytują księgę napisaną językiem, którego nawet nie rozumieją. Niech Bóg ma nas w opiece, gdyby Afganistan wpadł w ich łapy”.

Po odmówieniu modlitwy mułła znów odchrząknął.

– Bracia i siostry! – zawołał w języku dari. Jego tubalny głos niósł się po stadionie. – Zebraliśmy się tu dzisiaj, żeby stało się zadość zasadom szariatu. Zebraliśmy się tu dzisiaj, żeby stało się zadość sprawiedliwości. Zebraliśmy się tu dzisiaj, ponieważ wola Allaha i słowo proroka Mahometa, pokój jego duszy, są wciąż żywe w naszym ukochanym kraju. Słuchamy Boga z całkowitym posłuszeństwem, albowiem wobec Jego wielkości jesteśmy małymi, bezsilnymi istotami. Co mówi nam Bóg? Pytam was! CO MÓWI NAM BÓG? Bóg mówi, że każdy grzesznik musi ponieść karę stosownie do swego występku. To nie są moje słowa, to nie są słowa moich braci. Tak powiada BÓG!

Wyciągnął wolną rękę do nieba. Czułem pulsowanie w skroniach. Było mi gorąco.

– Każdy grzesznik musi ponieść karę stosownie do swego występku – powtórzył trochę ciszej, wymawiając słowa powoli, w teatralny sposób. – A jaka kara, bracia i siostry, należy się cudzołożnikom? Jak powinniśmy ukarać tych, co bezczeszczą świętość związku małżeńskiego? Jak powinniśmy potraktować tych, co plują Bogu w twarz? Jak powinniśmy odpowiedzieć tym, co rzucają kamieniami w okna domu bożego? POWINNIŚMY W NICH RZUCIĆ KAMIENIAMI!

Wyłączył mikrofon. Głuchy pomruk przeszedł po trybunach.

– I oni uważają się za muzułmanów – szepnął Farid, kręcąc głową.

Z pick-upa wysiadł postawny, barczysty mężczyzna. Na jego widok znaczna część widowni zaczęła głośno wiwatować. Teraz nikt nie uciszył ludzi uderzeniami pejczy. Jego biały strój lśnił w popołudniowym słońcu.

Skraj luźnej koszuli poruszał się na wietrze. Mężczyzna rozłożył ręce jak Chrystus na krzyżu. Pozdrowił zebranych, zataczając powoli pełne koło. Gdy obrócił się w stronę naszego sektora, zobaczyłem, że ma ciemne, okrągłe okulary przeciwsłoneczne, jakie nosił John Lennon.

– To na pewno jego szukamy – powiedział Farid.

Wysoki talib w czarnych okularach podszedł do stosu kamieni, które zwalono z trzeciego samochodu. Podniósł kamień i pokazał go tłumowi. Wrzawa ucichła, tylko szmer przebiegł przez tłum. Spojrzałem dokoła i zobaczyłem, że wszyscy psykają. Talib wyglądał absurdalnie, jak stojący na pagórku miotacz w drużynie baseballowej. Zamachnął się i rzucił kamieniem w zepchniętego do dołu mężczyznę z opaską na oczach. Trafił go w skroń. Kobieta znowu zawyła. Tłum wydał pełne zaskoczenia „och!”. Zamknąłem oczy i zasłoniłem twarz rękami. Ochy widzów powtarzały się w tym samym rytmie co uderzenia kamieniami. Trwało to jakiś czas. Gdy zapadła cisza, zapytałem Farida, czy jest już po wszystkim. Zaprzeczył. Domyśliłem się, że ludzie zdarli sobie gardła. Nie wiem, jak długo siedziałem z twarzą w dłoniach. Wiem natomiast, że gdy otworzyłem oczy, otaczający mnie ludzie pytali: „*Mord? Mord?”*. Nie żyje? Nie żyje?

Zmasakrowane ciało było zalane krwią, pokryte podartymi szmatami. Głowa opadła w przód, broda dotykała piersi. Podrzucając w ręku kamień, talib w lennonkach spoglądał na człowieka, który siedział w kucki nad dołem, mając w uszach słuchawki lekarskie i przykładając lejek do piersi mężczyzny. Po chwili ów człowiek wyjął słuchawki i popatrzył na taliba w okularach, kręcąc przecząco głową. Tłum jęknął.

John Lennon znów wszedł na pagórek.

Gdy było po wszystkim, zakrwawione ciała wrzucono nonszalancko na platformy pick-upów. Kilku mężczyzn chwyciło za łopaty i zaczęło pospiesznie zasypywać doły. Jeden z nich starał się od niechcenia przykryć

plamy krwi ziemią. Parę minut później drużyny weszły na boisko i rozpoczęła się druga połowa meczu.

Spotkanie wyznaczono nam na trzecią tego samego popołudnia. Zdziwiłem się, że tak szybko. Sądziłem, że każą nam czekać, a przynajmniej zaczną nas wypytywać, sprawdzać dokumenty. Okazało się jednak, że w Afganistanie oficjalne sprawy nadal załatwiano nieoficjalnie. Wystarczyło, że Farid podszedł do najbliższego taliba z pejczem i powiedział, iż chcemy prywatnie porozmawiać z mężczyzną ubranym na biało. Zamienili kilka zdań. Ten z pejczem kiwnął głową i krzyknął coś w języku paszto do młodzieńca na boisku. Tamten natychmiast podbiegł do bramki na południowym krańcu, gdzie talib w okularach gawędził z korpulentnym mułłą, który wygłosił kazanie. Przez chwilę rozmawiali w trójkę. Zauważyłem, że mężczyzna w okularach podniósł wzrok. Potem kiwnął głową. Powiedział coś posłańcowi na ucho. Młodzieniec przekazał nam wiadomość.

Załatwione. Godzina trzecia.

22

Farid wolno zajechał przed duży dom w dzielnicy Wazir Akbar Chan. Zaparkował w cieniu wierzb, które przewieszały się przez mur otaczający posiadłość przy ulicy Piętnastej, Sarak-e Mehmana, ulicy Gości. Zgasił silnik i przez minutę siedzieliśmy w samochodzie, słuchając podzwaniania stygnącego silnika i nie odzywając się słowem. Potem Farid zaczął wiercić się na siedzeniu i bawić kluczykiem wciąż wetkniętym w stacyjkę. Widać było, że zbiera się, by coś mi powiedzieć.

– Chyba poczekam w samochodzie – odezwał się w końcu. Nie spojrzał na mnie, ale w jego głosie zabrzmiał przepraszający ton. – Teraz do ciebie należy… Ja…

Poklepałem go po ramieniu.

– Już zrobiłeś więcej, niż się umówiliśmy za twoje wynagrodzenie. Nie oczekuję, że pójdziesz ze mną.

Ale nie chciałem również iść w pojedynkę. Bez względu na to, czego dowiedziałem się o ojcu, pragnąłem mieć go teraz przy sobie. *Baba* wpadłby do domu głównym wejściem i zażądał widzenia z osobą najstarszą rangą, sikałby na brodę tego, kto stanąłby mu na drodze. Ale *baba* od dawna nie żył, leżał w afgańskiej części cmentarza w Hayward. Zaledwie w zeszłym miesiącu na jego grobie położyliśmy z Sorają bukiecik stokrotek i frezji. Teraz byłem sam.

Wysiadłem z samochodu i podszedłem do wysokiej drewnianej bramy. Przycisnąłem dzwonek, ale nie rozległo się brzęczenie – wciąż nie było prądu – musiałem kilkakrotnie uderzyć pięścią. Wkrótce doleciały mnie szorstkie głosy z drugiej strony i dwóch mężczyzn z kałasznikowami uchyliło skrzydło.

Zerknąłem na Farida siedzącego w samochodzie i powiedziałem bezgłośnie: „Wrócę”, choć wcale nie byłem tego taki pewny.

Uzbrojeni mężczyźni zrewidowali mnie od stóp do głów, obmacali nogi i krocze. Jeden z nich powiedział coś w języku paszto i zachichotali. Przeszliśmy przez bramę. Strażnicy poprowadzili mnie przez wypielęgnowany trawnik, obok grządki z pelargoniami i niskich krzaków rosnących pod murem. Na drugim krańcu ogrodu znajdowała się studnia ze starą pompą. Przypomniało mi się, że w posiadłości wujka Homajuna w Dżalalabadzie była taka sama studnia – razem z bliźniaczkami, Fazilą i Karimą, słuchaliśmy plusku wrzucanych do niej kamyków.

Po kilku schodkach weszliśmy do dużego, skąpo umeblowanego domu. Znaleźliśmy się w holu z dużą flagą Afganistanu na ścianie. Stąd zaprowadzono mnie na górę do pokoju z dwiema identycznymi jasnozielonymi kanapami i stojącym w przeciwległym rogu telewizorem z wielkim ekranem. Na ścianie wisiał przybity gwoździami dywanik modlitewny przedstawiający nieco wydłużone budowle Mekki. Starszy z eskortujących mnie mężczyzn wskazał lufą karabinu kanapę. Usiadłem. Strażnicy wyszli.

Skrzyżowałem nogi. Rozprostowałem. Położyłem spocone ręce na kolanach. Czy sprawiałem wrażenie zdenerwowanego? Splotłem dłonie, po chwili uznałem, że tak jest jeszcze gorzej, i po prostu założyłem ręce na piersi. Krew pulsowała mi w skroniach. Byłem zdany tylko na siebie. Myśli kłębiły mi się w głowie, ale nie chciałem o niczym myśleć, gdyż trzeźwa

część mego umysłu podpowiadała mi, że to, w co się wdałem, jest czystym szaleństwem. Znalazłem się tysiące mil od żony, siedziałem w pokoju, czując się jak aresztant, i czekałem na człowieka, który przed kilkoma godzinami zamordował dwoje ludzi na moich oczach. To naprawdę było szaleństwo. Co gorsza, brak odpowiedzialności. Istniała realna możliwość, że Soraja zostanie *biwa*, wdową, w wieku trzydziestu sześciu lat. Słyszałem, jak coś we mnie mówi: to do ciebie nie pasuje, Amirze. Jesteś tchórzliwy. Taką masz naturę. Właściwie nie jest źle, bo trzeba zapisać ci na plus, że jeśli o to chodzi, nigdy się nie oszukiwałeś. Jeśli o to chodzi. W tchórzostwie nie ma nic złego, jeżeli towarzyszy mu rozwaga. Ale gdy tchórz zapomina, kim jest… niech Bóg ma go w opiece.

Przy kanapie stał niski stolik na metalowych nóżkach w kształcie litery x, wokół przecięcia znajdował się pierścień nabijany mosiężnymi kulkami wielkości orzecha włoskiego. Widziałem już kiedyś taki stolik. Gdzie to było? Przypomniało mi się: w zatłoczonej herbaciarni w Peszawarze, po rozmowie z Rahimem Chanem i wędrówce po mieście. Przede mną stała miska z ciemnoczerwonymi winogronami. Zjadłem jeden owoc. Musiałem zająć się czymś, czymkolwiek, żeby uciszyć głos rozbrzmiewający mi w głowie. Winogrono było słodkie. Zjadłem jeszcze jedno, nieświadomy, że przez długi czas nie będę miał w ustach pokarmu stałego.

Drzwi się otworzyły. Weszli ci sami uzbrojeni strażnicy, a między nimi wysoki, barczysty talib w bieli, nadal w ciemnych lennonkach, podobny do uduchowionego guru New Age.

Talib usiadł naprzeciwko mnie i oparł ręce na podłokietnikach. Przez długi czas milczał. Po prostu siedział, obserwował mnie, palcami jednej ręki stukał w tapicerkę, a drugą przesuwał turkusowe paciorki różańca. Teraz miał na sobie czarną kamizelkę włożoną na białą koszulę i złoty

zegarek. Zauważyłem, że lewy rękaw jest poplamiony krwią. Poczułem jakąś niezdrową fascynację na myśl, że nie przebrał się po egzekucji.

Wolna ręka unosiła się co pewien czas i grube palce jakby muskały coś w powietrzu powolnymi, posuwistymi ruchami, w górę i w dół, na lewo i na prawo, jak gdyby gładziły niewidoczne zwierzę domowe. Rękaw koszuli zsunął się i dostrzegłem ślady na przedramieniu – takie same widziałem u bezdomnych w obskurnych zaułkach San Francisco.

Miał znacznie jaśniejszą skórę niż towarzyszący mu strażnicy, niemal ziemistą. Kropelki potu lśniły mu na czole, tuż pod czarnym turbanem. Broda, sięgająca do piersi jak u tamtych, też była jaśniejsza.

– *Salam alajkum* – odezwał się.

– *Salam.*

– Możesz się już tego pozbyć – powiedział.

– Słucham?

Machnięciem dłonią dał znak jednemu z uzbrojonych mężczyzn. Trach! Zapiekły mnie policzki. Rozbawiony strażnik podrzucał sztuczną brodę. Talib uśmiechnął się szeroko.

– Dawno nie widziałem równie udanej imitacji. Nie sądzisz, że tak jest dużo lepiej? – Zakręcił młynka palcami, następnie pstryknął, zaczął otwierać i zaciskać dłoń. – A więc, *enszallah*, jak ci się podobało dzisiejsze przedstawienie?

– To było przedstawienie? – rzekłem, pocierając policzki i łudząc się nadzieją, że mój głos nie drży z przerażenia.

– Publiczne wymierzanie sprawiedliwości to bezkonkurencyjny spektakl, mój bracie. Jest w nim dramat, napięcie. Oraz, co najważniejsze, walory dydaktyczne *en masse*. – Pstryknął palcami. Młodszy ze strażników zapalił mu papierosa. Talib się zaśmiał. Mruknął coś pod nosem. Ręce tak mu drżały, że niemal upuścił papierosa. – Ale żeby zobaczyć prawdziwy

spektakl, trzeba było być ze mną w Mazar w sierpniu dziewięćdziesiątego ósmego.

– Słucham?

– Zostawiliśmy ich psom.

Zrozumiałem, o czym mówi.

Wstał, okrążył kanapę raz i drugi, ponownie usiadł.

– Chodziliśmy od drzwi do drzwi. Wyciągaliśmy mężczyzn i chłopców – mówił szybko. – Strzelaliśmy do nich przed domami, na oczach krewnych. Żeby widzieli. Żeby pamiętali, kim są i gdzie jest ich miejsce. – Ledwie łapał dech. – Czasem wyważaliśmy drzwi i wchodziliśmy do środka. Ja… ja stawałem na progu pokoju i zataczając łuk karabinem, strzelałem i strzelałem, aż kłąb dymu zasnuwał mi wzrok. – Pochylił się ku mnie, jakby zamierzał wyjawić wielki sekret. – Nie pojmiesz, co to znaczy „wyzwalające doświadczenie”, dopóki tego nie zrobisz, dopóki nie staniesz w pokoju pełnym celów i nie pozwolisz, żeby śmigały kule, bez poczucia winy i bez skrupułów, ze świadomością, że jesteś cnotliwy, dobry i przyzwoity. Ze świadomością, że wykonujesz boże dzieło. To przeżycie zapiera dech w piersiach. – Ucałował różaniec i przechylił na bok głowę. – Pamiętasz, Dżawid?

– Tak, *agha saheb* – potwierdził młodszy ze strażników. – Nie mógłbym zapomnieć.

Czytałem w gazetach o masakrze Hazarów w Mazar-i Szarif. Wydarzyło się to tuż po zajęciu Mazaru, który poddał się talibom jako jeden z ostatnich dużych miast. Pamiętałem, że Soraja pobladła i wręczyła mi gazetę przy śniadaniu.

– Od drzwi do drzwi. Z przerwami tylko na jedzenie i modlitwę – kontynuował talib. Mówił ciepłym tonem, jak o wspaniałym przyjęciu. – Zostawialiśmy ciała na ulicach. Gdy krewni próbowali wymknąć się na

dwór i wciągnąć zwłoki do domów, też dostawali kulkę. Zabici leżeli na dworze całymi dniami. Zostawiliśmy ich psom. Mięso psów dla psów.

Przez chwilę ugniatał papierosa, po czym trzęsącymi się rękami przetarł oczy.

– Przyjechałeś z Ameryki? – zapytał.

– Tak.

– Jak się miewa ta dziwka?

Nagle zachciało mi się oddać mocz. Modliłem się, żeby to minęło.

– Szukam chłopca.

– Jak wszyscy – odrzekł.

Uzbrojeni w kałasznikowy mężczyźni parsknęli śmiechem. Mieli zabarwione na zielono zęby od żucia *naswar.*

– Wiadomo mi, że tu jest. Ma na imię Sohrab.

– Powiedz mi jedno. Dlaczego zadajesz się z tą dziwką? Dlaczego nie jesteś tutaj, ze swoimi braćmi w wierze? Dlaczego nie służysz ojczyźnie?

– Długo przebywałem poza granicami.

Nic innego nie przyszło mi do głowy. Miałem rozpalone czoło. Złączyłem kolana, żeby zapanować nad pęcherzem. Talib zwrócił się do strażników stojących przy drzwiach.

– Czy to dobra odpowiedź?

– Nie, *agha saheb* – odrzekli chórem, uśmiechając się.

Przeniósł wzrok na mnie. Wzruszył ramionami.

– Ich zdaniem to nie jest dobra odpowiedź. – Zaciągnął się papierosem. – Niektórzy ludzie z mojego środowiska uważają, że ten, kto porzuca ojczyznę będącą w potrzebie, jest zdrajcą. Mógłbym kazać cię aresztować za zdradę, nawet zastrzelić. Trzęsiesz się ze strachu?

– Przyjechałem po chłopca.

– Trzęsiesz się ze strachu?

– Tak.

– I słusznie.

Oparł się plecami o kanapę. Znów ugniatał papierosa.

Pomyślałem o Sorai. Zacząłem się uspokajać, przypominając sobie jej znamię w kształcie sierpa, kształtną szyję, błyszczące oczy. Wspominałem, jak podczas wesela siedzieliśmy pod zieloną chustą i jedno spoglądało na odbicie drugiego w lustrze, jak oblała się rumieńcem, gdy wyszeptałem, że ją kocham. Wspominałem, jak we dwoje tańczyliśmy w koło do starej afgańskiej pieśni, wszyscy przyglądali się i klaskali w dłonie, a wokół nas zamazywał się świat: kwiaty, suknie, smokingi, uśmiechnięte twarze.

Dotarł do mnie głos taliba.

– Słucham?

– Pytałem, czy chcesz go zobaczyć. Czy chcesz zobaczyć mojego chłopczyka?

Górna warga wywinęła się szyderczo, gdy wymówił dwa ostatnie słowa.

– Tak.

Strażnik wyszedł z pokoju. Usłyszałem skrzypienie otwierających się drzwi i głos strażnika mówiącego coś surowo w paszto. Potem kroki i towarzyszące im dzwonienie. Przypomniał mi się człowiek z małpką, którego szukaliśmy z Hasanem w Szahr-e Nau i dawaliśmy mu rupię z naszego kieszonkowego, żeby małpka zatańczyła. Dzwonek u jej szyi wydawał taki sam dźwięk.

Drzwi otworzyły się i wszedł strażnik, niosąc na ramieniu radiomagnetofon stereo. Za nim pojawił się chłopiec ubrany w luźny szafirowoniebieski *peirahan-o-tomban.*

Podobieństwo było zaskakujące. Oszałamiające. Fotografia Rahima Chana dawała mylne pojęcie.

Chłopiec odziedziczył po ojcu okrągłą twarz, spiczastą brodę, uszy jak muszelki i drobną budowę ciała. To była twarz chińskiej lalki z mojego dzieciństwa, twarz za rozłożonymi wachlarzowato kartami w zimowe dni, twarz za moskitierą, gdy latem spaliśmy na dachu domu. Miał ogoloną głowę, oczy podkreślone tuszem, nienaturalne rumieńce na policzkach. Gdy zatrzymał się na środku pokoju, ucichły dzwoneczki na kostkach.

Jego oczy spoczęły na mnie. Przyglądał mi się chwilę. Potem odwrócił wzrok i spojrzał na swoje bose stopy.

Strażnik włączył radiomagnetofon i popłynęła pasztuńska muzyka – zabrzmiały tabla, fisharmonia i zawodząca *dilroba*. Zdałem sobie sprawę, że muzyka to nic grzesznego, o ile jest przeznaczona dla uszu talibów. Trzej mężczyźni zaczęli klaskać w dłonie.

– *Wah, wah! Maszallah!* – wołali.

Sohrab uniósł ręce i zaczął się wolno obracać. Stawał na palcach, wirował z wdziękiem, przykucał, prostował się i znowu wirował. Obracał małymi dłońmi w nadgarstkach, pstrykał palcami, głowa przechylała się na boki niczym wahadło. Gdy tupał w podłogę, dzwoneczki dźwięczały idealnie do rytmu tabli. Cały czas miał zamknięte oczy.

– *Maszallah!* – rozlegały się okrzyki. – *Szahbas!* Brawo!

Strażnicy gwizdali i śmiali się głośno. Ubrany na biało talib kiwał głową w takt muzyki. Jego rozchylone usta wykrzywiły się w pożądliwym uśmiechu.

Nie otwierając oczu, Sohrab tańczył w koło, aż umilkła muzyka. Dzwoneczki zabrzmiały na finał wraz z przytupem i ostatnią nutą pieśni, po czym chłopiec znieruchomiał w półobrocie.

– *Bija, bija*, mój chłopczyku – powiedział talib, każąc mu podejść.

Sohrab stanął z opuszczoną głową między jego nogami. Talib wziął go w objęcia i przycisnął do siebie.

– Utalentowany chłopiec z tego mojego małego Hazary, prawda?

Pogładził go po plecach w dół i w górę, wziął pod pachy. Jeden ze strażników szturchnął drugiego łokciem i zarechotał. Talib kazał im zostawić nas samych.

– Tak jest, *agha saheb* – odrzekli, wychodząc z pokoju.

Talib odwrócił chłopca twarzą do mnie. Splótł ręce na jego brzuchu i oparł brodę na ramieniu. Sohrab patrzył pod nogi, co rusz obrzucając mnie nieśmiałym, ukradkowym spojrzeniem. Ręka taliba przesuwała się po brzuchu dziecka. W górę i w dół, wolno, delikatnie.

– Ciekaw jestem – odezwał się, spoglądając na mnie przekrwionymi oczami przez ramię chłopca – co się stało ze starym *babalu.*

To pytanie spadło na mnie jak cios między oczy. Czułem, że krew odpływa mi z twarzy. Nogi ziębną, drętwieją.

Roześmiał się.

– A co? Myślałeś, że nie poznam cię, jeżeli przykleisz sobie sztuczną brodę? Założę się, że tego o mnie nie wiedziałeś: nie zapominam twarzy, nigdy. – Musnął ustami ucho Sohraba, nie odrywając ode mnie wzroku. – Słyszałem o śmierci twojego ojca. – Cmoknął. – Zawsze chciałem się z nim zmierzyć. Wygląda na to, że będę musiał się zadowolić mięczakiem, którego spłodził.

Zdjął okulary przeciwsłoneczne i spojrzał mi w oczy.

Bezskutecznie próbowałem zaczerpnąć powietrza. Bezskutecznie próbowałem mrugnąć. Sytuacja była surrealistyczna; nie, nie surrealistyczna – absurdalna. Zabrakło mi tchu, świat stanął w miejscu. Piekła mnie twarz. Przypomniało mi się stare powiedzenie: złe nie zginie. Tak było z moją przeszłością – ciągle powracała. Jego imię wypłynęło

z głębi umysłu, ale nie chciałem go wypowiedzieć, jakby na sam dźwięk miał się zmaterializować. Ale przecież on już tu był, we własnej osobie, siedział przede mną, po tylu latach. Wyleciało mi z ust:

– Asef.

– Amir *dżan.*

– Co tu robisz? – zapytałem, wiedząc, jak idiotycznie to zabrzmi, ale nic innego nie potrafiłem wymyślić.

– Ja? – Uniósł brwi. – Ja jestem w swoim żywiole. Istotniejsze jest to, co ty tu robisz.

– Już ci mówiłem.

Drżał mi głos. Żałowałem, że nie panuję nad swoim głosem, że kulę się w sobie.

– Z powodu tego chłopca?

– Tak.

– Dlaczego?

– Zapłacę za niego. Każę przesłać pieniądze telegraficznie.

– Pieniądze? – Zachichotał. – Słyszałeś kiedyś o Rockingham? Rajskie miejsce w Australii Zachodniej. Powinieneś zobaczyć: bezkresne plaże, szmaragdowa woda, błękitne niebo. Moi rodzice tam mieszkają, w willi nad morzem. Za domem jest pole golfowe i małe jezioro. Ojciec codziennie gra w golfa, mama woli tenis. Zdaniem ojca ma zabójczy backhand. Są właścicielami afgańskiej restauracji, prowadzą dwa sklepy jubilerskie. I jedno, i drugie przynosi ładny dochód. – Wziął winogrono z misy i z czułością włożył Sohrabowi do buzi. – Tak więc jeśli będę w potrzebie, to ich poproszę o przesłanie mi pieniędzy telegraficznie. – Pocałował chłopca w szyję. Ten wzdrygnął się lekko i znów zamknął oczy. – Nie dla pieniędzy walczyłem z *Szourawi.* I nie dla pieniędzy przyłączyłem się do talibów. Chcesz wiedzieć, dlaczego to zrobiłem?

Wyschły mi usta. Chciałem je oblizać, ale język też miałem suchy.

– Napijesz się czegoś? – zapytał Asef, uśmiechając się złośliwie.

– Nie.

– Mam wrażenie, że jesteś spragniony.

– Nie jestem.

W istocie czułem, że nagle zrobiło się w pokoju bardzo gorąco. Zlałem się potem, od którego zaczęła swędzieć mnie skóra. Czy to dzieje się naprawdę? Czy rzeczywiście siedzę naprzeciwko Asefa?

– Jak wolisz – mruknął. – O czym to ja mówiłem? Aha, jak doszło do tego, że przyłączyłem się do talibów. Pewnie pamiętasz, że nie byłem szczególnie religijny. Ale któregoś dnia doznałem objawienia. To się wydarzyło w więzieniu. Chcesz się dowiedzieć?

Nie odezwałem się.

– Świetnie. No to ci opowiem – oznajmił. – Tuż po dojściu do władzy Babraka Karmala w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym roku trafiłem do więzienia w Pul-e Czarchi. Pewnego wieczoru grupa żołnierzy należących do Parczami weszła do naszego domu. Wyprowadzili ojca i mnie, trzymając nas na muszce. Dranie nie podali powodu, zignorowali pytania mojej matki. Nie było to takie zaskakujące. Każdy wiedział, że komuniści nie mają klasy, wywodzą się z biedoty, z rodzin o nic niemówiących nazwiskach. Te psy, przed wejściem *Szourawi* niegodne lizać moich butów, teraz wydawały mi polecenia pod groźbą karabinu. Wszyscy nosili flagi Parczami w klapach, wypowiadali się od niechcenia na temat upadku burżuazji i zachowywali się tak, jakby to oni mieli klasę. Widziało się to wszędzie: robili obławy na bogaczy, po czym wsadzali ich do więzień, dając dobry przykład towarzyszom. No więc wpakowali nas po sześciu do cel wielkości lodówki. Komendant więzienia, pół Hazara, pół Uzbek, cuchnął jak rozkładający się osioł, co wieczór kazał wyciągać z celi jednego więźnia i bił go tak długo,

aż pot spływał mu strugami po nalanej twarzy. Potem zapalał papierosa, strzelał palcami i wychodził. Następnego wieczoru wybierał kogoś innego. W końcu padło na mnie. Pora nie mogła być gorsza, bo od trzech dni sikałem krwią. Kamienie w nerkach. Jeśli nigdy ich nie miałeś, uwierz mi na słowo: ból jest straszliwy. Matka też chorowała na kamicę. Powiedziała mi kiedyś, że wolałaby urodzić dziecko niż kamień. Czy mogłem cokolwiek zrobić? Zabrali mnie z celi i zaczęli kopać. Wieczorem wkładali wysokie do kolan buty ze stalowymi noskami, specjalnie na tę zabawę. Kopali mnie, krzyczałem bez opamiętania, a oni nie przestawali, aż w pewnej chwili jeden z nich walnął mnie w lewą nerkę i kamień wyszedł. Ot tak! Jakaż to była ulga! – Asef się zaśmiał. – Zawołałem: *„Allahu Akbar!”*. Tamten kopnął mnie jeszcze mocniej i zacząłem się śmiać. To go rozwścieczyło. Kopał mnie z całej siły, a ja śmiałem się do rozpuku. Gdy wrzucili mnie do celi, wciąż się śmiałem. Nie mogłem przestać, bo uprzytomniłem sobie, że to był znak od Boga: Bóg stał po mojej stronie. Z jakiegoś powodu chciał, żebym przeżył. Wyobraź sobie, że parę lat później zetknąłem się z tym komendantem na polu bitwy opodal Mejmana. Bóg działa w sposób dla nas niepojęty! Znalazłem go w okopie. Dostał odłamkiem w pierś i lała się z niego krew. Wciąż nosił te buty. Zapytałem, czy mnie pamięta. Zaprzeczył. Powiedziałem mu to samo co przed chwilą tobie, że nie zapominam twarzy, po czym kopnąłem go w jaja. Od tamtej pory wypełniam misję.

– Jaką misję? – usłyszałem swój głos. – Kamienowanie cudzołożników? Gwałcenie dzieci? Chłostanie kobiet, które noszą pantofle na wysokich obcasach? Wyrzynanie Hazarów? Wszystko w imię islamu?

Te słowa wyrwały się z moich ust nagle i niespodziewanie, nie zdążyłem się pohamować. Żałowałem, że nie mogę ich cofnąć, wymazać.

Ale stało się. Przekroczyłem granicę. Wraz z tymi słowami opuściły mnie resztki nadziei, że wyjdę stąd żywy.

Po twarzy Asefa przemknęło zdumienie.

– A jednak może się to potoczyć całkiem przyjemnie. – Zarechotał. – Ale pewnych rzeczy wy, zdrajcy, nie zrozumiecie.

– Na przykład jakich?

Asefowi drgnęła brew.

– Takich jak duma z własnego narodu, zwyczajów, języka. Afganistan jest pięknym pałacem, tyle że zaśmieconym, i ktoś musi tu posprzątać.

– I to robiliście w Mazar, chodząc od drzwi do drzwi? Sprzątaliście?

– Właśnie.

– Na Zachodzie nazywa się to czystkami etnicznymi.

– Naprawdę? – Rozpromienił się. – Czystki etniczne. Podoba mi się. Ładnie brzmi.

– Chcę tylko zabrać tego chłopca.

– Czystki etniczne – mruknął Asef, delektując się tym wyrażeniem.

– Chcę zabrać chłopca – powtórzyłem.

Sohrab obrzucił mnie spojrzeniem. Miał oczy prowadzonego na rzeź jagnięcia. Nawet były obwiedzione tuszem – przypomniało mi się, jak w Eid-e Ghorban mułła przychodził do naszego ogrodu za domem, malował jagnięciu oczy węglem i dawał mu kostkę cukru przed poderżnięciem gardła. Wydawało mi się, że w oczach Sohraba widzę błaganie.

– Dlaczego? – zapytał Asef.

Skubnął wargami koniuszek jego ucha. Puścił. Krople potu spływały mu po czole.

– To moja sprawa.

– Co z nim zrobisz? – Uśmiechając się skromnie, dodał: – A raczej, co jemu zrobisz?

– To odrażające – powiedziałem.

– Skąd wiesz? Próbowałeś?

– Chcę, żeby miał lepsze życie.

– Dlaczego?

– To moja sprawa.

Nie wiem, co dodało mi śmiałości, żeby przybrać taki szorstki ton – może myśl, że i tak umrę.

– Zadaję sobie pytanie, Amirze, dlaczego przebyłeś taką długą drogę dla jakiegoś Hazary? Po co? Tak naprawdę?

– Mam swoje powody.

– Niech będzie. – Uśmiechnął się szyderczo.

Szturchnął Sohraba w plecy tak mocno, że niemal wepchnął go na stolik. Chłopiec uderzył biodrami w krawędź, przewracając stolik i zrzucając winogrona. Upadł na nie twarzą ku podłodze i poplamił sobie koszulę na fioletowo. Nogi stolika, przechodzące przez pierścień z mosiężnymi kulkami, sterczały do góry.

– Weź go – powiedział Asef.

Pomogłem Sohrabowi wstać i strzepnąłem ze spodni zmiażdżone owoce podobne do pąkli na tkwiących w wodzie słupach pomostu.

– Zabieraj się z nim – rzekł Asef, wskazując drzwi.

Ująłem rękę Sohraba, małą rączkę o suchej, zgrubiałej skórze. Poruszył palcami, splótł je z moimi. Znów miałem przed oczami fotografię zrobioną polaroidem, na której obejmował Hasana rękami za nogę i opierał głowę o jego biodro. Obaj się uśmiechali. Gdy szliśmy przez pokój, podzwaniały dzwoneczki.

Znaleźliśmy się przy drzwiach.

– Oczywiście nie znaczy to – rozległ się za nami głos Asefa – że możesz go wziąć za darmo.

Odwróciłem się.

– Czego chcesz?

– Musisz na niego zasłużyć.

– Czego chcesz?

– My dwaj mamy do załatwienia pewną niedokończoną sprawę – rzekł Asef. – Chyba pamiętasz.

Tego mógł być pewny. Nigdy bym nie zapomniał tamtego dnia po obaleniu króla przez Dauda Chana. Przez całe dorosłe życie na dźwięk imienia tego człowieka pojawiał się przed moimi oczami Hasan, który celował z procy w twarz Asefa i mówił, że teraz będą musieli nazywać go Jednookim, a nie Uchożercą. Pamiętam, jak zazdrościłem Hasanowi odwagi. Asef wycofał się wtedy, obiecując, że i tak dopadnie nas obu. Udało mu się z Hasanem. Teraz przyszła kolej na mnie.

– Dobrze.

Cóż innego mógłbym powiedzieć? Nie zamierzałem błagać, bo sprawiłbym mu jeszcze większą przyjemność.

Asef wezwał strażników do pokoju.

– Słuchajcie. Za chwilę zamknę te drzwi. Mam z tym człowiekiem dawne porachunki – oznajmił. – Bez względu na to, co usłyszycie, nie wolno wam tu wejść. Jasne? Żebyście nie ważyli się wejść!

Żołnierze kiwnęli głowami. Spoglądali to na Asefa, to na mnie.

– Tak jest, *agha saheb.*

– Gdy będzie po wszystkim, tylko jeden z nas wyjdzie żywy z tego pokoju – mówił dalej. – Jeśli to on stanie w drzwiach, zasługuje na wolność

i macie go przepuścić. Zrozumiano?

Starszy żołnierz zaczął przestępować z nogi na nogę.

– Ale…

– Jeśli to on, przepuścić! – wrzasnął Asef.

Żołnierze się wzdrygnęli. Ponownie kiwnęli głowami i odwrócili się do wyjścia. Jeden z nich wyciągnął rękę, żeby wyprowadzić Sohraba.

– Niech zostanie – powiedział z szerokim uśmiechem Asef. – Popatrzy sobie. Takie lekcje przydają się chłopcom.

Strażnicy wyszli. Asef odłożył różaniec. Sięgnął do wewnętrznej kieszonki kamizelki. Ani trochę nie zdziwiłem się na widok tego, co z niej wyjął: stalowy kastet.

*

Ma włosy posmarowane żelem i wąsy à la Clark Gable nad grubymi wargami. Żel wsiąkł w czepek operacyjny z zielonego papieru i powstała ciemna plama w kształcie Afryki. Tak go zapamiętałem. I jeszcze ten złoty łańcuszek z wykaligrafowanym słowem „Allah” na ciemnej skórze szyi. Przygląda mi się z góry i mówi pospiesznie w niezrozumiałym dla mnie języku, chyba w urdu. Mój wzrok ciągle biegnie ku jego grdyce poruszającej się w górę i w dół. Chcę go zapytać, ile naprawdę ma lat – wygląda bardzo młodo, niczym aktor z jakiejś zagranicznej telenoweli – ale udaje mi się tylko wymamrotać: „Chyba dobrze z nim walczyłem. Chyba dobrze z nim walczyłem”.

*

Nie wiem, czy dobrze walczyłem z Asefem. Nie sądzę. Jak by to było możliwe? Przecież biłem się pierwszy raz. Nigdy w życiu nawet nie zadałem ciosu pięścią.

Moje wspomnienia walki z Asefem są fragmentaryczne, ale zdumiewająco żywe. Pamiętam, że puścił muzykę, zanim włożył stalowy kastet na dłoń. W pewnej chwili spadł ze ściany dywanik modlitewny, ten z wydłużonymi budowlami Mekki, i wylądował mi na głowie; wzbiło się tyle kurzu, że zacząłem kichać. Pamiętam, że Asef rzucał mi w twarz garście winogron, rozwścieczony odsłaniał lśniące od śliny zęby, przewracał nabiegłymi krwią oczami. W którymś momencie zsunął mu się turban, rozsypały się kręcone jasne włosy sięgające ramion.

No i oczywiście sam koniec. Nadal pozostaje w mojej pamięci z całą wyrazistością. I pozostanie na zawsze.

Przede wszystkim pamiętam to: kastet błyszczy w popołudniowym słońcu; zimny przy pierwszych uderzeniach, wkrótce nagrzany od mojej krwi. Po ciosie padam na ścianę; gwóźdź, na którym może wisiał obraz w ramach, wbija mi się w plecy. Krzyki Sohraba. Tabla, fisharmonia, *dilroba*. Znów padam na ścianę. Uderzenie kastetem roztrzaskuje mi szczękę. Dławię się własnymi zębami, połykam je, myślę, ileż to razy myłem je szczotką i czyściłem nitką. Padam na ścianę. Leżę na podłodze, krew z rozciętej górnej wargi plami fioletoworóżowy dywan, w brzuchu czuję rozdzierający ból i zastanawiam się, kiedy wróci oddech. Żebra trzaskają mi jak gałęzie, które łamaliśmy z Hasanem, żeby walczyć nimi na miecze na podobieństwo Sindbada w starych filmach. Krzyki Sohraba. Policzek trafia na kant szafki pod telewizor. Znów trzask łamanej kości, tym razem tuż pod lewym okiem. Muzyka. Krzyki Sohraba. Palce chwytają za włosy, szarpią do tyłu głowę, widzę błysk stali. Zaraz dostanę. Taki sam trzask łamanej kości – teraz nos. Zaciskam zęby z bólu, ale czuję, że nie pasują do siebie jak przedtem. Kopniak. Krzyki Sohraba.

Nie wiem, kiedy zacząłem się śmiać, ale tak było. Śmiech sprawiał ból, bolały mnie żebra, szczęka, gardło. Ale śmiałem się i śmiałem. Im bardziej

się śmiałem, tym mocniej kopał, bił, drapał.

– Z czego się śmiejesz?! – ryczał przy każdym uderzeniu.

Krople jego śliny wpadały mi do oczu. Sohrab krzyczał.

– Z czego się śmiejesz?! – zawył Asef.

Pękło następne żebro, tym razem dolne po lewej stronie. Śmiałem się z tego, że po raz pierwszy od tamtej zimy 1975 roku zaznałem spokoju. Śmiałem się, bo dotarło do mnie, że gdzieś w zakamarkach swego wnętrza czekałem na to. Przypomniałem sobie tamten dzień na wzgórzu, gdy rzucałem w Hasana owocami granatu, żeby go sprowokować. A on po prostu stał nieruchomo, czerwony sok wsiąkał w koszulę niczym krew. Potem podniósł owoc z ziemi i rozgniótł sobie na czole. „Jesteś zadowolony? – wychrypiał. – Lepiej ci?”. Wówczas nie odczuwałem zadowolenia i nie było mi lepiej, ani trochę. Ale teraz – tak. Byłem cały pokiereszowany – jak bardzo, dowiedziałem się później – ale uzdrowiony. Wreszcie uzdrowiony. Śmiałem się.

No i ten koniec. To wspomnienie zabiorę z sobą do grobu.

Leżałem na podłodze i nie przestawałem się śmiać. Asef siedział mi okrakiem na piersi. Twarz okolona zmierzwionymi włosami, które kołysały się tuż nade mną, stężała mu w grymasie szaleństwa. Wolną rękę zacisnął mi na gardle. Tę z kastetem uniósł nad ramię, szykując się do zadania kolejnego ciosu.

I wtedy rozległ się cichy głos:

– *Bas.*

Obaj spojrzeliśmy w tamtą stronę.

– Więcej nie, proszę.

Przypomniały mi się słowa kierownika sierocińca, gdy otworzył drzwi. Jak on się nazywał? Zaman? „Zawsze ma ją przy sobie, wetkniętą za pasek spodni. Gdziekolwiek jest”.

– Więcej nie.

Dwie identyczne smugi tuszu zmieszanego ze łzami spływały po umazanych różem policzkach. Dolna warga drżała. Gile wyciekały z nosa.

– *Bas* – wychrypiał.

W uniesionej nad ramię ręce trzymał miseczkę procy, naciągnąwszy maksymalnie gumę. W miseczce błyszczało coś żółtego. Krew spływała mi na oczy, więc mrugnąłem i zauważyłem, że za pocisk posłużyła mosiężna kulka z pierścienia u podstawy stolika. Sohrab celował prosto w twarz Asefa.

– Więcej nie, *agha*. Proszę – powiedział chrapliwym, drżącym głosem. – Nie bij go.

Usta Asefa poruszały się bezgłośnie. Zaczął coś mówić i przerwał. W końcu wykrztusił:

– Co to ma znaczyć?

– Nie bij go – powtórzył Sohrab.

Jego zielone oczy znów wypełniły się łzami ściekającymi razem z tuszem po policzkach.

– Odłóż to, Hazaro – syknął Asef. – Bo stłukę cię na miazgę, lepiej niż jego.

Sohrab zalał się łzami. Pokręcił głową.

– Proszę, *agha*. Przestań.

– Odłóż to.

– Już go nie bij.

– Odłóż to.

– Proszę.

– Odłóż to!

– *Bas*.

– Odłóż to!

Asef przestał trzymać mnie za szyję i rzucił się w kierunku Sohraba.

Rozległ się świst, gdy chłopiec puścił miseczkę. Asef zaczął krzyczeć. Przyłożył rękę w miejscu, gdzie przed chwilą było lewe oko. Między palcami ciekła mu krew. Krew i coś białego, galaretowatego. To się nazywa ciało szkliste, pomyślałem przytomnie. Gdzieś o tym czytałem. Ciało szkliste.

Asef upadł na dywan. Z wrzaskiem przewracał się z boku na bok, trzymając dłoń przy krwawiącym oczodole.

– Chodźmy – powiedział Sohrab.

Wziął mnie za rękę i pomógł wstać. Każdy skrawek mojego zmasakrowanego ciała wył z bólu. Z tyłu dochodził ryk Asefa:

– Wyjmij to! Wyjmij!

Chwiejąc się na nogach, otworzyłem drzwi. Strażnicy wybałuszyli oczy na mój widok. Zastanawiałem się przez chwilę, jak wyglądam. Przy każdym oddechu czułem okropny ból w brzuchu. Strażnik powiedział coś do kolegi w języku paszto, po czym obaj minęli nas pędem i wpadli do pokoju, gdzie Asef cały czas wrzeszczał:

– Wyjmij!

– *Bija* – powiedział Sohrab i pociągnął mnie za rękę. – Chodźmy.

Ledwie szedłem przez hol, trzymając małą dłoń Sohraba. Rzuciłem ostatnie spojrzenie przez ramię. Strażnicy pochylali się nad Asefem i coś robili przy jego twarzy. Wtedy uprzytomniłem sobie, że mosiężna kulka utkwiła w pustym oczodole.

Cały świat kołysał się i wirował. Kuśtykałem po schodach, wsparty na Sohrabie. Z góry dolatywał nieustający wrzask Asefa niczym ryk rannego zwierzęcia. Dotarliśmy do wyjścia. Na dworze było jeszcze widno. Stojąc

przed domem i trzymając rękę na ramieniu Sohraba, zobaczyłem pędzącego do nas Farida.

– *Bismillah! Bismillah!* – zawołał, patrząc na mnie szeroko otwartymi oczami.

Przerzucił sobie moją rękę przez ramię i podniósł mnie. Pobiegł ze mną do samochodu. Chyba zacząłem krzyczeć. Widziałem, jak jego sandały uderzają o chodnik, odbijają się od czarnych, zgrubiałych pięt. Każdy oddech sprawiał mi ból. Potem patrzyłem na sufit land cruisera, leżałem na tylnym siedzeniu pokrytym podartą beżową tapicerką, słyszałem piski sygnalizujące otwarte drzwi. Pospieszne kroki wokół samochodu, kilka słów wypowiedzianych szybko przez Farida i Sohraba. Drzwi trzasnęły i zapalił silnik. Gdy samochód szarpnął do przodu, poczułem na czole dotyk maleńkiej dłoni. Usłyszałem głosy na ulicy, jakieś krzyki. Zobaczyłem rozmazane kontury drzew za oknem. Sohrab szlochał. Farid wciąż powtarzał:

– *Bismillah! Bismillah!*

Chyba wtedy zemdlałem.

23

Twarze przebijają się przez mgłę, zatrzymują się, nikną. Widzę nad sobą oczy, słyszę pytania. Wszyscy zadają pytania. Jak się nazywam? Czy coś mnie boli? Wiem, jak się nazywam, i wszystko mnie boli. Chcę to powiedzieć, ale mówienie sprawia ból. Wiem o tym, bo jakiś czas temu, może rok, może dwa lata, może dziesięć, próbowałem rozmawiać z dzieckiem, które miało róż na policzkach i czarne kreski wokół oczu. Dziecko. Tak, teraz je widzę. Jesteśmy w jakimś samochodzie, to dziecko i ja, chyba nie Soraja prowadzi, bo ona nie jeździ tak szybko. Chcę coś powiedzieć temu dziecku – to dla mnie bardzo ważne. Ale nie pamiętam, co mam mu do powiedzenia ani dlaczego mi na tym zależy. Możliwe, że chcę powiedzieć, żeby nie płakało, że teraz wszystko będzie dobrze. Może coś innego. Z jakiegoś niewiadomego powodu chcę temu dziecku podziękować.

Twarze. Wszyscy noszą zielone czapki. Pojawiają się w polu widzenia i znikają. Mówią szybko, używają niezrozumiałych dla mnie słów. Słyszę jeszcze inne głosy, inne dźwięki, piski, dzwonki. I ciągle twarze, coraz więcej. Pochylają się. Wszystkie są nieznajome – prócz jednej: ma włosy posmarowane żelem i wąsy, jakie nosił Clark Gable, na czepku jest plama w kształcie Afryki. Gwiazdor z telenoweli. Śmieszne. Chce mi się śmiać, ale to też boli.

Tracę przytomność.

*

Mówi, że ma na imię Aisza, „jak żona proroka Mahometa”. Szpakowate włosy są uczesane w koński ogon, z przedziałkiem na środku głowy, w nosie jest ćwiek w kształcie słońca. Nosi okulary dwuogniskowe, przez co wygląda tak, jakby miała wyłupiaste oczy. Też jest ubrana na zielono. Ma delikatne ręce. Widzi, że patrzę na nią, i odpowiada uśmiechem. Mówi coś po angielsku. Raptem przeszywa mnie kłujący ból z boku w klatce piersiowej.

Tracę przytomność.

*

Przy moim łóżku stoi mężczyzna. Znam go. Jest chudy, ma ciemną skórę i długą brodę. Chodzi w czapce – jak nazywa się coś takiego? *Pakol?* Nosi ją na bakier jak ten sławny człowiek, którego nazwiska nie mogę sobie przypomnieć. Znam tego mężczyznę. Dokądś mnie wiózł kilka lat temu. Znam go. Coś jest nie w porządku z moimi ustami. Słyszę bulgotanie.

Tracę przytomność.

*

Piecze mnie prawe ramię. Kobieta w okularach dwuogniskowych i z przekłutym nosem pochyla się i podłącza przezroczystą plastikową rurkę do mojego ramienia. Mówi, że to „potas”. Dodaje: „Piecze, jakby ukąsiła pszczoła, prawda?”. Istotnie. Jak ona ma na imię? Jakoś tak, że kojarzy się z prorokiem Mahometem. Ją też znam od kilku lat. Kiedyś czesała się w koński ogon, teraz w kok. Soraja nosiła tak upięte włosy, gdy pierwszy raz z sobą rozmawialiśmy. Kiedy to było? Tydzień temu?

Aisza! No właśnie.

Coś jest nie w porządku z moimi ustami. I czuję kłujący ból w klatce piersiowej.

Tracę przytomność.

*

Jesteśmy w Górach Sulejmańskich w Beludżystanie. *Baba* mocuje się z czarnym niedźwiedziem. *Baba* z mojego dzieciństwa, *Tufan agha*, postawny i mocarny, okaz Pasztuna – nie ten słabowity mężczyzna o zapadniętych policzkach i oczach, przykryty kocami. Przewalają się na zielonej polanie, człowiek i zwierzę, rozwiewają się kędzierzawe brązowe włosy ojca. Ryczy niedźwiedź – a może *baba*. Pryskająca ślina i krew, rozczapierzone pazury i palce. Padają ciężko na ziemię i *baba* siada okrakiem na piersi zwierzęcia, wbijając mu palce w nozdrza. Podnosi na mnie wzrok i widzę, że on to ja. Ja mocuję się z niedźwiedziem.

Budzę się. Przy moim łóżku jest chudy mężczyzna o ciemnej skórze. Ma na imię Farid, teraz sobie przypominam. Razem z nim jest dziecko, które jechało samochodem. Jego twarz przywodzi mi na myśl dźwięk dzwonków. Chce mi się pić.

Tracę przytomność.

Ciągle tracę i odzyskuję przytomność.

*

Okazało się, że mężczyzna z wąsami, jakie nosił Clark Gable, to doktor Farughi. Wcale nie gwiazdor telenoweli, lecz chirurg głowy i szyi. W moich myślach zaś był Armandem z pikantnego serialu osadzonego na tropikalnej wyspie.

Dręczyło mnie pytanie: gdzie jestem? Ale nie mogłem otworzyć ust. Zmarszczyłem brwi. Chrząknąłem. Armand uśmiechnął się, odsłaniając

oślepiająco białe zęby.

– Nie teraz, Amirze. Ale już wkrótce. Gdy wyjmiemy druty – powiedział po angielsku z silnym akcentem i falującą intonacją właściwą językowi urdu.

Jakie druty?

Armand skrzyżował ręce na piersi. Miał owłosione przedramiona i złotą obrączkę.

– Na pewno zastanawiasz się, gdzie jesteś i co ci się stało. To całkowicie normalne. W okresie pooperacyjnym pacjent jest zdezorientowany. Zatem powiem ci, co wiem.

Chciałem go zapytać o te druty. Okres pooperacyjny? Gdzie jest Aisza? Pragnąłem zobaczyć jej uśmiech, poczuć dotyk delikatnej dłoni.

Armand przybrał poważną minę, lekko unosząc brew jak człowiek nieco zadufany w sobie.

– Jesteś w szpitalu w Peszawarze. Przebywasz tu od dwóch dni. Muszę ci powiedzieć, Amirze, że doznałeś bardzo poważnych obrażeń. Masz szczęście, że żyjesz, przyjacielu. – Gdy to powiedział, jego palec wskazujący poruszył się w lewo i w prawo jak wahadło. – Wystąpiło pęknięcie śledziony, prawdopodobnie opóźnione, Bogu niech będą dzięki, gdyż w jamie brzusznej pojawiły się wczesne objawy krwawienia. Moi koledzy z oddziału chirurgii ogólnej musieli usunąć ci śledzionę ze wskazań nagłych. Gdyby pękła wcześniej, wykrwawiłbyś się na śmierć. – Z uśmiechem poklepał mnie po ramieniu, do którego była podłączona kroplówka. – Poza tym masz złamanych siedem żeber. Jedno z nich spowodowało odmę opłucnową.

Zmarszczyłem brwi. Chciałem otworzyć usta, ale przypomniałem sobie o drutach.

– To znaczy przebicie płuca – wyjaśnił. Pociągnął za przezroczystą plastikową rurkę w lewym boku i znów poczułem kłujący ból w klatce piersiowej. – Zamknęliśmy otwór, wprowadzając tam ten dren.

Powiodłem wzrokiem po rurce prowadzącej od zabandażowanej klatki piersiowej do pojemnika wypełnionego do połowy wodą. Bulgotanie dochodziło stamtąd.

– Oprócz tego odniosłeś liczne urazy, to znaczy rany.

Chciałem mu powiedzieć, że znam to słowo, przecież jestem pisarzem. Już miałem otworzyć usta. Ponownie zapomniałem o drutach.

– Najgorzej wyglądała górna warga, od uderzenia przecięta na pół, na samym środku – mówił dalej Armand. – Ale nie ma powodu do zmartwień, chirurdzy plastyczni zeszyli ją i twierdzą, że efekt będzie doskonały, choć oczywiście pozostanie blizna. To nie do uniknięcia. Ponadto doszło do złamania ściany lewego oczodołu. To też zoperowaliśmy. Druty w szczęce zostaną usunięte za jakieś sześć tygodni. Do tego czasu same płyny i koktajle mleczne. Stracisz trochę na wadze i przez jakiś czas będziesz mówił jak Al Pacino w pierwszym *Ojcu chrzestnym.* – Roześmiał się. – A na dziś masz robotę. Wiesz, o co mi chodzi?

Pokręciłem głową.

– Masz oddać gazy. Gdy to zrobisz, damy ci pić. Bez pierdzenia nie ma jedzenia. – Znów się roześmiał.

Potem, gdy Aisza zmieniła kroplówkę i podniosła wezgłowie łóżka, tak jak poprosiłem, zacząłem myśleć o tym, co mi się stało. Pęknięta śledziona. Wybite zęby. Przebicie płuca. Złamanie kości oczodołu. Patrzyłem na gołębia jedzącego okruszki na parapecie okna i myślałem o jeszcze jednej rzeczy, którą powiedział Armand/doktor Farughi: „górna warga, od uderzenia przecięta na pół, na samym środku”. Na samym środku. Jak zajęcza warga.

*

Następnego dnia odwiedził mnie Farid z Sohrabem.

– Teraz już wiesz, kto do ciebie przyszedł? Poznajesz nas? – spytał półżartem.

Kiwnąłem głową.

– *Alhamdulellah!* – Rozpromienił się. – Wreszcie przestałeś gadać od rzeczy.

– Dziękuję, Farid – wybełkotałem, mając unieruchomione drutami szczęki.

Armand słusznie przewidział: mówiłem rzeczywiście jak Al Pacino w *Ojcu chrzestnym.* Byłem zaskoczony, ilekroć trafiłem językiem w dziurę po połkniętych zębach.

– Chcę ci podziękować. Za wszystko.

Farid machnął ręką, lekko zarumieniony.

– *Bas,* nie ma za co.

Zwróciłem wzrok w stronę Sohraba. Miał na sobie nowe ubranie: jasnobrązowy *peirahan-o-tomban,* chyba trochę za duży, i czarną myckę. Stał ze spuszczonymi oczami i obracał w palcach wijącą się po łóżku rurkę od kroplówki.

– Nie zostaliśmy sobie przedstawieni jak należy – powiedziałem, wyciągając do niego rękę. – Mam na imię Amir.

Spojrzał na moją dłoń, potem na mnie i zapytał:

– Jesteś Amir *agha*, o którym opowiadał mi tato?

– Tak. – Przypomniał mi się fragment listu Hasana. „Wiele opowiadałem o tobie Farzanie *dżan* i Sohrabowi, o tym, jak razem dorastaliśmy, bawiliśmy się i biegaliśmy po ulicach. Wybuchają śmiechem,

słysząc, jakie to urządzaliśmy figle!”. – Tobie też jestem winny podziękowanie, Sohrab *dżan.* Ocaliłeś mi życie.

Milczał. Nie uścisnął mi ręki, więc ją opuściłem.

– Podoba mi się twoje nowe ubranie – wybełkotałem.

– To mojego syna – wyjaśnił Farid. – Już z niego wyrósł, a na Sohrabie leży całkiem dobrze, uważam.

Powiedział, że chłopiec może z nimi mieszkać, dopóki czegoś mu nie znajdziemy.

– Ciasno u nas, ale co mam zrobić? Nie zostawię go na ulicy. Poza tym moje dzieci go polubiły. *Ha,* Sohrab?

Chłopiec cały czas patrzył w dół, bawiąc się rurką.

– Zamierzałem cię zapytać… – powiedział niepewnym głosem Farid. – Co zaszło w tamtym domu? Co się stało między tobą a tym talibem?

– Dość powiedzieć, że obaj dostaliśmy to, na co zasłużyliśmy.

Farid nie naciskał, tylko kiwnął głową. Uprzytomniłem sobie, że w którymś momencie między wyjazdem do Afganistanu a powrotem do Peszawaru zawiązała się nasza przyjaźń.

– Ja też zamierzałem cię o coś zapytać.

– O co?

Nie chciałem zadać tego pytania. Bałem się poznać odpowiedź.

– Rahim Chan – rzekłem.

– Odszedł.

Serce we mnie zamarło.

– Czy on…

– Nie, po prostu… odszedł. – Farid wręczył mi złożoną kartkę papieru i kluczyk. – Gdy udałem się do jego mieszkania, dał mi to właściciel domu. Powiedział, że Rahim Chan opuścił mieszkanie dzień po naszym wyjeździe.

– Dokąd się udał?

Farid wzruszył ramionami.

– Właściciel domu nie miał pojęcia. Powiedział, że Rahim Chan zostawił ci list i klucz, a potem się pożegnał. – Spojrzał na zegarek. – Muszę już iść. *Bija,* Sohrab.

– Mógłbyś go zabrać trochę później? – poprosiłem, po czym zwróciłem się do Sohraba: – Chcesz pobyć tu ze mną?

Wzruszył ramionami, nic nie mówiąc.

– Oczywiście – rzekł Farid. – Przyjdę po niego tuż przed wieczornym *namaz.*

*

Razem ze mną leżało na sali jeszcze trzech pacjentów. Dwóch starców – jeden miał nogę w gipsie, drugi świszczący oddech astmatyka – i piętnastoletni, może szesnastoletni chłopak po operacji usunięcia wyrostka robaczkowego. Ten z nogą w gipsie przyglądał się nam, nie mrugając oczami i przenosząc wzrok ze mnie na małego Hazarę, który siedział na stołku, i z powrotem na mnie. Krewni moich sąsiadów – stare kobiety w kolorowych *szalwar kamiz,* mężczyźni w myckach i dzieci – ciągle kręcili się między pokojem a korytarzem. Przynosili jedzenie. *Pakora, nan, samosa, birjani.* Czasem ludzie po prostu wchodzili do sali, jak pewien wysoki brodacz, który pojawił się tuż przed Faridem i Sohrabem. Był owinięty brązowym kocem. Aisza zadała mu pytanie w urdu. Zignorował ją i powiódł wzrokiem po sali. Miałem wrażenie, że mnie przyglądał się dłużej, niż to było konieczne. Gdy pielęgniarka znowu go zagadnęła, odwrócił się na pięcie i wyszedł.

– Co u ciebie słychać? – zapytałem Sohraba.

Wzruszył ramionami i spuścił wzrok, patrząc na swoje ręce.

– Jesteś głodny? Tamta pani poczęstowała mnie *birjani*, ale nie mogę tego jeść. – Nie wiedziałem, o co jeszcze go zapytać. – Chcesz spróbować?

Pokręcił głową.

– Chcesz porozmawiać?

Znów pokręcił głową.

Siedzieliśmy tak przez jakiś czas, nic nie mówiąc, ja oparty na dwóch poduszkach, Sohrab na trójnożnym stołku przy łóżku. W pewnej chwili zasnąłem, a gdy się przebudziłem, słońce zaczęło przygasać, cienie się wydłużyły, a Sohrab wciąż siedział przy mnie. Wciąż patrzył na swoje ręce.

*

Wieczorem, gdy Farid zabrał Sohraba, rozłożyłem list Rahima Chana. Dłużej już nie mogłem odkładać czytania. Rahim Chan napisał:

Amirze dżan!

Enszallah, szczęśliwie wróciłeś, skoro trzymasz w rękach ten list. Mam nadzieję, że nie naraziłem cię na niebezpieczeństwo i że Afganistan nie przyjął cię szorstko. Modlę się za ciebie od dnia twojego wyjazdu.

Słusznie przypuszczałeś przez te wszystkie lata, że wiedziałem. Istotnie wiedziałem. Hasan powiedział mi niedługo potem. Źle postąpiłeś, Amirze dżan, ale nie zapominaj, że byłeś wtedy chłopcem. Małym, strapionym chłopcem. Byłeś wobec siebie zbyt surowy i nadal taki jesteś – widziałem to w twoich oczach podczas naszego spotkania w Peszawarze. Chciałbym, żebyś wziął pod uwagę stwierdzenie, iż tylko człowiek pozbawiony sumienia i dobroci nie doświadcza bólu. Mam nadzieję, że ta podróż do Afganistanu położy kres twoim cierpieniom.

Amirze dżan, wstyd mi, że okłamywaliśmy cię przez te wszystkie lata. Twój wybuch gniewu wtedy w Peszawarze był uzasadniony. Miałeś prawo wiedzieć. Hasan również. Zdaję sobie sprawę, że nic nie może tego usprawiedliwić, ale nasze ówczesne życie w Kabulu było dziwne i pewne rzeczy liczyły się bardziej niż prawda.

Wiem, że ojciec traktował cię surowo w dzieciństwie i w młodości. Widziałem twoje cierpienie i tęsknotę za jego miłością – serce mi pękało. Ale twój ojciec był rozdarty wewnętrznie między tobą a Hasanem. Kochał was obu, lecz nie mógł kochać Hasana tak, jak tego pragnął – otwarcie, po ojcowsku. Więc wyładowywał się na tobie, Amirze, na ślubnym dziecku, społecznie uznanym, które utożsamiał z odziedziczonym przez siebie bogactwem i tym samym przywilejami pozwalającymi grzeszyć bezkarnie. Gdy patrzył na ciebie, widział siebie. I swoją winę. Jesteś nadal pełen gniewu i tak szybko nie zdołasz się z tym pogodzić – to jasne – ale z czasem może zrozumiesz, że gdy twój ojciec był surowy dla ciebie, to jednocześnie był surowy dla siebie samego. Podobnie jak ty, on też miał udręczoną duszę.

Nie potrafię opisać swego żalu i przygnębienia, gdy dowiedziałem się o jego odejściu. Kochałem go, ponieważ był moim przyjacielem, a także dobrym – może również wielkim – człowiekiem. Właśnie to chcę ci unaocznić: dobroć, ta prawdziwa, twego ojca zrodziła się z jego skruchy. Wydaje mi się niekiedy, że każdy jego czyn – karmienie ulicznych biedaków, zbudowanie sierocińca, wspomaganie finansowe przyjaciół w potrzebie – był sposobem odkupienia winy. Moim zdaniem prawdziwe odpokutowanie za grzechy objawia się tym, że poczucie winy prowadzi do dobrego.

Wiem, że w końcu Bóg wybaczy przewinienia. Twemu ojcu, mnie i także tobie. Mam nadzieję, że i ty to zrobisz. Wybacz swemu ojcu, jeśli potrafisz. Wybacz mnie, jeśli chcesz. I przede wszystkim wybacz sobie.

Zostawiam ci trochę pieniędzy, w istocie większość tego, co mi pozostało. Przypuszczam, że po powrocie do Peszawaru czekają cię wydatki i ta kwota je pokryje. Pieniądze są w skrytce bankowej. Farid wie, w którym banku. Z listem dostałeś kluczyk do skrytki.

Na mnie już pora. Mam niewiele czasu i chcę go spędzić w samotności. Nie szukaj mnie. To ostatnia prośba, jaką do ciebie kieruję.

Pozostawiam cię w rękach Boga.

Twój przyjaciel na zawsze

Rahim

Otarłem oczy rękawem szpitalnej koszuli. Złożyłem list i wetknąłem pod materac.

„…wyładowywał się na tobie, Amirze, na ślubnym dziecku, społecznie uznanym, które utożsamiał z odziedziczonym przez siebie bogactwem i tym samym przywilejami pozwalającymi grzeszyć bezkarnie”. Może dlatego stosunki między nami układały się znacznie lepiej w Stanach. Handlowaliśmy starzyzną za drobną gotówkę, wykonywaliśmy podrzędne prace, mieliśmy obskurne mieszkanie, będące amerykańskim odpowiednikiem chaty – być może gdy mieszkaliśmy w Ameryce, *baba* widział we mnie coś z Hasana.

„Podobnie jak ty, on też miał udręczoną duszę” – napisał Rahim Chan. Możliwe. Obaj dopuściliśmy się grzechu i zdrady. Ale *baba* znalazł sposób, by z poczucia winy powstało dobro. A co zrobiłem ja? Czyż nie

wyżywałem się na tych, których zdradziłem, a potem próbowałem o wszystkim zapomnieć? I doprowadziłem tylko do tego, że zacząłem cierpieć na bezsenność.

Czy kiedykolwiek próbowałem zadośćuczynić za krzywdy?

Gdy do sali weszła pielęgniarka – nie Aisza, lecz ruda kobieta, której imię wyleciało mi z pamięci – i spytała, czy chcę zastrzyk z morfiny, kiwnąłem głową.

*

Następnego ranka wyjęto mi rurkę z klatki piersiowej i Armand zezwolił na podawanie soku jabłkowego, który miałem popijać małymi łykami. Gdy Aisza postawiła kubek z sokiem na stoliku przy łóżku, poprosiłem o lusterko. Rozsunęła zasłony, wpuszczając do sali poranne słońce, i podniosła okulary na czoło.

– Proszę pamiętać – powiedziała przez ramię – że za parę dni twarz będzie wyglądała znacznie lepiej. W zeszłym roku mój urodziwy zięć miał wypadek na motorowerze. Przejechał twarzą po asfalcie i zrobił się fioletowy jak bakłażan. A teraz znów jest przystojny niczym gwiazdor Lollywoodu.

Mimo tych zapewnień, gdy zobaczyłem w lusterku coś, co miało być moją twarzą, na chwilę zaparło mi dech w piersiach. Wyglądała tak, jakby ktoś włożył mi pod skórę wężyk pompki i napompował tyle powietrza, ile się dało. Miałem podpuchnięte, zasinione oczy. Najgorsze były usta – groteskowa fioletowoczerwona bulwa pokiereszowana i pozszywana. Gdy spróbowałem się uśmiechnąć, poczułem przejmujący ból warg. Przez jakiś czas nie będę mógł sobie na to pozwolić. Kolejne szwy zobaczyłem na lewym policzku, tuż pod krawędzią brody i na czole blisko linii włosów.

Starzec z nogą w gipsie odezwał się do mnie w urdu. Wzruszyłem ramionami i pokręciłem głową. Wskazał na swoją twarz, poklepał się po policzku i uśmiechnął szeroko, odsłaniając bezzębne dziąsła.

– Wszystko dobrze – powiedział po angielsku. – *Enszallah.*

– Dziękuję – szepnąłem.

Akurat wtedy wszedł do sali Farid z Sohrabem. Odłożyłem lusterko. Sohrab usiadł na stołku i położył głowę na poręczy łóżka.

– Posłuchaj, musimy się stąd zabierać. Im szybciej, tym lepiej – rzekł Farid.

– Doktor Farughi uważa…

– Mam na myśli nie wyjście ze szpitala, lecz wyjazd z Peszawaru.

– Dlaczego?

– Bo długo nie będziesz tu bezpieczny. – Mówił dalej przyciszonym głosem: – Talibowie mają przyjaciół w mieście. Zaczną cię szukać.

– Zdaje się, że już zaczęli – wymamrotałem, przypomniawszy sobie brodatego mężczyznę, który wszedł do sali i stał, wpatrując się we mnie.

Farid się nachylił.

– Gdy tylko będziesz mógł chodzić, zabiorę cię do Islamabadu. Tam też nie będziesz całkowicie bezpieczny, w Pakistanie nigdzie nie jest bezpiecznie, ale bardziej tam niż tu. Przynajmniej zyskasz na czasie.

– Tobie też grozi niebezpieczeństwo, Farid *dżan.* Nie powinieneś pokazywać się ze mną. Masz pod opieką rodzinę.

Farid machnął ręką.

– Moi chłopcy są młodzi, ale to bystrzaki. Potrafią zaopiekować się matkami i siostrami. Poza tym – dodał z uśmiechem – nie powiedziałem, że zrobię to za darmo.

– Na to bym się nie zgodził. – Zapomniałem, że nie mogę się uśmiechać, i strużka krwi spłynęła po brodzie. – Chciałbym cię prosić o jeszcze jedną przysługę.

– Dla ciebie tysiąc razy – rzekł Farid.

Ni stąd, ni zowąd zacząłem płakać. Gwałtownie łapałem powietrze, łzy lały się po policzkach, piekły otwarte rany na ustach.

– Co ci jest? – zapytał z niepokojem Farid.

Zasłoniłem twarz ręką, uniosłem drugą. Wiedziałem, że wszyscy na sali wbili we mnie wzrok. Gdy się wypłakałem, poczułem zmęczenie i pustkę.

– Przepraszam – wykrztusiłem.

Sohrab patrzył na mnie, marszcząc brwi.

Odzyskałem spokój i powiedziałem Faridowi, o co chcę go poprosić.

– Rahim Chan mówił, że mieszkają tutaj, w Peszawarze.

– Może napisz mi, jak się nazywają – zaproponował Farid, patrząc na mnie uważnie, jakby się zastanawiał, co znów wywoła moją gwałtowną reakcję.

Na kawałku papierowego ręcznika napisałem: John i Betty Caldwell.

– Postaram się odszukać ich jak najszybciej – obiecał, chowając złożony karteluszek do kieszeni, po czym zwrócił się do Sohraba: – Przyjdę po ciebie wieczorem. Tylko nie męcz Amira *dżan.*

Chłopiec stanął jednak przy oknie i przyglądał się gołębiom, które przechadzały się tam i z powrotem po parapecie, dziobały drewno i kawałki starego chleba.

*

W środkowej szufladzie szafki przy łóżku znalazłem stary numer „National Geographic”, ogryzek ołówka, grzebień bez kilku zębów i to, czego szukałem z takim wysiłkiem, że pot spływał mi po twarzy – talię

kart. Przeliczyłem je wcześniej i, o dziwo, nie brakowało ani jednej. Spytałem Sohraba, czy chce zagrać. Nie oczekiwałem, że odpowie, a tym bardziej zagra. Od ucieczki z Kabulu milczał. Odwrócił się jednak od okna i powiedział:

– Umiem grać tylko w *pandżpar.*

– Muszę cię zmartwić, ale jestem mistrzem gry w *pandżpar,* słynnym na cały świat.

Usiadł na stołku przy łóżku. Dałem mu pięć kart.

– Gdy twój tato i ja byliśmy w twoim wieku, często graliśmy w tę grę. Zwłaszcza zimą, kiedy padał śnieg i nie wychodziło się na dwór. Graliśmy aż do zachodu słońca.

Wyłożył kartę i wziął jedną z kupki. Zerkałem na niego ukradkiem, gdy zastanawiał się, jak zagrać. Przypominał swego ojca pod wieloma względami: tak samo trzymał obiema rękami karty rozłożone w wachlarz, tak samo przyglądał się im zmrużonymi oczami, tak samo nie lubił patrzeć drugiemu człowiekowi prosto w twarz.

Graliśmy w milczeniu. Pierwszą partię wygrałem, drugą pozwoliłem mu wygrać, a następne pięć przegrałem w uczciwej grze.

– Grasz tak dobrze jak twój tato, może nawet lepiej – oświadczyłem po ostatniej porażce. – Czasem z nim wygrywałem, ale chyba tylko dlatego, że mi pozwalał wygrać. – Po chwili się odezwałem: – Twego tatę i mnie wykarmiła ta sama kobieta.

– Wiem.

– Co… co ci o nas opowiedział?

– Że byłeś najlepszym przyjacielem, jakiego miał w życiu.

Obracałem w palcach waleta karo raz w jedną stronę, raz w drugą.

– Niestety, nie byłem taki dobry. Ale chciałbym zostać twoim przyjacielem. Myślę, że miałbyś we mnie dobrego przyjaciela. Co ty na to?

Chciałbyś, żeby tak się stało?

Położyłem rękę na jego ramieniu, ostrożnie. Wzdrygnął się. Upuścił karty i odsunął się razem ze stołkiem. Znowu podszedł do okna. Słońce zachodziło nad Peszawarem, pokrywając niebo smugami czerwieni i fioletu. Z ulicy dolatywało trąbienie samochodów, porykiwanie osła, donośny dźwięk policyjnego gwizdka. Sohrab stał w tym szkarłatnym świetle, przyciskając czoło do szyby i chowając zwinięte w pięść dłonie pod pachami.

*

Tego wieczoru Aisza przysłała pielęgniarza, który pomógł mi zrobić pierwsze kroki. Obszedłem pokój tylko raz, jedną ręką trzymając się stojaka na kółkach, na którym wisiała kroplówka, a drugą ściskając przedramię pielęgniarza. Trwało to dziesięć minut. Wróciłem do łóżka zlany potem, czując rwący ból w ranie na brzuchu. Leżałem zdyszany, w uszach pulsowała mi krew i bardzo tęskniłem za żoną.

Następnego dnia niemal ciągle grałem z Sohrabem w *pandżpar,* jak przedtem bez słowa. Kolejnego dnia też. Właściwie nie rozmawialiśmy, tylko cały czas graliśmy w karty – ja siedziałem na łóżku oparty o poduszki, Sohrab na trójnożnym stołku – z przerwami na spacer po pokoju czy pójście do łazienki w korytarzu. W nocy przyśniło mi się, że Asef stoi w drzwiach sali szpitalnej, z mosiężną kulką nadal tkwiącą w oczodole, i mówi: „Niczym się nie różnimy, ty i ja. Was wykarmiła ta sama kobieta, ale to my jesteśmy bliźniakami”.

*

Z samego rana dzień później powiedziałem Armandowi, że opuszczam szpital.

– Jest za wcześnie na wypis – sprzeciwił się. Tego dnia miał na sobie nie fartuch lekarski, lecz granatowy garnitur zapięty na guziki i żółty krawat. Znowu posmarował włosy żelem. – Wciąż podajemy dożylnie antybiotyk i…

– To konieczne. Jestem wdzięczny za wszystko, co zrobił pan i cały personel. Ale muszę się wypisać.

– Dokąd się wybierasz? – zapytał Armand.

– Wolałbym nie mówić.

– Ledwie chodzisz.

– Przejdę na koniec korytarza i z powrotem. Dam sobie radę.

Plan był następujący. Opuścić szpital. Zabrać pieniądze ze skrytki bankowej i zapłacić rachunek za leczenie. Pojechać do sierocińca i zostawić Sohraba u Johna i Betty Caldwellów. Potem jechać do Islamabadu i zmienić rezerwację na samolot. Dać sobie kilka dni na nabranie sił. I lecieć do domu.

A przynajmniej zamierzałem tak zrobić, dopóki tego ranka nie przyszedł Farid z Sohrabem.

– Twoich znajomych, Caldwellów, nie ma w Peszawarze – oznajmił Farid.

Zanim przyszli, strawiłem dziesięć minut tylko na włożenie *peirahan-o-tomban*. Gdy unosiłem rękę, bolała mnie klatka piersiowa, w której była rana po drenie. Gdy pochylałem się, czułem rwący ból w brzuchu. Dyszałem z wysiłku, pakując kilka swoich rzeczy do brązowej papierowej torby. Ale byłem gotowy i siedziałem na krawędzi łóżka, gdy Farid przyniósł mi tę wiadomość. Sohrab usiadł obok mnie na łóżku.

– Dokąd wyjechali? – spytałem.

Farid pokręcił głową.

– Nie rozumiesz…

– Przecież Rahim Chan powiedział…

– Poszedłem dzisiaj do konsulatu amerykańskiego – wyjaśnił Farid, biorąc moją torbę. – W Peszawarze nigdy nie było Johna i Betty Caldwellów. Ci z konsulatu twierdzili, że takich ludzi nie ma. A przynajmniej nie ma ich w Peszawarze.

Siedzący obok mnie Sohrab kartkował stary numer „National Geographic”.

*

Zabraliśmy gotówkę z banku. Brzuchaty dyrektor z plamami potu pod pachami posyłał mi nieustannie uśmiechy i zaręczał, że nikt w banku nie tknął naszych pieniędzy.

– Nikt a nikt – rzekł z powagą, kiwając palcem wskazującym zupełnie jak Armand.

Jazda przez Peszawar z taką masą pieniędzy w papierowej torbie napawała strachem. Poza tym ilekroć zobaczyłem przyglądającego mi się brodacza, podejrzewałem, że to talibski morderca nasłany przez Asefa. Strach narastał we mnie z dwóch powodów: w Peszawarze jest wielu brodaczy, no i ludzie przyglądają się innym.

– Co z nim zrobimy? – zapytał Farid, wolnym krokiem idąc ze mną z kasy szpitala do samochodu.

Sohrab siedział na tylnym siedzeniu land cruisera i podpierając brodę dłońmi, obserwował ruch uliczny przez otwarte okno.

– Nie może zostać w Peszawarze – powiedziałem zasapany.

– Nie może, Amir *agha* – przytaknął. Wyczuł pytanie kryjące się w moich słowach. – Bardzo żałuję. Chciałbym, ale…

– Rozumiem, Farid. – Uśmiechnąłem się ze znużeniem. – Masz liczną rodzinę do wykarmienia.

Przy samochodzie stanął pies, przednimi łapami oparł się o drzwi i merdał ogonem. Sohrab głaskał go po łbie.

– W takim razie pojedzie do Islamabadu – powiedziałem.

*

Przespałem niemal całą czterogodzinną podróż do Islamabadu. Dużo mi się śniło, ale zapamiętałem jakieś strzępy, oderwane obrazy pojawiające się jeden po drugim niczym fiszki w obrotowej kartotece. *Baba* marynuje jagnięcinę na przyjęcie z okazji moich trzynastych urodzin. Pierwszy raz kocham się z Sorają, wschodzi słońce, w uszach wciąż rozbrzmiewa nam muzyka weselna, umalowane henną dłonie Sorai splatają się z moimi. *Baba* zabiera Hasana i mnie na plantację truskawek w Dżalalabadzie – właściciel powiedział, że możemy jeść do woli, jak długo będziemy chcieli, pod warunkiem że kupimy cztery kilogramy – potem bolą nas brzuchy. Krew Hasana kapiąca przez siedzenie spodni na śnieg – bardzo ciemna, niemal czarna. „Krew ma wielką siłę, *baczem”*. *Chala* Dżamila poklepuje Sorajȩ po kolanie i mówi: „Bóg wie najlepiej. Może nie było pisane, żebyście mieli dzieci”. Śpię na dachu domu taty. *Baba* twierdzi, że jedynym istotnym grzechem jest kradzież. „Gdy kłamiesz, kradniesz komuś prawo do prawdy”. Rahim Chan mówi mi przez telefon, że można znowu być dobrym. „Znowu być dobrym…”.

24

O ile Peszawar przypominał mi dawny Kabul, o tyle Islamabad nasuwał myśl, że tak mógłby wyglądać Kabul w przyszłości. Ulice były tu szersze i czystsze niż w Peszawarze, wysadzane hibiskusami i drzewami ognistymi. Bazary urządzono dużo lepiej; kupujący swobodniej poruszali się alejkami pośród riksz i przechodniów. Zabudowa wyglądała bardziej elegancko i nowocześnie. W parkach zauważyłem krzaki róż i jaśminów kwitnące w cieniu drzew.

Farid znalazł mały hotel w bocznej uliczce u podnóża Wzgórz Margalla. Po drodze minęliśmy słynny meczet króla Fajsala ze strzelistymi minaretami i ogromnymi betonowymi dźwigarami, uchodzący za największy na świecie. Sohrab ożywił się na jego widok, wystawił głowę przez okno i wpatrywał się, dopóki samochód nie skręcił za róg.

*

Pokój hotelowy wyglądał znacznie lepiej od tego w Kabulu – świeże prześcieradła, odkurzony dywan, nieskazitelnie czysta łazienka. Mieliśmy szampon, mydło, maszynki do golenia, wannę i ręczniki pachnące cytryną. Na ścianach nie było śladów krwi. I jeszcze jedno: naprzeciwko dwóch pojedynczych łóżek stał na komodzie telewizor.

– Popatrz! – zawołałem do Sohraba.

Włączyłem odbiornik ręcznie – nie miał pilota – i pokręciłem gałką. Znalazłem program dla dzieci, w którym dwie pluszowe owieczki śpiewały w urdu. Sohrab usiadł na łóżku i podciągnął kolana pod brodę. Obrazy odbijały się w jego zielonych oczach, gdy z kamienną twarzą patrzył w ekran, kołysząc się w przód i w tył. Przypomniało mi się, jak to kiedyś obiecałem Hasanowi, że gdy obaj dorośniemy, kupię jego rodzinie kolorowy telewizor.

– Będę się zbierał, Amir *agha* – powiedział Farid.

– Zostań na noc – zaproponowałem. – Masz przed sobą długą drogę. Wyjedziesz jutro rano.

– *Taszakkor.* Wolałbym ruszyć dzisiaj. Tęsknię za dziećmi.

Wychodząc z pokoju, zatrzymał się w drzwiach, mówiąc:

– Do widzenia, Sohrab *dżan.*

Odczekał chwilę, ale chłopiec zupełnie go zignorował. Cały czas kołysał się w przód i w tył. Na jego twarz padał srebrzysty blask migających na ekranie obrazów.

Po wyjściu na korytarz wręczyłem Faridowi kopertę. Rozerwał ją i otworzył usta.

– Nie wiedziałem, jak wyrazić swoją wdzięczność – odezwałem się. – Tak wiele dla mnie zrobiłeś.

– Ile tego jest? – zapytał lekko oszołomiony.

– Trochę ponad dwa tysiące dolarów.

– Dwa ty…

Zadrżała mu dolna warga. Potem, gdy odjeżdżał spod hotelu, zatrąbił dwukrotnie i pomachał ręką. Też mu pomachałem. Więcej go nie widziałem.

Gdy wróciłem do pokoju, Sohrab leżał skulony na pościeli. Miał zamknięte oczy, ale nie wiedziałem, czy śpi. Telewizor był wyłączony. Usiadłem na swoim łóżku, krzywiąc się z bólu i ocierając zimny pot z czoła. Zacząłem się zastanawiać, jak długo będę odczuwał ból przy wstawaniu, siadaniu, przewracaniu się z boku na bok na łóżku. Kiedy będę mógł jeść pokarmy stałe? Co mam zrobić z tym zranionym chłopczykiem skurczonym na sąsiednim posłaniu? W pewnej mierze znałem odpowiedź na to ostatnie pytanie.

Na komodzie stała karafka z wodą. Napełniłem szklankę i połknąłem dwie tabletki przeciwbólowe od Armanda. Woda była ciepła, miała gorzki posmak. Zasunąłem zasłony i powoli wyciągnąłem się na łóżku. Miałem wrażenie, że ból rozsadza mi klatkę piersiową. Po chwili nieco zelżał i znów mogłem oddychać. Nakrywszy się kocem, czekałem, aż zaczną działać tabletki.

*

Gdy się obudziłem, w pokoju było ciemno. Przez szparę między zasłonami majaczył fioletowy skrawek wieczornego nieba przechodzącego w nocne. Leżałem w mokrej od potu pościeli, głowa mi pękała. Znowu miałem sen, ale nie pamiętałem o czym.

Serce podeszło mi do gardła, gdy zobaczyłem puste łóżko Sohraba. Zawołałem go po imieniu. Zaskoczyło mnie brzmienie własnego głosu. Z trudem odzyskiwałem jasność myślenia, znajdując się w tym mrocznym pokoju hotelowym, tysiące mil od domu, połamany i obolały, wypowiadając imię chłopca poznanego zaledwie kilka dni wcześniej. Znów go zawołałem. Nie było odpowiedzi. Zwlokłem się z łóżka, zajrzałem do łazienki, wyszedłem na wąski korytarz. Sohrab zniknął.

Zamknąłem drzwi na klucz i jedną ręką trzymając się mocno poręczy w korytarzu, pokuśtykałem do holu, gdzie znajdowało się biuro kierownika hotelu. W kącie holu stała zakurzona sztuczna palma. Ściany były pokryte tapetą ze wzorem w lecące flamingi. Za ladą z laminowanym blatem siedział kierownik i czytał gazetę. Opisałem mu Sohraba i zapytałem, czy go widział. Odłożył gazetę, po czym zdjął okulary do czytania. Miał przetłuszczone włosy i równo przycięte, małe wąsy przyprószone siwizną. Roztaczał lekką woń owocu tropikalnego, ale nie potrafiłem jej zidentyfikować.

– Chłopcy lubią sobie pobiegać – westchnął. – Sam mam trójkę. Okrągły dzień tylko by ganiali ku utrapieniu swojej matki.

Powachlował się gazetą, nie odrywając wzroku od mojej szczęki.

– Nie sądzę, by tak się stało – odparłem. – Jesteśmy nietutejsi. Martwię się, że zabłądził.

Pokiwał głową na boki.

– Trzeba było mieć go na oku.

– Wiem. Ale zasnąłem i gdy się obudziłem, już go nie było.

– Chłopców należy pilnować, wie pan.

– Tak.

Puls bił mi coraz szybciej. Jak to możliwe, że ten człowiek nie zauważał mojego niepokoju? Kierownik przełożył gazetę do drugiej ręki i dalej się wachlował.

– Teraz zachciewa im się rowerów – burknął.

– Komu?

– Moim chłopakom. Ciągle mówią; „Tato, tato, kup nam rowery, to nie będziemy zawracać ci głowy. Prosimy, tato!”. – Prychnął. – Rowery. Ich matka by mnie zabiła, daję słowo.

Wyobraziłem sobie, że Sohrab leży w rowie. Albo w bagażniku czyjegoś samochodu, zakneblowany. Nie chciałem mieć i jego krwi na rękach. Tylko nie to.

– Proszę… – Zmrużyłem oczy i przeczytałem nazwisko na plakietce przyczepionej do bawełnianej koszuli z krótkimi rękawami. – Czy pan go widział, panie Fajjaz?

– Chłopca?

Zdołałem się pohamować.

– Tak, chłopca! Chłopca, który ze mną przyjechał. Na miłość Boga, widział go pan czy nie?

Znieruchomiał. Oczy mu się zwęziły.

– Nie tym tonem, przyjacielu. To nie mnie zginęło dziecko.

Choć słuszność była po jego stronie, krew i tak uderzyła mi do głowy.

– Rzeczywiście. Nie mam racji. Moja wina. No więc widział go pan?

– Przykro mi – rzekł krótko. Wsadził na nos okulary i gwałtownym ruchem otworzył gazetę. – Nie widziałem żadnego chłopca.

Przez minutę stałem przy ladzie, dusząc w sobie krzyk. Gdy wychodziłem z holu, kierownik zapytał:

– Nie domyśla się pan, dokąd mógł powędrować?

– Nie mam pojęcia.

Poczułem zmęczenie. Zmęczenie i strach.

– Może coś go interesuje? – pytał dalej. Zauważyłem, że złożył gazetę. – Moi chłopcy, na przykład, zrobią wszystko, żeby zobaczyć amerykański film sensacyjny, zwłaszcza z tym Arnoldem coś tam neggerem…

– Meczet! – zawołałem. – Ten wielki meczet! – Przypomniało mi się, jak na widok meczetu Sohrab otrząsnął się z otępienia i nie chcąc stracić go

z oczu, wystawił głowę przez okno samochodu.

– Meczet króla Fajsala?

– Tak. Może mnie pan tam zawieźć?

– A wiadomo panu, że to jest największy meczet na świecie?

– Nie, ale…

– Na samym dziedzińcu zmieści się czterdzieści tysięcy ludzi.

– Może mnie pan tam zawieźć?

– To zaledwie kilometr stąd – powiedział, wstając jednak zza lady.

– Zapłacę panu.

Z westchnieniem pokręcił głową.

– Niech pan zaczeka.

Zniknął w pokoju na zapleczu. Po chwili wrócił, mając na nosie inne okulary i kluczyk do samochodu w ręce. Za nim szła niska, pulchna kobieta w pomarańczowym sari. Gdy usiadła za ladą, minął mnie w pośpiechu, mówiąc:

– Nie chcę pieniędzy. Zawiozę pana, bo tak jak pan jestem ojcem.

*

Myślałem, że będziemy krążyć po mieście aż do nocy. Wyobraziłem sobie, że wzywam policję i pod pełnym wyrzutu spojrzeniem pana Fajjaza podaję rysopis chłopca. W uszach rozbrzmiewały mi formalne pytania funkcjonariusza, zadawane zmęczonym, obojętnym głosem, w którym wyczuwało się pytanie nieformalne: kto, u licha, przejmowałby się śmiercią kolejnego afgańskiego dzieciaka?

Ale znaleźliśmy Sohraba może sto jardów od meczetu – siedział na porośniętej trawą wysepce na zapełnionym w połowie parkingu. Pan Fajjaz dowiózł mnie do trawnika.

– Muszę wracać – powiedział.

– Rozumiem. Z powrotem pójdziemy pieszo – odrzekłem. – Bardzo panu dziękuję. Z całego serca.

Gdy wysiadłem, pochylił się ku mnie przez siedzenie pasażera.

– Mogę coś panu powiedzieć?

– Oczywiście.

Jego twarz tonęła w mroku. Widać było tylko szkła okularów, w których odbijało się gasnące światło.

– Chodzi o to, że wy, Afgańczycy, jesteście… trochę nierozważni.

Byłem zmęczony, obolały. Czułem rwący ból w szczęce. Z powodu tych przeklętych ran na piersi i na brzuchu miałem wrażenie, jakby pod skórą tkwił drut kolczasty. Mimo to parsknąłem śmiechem.

– Co… co ja takiego… – wyjąkał pan Fajjaz, ale ja już rechotałem na całe gardło, nie zważając na zadrutowaną szczękę. – Wariaci – mruknął.

Odjechał z piskiem opon. W gęstniejącym mroku zamigotały tylne światła.

*

– Porządnie mnie wystraszyłeś – powiedziałem wykrzywiony z bólu, gdy pochylałem się i siadałem koło niego.

Patrzył na meczet króla Fajsala. Budowla przypominała kształtem ogromny namiot. Samochody nieustannie podjeżdżały i odjeżdżały; ubrani na biało wierni wlewali się do środka i wylewali. Siedzieliśmy w milczeniu; ja oparty o drzewo, Sohrab obok mnie, z nogami przyciągniętymi do piersi. Słuchaliśmy wezwania do modlitwy, patrzyliśmy, jak u schyłku dnia zapaliły się setki światełek. Meczet lśnił w ciemności jak diament. Rozświetlał niebo, rozświetlał twarz Sohraba.

– Byłeś kiedyś w Mazar-i Szarif? – zapytał Sohrab, opierając brodę na kolanach.

– Dawno temu. Ledwie pamiętam.

– Tato zabrał mnie tam, gdy byłem mały. Mama i Sasa też pojechały. Tato kupił mi małpkę na bazarze. Nie żywą, tylko nadmuchiwaną. Brązową, z muszką na szyi.

– Chyba też miałem taką małpkę w dzieciństwie.

– Tato zaprowadził mnie do Niebieskiego Meczetu – mówił dalej Sohrab. – Pamiętam, że dokoła *masdżed* było mnóstwo gołębi. W ogóle nie bały się ludzi, podchodziły do nas bardzo blisko. Sasa dała mi trochę *nan*, żebym je nakarmił. Ptaki zaraz się do nas zleciały i zaczęły gruchać. To było fajne.

– Na pewno bardzo ci brakuje rodziców – odezwałem się.

Nie wiedziałem, czy talibowie wywlekli ich na ulicę na jego oczach. Miałem nadzieję, że nie był tego świadkiem.

– A tobie brakuje rodziców? – spytał, opierając policzek na kolanie i patrząc na mnie.

– Czy mi ich brak? Wiesz, nie znałem swojej mamy. Tato umarł kilka lat temu. Tak, brak mi go. Czasem nawet bardzo.

– Pamiętasz, jak wyglądał?

Przypomniałem sobie gruby kark ojca, czarne oczy, niesforne brązowe włosy. I to, że gdy siedziałem u niego na kolanach, miałem wrażenie, jakbym siedział na pniach drzew.

– Tak. Pamiętam również, jak pachniał.

– Powoli zapominam ich twarze – przyznał Sohrab. – Czy to źle?

– Nie. Z upływem czasu tak się dzieje.

Przyszło mi coś do głowy. Z przedniej kieszeni marynarki wyjąłem zdjęcie Hasana i Sohraba zrobione polaroidem.

– Proszę. – Podałem mu fotografię.

Przysunął ją niemal pod same oczy, obróciwszy w ten sposób, by padało na nią światło meczetu. Długo się przyglądał. Pomyślałem, że wybuchnie płaczem, ale tak się nie stało. Tylko trzymał ją obiema rękami i wodził kciukiem po papierze. Przypomniało mi się stwierdzenie, które gdzieś przeczytałem albo usłyszałem: „W Afganistanie jest dużo dzieci, ale dzieciństwo to rzadkość”. Wyciągnął rękę, chcąc oddać mi zdjęcie.

– To dla ciebie. Weź je.

– Dziękuję.

Znowu spojrzał na fotografię, po czym schował do kieszeni kamizelki. Na parking zajechał wóz zaprzężony w konia. Rozległ się stuk kopyt i przy każdym kroku słychać było brzęk dzwoneczków u szyi.

– Ostatnio często myślę o meczetach – powiedział Sohrab.

– Ach tak? Coś szczególnego?

– Nie. Tylko tak w ogóle – odparł, wzruszając ramionami.

Podniósł głowę i spojrzał mi prosto w oczy. Po jego twarzy spływały ciche łzy.

– Mogę o coś zapytać, Amir *agha?*

– Oczywiście.

– Czy Bóg… – wykrztusił z trudem. – Czy Bóg wyśle mnie do piekła za to, co zrobiłem tamtemu człowiekowi?

Wyciągnąłem rękę, żeby go objąć, ale się wzdrygnął. Powstrzymałem się.

– Nie, skądże.

Chciałem wziąć go w ramiona, przytulić, powiedzieć, że to on został zraniony. Twarz mu się wykrzywiła. Z trudem zachował panowanie nad sobą.

– Tato mówił, że nie wolno wyrządzać krzywdy nikomu, nawet złym ludziom. Bo nie wiedzą, co czynią. Bo nawet źli ludzie mogą czasem stać się dobrzy.

– Ale nie wszyscy, Sohrabie.

Obrzucił mnie pytającym spojrzeniem.

– Człowieka, który cię skrzywdził, znałem przed wieloma laty – mówiłem dalej. – Pewnie domyśliłeś się tego z naszej rozmowy. Któregoś razu, gdy byłem w twoim wieku, chciał mnie pobić, ale twój tato mnie uratował. Twój tato był bardzo dzielny i zawsze przychodził mi na ratunek, zawsze stawał w mojej obronie. Aż doszło do tego, że ten człowiek zamiast mnie wyrządził krzywdę twojemu tacie. Zrobił mu wielką krzywdę, a ja… nie potrafiłem bronić twojego taty tak, jak on bronił mnie.

– Dlaczego ludzie chcieli go skrzywdzić? – zapytał chrapliwie Sohrab. – Przecież on był dla wszystkich dobry.

– Masz rację. Był dobrym człowiekiem. I właśnie to próbuję ci wyjaśnić, Sohrabie *dżan.* Na świecie są źli ludzie i zdarza się, że tacy pozostają do końca. Czasem trzeba stawić im czoło. To, co ty zrobiłeś tamtemu człowiekowi, ja powinienem był zrobić przed wieloma laty. Zasłużył na to, może i na więcej.

– Myślisz, że sprawiłem tacie zawód?

– Na pewno nie. Ocaliłeś mi życie tam w Kabulu. Jestem przekonany, że z tego powodu tato jest z ciebie dumny.

Gdy otarł twarz rękawem koszuli, pękł pęcherzyk śliny na jego ustach. Schował twarz w dłoniach i długo płakał. W końcu wychrypiał:

– Tak mi brak taty. Mamy też. Chcę, żeby była przy mnie Sasa. Tęsknię za Rahimem Chanem. Ale czasami cieszę się, że… że już ich nie ma.

– Dlaczego? – zapytałem, dotykając jego ramienia.

Odsunął się.

– Bo… – wykrztusił zapłakany, z trudem łapiąc oddech. – Bo nie chcę, żeby mnie widzieli… żeby widzieli, jaki jestem nieczysty i pełen grzechu. – Wciągnął powietrze i wydał z siebie długi szloch. – Jestem nieczysty i pełen grzechu.

– To nieprawda, Sohrabie.

– Oni…

– Wcale nie jesteś nieczysty.

– …oni mi… tamten zły i jeszcze dwaj… oni robili… robili ze mną…

– Nie jesteś nieczysty ani pełen grzechu.

Znowu dotknąłem jego ramienia i znowu się odsunął. Spróbowałem jeszcze raz i delikatnie przyciągnąłem go do siebie.

– Nie zrobię ci krzywdy. Obiecuję – szepnąłem.

Wyczułem lekki opór, ale po chwili Sohrab się rozluźnił. Dał się przytulić, oparł głowę na mojej piersi. Drobna postać dygotała w moich ramionach, wstrząsana łkaniem.

Istnieje więź między ludźmi, których wykarmiła jedna kobieta. Czując, jak cierpienie tego chłopca przesiąka przez moją koszulę, zrozumiałem, że również między nami wytworzyła się więź. To, co zaszło w tamtym pokoju, połączyło nas nierozerwalnie.

Już od jakiegoś czasu czekałem, by w odpowiedniej chwili i w odpowiednich okolicznościach zadać pytanie, które zajmowało moje myśli i spędzało mi sen z powiek. Teraz poczułem, że ta chwila nadeszła, tu i teraz, gdy pada na nas jasne światło domu bożego.

– Chciałbyś zamieszkać ze mną i moją żoną w Ameryce?

Nie odpowiedział. Szlochał mi w koszulę. Pozwoliłem mu się wypłakać.

*

Przez tydzień żaden z nas nie nawiązał do mojego pytania, tak jakby w ogóle nie padło. Pewnego dnia pojechałem z Sohrabem taksówką na punkt widokowy na wzgórzu Daman-e Koh – co znaczy krawędź góry – w połowie drogi na Wzgórza Margalla. Widać stamtąd cały Islamabad: czyste, wysadzane drzewami aleje i białe domy. Kierowca powiedział nam, że można zobaczyć nawet pałac prezydencki. „Gdy spadnie deszcz i oczyści powietrze, rozciąga się widok aż po Rawalpindi” – dodał. Zobaczyłem w lusterku wstecznym, że nieustannie przeskakiwał wzrokiem z Sohraba na mnie. Zobaczyłem również własną twarz. Opuchlizna powoli schodziła, liczne siniaki zaczynały żółknąć.

Usiedliśmy na ławce w cieniu eukaliptusa, w jednym z wielu miejsc wyznaczonych do jedzenia posiłku. Było ciepło, słońce stało wysoko na niebieskim jak topaz niebie. Opodal ulokowały się całe rodziny; *samosa* i *pakora* leżały przed nimi na stołach. W powietrzu niosła się hinduska piosenka nadawana przez radio, chyba z jakiegoś starego filmu, może *Pakiza*. Roześmiane i rozkrzyczane dzieciaki, przeważnie w wieku Sohraba, ganiały za piłką. Przypomniałem sobie sierociniec w Karta Se i szczura, który przemknął między moimi nogami w biurze kierownika. Raptem serce ścisnął mi gniew na rodaków, którzy tak niszczą swój kraj.

– Co jest? – zapytał Sohrab.

– Nic takiego – powiedziałem, zmuszając się do uśmiechu.

Rozłożyliśmy na stole zabrany z hotelu ręcznik i zaczęliśmy grać w *pandżpar*. Byłem zadowolony, że tu jestem, razem z synem przyrodniego

brata, że gram z nim w karty i czuję na karku ciepłe promienie słońca. Piosenka skończyła się, następnej już nie znałem.

– Popatrz – odezwał się Sohrab.

Uniósł karty, wskazując niebo. Zobaczyłem jastrzębia krążącego po szerokim, gładkim niebie.

– Nie wiedziałem, że w Islamabadzie są jastrzębie – powiedziałem.

– Ja też. – Śledził wzrokiem lot ptaka. – Czy one żyją również tam, gdzie mieszkasz?

– W San Francisco? Chyba tak. Przyznam, że niezbyt często je widziałem.

– Aha.

Miałem nadzieję, że padną następne pytania, ale rozdał karty i poprosił o jedzenie. Otworzyłem papierową torbę i dałem mu kanapkę z klopsikami. Sam zaś miałem na lunch kolejny kubek soku z bananów i pomarańczy zmiksowanych w mikserze pożyczonym na tydzień od pani Fajjaz. Piłem przez słomkę, czując w ustach słodycz owoców. Trochę soku ulało się kącikiem ust. Sohrab podał mi serwetkę i patrzył, jak ocieram wargi, po czym odpowiedział uśmiechem na mój uśmiech.

– Twój tato i ja byliśmy braćmi – rzekłem bez namysłu.

Chciałem mu to wyjawić już tamtego wieczoru przy meczecie. Chłopiec miał prawo wiedzieć. Nie zamierzałem niczego przed nim ukrywać.

– Właściwie przyrodnimi braćmi. Mieliśmy tego samego ojca – dodałem.

Sohrab przestał jeść, odłożył kanapkę.

– Tato nigdy nie mówił, że ma brata.

– Bo nie miał pojęcia.

– Dlaczego?

– Nikt mu nie powiedział. Ani mnie. Niedawno poznałem prawdę.

Sohrab zamrugał powiekami. Tak jakby dopiero teraz skupił na mnie całą uwagę.

– Dlaczego ludzie ukrywali to przed wami?

– Też zadawałem sobie to pytanie. Jest tego wytłumaczenie, choć nie najlepsze. Nie powiedziano nam, ponieważ nie wypadało, żebyśmy byli braćmi.

– Bo on był Hazarą?

Siłą woli nie odwróciłem od niego wzroku.

– Tak.

– Czy wasz ojciec… – urwał, spoglądając na kanapkę – …tak samo kochał ciebie i tatę?

Wróciłem myślami do dnia spędzonego przed laty nad jeziorem Ghargha, kiedy *baba* pozwolił sobie klepnąć Hasana po plecach w nagrodę za to, że gdy puszczaliśmy kaczki, jego kamień dłużej odbijał się od powierzchni wody. Przypomniał mi się rozpromieniony *baba* na sali szpitalnej, gdy zdjęto Hasanowi opatrunki z ust.

– Sądzę, że kochał nas równie mocno, ale inaczej.

– Czy on się wstydził mojego taty?

– Nie. Myślę, że wstydził się za siebie.

Sohrab wziął kanapkę i pogryzał ją w milczeniu.

*

Wyjechaliśmy stamtąd późnym popołudniem, zmęczeni upałem, ale przyjemnie zmęczeni. Przez całą drogę powrotną czułem na sobie wzrok Sohraba. Kazałem kierowcy zatrzymać się przy sklepie z kartami telefonicznymi. Dałem mu pieniądze na kartę i napiwek za fatygę.

Tego wieczoru leżeliśmy z Sohrabem na łóżkach i oglądaliśmy talk-show w telewizji. Dwaj mułłowie z długimi siwymi brodami, w białych turbanach, przyjmowali telefony od wiernych z całego świata. Mieszkający w Finlandii rozmówca o imieniu Ajub pytał, czy jego nastoletni syn pójdzie do piekła za to, że nosi workowate spodnie z tak niskim stanem, iż spod paska wystaje gumka od majtek.

– Kiedyś widziałem zdjęcie San Francisco – odezwał się Sohrab.

– Ach tak?

– Był na nim czerwony most i budynek z ostro zakończonym dachem.

– Powinieneś zobaczyć ulice – powiedziałem.

– Dlaczego?

Patrzył wprost na mnie. Na ekranie telewizora dwaj mułłowie ustalali wspólne stanowisko.

– Są takie strome, że gdy się jedzie pod górę, widać tylko maskę samochodu i niebo – wyjaśniłem.

– Można się przestraszyć – zauważył, przewracając się na bok twarzą do mnie i plecami do telewizora.

– Tylko początkowo. Potem człowiek się przyzwyczaja.

– Pada tam śnieg?

– Nie, ale często jest mgła. Ten czerwony most ze zdjęcia, o którym mówiłeś…

– Aha.

– Zdarzają się poranki, gdy mgła gęstnieje tak, że wystają z niej tylko szczyty dwóch wież mostu.

– Och. – Uśmiechnął się zadziwiony.

– Sohrab.

– Słucham.

– Zastanawiałeś się nad pytaniem, które ci niedawno zadałem?

Uśmiech przygasł na jego twarzy. Sohrab przewrócił się na wznak i splótł ręce pod głową. Mułłowie rozstrzygnęli, że syn Ajuba jednak pójdzie do piekła za noszenie spodni w opisany sposób, i powołali się na hadisy.

– Zastanawiałem się – rzekł Sohrab.

– No i?

– Boję się.

– To zrozumiałe – powiedziałem, nie tracąc jeszcze nadziei. – Ale szybko nauczysz się angielskiego i przywykniesz…

– Myślałem o czym innym. Tego też się boję, ale…

– Tak?

Znowu odwrócił się w moją stronę. Podciągnął kolana.

– A jeżeli się mną znudzisz? Albo nie polubi mnie twoja żona?

Z trudem wstałem, zbliżyłem się do Sohraba i usiadłem na jego łóżku.

– Nie znudzę się tobą, Sohrab. Przenigdy. Obiecuję. Przecież jesteś moim bratankiem. A Soraja *dżan* jest bardzo dobrą kobietą. Pokocha cię, wierz mi. To też ci obiecuję.

Zaryzykowałem i wziąłem go za rękę. Lekko zesztywniał, ale jej nie cofnął.

– Nie chcę znowu iść do sierocińca – powiedział.

– Nigdy do tego nie dopuszczę. Masz moje słowo. – Objąłem jego dłoń drugą ręką. – Jedź ze mną do domu.

Płakał w poduszkę. Przez długi czas nie odzywał się, a potem ścisnął mnie za rękę. I kiwnął głową. Kiwnął głową.

*

Uzyskałem połączenie za czwartym razem. Telefon zadzwonił trzykrotnie, zanim podniosła słuchawkę.

– Halo?

W Islamabadzie była godzina siódma trzydzieści wieczorem, w Kalifornii mniej więcej ta sama, tyle że rano. Wobec tego Soraja już od godziny kręciła się po domu i szykowała do szkoły.

– To ja – powiedziałem.

Siedziałem na swoim łóżku, patrząc na śpiącego Sohraba.

– Amir! – prawie krzyknęła. – Wszystko w porządku? Gdzie jesteś?

– W Pakistanie.

– Dlaczego nie dzwoniłeś? O mało się nie rozchorowałam z *taszwisz!* Mama nie ustaje w modlitwach i codziennie składa *nazr.*

– Przepraszam, że nie dzwoniłem. Już jest dobrze. – Wyjeżdżając, powiedziałem, że wrócę za tydzień, najwyżej dwa. Nie było mnie już prawie miesiąc. – A *chala* Dżamila niech przestanie zabijać jagnięta. Powiedz jej to.

– Co to znaczy „już jest dobrze”? Dlaczego masz taki dziwny głos?

– Tym się teraz nie przejmuj. Nic mi nie jest. Naprawdę. Chcę opowiedzieć ci historię, którą powinnaś była usłyszeć ode mnie dawno temu, ale najpierw mam ci do powiedzenia coś innego.

– Mianowicie? – zapytała cicho, ostrożnie.

– Nie wracam sam. Przywożę do domu małego chłopca. – Po chwili dodałem: – Chcę, żebyśmy go adoptowali.

– Co takiego?!

Spojrzałem na zegarek.

– Pozostało mi do wykorzystania pięćdziesiąt siedem minut na tej głupiej karcie, a mam ci mnóstwo do powiedzenia. Lepiej usiądź.

Usłyszałem szuranie krzesła przesuwanego w pośpiechu po drewnianej podłodze.

– Mów.

Po piętnastu latach małżeństwa wreszcie to zrobiłem. Powiedziałem żonie wszystko. Absolutnie wszystko. Tyle razy wyobrażałem sobie tę chwilę, tak się jej bałem, ale podczas tego wyznania miałem wrażenie, że spada mi ciężar z serca. Zapewne podobnie czuła się Soraja w wieczór *chastegari*, ujawniwszy mi swoją przeszłość.

Gdy zbliżałem się do końca, zaczęła płakać.

– Co ty na to? – spytałem.

– Sama nie wiem, Amirze. Powiedziałeś tak dużo naraz.

– Zdaję sobie z tego sprawę.

Słyszałem, jak wyciera nos.

– Ale wiem jedno – mówiła dalej. – Musisz go zabrać do domu. Chcę, żebyś to zrobił.

– Jesteś pewna? – Zamknąłem oczy i się uśmiechnąłem.

– Przecież on należy do twojego *ghaum*, więc jest również członkiem mojej rodziny. Oczywiście, że jestem pewna. Nie możesz zostawić go na ulicy. – Po chwili milczenia zapytała: – Jaki on jest?

Spojrzałem na śpiącego Sohraba.

– To słodki chłopiec, a zarazem wyczuwa się w nim powagę.

– Nic dziwnego. Chcę go poznać, Amirze. Naprawdę.

– Soraja…

– Tak?

– *Dustet daram.* Kocham cię.

– Ja też. – Bez wątpienia wypowiedziała te słowa z uśmiechem. – Uważaj na siebie.

– Będę uważał. Jeszcze jedno. Nie mów rodzicom, kim on jest. Jeżeli zapytają, sam im wyjaśnię.

– Dobrze.

Rozłączyliśmy się.

*

Trawnik przed ambasadą amerykańską w Islamabadzie był starannie skoszony, cieszył oko okrągłymi grządkami kwiatów i idealnie przyciętym żywopłotem. Sam budynek – płaski i biały – przypominał wiele innych w mieście. Po drodze natknęliśmy się na kilka blokad i pracownicy ochrony trzykrotnie zrobili mi rewizję osobistą, ponieważ druty w szczęce uruchomiły alarm w wykrywaczach metalu. Gdy rozżarzone powietrze zostało wreszcie za drzwiami, jednocześnie buchnął mi w twarz lodowaty podmuch z klimatyzatora. Recepcjonistka, pięćdziesięcioparoletnia blondynka o szczupłej twarzy, powitała mnie uśmiechem, kiedy się przedstawiłem. Była ubrana w beżową bluzkę i czarne spodnie – pierwszy raz od tygodni zobaczyłem kobietę, która nie miała na sobie *borgha* albo *szalwar kamiz.* Stukając w blat biurka zakończonym gumką końcem ołówka, sprawdziła, czy figuruję na liście osób umówionych na spotkanie. Znalazła moje nazwisko i poprosiła, żebym usiadł.

– Może miałby pan ochotę na lemoniadę? – zapytała.

– Nie, dziękuję – odparłem.

– A pana syn?

– Słucham?

– Ten przystojny młodzieniec – dodała, uśmiechając się do Sohraba.

– Ach tak. Bardzo chętnie, dziękuję.

Usiedliśmy na kanapie z czarnej skóry, naprzeciwko recepcji, przy amerykańskiej fladze na długim drzewcu. Sohrab wziął czasopismo

z niskiego stolika ze szklanym blatem. Zaczął przerzucać kartki, właściwie nie przyglądając się ilustracjom.

– Co jest? – odezwał się.

– Dlaczego pytasz?

– Uśmiechasz się.

– Myślałem o tobie.

Wygiął wargi w nerwowym uśmiechu. Wziął następne czasopismo i przekartkował je w pół minuty.

– Nie bój się – spróbowałem podnieść go na duchu, kładąc rękę na jego ramieniu. – To życzliwi ludzie. Możesz być spokojny.

Sam powinienem skorzystać z tej rady. Wierciłem się na kanapie, zawiązywałem i rozwiązywałem sznurowadła.

Recepcjonistka postawiła na stoliku wysoką szklankę pełną lemoniady z lodem.

– Bardzo dziękuję – powiedział po angielsku Sohrab, uśmiechając się nieśmiało.

Zabrzmiało to jak „tenk ju łery macz”. Prócz tego, jak mi wyjawił wcześniej, znał jeszcze wyrażenie „miłego dnia”.

– Bardzo proszę. – Recepcjonistka się roześmiała i ruszyła w stronę biurka, stukając obcasami szpilek o podłogę.

– Miłego dnia – dodał.

*

Raymond Andrews był niski, miał małe, doskonale wypielęgnowane dłonie i nosił obrączkę na palcu serdecznym. Przywitał się oschłym, lekkim uściskiem dłoni; miałem wrażenie, jakbym trzymał w ręku wróbla. W tych rękach jest nasz los, przeleciało mi przez myśl, gdy siadaliśmy na krzesłach przed biurkiem. Na ścianie za plecami Andrewsa wisiał plakat do musicalu

Les Misérables i obok niego mapa topograficzna Stanów Zjednoczonych. Na parapecie pławiły się w słońcu pomidory doniczkowe.

– Papierosa? – zapytał niskim barytonem, który kontrastował z jego drobną posturą.

– Nie, dziękuję – odparłem, starając się nie zważać na to, że ledwie spojrzał na Sohraba i nie patrzy na mnie podczas rozmowy.

Z szuflady biurka wyjął papierosa z pustej w połowie paczki. Zapalił go, a następnie wyjął z tej samej szuflady krem do rąk. Z papierosem zwisającym w kąciku ust przyglądał się krzakom pomidora, smarując ręce kremem. Potem zamknął szufladę, oparł łokcie na biurku i wypuścił dym.

– A więc niech pan opowie mi o sobie – rzekł, mrużąc szare oczy podrażnione dymem.

Poczułem się jak Jean Valjean przed Javertem. Przekonywałem samego siebie, że znajduję się na terytorium amerykańskim, że ten gość jest po mojej stronie, że pobiera pensję za pomaganie takim ludziom jak ja.

– Chcę adoptować tego chłopca i zabrać do Stanów – oświadczyłem.

– Niech pan opowie mi o sobie – powtórzył Andrews, palcem wskazującym zdejmując drobinę popiołu z utrzymanego w idealnym porządku biurka i strząsając ją do kosza.

Przedstawiłem mu wersję wydarzeń, którą zacząłem opracowywać zaraz po rozmowie z Sorają. Pojechałem do Afganistanu po syna mojego przyrodniego brata. Odszukałem dziecko, marniało w sierocińcu. Za pewną sumę pieniędzy kierownik pozwolił mi zabrać chłopca. Przywiozłem go do Pakistanu.

– A zatem jest pan przybranym stryjem tego chłopca?

– Tak.

Rzucił okiem na zegarek. Przechylił się i obrócił doniczkę z pomidorem.

– Czy ktoś mógłby to potwierdzić?

– Tak, ale nie wiem, gdzie się znajduje.

Zwrócił się w moją stronę i kiwnął głową. Próbowałem odczytać wyraz jego twarzy. Bezskutecznie. Zastanawiałem się, czy jest wytrawnym pokerzystą.

– Przypuszczam, że pańska zadrutowana szczęka nie świadczy o hołdowaniu najnowszej modzie – rzekł.

Czekały nas kłopoty, już to wiedziałem. Wyjaśniłem, że napadnięto mnie w Peszawarze.

– Rozumiem – powiedział i odchrząknął. – Jest pan muzułmaninem?

– Tak.

– Praktykującym?

– Tak.

W istocie nie umiałem powiedzieć, kiedy ostatni raz dotykałem czołem ziemi, wypowiadając słowa modlitwy. Po chwili przypomniało mi się, że było to w dniu, gdy lekarz znalazł plamę na prześwietleniu płuc mojego ojca. Uklęknąłem wtedy na kocu i zacząłem recytować urywki wersetów, które pozostały mi w pamięci jeszcze z czasów szkolnych.

– Plus dla pana, ale niewielki – zauważył Andrews, drapiąc krostę w nienagannym przedziałku w rudoblond włosach.

– Co to znaczy?

Wziąłem Sohraba za rękę i spletliśmy palce. Niepewnie przeniósł wzrok ze mnie na Andrewsa.

– Na to pytanie jest długa odpowiedź i krótka. Niewątpliwie skończy się na tym, że będę musiał udzielić panu długiej odpowiedzi. Chce pan najpierw poznać tę krótką?

– Chyba tak.

Andrews zgasił papierosa, zaciskając usta.

– Niech pan da sobie spokój – powiedział.

– Słucham?

– Z tym wnioskiem o adopcję. Niech pan da sobie spokój. Taka jest moja rada.

– Przyjąłem do wiadomości. A teraz może mi pan wyjaśni powody.

– Jak rozumiem, chce pan usłyszeć długą odpowiedź – rzekł obojętnym tonem Andrews, nie reagując na moją oschłość. Złożył dłonie jak do modlitwy. – Załóżmy, że pana opowieść jest prawdziwa, choć byłbym gotów położyć na szali swoją emeryturę, że jest w dużej mierze albo zmyślona, albo niepełna. Ale to mnie nie obchodzi, trzeba panu wiedzieć. Liczy się pana i jego tu obecność. Jednakże są istotne powody, by zakwestionować pański wniosek o adopcję, choćby dlatego, że to dziecko nie jest sierotą.

– Ależ jest.

– Nie w świetle prawa.

– Jego rodzice zostali rozstrzelani na ulicy. Sąsiedzi byli świadkami – powiedziałem, ciesząc się, że rozmawiamy po angielsku.

– Ma pan akty zgonu?

– Co takiego?! Mówimy o Afganistanie. Tam akt urodzenia jest rzadkością.

Przyjął to bez mrugnięcia powieką, nadal patrząc szklanym wzrokiem.

– Nie ja ustanawiam prawo, szanowny panie. Może pan nie posiadać się z oburzenia, jednakowoż musi pan udowodnić zgon jego rodziców. Trzeba wykazać zgodnie z prawem, że chłopiec jest sierotą.

– Ale…

– Chciał pan usłyszeć długą odpowiedź, więc ją panu daję. Następny kłopot w tym, że będzie potrzebna współpraca kraju pochodzenia dziecka. A to będzie trudne nawet w najbardziej sprzyjających okolicznościach. Jak pan sam zauważył, mówimy o Afganistanie. W Kabulu nie ma ambasady amerykańskiej. W tej sytuacji sprawa jest niezwykle skomplikowana, prawie niemożliwa do załatwienia.

– Pana zdaniem chłopiec ma się znów znaleźć na ulicy?

– Tego nie powiedziałem.

– On był wykorzystywany seksualnie – zakomunikowałem Andrewsowi, mając w pamięci dzwoneczki na kostkach Sohraba i podkreślone tuszem oczy.

– To przykre – skonstatował ruchem warg. Natomiast jego oczy miały taki wyraz, jakbyśmy rozmawiali o pogodzie. – Lecz nie skłoni Urzędu Imigracyjnego do wydania mu wizy.

– Co pan właściwie chce powiedzieć?

– Chcę powiedzieć, że jeśli zależy panu na tym, by nieść pomoc, może pan wysłać pieniądze na konto szanowanej organizacji humanitarnej. Albo zostać wolontariuszem w obozie dla uchodźców. W danej chwili zdecydowanie odradzamy obywatelom amerykańskim próby adopcji afgańskich dzieci.

Wstałem.

– Idziemy, Sohrab – powiedziałem w języku dari.

Chłopiec podszedł do mnie i oparł głowę o moje biodro. Przypomniało mi się zdjęcie, na którym Sohrab i Hasan stali w takich samych pozach.

– Mogę zadać panu pytanie, panie Andrews?

– Słucham.

– Ma pan dzieci?

Po raz pierwszy zamrugał powiekami.

– No więc? To proste pytanie.

Milczał.

– Tak przypuszczałem. – Wziąłem Sohraba za rękę. – Pana stołek powinni przydzielić osobie, której nieobce jest pragnienie posiadania dziecka.

Skierowałem się do wyjścia. Sohrab powlókł się za mną.

– A ja mogę zadać panu pytanie? – zawołał Andrews.

– Proszę.

– Czy pan obiecał temu chłopcu, że zabierze go z sobą?

– A jeśli tak, to co?

Pokręcił głową.

– Składanie obietnic dzieciom jest niebezpieczne. – Westchnął i ponownie otworzył szufladę biurka. – Zamierza pan czynić dalsze starania? – zapytał, grzebiąc w papierach.

– Zamierzam.

Wydobył wizytówkę.

– Wobec tego radzę panu znaleźć dobrego prawnika specjalizującego się w prawie imigracyjnym. Omar Fajsal ma kancelarię w Islamabadzie. Może się pan na mnie powołać.

– Dziękuję – wymamrotałem, biorąc wizytówkę.

– Powodzenia.

Na progu zerknąłem przez ramię. Andrews stał w prostokątnej plamie słońca, zamyślony wyglądał przez okno, przekręcając doniczki z pomidorami w stronę światła i gładząc je czule.

*

– Niech pan uważa na siebie – odezwała się recepcjonistka, gdy mijaliśmy jej biurko.

– Pani szef mógłby nabrać ogłady – oświadczyłem.

Spodziewałem się, że wywróci oczami, może pokiwa głową, co będzie oznaczało: tak, wiem, wszyscy to mówią. Ale powiedziała cicho:

– Biedny Ray. Bardzo się zmienił po śmierci córki.

Uniosłem brwi.

– Samobójstwo – szepnęła.

*

Gdy wracaliśmy taksówką do hotelu, Sohrab siedział z głową opartą o okno, nie odrywając wzroku od mijanych budynków i rosnących przy ulicy eukaliptusów. Szyba zachodziła parą z jego oddechu, stawała się przezroczysta, a potem znowu potniała. Czekałem, aż zapyta mnie o przebieg spotkania, ale nie zrobił tego.

*

Zza zamkniętych drzwi łazienki dolatywał szum cieknącej wody. Od pierwszego wieczoru po wprowadzeniu się do hotelu Sohrab brał przed snem długą kąpiel. W Kabulu ciepła bieżąca woda była taką samą rzadkością jak posiadanie ojca. Teraz Sohrab spędzał w wannie niemal godzinę dziennie, moczył się w wodzie z mydłem, szorował od stóp do głów. Usiadłem na łóżku i zadzwoniłem do Sorai. Spojrzałem na smugę światła pod drzwiami łazienki. Czujesz, że już jesteś czysty, Sohrabie?

Przekazałem Sorai opinię Raymonda Andrewsa.

– I co ty na to? – zapytałem.

– Musimy założyć, że się myli.

Zrelacjonowała mi rozmowy, które przeprowadziła przez telefon z kilkoma agencjami pośredniczącymi w adopcji dzieci z zagranicy. Jeszcze nie znalazła agencji gotowej działać na terenie Afganistanu, ale nie ustaje w poszukiwaniach.

– Jak przyjęli tę wiadomość twoi rodzice?

– *Madar* cieszy się, że będziemy szczęśliwi. Dobrze wiesz, co do ciebie czuje. W jej oczach zawsze postępujesz słusznie. A *padar*… no cóż, jak zwykle, trudniej go rozszyfrować. Niewiele mówi.

– A ty? Cieszysz się?

Słyszałem, jak przekłada słuchawkę do drugiej ręki.

– Sądzę, że damy twojemu bratankowi wiele dobrego, a może i on da wiele dobrego nam.

– Też tak myślę.

– To pewnie zabrzmi bez sensu, ale czasem bezwiednie zastanawiam się, jaka będzie jego ulubiona *ghorma*, jaki przedmiot w szkole. Wyobrażam sobie, że pomagam mu odrabiać lekcje… – Roześmiała się.

Szum wody w łazience ucichł. Słyszałem, jak Sohrab kręci się w wannie, rozchlapuje wodę na posadzkę.

– Będziesz świetna.

– Och, zapomniałabym. Zadzwoniłam do wujka Szarifa.

Przypomniało mi się, jak podczas naszej *nika* odczytał wiersz zapisany na hotelowym papierze listowym. Jego syn trzymał Koran nad naszymi głowami, gdy szliśmy w stronę podium, uśmiechając się do strzelających fleszami gości.

– Co powiedział?

– Że narobi trochę szumu wokół tej sprawy i zadzwoni do swoich kolegów w Urzędzie Imigracyjnym.

– Doskonała wiadomość – powiedziałem. – Nie mogę się doczekać, kiedy zobaczysz Sohraba.

– A ja nie mogę się doczekać, kiedy zobaczę ciebie.

Uśmiechnięty odłożyłem słuchawkę.

Kilka minut później Sohrab wyszedł z łazienki. Od spotkania z Raymondem Andrewsem prawie się nie odzywał. Na moje próby podjęcia rozmowy jedynie kiwał głową albo odpowiadał monosylabami. Położył się do łóżka i przykrył po szyję kocem. Za chwilę już chrapał.

Zataczając ręką kółko, przetarłem zaparowane lustro i ogoliłem się staromodną maszynką, która się otwiera i trzeba włożyć do środka żyletkę – kilka maszynek znajdowało się w wyposażeniu pokoju. Potem sam wziąłem kąpiel. Leżałem w wannie, aż parująca woda wystygła i pomarszczyła mi się skóra. Leżałem rozluźniony, snując myśli i marzenia…

*

Omar Fajsal miał otyłą sylwetkę, ciemną skórę, dołki w policzkach, czarne oczy jak guziczki i szczerbate zęby, które odsłaniał w życzliwym uśmiechu. Rzednące siwe włosy wiązał do tyłu w kucyk. Nosił brązowy sztruksowy garnitur ze skórzanymi łatami na łokciach i zniszczoną, wypchaną teczkę; trzymał ją przyciśniętą do piersi, ponieważ urwała się rączka. Należał do osób, które często zaczynają zdanie od wybuchu śmiechu lub zbędnych przeprosin, na przykład, „Przepraszam, będę tam o piątej” i parsknięcie śmiechem. Gdy zadzwoniłem do niego, uparł się, że to on przyjdzie do nas. „Przepraszam, tutejsi taksiarze to hieny – powiedział doskonałą angielszczyzną, bez śladu akcentu. – Gdy tylko wyniuchają obcokrajowca, biorą trzy razy więcej”.

Przecisnął się przez drzwi, cały w uśmiechach i przeprosinach, trochę zasapany i spocony. Otarłszy czoło chusteczką, postawił teczkę na łóżku

i zaczął ją przetrząsać w poszukiwaniu notatnika, rozsypując przy tym jakieś papiery i znowu przepraszając. Sohrab siedział ze skrzyżowanymi nogami na swoim łóżku. Jednym okiem patrzył w ściszony telewizor, a drugim na zmieszanego prawnika. Gdy rano uprzedziłem go o wizycie Fajsala, kiwnął głową, już miał o coś zapytać, ale się rozmyślił i dalej oglądał program z mówiącymi zwierzakami.

– Znalazł się – powiedział Fajsal, otwierając zeszyt w linie z żółtymi kartkami. – Mam nadzieję, że moje dzieci odziedziczą zmysł porządku po matce. Przepraszam, zapewne nie takie rzeczy chcesz usłyszeć od swojego potencjalnego adwokata, co? – Zaśmiał się.

– Raymond Andrews bardzo cię ceni.

– Pan Andrews. Tak, tak. Przyzwoity gość. Nawet dzwonił do mnie i mówił o tobie.

– Naprawdę?

– O tak.

– A zatem znasz moją sytuację.

Fajsal starł kropelki potu znad górnej wargi.

– Znam wersję, którą przedstawiłeś panu Andrewsowi. – Na jego twarzy pojawił się skromny uśmiech i jednocześnie uwydatniły się dołki w policzkach. Odwrócił się do Sohraba. – Domyślam się, że przyczyną wszystkich kłopotów jest ten młody człowiek – odezwał się w języku dari.

– To Sohrab. Sohrabie, to pan Fajsal, prawnik, o którym ci mówiłem.

Chłopiec zsunął się z łóżka i uścisnął wyciągniętą do niego dłoń.

– *Salam alajkum* – przywitał się cicho.

– *Alajkum salam* – odrzekł Fajsal. – Wiesz, że nadano ci imię wielkiego wojownika?

Sohrab kiwnął głową. Wszedł z powrotem na łóżko i leżąc na boku, dalej oglądał telewizję.

– Nie przypuszczałem, że mówisz tak dobrze w dari – powiedziałem po angielsku. – Wychowywałeś się w Kabulu?

– Nie. Urodziłem się w Karaczi. Ale mieszkałem w Kabulu kilka lat. W Szahr-e Nau, opodal meczetu Hadżi Jaghub. Tak naprawdę dorastałem w Berkeley. Pod koniec lat sześćdziesiątych ojciec otworzył tam sklep muzyczny. Wolna miłość, opaski na włosy, koszule farbowane w nierówne kręgi, handlował wszystkim. – Pochylił się ku mnie. – Byłem w Woodstock.

– Bomba!

Omar zaniósł się śmiechem i znów zlał go pot.

– W każdym razie – mówiłem dalej – wersja wydarzeń, którą przedstawiłem panu Andrewsowi, była w zasadzie pełna. Pominąłem jeden, może dwa fakty. No, może trzy. Podam ci wersję nieokrojoną.

Polizał palec, przerzucił kilka kartek, aż znalazł czystą stronę, i zdjął skuwkę z pióra.

– Będę wdzięczny, Amirze. Może teraz będziemy się trzymać angielskiego.

– Dobrze.

Opowiedziałem mu wszystko. O swoim spotkaniu z Rahimem Chanem, o podróży do Kabulu, o sierocińcu, o kamienowaniu na stadionie Ghazi.

– O Boże – szepnął. – To straszne. Mam takie miłe wspomnienia z Kabulu. Aż trudno uwierzyć, że mówisz o tym samym mieście.

– Byłeś tam ostatnio?

– Skądże, na Boga!

– Nie jest to Berkeley, zaręczam.

– I co było dalej?

Opowiedziałem mu resztę: o spotkaniu z Asefem, o stoczonej walce, o Sohrabie i procy, o naszej ucieczce z powrotem do Pakistanu. Gdy skończyłem, zrobił notatki, westchnął głęboko i spojrzał na mnie z powagą.

– Cóż, Amirze, czeka cię ciężki bój.

– Mam szanse wygrać?

Zakręcił pióro.

– Wolałbym nie wypowiadać się jak Raymond Andrews, ale szczerze mówiąc, raczej nie sądzę. Nie jest to niemożliwe, choć prawdopodobieństwo wydaje mi się znikome. – Zniknęły przyjazny uśmiech i rozbawienie w oczach.

– Ale przecież właśnie takie dzieci jak Sohrab potrzebują domu najbardziej – zauważyłem. – Moim zdaniem te przepisy i zarządzenia są bez sensu.

– Mnie nie musisz tego mówić. Ale biorąc pod uwagę obecne prawo imigracyjne, strategie stosowane przez agencję adopcyjną i sytuację polityczną w Afganistanie, jesteś w niekorzystnym położeniu.

– Nie rozumiem. – Miałem ochotę coś rozwalić. – To znaczy rozumiem i zarazem nie rozumiem.

Omar kiwnął głową i zmarszczył czoło.

– No więc sprawa przedstawia się następująco. Gdy dojdzie do nieszczęścia, czy to na skutek sił natury, czy też działania człowieka – a talibowie to nieszczęście, wierz mi – zawsze trudno jest ustalić, czy dziecko zostało sierotą. Dzieci są wysyłane do obozów dla uchodźców albo zwyczajnie porzucane przez rodziców, którzy nie mają możliwości zająć się nimi. Ciągle tak się dzieje. Wobec tego Urząd Imigracyjny nie udzieli wizy, jeśli nie wykaże się jasno i wyraźnie, że dziecko może być uznane za

sierotę. Przepraszam, zdaję sobie sprawę, że to absurd, ale musisz mieć akty zgonu.

– Skoro byłeś w Afganistanie – powiedziałem – wiesz, że to nierealne.

– Wiem. Załóżmy przez chwilę, że udowodniliśmy śmierć jego rodziców. Nawet wówczas Urząd Imigracyjny stanie na stanowisku, iż zgodnie z zalecaną praktyką adopcyjną należy umieścić dziecko u kogoś w jego własnym kraju, żeby nie zostało pozbawione dziedzictwa kulturowego.

– Jakiego dziedzictwa? – zawołałem. – Talibowie zniszczyli dziedzictwo Afgańczyków. Widziałeś, co zrobili z ogromnymi posągami Buddy w Bamijanie.

– Przykro mi, Amirze, lecz staram się pokazać, jak działa Urząd Imigracyjny – rzekł Omar, biorąc mnie za ramię. Spojrzał z uśmiechem na Sohraba, po czym znowu odwrócił się w moją stronę. – Adopcja dziecka musi przebiegać również zgodnie z prawem i rozporządzeniami, które obowiązują w jego kraju ojczystym. A gdy w tym kraju panuje chaos, jak na przykład w Afganistanie, urzędy państwowe zajmują się sytuacjami kryzysowymi, a rozpatrywanie wniosków adopcyjnych nie należy do spraw najwyższej wagi.

Westchnąłem i przetarłem oczy. Zaczynał mi dokuczać pulsujący ból w czaszce.

– Załóżmy jednak, że Afganistan jakoś weźmie się w karby – mówił dalej Omar, krzyżując ręce na wystającym brzuchu. – I tak może nie wyrazić zgody na adopcję. Jeśli chodzi o ścisłość, nawet bardziej umiarkowane kraje muzułmańskie zajmują niezdecydowane stanowisko w kwestii adopcji, ponieważ w wielu z nich prawo religijne, szariat, nie uznaje adopcji.

– Namawiasz mnie do kapitulacji? – zapytałem, naciskając palcami czoło.

– Dorastałem w Stanach. Nauczyłem się tam przynajmniej tego, że poddawanie się jest obciachowe. Ale jako twój prawnik muszę przedstawić ci fakty. Na koniec jeszcze jedno: agencje adopcyjne na ogół każą swoim pracownikom sprawdzić, w jakim środowisku żyło dziecko. W obecnej sytuacji żadna sensowna agencja nie wyśle nikogo do Afganistanu.

Spojrzałem na Sohraba, który siedział na łóżku i jednocześnie patrzył w telewizor i na nas. Siedział w takiej samej pozycji jak niegdyś jego ojciec – z brodą opartą na kolanie.

– Jestem jego przybranym stryjem. Czy to się nie liczy?

– Liczy się, jeśli zdołasz tego dowieść. Przepraszam, czy masz jakieś dokumenty na poparcie swoich słów albo znasz kogoś, kto zaświadczy o ich prawdziwości?

– Nie mam żadnych dokumentów – przyznałem znużonym głosem. – Nikt o tym nie wiedział. Sohrab dowiedział się ode mnie, a ja sam dowiedziałem się całkiem niedawno. Druga osoba, która to wie, zniknęła, być może umarła.

– Hmm.

– Jakie mam możliwości działania, Omarze?

– Szczerze mówiąc, ograniczone.

– Na Boga! Doradź mi coś.

Zrobił wdech, stuknął piórem w brodę i wypuścił powietrze.

– Możesz mimo wszystko złożyć wniosek w agencji o zakwalifikowanie ciebie i żony jako rodziców adopcyjnych, a potem liczyć na pomyślny rozwój wypadków. Zamiast korzystać z pośrednictwa agencji adopcyjnej, możesz wynająć adwokata. Jeśli to zrobisz, masz mieszkać z Sohrabem przez dwa lata bez przerwy w Pakistanie. Potem

występujesz w imieniu chłopca o azyl. To długotrwała procedura, no i musisz dowieść, że chłopiec był ofiarą prześladowań politycznych. Albo możesz się ubiegać o wizę ze względów humanitarnych, przyznawaną przez prokuratora generalnego, ale niełatwo ją uzyskać. – Przerwał na chwilę. – Jest jeszcze jedno wyjście, chyba najlepsze.

– Jakie? – zapytałem, pochylając się do przodu.

– Oddasz go do tutejszego sierocińca i złożysz wniosek o zakwalifikowanie ciebie i żony jako rodziców adopcyjnych. Gdy chłopiec będzie przebywał w bezpiecznym miejscu, zajmiesz się formularzem I-sześćset i zbierzesz raporty z opieki społecznej.

– Co za I-sześćset? Jakie raporty?

– Przepraszam, I-sześćset to wymóg Urzędu Imigracyjnego, natomiast raporty dotyczące stanu zdrowia, sytuacji domowej i mieszkaniowej sporządzi agencja adopcyjna, którą sami wybierzecie – wyjaśnił Omar. – Wszystko po to, by mieć pewność, że nie jesteście z żoną kompletnie obłąkani.

– Nie chcę tego robić – powiedziałem, znów spoglądając na Sohraba. – Obiecałem mu, że nie trafi ponownie do sierocińca.

– Powtarzam, to być może najlepsze wyjście.

Rozmawialiśmy jeszcze jakiś czas. Potem odprowadziłem go do samochodu – starego garbusa. Ogniście czerwone słońce zaczęło już zachodzić nad Islamabadem. Samochód ugiął się pod ciężarem Omara, gdy ten jakoś zdołał wcisnąć się za kierownicę.

– Amirze? – odezwał się Omar, opuściwszy szybę.

– Słucham.

– Chciałem ci powiedzieć jeszcze w hotelu, że robisz wielką rzecz.

Pomachał mi na pożegnanie. Stojąc przed hotelem i machając Omarowi, żałowałem, że nie ma przy mnie Sorai.

*

Gdy wróciłem do pokoju, telewizor był wyłączony. Usiadłem na brzegu swojego łóżka i poprosiłem Sohraba, żeby usiadł koło mnie.

– Zdaniem pana Fajsala jest sposób, żebyś pojechał ze mną do Ameryki – powiedziałem.

– Naprawdę? – Na twarzy Sohraba pojawił się słaby uśmiech, pierwszy od kilku dni. – Kiedy wyjeżdżamy?

– Otóż to. Trzeba trochę poczekać. Ale uważa, że to możliwe, i obiecał pomóc.

Położyłem rękę na jego karku. Doleciało nas niosące się ulicami wezwanie do modlitwy.

– Jak długo? – zapytał.

– Nie wiem. Trochę.

Wzruszył ramionami i znów się uśmiechnął, odrobinę szerzej.

– Nie szkodzi. Mogę poczekać. To jak z kwaśnymi jabłkami.

– Nie rozumiem.

– Kiedyś, gdy byłem naprawdę mały, wszedłem na drzewo i zjadłem zielone, kwaśne jabłka. Brzuch mi się wzdął, był twardy jak bęben, bardzo bolał. Mama powiedziała, że gdybym poczekał, aż dojrzeją, nic by mi nie było. No i teraz, gdy bardzo czegoś chcę, powtarzam sobie to, co powiedziała o jabłkach.

– Kwaśne jabłka – powtórzyłem. – *Maszallah*, jesteś najbystrzejszym chłopaczkiem, jakiego spotkałem, Sohrabie *dżan.*

Zaczerwieniły mu się uszy.

– Pokażesz mi ten czerwony most? Ten we mgle?

– Na pewno.

– I pojedziemy pod górę ulicami, na których widać tylko maskę samochodu i niebo?

– Każdą ulicą po kolei. – Zapiekły mnie łzy w oczach i zamrugałem powiekami.

– Trudno się nauczyć angielskiego?

– Sądzę, że po roku będziesz mówił tak dobrze jak w dari.

– Naprawdę?

– Tak. – Wziąłem go palcem pod brodę i uniosłem głowę. – Ale jest pewna sprawa, Sohrabie.

– Jaka?

– No więc pan Fajsal uważa, że byłoby dobrze, gdybyś… gdybyś zgodził się zamieszkać przez jakiś czas w domu dziecka.

– W domu dziecka? – Uśmiech zgasł mu na twarzy. – To znaczy w sierocińcu?

– Tylko na krótko, Sohrabie.

– Nie, proszę. Nie.

– Będziesz tam bardzo krótko. Obiecuję.

– Obiecałeś, że nigdy tam mnie nie oddasz, Amir *agha*. – Załamał mu się głos, oczy zaszły łzami. Poczułem się jak ostatni drań.

– Teraz będzie inaczej. Zostaniesz tu, w Islamabadzie, a nie w Kabulu. Będę cię ciągle odwiedzał, aż będziemy mogli zabrać cię stąd od Ameryki.

– Nie, proszę, proszę – wychrypiał. – Boję się tam iść. Zrobią mi krzywdę! Nie chcę!

– Nikt cię nie skrzywdzi. Nigdy więcej.

– Skrzywdzą mnie, skrzywdzą! Zawsze mówią, że nie zrobią mi krzywdy, ale kłamią. Zawsze kłamią! Proszę, o Boże!

Otarłem kciukiem łzę spływającą mu po policzku.

– Kwaśne jabłka, pamiętasz? To tak jak z kwaśnymi jabłkami – powiedziałem cicho.

– Wcale nie. Nie tam. Boże, o Boże. Proszę, nie!

Trząsł się na całym ciele. Gile i łzy ciekły mu po twarzy.

– Ciii. – Przytuliłem go do siebie, wziąłem w ramiona rozdygotaną, drobną postać. – Ciii. Wszystko będzie dobrze. Razem wrócimy do domu. Zobaczysz, wszystko będzie dobrze.

Przyciskając twarz do mojej piersi, mówił stłumionym głosem, ale słyszałem w nim paniczny strach.

– Obiecaj, że tego nie zrobisz! Proszę! O Boże, Amir *agha!* Proszę, obiecaj!

Jak mogłem mu obiecać? Trzymałem go mocno w ramionach, tuliłem do piersi, kołysałem. Długo płakał mi w koszulę. W końcu oczy obeschły, ustał dygot, gorączkowe prośby przeszły w niezrozumiały bełkot. Kołysałem go, aż uspokoił mu się oddech i rozluźniło się całe ciało. Przypomniały mi się słowa, które przeczytałem gdzieś dawno temu: „Dzieci radzą sobie z przemożnym strachem właśnie tak – zasypiają”.

Zaniosłem go na łóżko. Potem sam się położyłem i patrzyłem przez okno na fioletowe niebo nad Islamabadem.

*

Niebo było ciemnoczarne, gdy wyrwał mnie ze snu dzwonek telefonu. Przetarłem oczy i zapaliłem lampkę na stoliku nocnym. Minęło wpół do jedenastej. Spałem prawie trzy godziny. Podniosłem słuchawkę.

– Halo.

– Telefon z Ameryki – rozległ się znudzony głos pana Fajjaza.

– Dziękuję.

W łazience paliło się światło; Sohrab jak zwykle brał wieczorną kąpiel. Usłyszałem parę trzasków, a potem głos Sorai.

– *Salam!* – Sprawiała wrażenie podekscytowanej.

– Cześć.

– Jak się udało spotkanie z prawnikiem?

Przedstawiłem jej propozycję Omara Fajsala.

– Zapomnij o tym. Nie ma takiej potrzeby – powiedziała Soraja.

Aż usiadłem, zaskoczony.

– *Rosti?* Jak to? Co się stało?

– Odezwał się *kaka* Szarif. Powiedział, że przede wszystkim trzeba ściągnąć Sohraba do kraju. Gdy już tu przyjedzie, znajdą się sposoby, żeby został. Skontaktował się z paroma przyjaciółmi w Urzędzie Imigracyjnym. Dziś wieczorem oddzwonił do mnie z wiadomością, że Sohrab niemal na pewno dostanie wizę ze względów humanitarnych.

– Poważnie? Och, Bogu niech będą dzięki! Poczciwy człowiek, ten Szarif *dżan.*

– Wiem. My wystąpimy jako sponsorzy. Formalności powinny być załatwione dość szybko. Wujek powiedział, że wiza będzie ważna przez rok, więc mamy dużo czasu, żeby złożyć wniosek adopcyjny.

– Wszystko jest na najlepszej drodze, tak, Soraja?

– Na to wygląda. – W jej głosie słychać było zadowolenie.

Powiedziałem, że ją kocham, a ona powiedziała, że kocha mnie. Odłożyłem słuchawkę.

– Sohrab! – zawołałem, wstając z łóżka. – Mam wspaniałą wiadomość. – Zapukałem do drzwi łazienki. – Sohrab! Dzwoniła Soraja *dżan* z Kalifornii. Nie musisz iść do sierocińca. Jedziemy do Ameryki, razem. Słyszysz? Jedziemy do Ameryki!

Otworzyłem drzwi i wszedłem do łazienki.

Nagle runąłem z krzykiem na kolana. Krzyczałem przez zaciśnięte zęby. Krzyczałem tak długo, aż wydało mi się, że zaraz rozerwie mi gardło i rozsadzi płuca.

Podobno wciąż krzyczałem, gdy przyjechała karetka.

25

Nie chcą mnie wpuścić.

Widzę, jak wiozą go przez dwuskrzydłowe drzwi, i ruszam za nimi. Wpadam do środka, uderza mnie zapach jodyny i wody utlenionej, ale udaje mi się zobaczyć tylko dwóch mężczyzn w czepkach chirurgicznych i ubraną na zielono kobietę, którzy otaczają nosze na kółkach. Białe prześcieradło zwisa z noszy, ciągnie się po brudnej posadzce ze wzorem w szachownicę. Spod prześcieradła wystają małe, zakrwawione stopy; dostrzegam ułamany paznokieć palucha lewej stopy. Potem jakiś postawny mężczyzna ubrany na niebiesko przykłada dłoń do mojej piersi, czuję zimny dotyk obrączki na jego palcu, i chce wypchnąć mnie za drzwi. Napieram na niego, miotając przekleństwa, ale on mówi, że nie mogę tu przebywać, mówi po angielsku, uprzejmie, choć stanowczo. „Musi pan czekać” – powiada, wyprowadzając mnie do poczekalni. Dwuskrzydłowe drzwi zamykają się z cichym szumem i w wąskich, prostokątnych okienkach widzę tylko czepki.

Zostawia mnie na szerokim, pozbawionym okien korytarzu pełnym ludzi; jedni siedzą na metalowych składanych krzesłach pod ścianami, inni na cienkim, postrzępionym dywanie. Znowu chcę krzyczeć i przypominam sobie, kiedy ostatni raz ogarnęło mnie to uczucie – jechałem z ojcem autocysterną, w zbiorniku na paliwo, pogrążony w ciemnościach, razem

z pozostałymi uchodźcami. Chcę się wyrwać stąd, z tej rzeczywistości, wznieść jak chmura i odpłynąć, wtopić w tę parną letnią noc i rozproszyć gdzieś daleko nad wzgórzami. Jestem jednak tutaj, nogi mam jak z ołowiu, płuca pozbawione powietrza, piekące gardło. Nigdzie nie odpłynę. Dziś wieczorem nie zaznam innej rzeczywistości. Zamykam oczy i czuję zapachy na korytarzu: potu i amoniaku, potraw z curry i alkoholu do dezynfekcji skóry. Pod sufitem, gdzie przez całą długość korytarza biegną zszarzałe świetlówki, ćmy zlatują się do światła. Słyszę suchy odgłos trzepoczących skrzydeł. Słyszę gwar rozmów, zduszony szloch, pociąganie nosem, ktoś jęczy, ktoś inny wzdycha, winda otwiera się z charakterystycznym dzwonieniem, kogoś wywołują w urdu przez głośnik.

Otwieram oczy i wiem, co muszę zrobić. Rozglądam się, serce wali mi jak młotem, krew pulsuje w uszach. Po lewej stronie jest ciemny składzik. Znajduję tam to, czego potrzebuję. Musi wystarczyć. Wychodzę na korytarz z białym prześcieradłem zabranym ze stosu złożonej pościeli. Przy toalecie widzę pielęgniarkę, która rozmawia z policjantem. Biorę ją za łokieć i prowadzę na bok. Pytam, gdzie jest zachód. Nie rozumie, o co mi chodzi. Gdy ściąga brwi, pogłębiają się zmarszczki na jej twarzy. Boli mnie gardło, oczy pieką od potu, przy każdym oddechu pali mnie w piersiach. Wydaje mi się, że płaczę. Pytam jeszcze raz. Błagalnie. Wreszcie to policjant wskazuje mi zachód.

Rozkładam na podłodze prowizoryczny *dżaj namaz,* dywanik modlitewny, padam na kolana i pochylam głowę do ziemi. Zalewam prześcieradło łzami. Zwrócony ku zachodowi składam pokłon. Uderza mnie myśl, że nie modliłem się od ponad piętnastu lat. Dawno temu zapomniałem słowa modlitwy. Ale to bez znaczenia – wypowiem słowa, które pamiętam: *La ilaha illa Allah wa Muhammad rasul Allah.* Nie ma Boga prócz Allaha, a Muhammad jest jego posłańcem. Teraz uświadamiam

sobie, że *baba* się mylił – Bóg istnieje, zawsze istniał. Widzę Go tutaj, w oczach pogrążonych w rozpaczy ludzi na tym korytarzu. Tu jest prawdziwy dom boży; tu odnajdą Boga ci, którzy go stracili; tu, a nie w białym meczecie ze strzelistymi minaretami, lśniącym jak diament. Bóg istnieje, musi istnieć, i teraz będę się modlił, będę błagał o wybaczenie, że zaniedbywałem Go tyle lat, że zdradzałem, kłamałem i grzeszyłem z całą bezkarnością, i dopiero teraz, w godzinie potrzeby, zwracam się do Niego. Proszę, żeby był litościwy, miłosierny i łaskawy, jak powiada Jego księga. Składam pokłon zwrócony ku zachodowi, całuję ziemię i obiecuję, że będę płacił *zakat*, odprawiał *namaz*, pościł podczas ramadanu, a potem nauczę się na pamięć Jego świętej księgi co do słowa i odbędę pielgrzymkę do tego skwarnego miasta na pustyni, żeby pokłonić się przed świątynią Kaaba. Uczynię to wszystko i od dziś będę o Nim myślał każdego dnia, jeśli tylko sprawi, że spełni się moje jedyne życzenie – moje ręce są splamione krwią Hasana, niech Bóg nie dopuści, by zostały splamione krwią syna Hasana.

Słyszę jęk i uprzytamniam sobie, że wydobywa się z moich ust. Wargi mam słone od łez spływających po twarzy. Czuję na sobie spojrzenia wszystkich ludzi na korytarzu i dalej składam pokłony zwrócony na zachód. Modlę się. Proszę, by nie dotknęła mnie kara za grzechy, której zawsze się obawiałem.

*

Bezgwiezdna czarna noc zapada nad Islamabadem. Minęło kilka godzin. Siedzę na podłodze w małym pokoiku obok korytarza, który prowadzi na oddział nagłych przypadków. Mam przed sobą ciemnobrązowy niski stolik zasłany gazetami i sfatygowanymi czasopismami; widzę egzemplarz magazynu „Time” z kwietnia 1996 roku, pakistańską gazetę z portretem chłopca śmiertelnie potrąconego przez pociąg przed tygodniem,

czasopismo ilustrowane ze zdjęciem uśmiechniętych lollywoodzkich aktorów na błyszczącej okładce. Naprzeciwko siedzi na wózku inwalidzkim przysypiająca staruszka ubrana w *szalwar kamiz* koloru zielonego jaspisu i okryta szydełkową chustą. Co jakiś czas budzi się i mamrocze modlitwę po arabsku. W moim wyczerpanym umyśle pojawia się pytanie, czyje modlitwy zostaną wysłuchane tego wieczoru – jej czy moje. Oczami duszy widzę twarz Sohraba: spiczastą, grubą brodę, małe uszy jak muszelki, skośne oczy w kształcie liścia bambusa, tak podobne do oczu jego ojca. Ogarnia mnie smutek czarny jak ta noc i czuję ucisk w gardle.

Brak mi powietrza.

Wstaję i otwieram okna. Wpadające przez siatkę powietrze jest gorące i stęchłe, czuć w nim zapach przejrzałych daktyli i łajna. Zmuszam się, by dużymi haustami wciągnąć je w płuca, ale ucisk w piersiach nie mija. Opadam z powrotem na podłogę. Biorę do ręki „Time” i przerzucam kartki, ale nie mogę czytać ani na niczym się skupić. Rzucam więc pismo na stolik i znowu gapię się na biegnące zygzakiem pęknięcia w betonowej podłodze, na pajęczyny pod sufitem w rogach pokoju, na martwe muchy na parapecie. Najczęściej wpatruję się w zegar na ścianie. Jest tuż po czwartej nad ranem. Ponad pięć godzin temu wypchnięto mnie z sali z dwuskrzydłowymi drzwiami. Od tamtej chwili nie dostałem żadnej wiadomości.

Podłoga pode mną staje się jakby częścią mojego ciała. Oddycham coraz ciężej, coraz wolniej. Chcę zasnąć, zamknąć oczy i położyć się na zimnej, zakurzonej podłodze. Zapaść w sen. Po przebudzeniu może się okaże, że to, co widziałem w hotelowej łazience, przyśniło mi się: krople kapiące z kranu i spadające z pluskiem do czerwonej wody w wannie, lewa ręka przewieszona przez wannę, zakrwawiona maszynka do golenia leżąca na rezerwuarze – ta sama, którą goliłem się dzień wcześniej – i jego oczy,

wciąż na wpół otwarte, lecz pozbawione blasku. Przede wszystkim te oczy. Chcę je zapomnieć.

Wkrótce sen nadchodzi i pozwalam, by mnie wziął. Śnią mi się różne rzeczy, ale potem nie mogę sobie nic przypomnieć.

*

Ktoś klepie mnie w ramię. Otwieram oczy. Klęczy przy mnie jakiś mężczyzna. Ma na głowie czepek, taki sam jak tamci za dwuskrzydłowymi drzwiami, i papierową maskę chirurgiczną, zasłaniającą nos i usta – zamiera mi serce, gdy widzę na niej krew. Do pagera przykleił zdjęcie małej dziewczynki o sarnich oczach. Zdejmuje maskę. Sprawia mi to ulgę, bo już nie muszę patrzeć na krew Sohraba. Mężczyzna ma ciemną skórę koloru szwajcarskiej czekolady z importu, którą kupowaliśmy z Hasanem na bazarze w Szahr-e Nau; ma rzadkie włosy i orzechowe oczy z podwiniętymi rzęsami. Z brytyjskim akcentem podaje mi swoje nazwisko: doktor Nawaz. Nagle chcę uciec od tego człowieka, bo nie będę mógł znieść wiadomości, którą mi przyniósł. Mówi, że chłopiec pociął się głęboko i stracił dużo krwi. Na moje usta wracają słowa modlitwy:

– *La ilaha illa Allah wa Muhammad rasul Allah.*

Musieli przetoczyć kilka jednostek krwi…

Jak ja to powiem Sorai?

Dwukrotnie go reanimowali…

Będę odprawiał *namaz,* będę płacił *zakat.*

Straciliby go, gdyby nie młode, mocne serce…

Będę pościł.

Żyje.

Doktor Nawaz się uśmiecha. Dopiero po chwili dociera do mnie to, co powiedział. Mówi coś jeszcze, ale go nie słyszę. Ujmuję bowiem jego ręce

i przykładam sobie do twarzy. Łzy ulgi zbierają się w małych, grubych dłoniach obcego człowieka, który milknie i czeka.

*

Oddział intensywnej opieki ma kształt litery L. W przyćmionym świetle słychać piski aparatów kontrolnych i terkot różnych urządzeń. Doktor Nawaz prowadzi mnie między rzędami łóżek przedzielonych białymi plastikowymi zasłonami. Sohrab leży na ostatnim łóżku za rogiem, najbliżej pokoju pielęgniarek, gdzie widać dwie kobiety w zielonych fartuchach chirurgicznych, które trzymają w rękach podkładki z klipsem i zapisują coś, prowadząc cichą rozmowę. Gdy w milczeniu jechaliśmy windą na piętro, myślałem, że na widok Sohraba znów się rozpłaczę. Ale gdy siedzę teraz na krześle w nogach jego łóżka i patrzę na bladą twarz za gmatwaniną plastikowych przewodów kroplówek i rozmaitych aparatów, mam suche oczy. Patrzę, jak jego pierś unosi się i opada w rytmie szumiącego respiratora, i ogarnia mnie dziwne odrętwienie – takie, jakiego można doznać, gdy skręciwszy kierownicę samochodu, o włos uniknęło się zderzenia czołowego.

Przysypiam. Po przebudzeniu mój wzrok pada na okno obok pokoju pielęgniarek i widzę słońce wschodzące na rozbielonym niebie. Promienie wlewają się ukośnie do pokoju, mój cień pada w kierunku Sohraba. Chłopiec nadal leży bez ruchu.

– Powinien pan się przespać – mówi do mnie pielęgniarka.

Nie znam jej – podczas drzemki pewnie zmienił się personel. Prowadzi mnie do innego pokoiku, tuż przy oddziale intensywnej opieki. Nikogo tam nie ma. Podaje mi poduszkę i koc szpitalny. Dziękuję i kładę się na stojącej w rogu kanapie obitej skajem. Zasypiam niemal natychmiast.

Śni mi się, że jestem w pokoiku na dole. Wchodzi doktor Nawaz. Wstaję, by go powitać. Lekarz zdejmuje papierową maskę i ku swojemu zaskoczeniu widzę, że jego ręce są bielsze niż przedtem, paznokcie wypielęgnowane, włosy uczesane z nienagannym przedziałkiem. To nie doktor Nawaz stoi przede mną, lecz Raymond Andrews, ten pracownik ambasady z pomidorami na parapecie. Przechyla na bok głowę i mruży oczy.

*

Za dnia szpital był labiryntem tłocznych, zakręcających pod kątem korytarzy, gdzie biło w oczy jaskrawobiałe światło jarzeniówek. Poznałem rozkład szpitala, wiedziałem, że we wschodnim skrzydle nie zapala się guzik czwartego piętra w windzie, że zacinają się drzwi do toalety męskiej na tym samym piętrze i że trzeba pchnąć je mocno ramieniem, żeby się otworzyły. Zorientowałem się, że życie szpitalne ma swój rytm: duży ruch tuż przed poranną zmianą personelu, krzątanina w środku dnia, cisza i spokój po północy, jeśli lekarze i pielęgniarki nie biegną na ratunek pacjentowi, który stracił przytomność. Czuwałem przy łóżku Sohraba w ciągu dnia, a nocą wędrowałem krętymi korytarzami, słuchając stuku swoich butów o posadzkę i zastanawiając się, co powiem Sohrabowi, gdy się obudzi. Nic nie wymyśliwszy, wracałem na oddział i siadałem przy świszczącym obok łóżka respiratorze.

Po trzech dniach pobytu na oddziale intensywnej opieki lekarze wyjęli Sohrabowi rurkę intubacyjną i przenieśli go na parter. Nie było mnie przy tym. Poprzedniego wieczoru poszedłem do hotelu, żeby się wyspać, ale i tak przewracałem się z boku na bok przez całą noc. Rano starałem się nie patrzeć na wannę. Była już czysta, ktoś wytarł krew, położył nowe chodniki na podłodze, wyszorował ściany. Nie mogłem się jednak powstrzymać, by

nie usiąść na chłodnej porcelanowej krawędzi. Zacząłem sobie wyobrażać, jak Sohrab napuszcza ciepłą wodę do wanny. Rozbiera się. Kręci rączką maszynki, zwalnia dwie blokady na główce i wysuwa żyletkę, trzymając ją kciukiem i palcem wskazującym. Widziałem, jak wchodzi do wanny, przez chwilę leży w wodzie, ma zamknięte oczy. Zastanawiałem się, jaka była jego ostatnia myśl, gdy wziął żyletkę i opuścił rękę.

Przy drzwiach wyjściowych z hotelu dogonił mnie kierownik, pan Fajjaz.

– Serdecznie współczuję – rzekł – ale chciałbym, żeby pan się wyprowadził. To wpływa niekorzystnie na moje interesy, bardzo niekorzystnie.

Powiedziałem, że go rozumiem, i się wymeldowałem. Nie kazał mi zapłacić za trzy dni, które spędziłem w szpitalu. Gdy stałem przed hotelem i czekałem na taksówkę, przypomniały mi się słowa wypowiedziane przez pana Fajjaza tamtego wieczoru, gdy razem szukaliśmy Sohraba. „Chodzi o to, że wy, Afgańczycy, jesteście… trochę nierozważni”. Wówczas parsknąłem śmiechem, ale teraz zacząłem się zastanawiać. Jak to możliwe, że zostawiłem Sohraba samego z wiadomością, której bał się najbardziej, i poszedłem spać?

Wsiadłem do taksówki i zapytałem kierowcę, czy zna jakieś księgarnie z książkami w dari. Powiedział, że jest taka parę kilometrów na południe. Pojechaliśmy tam po drodze do szpitala.

*

Sohrab leżał teraz w pomalowanym na kremowo pokoju, gdzie były wyszczerbione ciemnoszare gzymsy i glazurowane płytki, kiedyś być może białe. Miał sąsiada, nastoletniego Pendżabczyka, który, jak mi później

powiedziała pielęgniarka, spadł z dachu jadącego autobusu i złamał nogę. Włożono mu ją w gips i umieszczono na wyciągu z kilkoma ciężarkami.

Łóżko Sohraba znajdowało się pod oknem. Przez prostokątne szybki w dolnej połowie wpadało przedpołudniowe słońce. Przy oknie stał umundurowany strażnik, który gryzł gotowane pestki arbuza – Sohrab jako niedoszły samobójca był pod obserwacją przez dwadzieścia cztery godziny. Procedury szpitalne, poinformował mnie doktor Nawaz. Strażnik uchylił czapki na powitanie i wyszedł z sali.

Sohrab miał na sobie piżamę szpitalną z krótkimi rękawami. Leżał na wznak, do piersi przykryty kocem, zwróciwszy twarz w stronę okna. Przypuszczałem, że śpi, ale gdy przysunąłem krzesło do łóżka, jego powieki zadrżały i się uniosły. Spojrzał na mnie i odwrócił wzrok. Był bardzo blady, choć przetoczyli mu tyle krwi, i miał duży fioletowy siniec w zgięciu prawego ramienia.

– Jak się czujesz? – zapytałem.

Nie odpowiedział. Patrzył przez okno na ogrodzoną piaskownicę i huśtawkę w ogrodzie należącym do szpitala. Obok placu zabaw, w cieniu rosnących szpalerem hibiskusów, znajdowała się łukowata pergola, którą oplatało zielone pnącze. W piaskownicy kilkoro dzieci bawiło się wiaderkami i łopatkami. Na niebieskim, bezchmurnym tego dnia niebie malutki odrzutowiec zostawiał za sobą dwie białe smugi. Odwróciłem się do Sohraba.

– Właśnie rozmawiałem z doktorem Nawazem. Mówi, że wypiszą cię za parę dni. Dobra wiadomość, prawda?

Znów się nie odezwał. Chłopiec z Pendżabu, leżący po drugiej stronie pokoju, poruszył się i jęknął przez sen.

– Podoba mi się twój pokój – powiedziałem, starając się nie patrzeć na nadgarstki Sohraba. – Jest jasny, z ładnym widokiem.

Cisza. Po kilku minutach krępującego milczenia pot wystąpił mi na czoło i nad górną wargę. Wskazałem na szafkę przy łóżku, gdzie stała miska z nietkniętym *asz* z zielonego groszku i czysta plastikowa łyżka.

– Zjedz trochę. Musisz odzyskać siły. Chcesz, żebym ci pomógł?

Spotkał się ze mną wzrokiem, po czym odwrócił głowę. Miał kamienną twarz. Oczy wciąż były pozbawione blasku, puste, takie same jak wtedy, gdy zobaczyłem go w wannie. Z papierowej torby, która stała między moimi nogami, wyjąłem używany egzemplarz *Szahname*, kupiony w księgarni z książkami w dari. Pokazałem okładkę Sohrabowi.

– Tę książkę czytałem twojemu tacie, gdy byliśmy dziećmi. Chodziliśmy na wzgórze przy domu i siadaliśmy pod drzewem granatu…

Umilkłem. Sohrab znów patrzył przez okno. Uśmiechnąłem się na siłę.

– Twój tato najbardziej lubił opowieść o Rostamie i Sohrabie, po którym nosisz imię. No ale o tym wiesz. – Gadałem jak idiota. – W liście do mnie napisał, że ty też ją lubisz, więc pomyślałem, że ci poczytam. Chciałbyś?

Zamknął oczy. Zasłonił je ręką, tą z sińcem.

Otworzyłem książkę na stronie, którą zaznaczyłem w taksówce, zaginając róg.

– Zaczynamy.

Dopiero teraz zadałem sobie pytanie, co też pomyślał Hasan, gdy w końcu sam przeczytał *Szahname* i zorientował się, jak wiele razy go oszukałem. Odchrząknąłem i zacząłem czytać:

– „Nadstawcie uszu i posłuchajcie o walce Sohraba z Rostamem, choć smutna to historia i łzy z oczu wyciska. Zdarzyło się, że pewnego dnia Rostam wstał z posłania pełen złych przeczuć. Przypomniał sobie…”.

Przeczytałem mu prawie cały pierwszy rozdział, do miejsca gdy młody wojownik Sohrab staje przed swoją matką, Tahmine, księżniczką

Samanganu, i pyta, kto jest jego ojcem. Zamknąłem książkę.

– Mam czytać dalej? Teraz będą się toczyć bitwy, pamiętasz? Sohrab poprowadzi swoją armię do Białego Zamku w Iranie. Czytać dalej?

Pokręcił wolno głową. Włożyłem książkę do torby.

– Dobrze – powiedziałem zadowolony, że w ogóle zareagował. – Możemy wrócić do tego jutro. Jak się czujesz?

Sohrab otworzył usta i wydał chrapliwy dźwięk. Doktor Nawaz uprzedził mnie, że taki jest skutek włożenia rurki intubacyjnej między struny głosowe. Sohrab oblizał wargi i jeszcze raz spróbował wydobyć głos.

– Zmęczony.

– Wiem. Doktor Nawaz mówił, że należy się tego spodziewać…

Sohrab pokręcił głową.

– Co takiego, Sohrabie?

Z grymasem na twarzy powiedział ochryple, niewiele głośniej od szeptu:

– Zmęczony wszystkim.

Westchnąłem i osunąłem się ciężko na krzesło. Snop światła padał na łóżko, między mną a Sohrabem, i przez chwilę wydawało mi się, że ta zszarzała twarz zwrócona w moją stronę jest twarzą Hasana, ale nie tego, z którym grałem w kulki, aż mułła zaczął wyśpiewywać wieczorny *azan* i Ali wołał nas do domu, i nie tego, za którym zbiegałem z naszego wzgórza, gdy słońce chowało się za gliniane dachy na zachodzie, ale tego Hasana, którego widziałem po raz ostatni przy życiu, jak taszczył swój dobytek, idąc za Alim podczas ulewy tamtego ciepłego letniego dnia, i jak ładował rzeczy do bagażnika samochodu mego ojca, a ja patrzyłem na nich przez ociekające deszczem okno w swoim pokoju.

Sohrab pokręcił wolno głową.

– Zmęczony wszystkim – powtórzył.

– Co mogę dla ciebie zrobić? Powiedz mi, Sohrabie.

– Chcę… – Urwał. Znowu się skrzywił i przyłożył rękę do gardła, tak jakby zamierzał pozbyć się czegoś, co go dławiło. Moje spojrzenie znów przykuły jego nadgarstki owinięte mocno bandażem. – Chcę wrócić do dawnego życia – wyszeptał.

– Och, Sohrabie.

– Chcę, żeby byli przy mnie tato i mama *dżan*. I Sasa. Chcę się bawić z *sahebem* Rahimem Chanem w ogrodzie. Chcę znowu mieszkać w naszym domu. – Przesunął ręką po oczach. – Chcę wrócić do dawnego życia.

Nie wiedziałem, co powiedzieć, dokąd skierować wzrok, patrzyłem więc na swoje dłonie. Wrócić do dawnego życia? – pomyślałem. Tam toczyło się niegdyś i moje życie. Bawiłem się w tym samym ogrodzie, Sohrabie. Mieszkałem w tym samym domu. Ale trawa wyginęła, a na podjeździe jakiś obcy człowiek parkuje jeepa, z którego cieknie ropa na asfalt. Nasze dawne życie się skończyło, Sohrabie. Wszyscy, których wtedy znaliśmy, nie żyją albo dogorywają. Zostaliśmy tylko my dwaj. Ty i ja.

– Tego nie mogę ci dać.

– Żałuję, że…

– Nie mów tak.

– Żałuję, że mnie… Żałuję, że nie zostawiłeś mnie w wodzie.

– Nigdy tak nie mów, Sohrabie – powiedziałem, pochylając się w przód. – Nie mogę tego słuchać.

Dotknąłem jego ramienia. Wzdrygnął się, odsunął. Opuściłem rękę, przypominając sobie z żalem, jak ostatnimi dniami, zanim złamałem daną mu obietnicę, już akceptował mój dotyk.

– Nie mogę sprawić, żebyś żył jak dawniej, Sohrabie – mówiłem dalej. – Bóg mi świadkiem, że chciałbym. Ale mogę cię zabrać z sobą.

Szedłem do łazienki, żeby właśnie to ci powiedzieć. Dostałeś amerykańską wizę, możesz pojechać do Ameryki i zamieszkać ze mną i moją żoną. To prawda. Masz moje słowo.

Westchnął przez nos i zamknął oczy. Uprzytomniłem sobie, że te dwa ostatnie zdania były nie na miejscu.

– Zrobiłem w swoim życiu wiele rzeczy, których żałuję. Najbardziej chyba tego, że nie dotrzymałem danej ci obietnicy. To się już nigdy nie powtórzy. Z całego serca żałuję i proszę cię o wybaczenie. Wybaczysz mi? Uwierzysz? – Cichym głosem dodałem: – Pojedziesz ze mną?

Gdy czekałem na odpowiedź, wróciłem myślami do pewnego zimowego dnia przed wieloma laty. Siedzieliśmy z Hasanem na śniegu pod bezlistną wiśnią. Wcześniej tamtego dnia w okrutny sposób zabawiłem się jego kosztem, zapytałem, czy zjadłby ziemię na dowód swojej lojalności wobec mnie. Teraz ja byłem pod lupą i miałem dowieść własnej prawości. Zasłużyłem na to.

Sohrab przewrócił się na bok, tyłem do mnie. Długo milczał. Myślałem, że przysnął, gdy raptem odezwał się chrapliwie:

– Jestem taki zmęczony.

Siedziałem przy łóżku, aż zapadł w sen. Między nami coś się skończyło. Do spotkania z Omarem Fajsalem w oczach Sohraba tliła się wątła iskierka nadziei. Ten blask zgasł. Zadawałem sobie pytanie, kiedy ośmieli się wrócić. Zastanawiałem się, ile minie czasu, nim Sohrab znów się uśmiechnie. Nim mi zaufa. Jeśli w ogóle.

Wyszedłem ze szpitala i ruszyłem na poszukiwanie innego hotelu. Nie wiedziałem, że minie prawie rok, zanim usłyszę z ust Sohraba następne słowo.

*

Koniec końców Sohrab nie przyjął mojej propozycji. Ani jej nie odrzucił. Gdy zdjęto mu bandaże i zabrano szpitalną piżamę, zdawał sobie jednak sprawę, że jest bezdomnym hazarskim sierotą jakich wiele. Jaką miał możliwość wyboru? Gdzie znalazłby schronienie? To, co potraktowałem jako przytaknięcie, tak naprawdę było raczej cichym poddaniem się, nie tyle wyrażeniem zgody, ile przejawem rezygnacji człowieka zbyt umęczonego, by podjąć decyzję, i tak znużonego, że brak mu sił, by w cokolwiek wierzyć. Pragnął żyć jak dawniej. Przyszło mu żyć ze mną i w Ameryce. W sumie nie spotkał go taki zły los, ale tego nie mogłem mu powiedzieć. Gdy umysł dręczą nieustannie demony, myślenie perspektywiczne jest luksusem.

I tak, jakiś tydzień później, przeszliśmy po rozgrzanej czarnej płycie lotniska do samolotu i wywiozłem syna Hasana z Afganistanu do Ameryki, wydobyłem go z pewnej udręki i wpakowałem w dręczącą niepewność.

*

Któregoś dnia, może w 1983 albo 1984 roku, byłem w wypożyczalni wideo we Fremoncie. Stałem przy półce z westernami, gdy jakiś gość z papierowym kubkiem coli w ręku wskazał palcem *Siedmiu wspaniałych* i zapytał, czy widziałem ten film.

– Trzynaście razy – powiedziałem. – Umiera w nim Charles Bronson, giną również James Coburn i Robert Vaughn.

Twarz mu się ściągnęła, jakbym napluł mu do coli.

– Wielkie dzięki, chłopie – wycedził i odszedł, kręcąc głową i mrucząc coś pod nosem.

Wtedy dowiedziałem się, że w Ameryce nie wolno zdradzać zakończenia filmu, a jeśli ktoś to zrobi, staje się obiektem drwin i musi długo się kajać.

Dla Afgańczyków liczy się tylko koniec. Gdy wracaliśmy z Hasanem z kina Zajnab po obejrzeniu jakiegoś hinduskiego filmu, wszyscy – Ali, Rahim Chan, *baba* i mrowie jego przyjaciół, nie wspominając o bliższych i dalszych krewnych przewijających się przez dom – wszyscy pytali: czy bohaterka zaznała szczęścia? Czy bohater był *kamjab* i spełniły się jego marzenia, czy też był *nakam*, czyli skazany na porażkę?

Czy wszystko skończyło się szczęśliwie? – to chcieli wiedzieć.

Gdyby zapytano mnie dzisiaj, czy historia o Hasanie, Sohrabie i o mnie ma szczęśliwe zakończenie, nie wiedziałbym, co odpowiedzieć.

A czyjakolwiek historia?

Przecież życie to nie hinduski film. *Zendagi migzara* – mawiają Afgańczycy – życie toczy się dalej, nie bacząc na początek, koniec, *kamjab*, *nakam*, punkt zwrotny czy rozładowanie napięcia, posuwa się do przodu niczym powolna, zakurzona karawana *kuczi*.

Nie umiem odpowiedzieć na to pytanie. Mimo małego cudu, który zdarzył się w zeszłą niedzielę.

*

Przyjechaliśmy do domu jakieś siedem miesięcy temu, ciepłego sierpniowego dnia w 2001 roku. Soraja odebrała nas z lotniska. Jeszcze nigdy nie rozstawałem się z nią na tak długo i gdy objęła mnie za szyję i poczułem jabłkowy zapach jej włosów, uprzytomniłem sobie, jak bardzo za nią tęskniłem.

– Nadal jesteś porannym słońcem rozpraszającym moją długą, ciemną noc.

– Słucham?

– Nic takiego. – Pocałowałem ją w ucho.

Następnie przykucnęła, żeby zrównać się wzrokiem z Sohrabem. Wzięła go za rękę i uśmiechnęła się do niego.

– *Salam*, Sohrab *dżan*. Jestem twoją ciocią. Mam na imię Soraja. Wszyscy czekamy na ciebie.

Patrząc, jak się uśmiecha do Sohraba, jak w jej oczach kręci się łza, zobaczyłem w niej matkę, jaką byłaby, gdyby nie zawiodło jej łono.

Sohrab przestąpił z nogi na nogę i odwrócił głowę w bok.

*

Soraja zrobiła z gabinetu na piętrze sypialnię dla Sohraba. Gdy go tam zaprowadziła, usiadł na łóżku zasłanym pościelą z motywem kolorowych latawców lecących po ciemnoniebieskim niebie. Na ścianie przy garderobie narysowała miarkę w stopach i calach, jaką mierzy się wzrost dziecka. Na podłodze w nogach łóżka zobaczyłem wiklinowy kosz z mnóstwem książek, lokomotywą i kompletem akwareli.

Sohrab miał na sobie gładki biały T-shirt i nowe dżinsy, które kupiłem mu tuż przed wyjazdem z Islamabadu – koszulka wisiała na kościstych, zgarbionych ramionach. Twarz wciąż była blada, tylko wokół oczu odznaczały się ciemne kręgi. Sohrab patrzył na nas obojętnie, tak samo jak patrzył na talerz z gotowanym ryżem, który w szpitalu stawiał przed nim salowy.

Soraja zapytała, czy podoba mu się pokój. Zauważyłem, że starała się nie patrzeć na jego nadgarstki, ale jej wzrok co rusz padał na nierówne różowe blizny. Sohrab spuścił głowę. Wsunął dłonie pod uda i milczał przez chwilę, po czym zwyczajnie położył się na poduszce. Nie minęło pięć minut – staliśmy z Sorają na progu – a już chrapał.

Położyliśmy się do łóżka. Soraja zasnęła z głową na mojej piersi. Leżałem w ciemnej sypialni, znów nie mogąc zasnąć. Byłem całkowicie

przytomny. Sam ze swoimi demonami.

W środku nocy wyślizgnąłem się z łóżka i poszedłem do pokoju Sohraba. Gdy stanąłem nad nim, zobaczyłem, że coś wystaje spod poduszki. Wyciągnąłem zdjęcie od Rahima Chana, które dałem Sohrabowi tamtego wieczoru przy meczecie króla Fajsala. To, na którym Hasan i Sohrab stoją obok siebie, mrużą oczy w słońcu i uśmiechają się, jakby cały świat był dobry i sprawiedliwy. Zastanawiałem się, jak długo Sohrab leżał w łóżku, wpatrując się w tę fotografię, obracając ją w rękach.

Spojrzałem na zdjęcie. „Twój ojciec był rozdarty wewnętrznie” – napisał Rahim Chan w liście. Byłem uprzywilejowaną połową, akceptowaną społecznie, prawowitą; nie zdając sobie z tego sprawy, ucieleśniałem poczucie winy swego ojca. Popatrzyłem na Hasana – widać było dziurę po dwóch przednich zębach, słońce padało ukośnie na twarz. Druga połowa mego ojca. Nieuprzywilejowana, pozbawiona praw. Ta, która odziedziczyła to, co było w ojcu szlachetne i czyste. Ta, którą w najgłębszych pokładach serca może uważał za swego prawdziwego syna.

Wsunąłem zdjęcie z powrotem pod poduszkę. Wtedy uprzytomniłem sobie coś jeszcze: ta ostatnia myśl wcale nie była przykra. Zamykając drzwi do pokoju Sohraba, zastanawiałem się, czy właśnie w ten sposób rodzi się przebaczenie, nie w hucznym objawieniu, lecz z bólem, który zabiera swoje manatki, pakuje się i bez uprzedzenia odchodzi niepostrzeżenie w środku nocy.

*

Następnego wieczoru generał i *chala* Dżamila przyszli do nas na kolację. *Chala* Dżamila miała krótko obcięte włosy w ciemniejszym odcieniu rudego niż dotychczas. Podała Sorai deser: pełen talerz *maghut* z migdałami na wierzchu. Na widok Sohraba uśmiechnęła się promiennie.

– *Maszallah!* Jesteś jeszcze przystojniejszy, niż mówiła Soraja *dżan.* – Wręczyła mu niebieski sweter z golfem. – Zrobiłam go dla ciebie na drutach, Sohrab *dżan.* Na zimę. *Enszallah,* będzie na ciebie pasował.

Sohrab przyjął podarunek.

– Witaj, młody człowieku – powiedział krótko generał wsparty obiema rękami na lasce i obrzucił chłopca badawczym spojrzeniem, jakby przyglądał się jakiemuś dziwacznemu bibelotowi.

Chala Dżamila zasypała mnie pytaniami o doznane obrażenia – na moją prośbę Soraja poinformowała rodziców, że zostałem napadnięty – zapewniłem ją, że nie grozi mi trwałe kalectwo i za kilka tygodni, gdy wyjmą mi druty, znowu będę mógł jeść jej potrawy, no i oczywiście będę smarował blizny słodzonym sokiem rabarbarowym, żeby szybciej znikły.

Gdy Soraja i jej matka nakrywały do stołu, siedzieliśmy z generałem w salonie i popijaliśmy wino. Mówiłem o Kabulu i talibach. Słuchał, kiwał głową, trzymając laskę na kolanach. Cmoknął z dezaprobatą, gdy opowiedziałem mu o człowieku, który chciał sprzedać swoją protezę nogi. Nie wspomniałem o egzekucji na stadionie Ghazi i o Asefie. Zapytał o Rahima Chana, którego, jak twierdził, spotkał kilkakrotnie w Kabulu, i z powagą pokręcił głową, słysząc o jego chorobie. Zauważyłem, że w trakcie rozmowy jego wzrok ciągle biegnie ku śpiącemu na kanapie Sohrabowi. Tak jakbyśmy cały czas obchodzili sprawę, która interesowała go najbardziej.

Podczas kolacji generał uznał, że najwyższy czas poruszyć ten temat. Odłożył widelec, mówiąc:

– No więc, Amirze *dżan,* powiesz nam, dlaczego przywiozłeś tu tego chłopca?

– Eghbal *dżan!* Co to za pytanie? – odezwała się *chala* Dżamila.

– Kiedy ty, kochanie, dziergasz na drutach sweterki, ja muszę dbać o wizerunek naszej rodziny wśród członków społeczności. Ludzie zaczną zadawać pytania. Będą chcieli wiedzieć, dlaczego ten hazarski chłopiec mieszka u naszej córki. Co im wtedy powiem?

Soraja odłożyła łyżkę i zwróciła się do ojca.

– Możesz im powiedzieć…

– Chwileczkę… – wtrąciłem się, biorąc ją za rękę. – Poczekaj. Pan generał ma rację. Ludzie zaczną zadawać pytania.

– Amirze… – Urwała.

– W porządku, Soraja. – Spojrzałem na generała. – Otóż, panie generale, mój ojciec spał z żoną swojego służącego. Miał z nią syna o imieniu Hasan. Chłopiec, który leży na kanapie, jest synem Hasana. Moim bratankiem. To niech pan powie ludziom, gdy zaczną zadawać pytania.

Wszystkie spojrzenia spoczęły na mnie.

– Jeszcze jedno, panie generale. Proszę nigdy więcej nie mówić o nim w mojej obecności „ten hazarski chłopiec”. On ma na imię Sohrab.

Do końca kolacji nikt się nie odezwał.

*

Mylące jest powiedzenie, że Sohrab był cichy. Cisza oznacza spokój, stan równowagi. Przykręcenie życiowej gałki głośności.

Milczenie jest równoznaczne z wciśnięciem guzika OFF. Wyłączeniem. Całkowitym zamknięciem.

Milczenie Sohraba nie było dobrowolne – jak u ludzi o silnych przekonaniach, występujących z protestem i pragnących bez słów wypowiedzieć się w sprawie, o którą walczą. Jego milczenie było podobne

do postępowania człowieka, który zwinięty w kłębek zaszywa się w ciemnym miejscu.

Można powiedzieć, że Sohrab nie tyle mieszkał z nami, ile zajmował przestrzeń. I to bardzo niewielką. Czasem widziałem, jak w sklepie czy w parku ludzie prawie go nie dostrzegali, jakby go tam w ogóle nie było. Zdarzało się, że podnosiłem wzrok znad książki i dopiero wtedy zauważałem, że Sohrab wszedł do pokoju i usiadł naprzeciwko mnie. Chodził tak, jak gdyby bał się zostawić za sobą odciski stóp. Jak gdyby nie chciał poruszyć powietrza. Większość czasu przesypiał.

Również Soraja ciężko znosiła milczenie Sohraba. Gdy jeszcze byliśmy w Pakistanie, opowiadała mi przez telefon o swoich planach względem chłopca. Pływanie. Piłka nożna. Kręgle. Teraz przechodziła koło jego pokoju i widziała, że nie ruszył książek w wiklinowym koszu, nie zrobił ani jednej kreski na miarce do mierzenia wzrostu, ani razu nie bawił się puzzlami. Każda z tych rzeczy mówiła jej, jak mogłoby wyglądać życie. Przypominała o niespełnionych marzeniach. Soraja nie była w tym osamotniona. Ja też miałem swoje plany wobec niego.

W przeciwieństwie do Sohraba świat nie pogrążył się w milczeniu. Pewnego wtorkowego poranka we wrześniu 2001 roku legły w gruzach wieżowce WTC i z dnia na dzień zmienił się świat. Nagle wszędzie, gdzie spojrzeć, pojawiały się amerykańskie flagi – na antenach żółtych taksówek lawirujących w tłoku, w klapach marynarek, gdy nieprzerwany tłum przechodniów płynął ulicami, nawet na brudnych czapkach żebraków siedzących pod markizami małych galerii sztuki i pod witrynami sklepów w San Francisco. Pewnego dnia minąłem bezdomną Edith, która codziennie grała na akordeonie przy skrzyżowaniu Sutter Street i Stockton Street, i zobaczyłem naklejkę z amerykańską flagą na stojącym u jej stóp kufrze instrumentu.

Niedługo potem Amerykanie zbombardowali Afganistan, wkroczyły wojska Sojuszu Północnego i talibowie czmychnęli do swoich pieczar jak szczury. Nagle ludzie stojący w kolejce do kasy w sklepie spożywczym zaczęli rozmawiać o miastach znanych mi z dzieciństwa: o Kandaharze, Heracie, Mazar-i Szarif. Gdy byłem bardzo mały, *baba* zabrał Hasana i mnie do Kunduzu. Z tej wycieczki pamiętam tylko to, że siedzieliśmy w trójkę w cieniu akacji, kolejno popijając z glinianego dzbanka sok arbuzowy, i bawiliśmy się, kto dalej wypluje pestkę. Teraz dziennikarze telewizyjni Dan Rather i Tom Brokaw oraz popijający *cafè latte* bywalcy kawiarni Starbucks rozprawiali o bitwie o Kunduz, ostatni bastion talibów na północy. W grudniu tamtego roku przedstawiciele Pasztunów, Tadżyków, Uzbeków i Hazarów spotkali się w Bonn, by pod czujnym okiem ONZ-etu podjąć kroki, które może doprowadzą do zakończenia ponaddwudziestoletniej niedoli ich ojczyzny. Karakułowa czapka i zielony *czapan* Hamida Karzaja stały się powszechnie znane.

Sohrab „przespał” te wydarzenia.

Zaangażowaliśmy się z Sorają w różne przedsięwzięcia na rzecz Afganistanu, nie tyle z poczucia obywatelskiego obowiązku, ile z potrzeby zrobienia czegokolwiek, żeby wypełnić ciszę na górnym piętrze naszego domu, która zasysała wszystko niczym czarna dziura. Wcześniej nie byłem typem aktywisty, ale gdy zadzwonił do mnie Kabir, były afgański ambasador w Sofii, i zapytał, czy nie włączyłbym się w akcję pomocy pewnemu szpitalowi, zgodziłem się. Szpital był mały, znajdował się przy granicy afgańsko-pakistańskiej, miał niewielki oddział chirurgiczny, gdzie leczono afgańskich uchodźców z obrażeniami po wybuchu min. Szpital został jednak zamknięty z powodu braku funduszy na jego utrzymanie. Wybrano mnie na kierownika projektu, Soraja została moim zastępcą. Większość dnia spędzałem w biurze, wysyłałem e-maile do ludzi na całym

świecie, składałem wnioski o dotacje, organizowałem imprezy mające na celu zbiórkę pieniędzy. I powtarzałem sobie, że słusznie postąpiłem, zabierając Sohraba do Stanów.

Ostatni dzień roku spędziłem z Sorają na kanapie; nakrywszy nogi kocem, oglądaliśmy w telewizji sylwestrowy program Dicka Clarka. Ludzie wznosili okrzyki, ściskali się i całowali, gdy opadła srebrna kula i ekran zabielił się od konfetti. W naszym domu nowy rok rozpoczął się tak samo, jak zakończył stary – w milczeniu.

*

Cztery dni temu, chłodnego deszczowego popołudnia w marcu 2002 roku, wydarzyła się drobna, ale niezwykła rzecz.

Zabrałem Sorajȩ, jej matkȩ i Sohraba na spotkanie Afgańczyków mieszkających w okolicy, które odbywało się w parku nad jeziorem Elizabeth we Fremoncie. Miesiąc wcześniej wreszcie wezwano generała do Afganistanu i zaproponowano mu stanowisko ministerialne; odleciał przed dwoma tygodniami – szary garnitur i zegarek kieszonkowy zostawił w Ameryce. *Chala* Dżamila miała pojechać za kilka miesięcy, gdy mąż się urządzi. Tęskniła za nim ogromnie, martwiła się o jego zdrowie, więc namówiliśmy ją, żeby na jakiś czas zamieszkała u nas.

W miniony czwartek był pierwszy dzień wiosny i zarazem afgański Nowy Rok, Sal-e Nau. Afgańczycy z Bay Area zaplanowali obchody na całym wschodnim brzegu zatoki i na terenie zwanym Peninsula, między San Francisco a południowym brzegiem zatoki. Kabir, Soraja i ja mieliśmy dodatkowy powód do radości: nasz szpitalik w Rawalpindi został otwarty przed tygodniem; nie było tam oddziału chirurgicznego, tylko przychodnia dla dzieci – na początek dobre i to, uznaliśmy.

Ostatnie dni były słoneczne, ale w niedzielę rano, gdy spuściłem nogi z łóżka, usłyszałem bębniące o szybę krople deszczu. Afgańskie szczęście, pomyślałem. Roześmiałem się. Gdy Soraja jeszcze spała, odmówiłem poranny *namaz* – już nie zaglądałem do broszury z pouczeniami, którą dostałem w meczecie; recytowałem wersety bez trudu.

Przybyliśmy do parku koło południa i zastaliśmy garstkę ludzi chowających się pod dużym, prostokątnym plastikiem rozpiętym na sześciu drągach wbitych w ziemię. Już zaczęto smażyć *bolani;* para unosiła się nad herbatą w kubkach i nad garnkiem z *asz* na kalafiorach. Dudniła stara piosenka Ahmada Zahira puszczana z trzeszczącego magnetofonu kasetowego. Uśmiechnąłem się lekko, gdy nasza czwórka pobiegła przez grząski trawnik: ja z Sorają na przedzie, dalej *chala* Dżamila, z tyłu Sohrab w żółtej kurtce przeciwdeszczowej z kapturem podskakującym na plecach.

– Z czego się śmiejesz? – zapytała Soraja, złożoną gazetą osłaniając głowę.

– Nawet na obczyźnie Afgańczyk musi mieć swój Paghman – odrzekłem.

Pochyleni wpadliśmy do prowizorycznego namiotu. Soraja i *chala* Dżamila podeszły do tęgiej kobiety, która smażyła *bolani* ze szpinakiem. Sohrab postał pod dachem i chwilę później wyszedł na deszcz, trzymając ręce w kieszeniach kurtki. Proste brązowe włosy, takie same jak Hasana, przylgnęły mu do głowy. Zatrzymał się wpatrzony w brunatną kałużę. Nikt nie zwrócił na niego uwagi, nie zawołał go. Z czasem na szczęście przestano interesować się naszym adoptowanym – i niewątpliwie dziwacznym – dzieckiem. Biorąc pod uwagę, jak nietaktowne pytania zadają czasem Afgańczycy, odetchnęliśmy z ulgą. Już nie pytano, dlaczego nic nie mówi, dlaczego nie bawi się z innym dziećmi. A przede wszystkim skończyło się przytłaczające nas okazywanie przesadnej empatii, powolne

kręcenie głowami, cmokanie i pełne współczucia *o gong biczara* – biedny niemy chłopczyk. Sohrab spowszedniał. Niczym bezbarwna tapeta wtopił się w tło.

Uścisnąłem dłoń niskiego, siwego Kabira. Przedstawił mnie kilkunastu panom. Poznałem między innymi emerytowanego nauczyciela, jakiegoś inżyniera, byłego architekta i byłego chirurga, który miał teraz budkę z hot dogami w Hayward. Wszyscy oświadczyli, że znali mojego ojca w Kabulu, i wypowiadali się o nim z szacunkiem. W ten czy inny sposób *baba* pozostawił ślad w życiu każdego z nich. Ich zdaniem miałem szczęście, że taki wielki człowiek był moim ojcem.

Rozmawialiśmy o trudnym i zapewne niewdzięcznym zadaniu, jakie stoi przed Karzajem, o zbliżającym się posiedzeniu *Loja Dżirga* i o rychłym powrocie króla do ojczyzny po dwudziestu ośmiu latach na emigracji. Przypomniała mi się noc w 1973 roku, gdy Zaher Szah został obalony przez swego kuzyna; przypomniała mi się strzelanina i srebrne światło na niebie – wówczas Ali objął ramionami Hasana i mnie i powiedział, żebyśmy się nie bali, że oni tylko polują na kaczki.

Potem ktoś opowiedział dowcip o mulle Nasruddinie i wszyscy parsknęli śmiechem.

– Twój ojciec też miał poczucie humoru, wiesz? – wtrącił Kabir.

– O tak – powiedziałem z uśmiechem.

Cofnąłem się myślą do czasów niedługo po naszym przyjeździe do Stanów. *Baba* narzekał na amerykańskie muchy. Siadał z packą przy stole w kuchni i obserwował muchy, które przelatywały z jednej ściany na drugą, bzyczały tu i tam, zaganiane, umęczone. „W tym kraju nawet muchy mają mało czasu” – burczał. Ależ mnie wtedy rozbawił. Uśmiechnąłem się na to wspomnienie.

Koło trzeciej przestało padać. Na szarym niebie kłębiły się zwały chmur. Wiał chłodny wiatr. Przybywali następni Afgańczycy, całymi rodzinami. Ludzie witali się, obejmowali, całowali, częstowali się nawzajem jedzeniem. Ktoś rozpalił grill i wkrótce zapach czosnku i kebabu z kurczaka buchnął mi w nozdrza. Rozbrzmiewała muzyka – piosenki wykonywane przez nowego, nieznanego mi śpiewaka – i śmiech dzieci. Dostrzegłem Sohraba, nadal w żółtej kurtce; opierał się o pojemnik na śmieci i patrzył na pusty tunel, w którym baseballista trenuje uderzenia pałką.

Chwilę później gawędziłem z byłym chirurgiem, który, jak się okazało, chodził z moim ojcem do ósmej klasy. W trakcie tej rozmowy Soraja pociągnęła mnie za rękaw.

– Spójrz, Amirze – powiedziała, wskazując niebo, po którym szybowało z sześć latawców. Żółte, czerwone i zielone punkciki na szarym tle. – Zorientuj się.

– Potrzymaj – poprosiłem, podając jej kubek z herbatą.

Przeprosiłem mojego rozmówcę i kłapiąc butami po grząskiej murawie, podszedłem do stoiska z latawcami. Wybrałem żółty *se-parcza*.

– *Sal-e nau mubarak* – powiedział sprzedawca, biorąc dwadzieścia dolarów i podając mi latawca oraz drewnianą szpulę linki pokrytej szklaną masą.

Podziękowałem mu i też złożyłem życzenia szczęśliwego Nowego Roku. Sprawdziłem linkę, tak jak to robiliśmy z Hasanem – gdy przeciągnąłem ją między kciukiem a palcem wskazującym, zaczerwieniła się od krwi. Sprzedawca posłał mi uśmiech. Ja jemu też.

Podszedłem z latawcem do Sohraba, który wciąż stał oparty o pojemnik na śmieci i skrzyżowawszy ręce na piersi, patrzył w niebo.

– Podoba ci się *se-parcza?* – zapytałem, trzymając latawca za końce poprzecznych listewek i unosząc go.

Sohrab przeniósł wzrok z nieba na mnie, potem na latawca i z powrotem na niebo. Miał mokre włosy, z których ściekało po twarzy parę strużek wody.

– Czytałem kiedyś, że w Malezji używają latawców przy łowieniu ryb – powiedziałem. – Założę się, że tego nie wiedziałeś. Przywiązują żyłkę do latawca i puszczają go daleko za płyciznę, bo nie rzuca cienia i dlatego nie straszy ryb. A w starożytnych Chinach generałowie za pomocą latawców puszczanych nad polem walki wydawali polecenia żołnierzom. Naprawdę. Nie bujam. – Pokazałem mu zakrwawiony kciuk. – *Tar* też jest niezły.

Kątem oka zauważyłem, że Soraja patrzy na nas z namiotu, nerwowym gestem wcisnąwszy dłonie pod pachy. W przeciwieństwie do mnie zarzuciła z czasem próby wciągnięcia Sohraba w rozmowę. Brak odpowiedzi na pytania, puste spojrzenia, milczenie – to wszystko było dla niej zbyt bolesne. Przyjęła pozycję wyczekującą. Liczyła, że Sohrab da jej zielone światło.

Polizałem czubek palca wskazującego i uniosłem rękę.

– Twój tato sprawdzał kierunek wiatru, tupiąc sandałem o ziemię i patrząc, w którą stronę leci kurz. Znał mnóstwo takich sposobów. – Opuściłem rękę. – Zdaje się, że zachodni.

Sohrab strącił kroplę deszczu z koniuszka ucha i przestąpił z nogi na nogę. Nie odezwał się. Przypomniało mi się, że przed kilkoma miesiącami Soraja zapytała mnie, jak brzmi jego głos. Powiedziałem, że nie pamiętam.

– Wspominałem ci, że twój tato łapał latawce najlepiej ze wszystkich chłopców w Wazir Akbar Chan? Może nawet w całym Kabulu. – Przywiązywałem linkę do uszka na środkowej listewce. – Ależ mu zazdrościli. Śmigał przez miasto i nawet nie patrzył w niebo. Ludzie

mówili, że goni cień latawca. Ale nie znali twojego taty tak jak ja. Nie biegł za żadnym cieniem. On po prostu… wiedział.

Następne sześć latawców wzniosło się w powietrze. Ludzie stawali grupkami, trzymając w rękach kubki z herbatą, i nie odrywali wzroku od nieba.

– Pomożesz mi go puścić? – poprosiłem.

Oczy Sohraba przeskoczyły na mnie, na latawca i z powrotem na niebo.

– Nie ma sprawy. – Wzruszyłem ramionami. – Wobec tego sam to zrobię.

Trzymając luźno szpulę w lewej ręce, popuściłem niecały jard linki. Żółty latawiec zawisł tuż nad mokrą trawą.

– Jesteś pewien?

Sohrab patrzył na dwa latawce, które splątały się wysoko nad drzewami.

– W porządku. Zaczynamy.

Pobiegłem, rozchlapując adidasami kałuże i wysoko nad głową trzymając przywiązany do latawca koniec linki. Nie robiłem tego tyle lat i ogarnął mnie strach, że się zbłaźnię. Szpula obracała się w lewej ręce, odwijająca się linka znowu przecięła skórę prawej dłoni. Latawiec zaczął się unosić, zataczając kółka. Przyspieszyłem. Szpula kręciła się coraz szybciej. Na prawej dłoni miałem kolejne głębokie nacięcie. Przystanąłem i spojrzałem w górę za siebie. Uśmiechnąłem się. Mój latawiec leciał wysoko i kiwał się na boki jak wahadło, wydając charakterystyczny dźwięk – jakby trzepot skrzydeł papierowego ptaka – który zawsze przywodził mi na myśl zimowe poranki w Kabulu. Przez ćwierć wieku nie puszczałem latawca; nagle znów miałem dwanaście lat i wróciły posiadane wówczas umiejętności.

Poczułem, że ktoś jest przy mnie, i spojrzałem w dół. Sohrab. Z rękami wbitymi w kieszenie kurtki. Pobiegł za mną.

– Masz ochotę? – zapytałem.

Milczał. Ale gdy podawałem mu linkę, wyjął rękę z kieszeni. Przez chwilę się zawahał. Wziął linkę. Serce zabiło mi szybciej, gdy zacząłem nawijać na szpulę luźny kawałek linki. Staliśmy obok siebie, nie odzywając się. Z zadartymi głowami.

Dokoła nas dzieci goniły się, ślizgały po trawie. Rozbrzmiewała muzyka ze starego hinduskiego filmu. Kilku starszych mężczyzn ustawiło się rzędem i odprawiało popołudniowy *namaz* na kawałku folii rozłożonej na ziemi. W powietrzu niósł się zapach mokrej trawy, dymu i mięsa z grilla. Zapragnąłem, żeby czas stanął w miejscu.

Po chwili zauważyłem, że mamy towarzystwo. Nadlatywał zielony latawiec. Przesuwając wzrok wzdłuż linki, ujrzałem chłopca stojącego jakieś trzydzieści jardów od nas. Miał obcięte na jeża włosy i T-shirt z napisem: ROCK GÓRĄ. Gdy zobaczył, że patrzę na niego, uśmiechnął się. Pomachał ręką. Też mu pomachałem.

Sohrab oddał mi linkę.

– Na pewno? – zapytałem, biorąc ją do ręki.

Sięgnął po szpulę.

– Dobrze – powiedziałem. – Damy mu nauczkę, co?

Zerknąłem na Sohraba. Zniknęło szklane, puste spojrzenie. Jego oczy przeskakiwały z naszego latawca na zielony. Twarz była lekko zarumieniona, wzrok czujny. Przytomny. Żywy. Zacząłem się zastanawiać, w którym momencie uleciało mi z pamięci, że Sohrab mimo wszystko wciąż jest tylko dzieckiem.

Zielony latawiec szykował się do ataku.

– Zaczekajmy – powiedziałem. – Niech podejdzie bliżej.

Dwukrotnie obniżył lot i podpełznął w naszą stronę.

– No chodź, chodź – szepnąłem.

Przysunął się jeszcze trochę, górując nieco nad nami i nie orientując się, że zastawiłem na niego pułapkę.

– Uważaj, Sohrab. Pokażę ci jedną z ulubionych sztuczek twojego taty. Stary numer „wzlot i nura”.

Słyszałem, jak Sohrab oddycha szybko przez nos. Szpula obracała się w jego dłoniach. Pod pokrytą bliznami skórą na nadgarstkach rysowały się ścięgna napięte jak struny rebabu. Mrugnąłem i nagle, przez ułamek sekundy, patrzyłem na stwardniałe dłonie i połamane paznokcie chłopca z zajęczą wargą. Usłyszałem krakanie wron i podniosłem głowę. W parku skrzył się śnieg, tak czysty i tak olśniewająco biały, że aż palił w oczy. Bezgłośnie osypywał się z gałęzi otulonych puchem. Doleciały mnie zapachy. *Ghorma* z rzepy. Suszone owoce morwy. Gorzkie pomarańcze. Trociny i orzechy włoskie. Stłumiona, śniegowa cisza aż ogłuszała. Z oddali doszedł mnie głos wzywający do domu, głos człowieka, który powłóczył prawą nogą.

Zielony latawiec zawisł wprost nad nami.

– Zaatakuje. Lada chwila – powiedziałem, patrząc to na Sohraba, to na latawca.

Tamten się wahał. Stał w miejscu. I nagle runął na nas.

– Zaczyna się! – zawołałem.

Zrobiłem to doskonale. Choć minęło tyle lat. Stary podstępny numer „wzlot i nura”. Poluzowałem i szarpnąłem linkę, schodząc niżej i robiąc unik. Potem kilka szybkich pociągnięć na boki i nasz latawiec wystrzelił w górę, zataczając półkole w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara. I nagle to ja byłem nad zielonym latawcem. Tamten wpadł w popłoch, próbował się ratować, ale było za późno. Załatwiłem go

sztuczką Hasana. Mocno pociągnąłem za linkę i nasz latawiec zapikował. Prawie czułem, jak nasza linka tnie tamtą. Prawie słyszałem trzask.

I wtedy, tak po prostu, zielony latawiec zaczął się kręcić w sposób nie do opanowania.

Z tyłu za nami wiwatowano. Rozlegały się gwizdy i oklaski. Dyszałem. Tak przejęty byłem po raz pierwszy od tamtego zimowego dnia 1975 roku, gdy odciąłem ostatniego latawca i zobaczyłem, że *baba* stoi rozpromieniony na dachu naszego domu i bije mi brawo.

Spojrzałem w dół na Sohraba. Kącik jego ust uniósł się odrobinę.

Uśmiech.

Krzywy.

Ledwie zauważalny.

Ale uśmiech.

Wśród krzyków i popychań dzieciaki rzuciły się w pogoń za latawcem swobodnie szybującym po niebie. Mrugnąłem powiekami i uśmiech znikł. Ale przed chwilą na pewno przemknął po twarzy. Widziałem.

– Chcesz, żebym złapał ci tego latawca?

Grdyka uniosła się i opadła, gdy przełykał ślinę. Jego włosy rozwiewały się na wietrze. Chyba kiwnął głową.

– Dla ciebie tysiąc razy – usłyszałem swój głos.

Odwróciłem się i pobiegłem.

To był zaledwie uśmiech, nic więcej. Nie naprawił wszystkiego. Niczego nie naprawił. Tylko uśmiech. Drobiazg. Listek w lesie, drżący na gałązce, gdy wystraszony ptak poderwał się do lotu.

Przyjmuję ten znak. Z radością. Gdy przychodzi wiosna, płatki śniegu też topnieją jeden po drugim. Być może właśnie zobaczyłem, jak stopniał pierwszy płatek.

Biegłem. Dorosły mężczyzna wśród chmary rozkrzyczanych dzieci. Nie przejmowałem się. Wiatr wiał mi w twarz rozciągniętą w uśmiechu szerokim jak dolina Pandższiru.

Biegłem.

Słowniczek wyrazów i zwrotów niewyjaśnionych w tekście

Agha – pan; tytuł grzecznościowy.

Ahmagh – głupi, głupiec.

Ajat – werset Koranu.

Ajat ul-kursi – jeden z najważniejszych wersetów. Muzułmanie wierzą, że każdy, kto go recytuje, jest szczególnie chroniony i otoczony opieką boską. Często recytują go przed zaśnięciem.

Alef-be – litery „a”, „b”; alfabet.

Alhamdulellah – dzięki Bogu!

Allahu – Allah, Bóg.

Allahu Akbar – dosł.: Allah jest wielki. Może odpowiadać polskiemu: chwała Bogu!

Asz – zupa z różnych warzyw na wywarze z pomidorów, podawana z kluskami i odrobiną śmietany, posypana suszoną miętą.

Baba – ojciec; także używane jako tytuł.

Bachszesz – bakszysz, datek.

Balaj – tak.

Bas – dość tego; przestań.

Bedil Abdur Ghadir (1642–1720) – poeta-filozof, mistyk; tworzył w języku dari; jego poetyckie dzieło *Kollijat* składa się z 16 ksiąg (prawie 147 000 wierszy). Głównym jego dziełem jest masnawi zatytułowane *Erfran* (Mistyczne poznanie). Pisał także prozę. Uznawany za jednego z najwybitniejszych twórców stylu poetyckiego zwanego indyjskim, charakteryzującego się skomplikowanymi metaforami, zawiłą konstrukcją zdań.

Bija – chodź, przyjdź.

Birjani – potrawa indyjska: ryż z warzywami lub mięsem.

Bismillah – w imię Boga; formuła religijna, którą pobożny muzułmanin rozpoczyna każdą pracę.

Bolani – płaski placek z nadzieniem warzywnym.

Borgha – burka; wierzchni ubiór muzułmanek zakrywający całą postać, z otworem lub siatką na oczy.

Chada hafez – dosł.: niech Bóg ma cię w opiece; do widzenia.

Chajjam (1048–1131) – perski poeta, astronom, filozof, lekarz i matematyk.

Chanum – pani.

Chastegari – oświadczyny, propozycja zawarcia małżeństwa.

Czaj – herbata.

Czaman – duży plac, pole. Kabulski *czaman* znajdował się na skraju miasta i był miejscem uroczystości ściągających tłumy.

Czapan – długi kaftan noszony przez mężczyzn.

Czati – bezsensowny, pusty.

Czuban kabab – dosł.: kebab pastucha; kebab z marynowanej baraniny.

Dari – perski; język urzędowy w Afganistanie, obok języka paszto.

Del – serce, dusza.

Dilroba – instrument strunowy, połączenie sitaru i sarangi.

Dinijat – lekcja teologii.

Dogh – zimny napój z rozcieńczonego wodą jogurtu i drobno pokrojonego ogórka, przyprawiony miętą.

Dozd – bandyta, złodziej, rozbójnik.

Dżami (1414–1492) – poeta, mistyk, uczony.

Dżan – (przy imieniu) drogi, kochany.

Ehteram – szacunek.

Esfand – ruta; po wysuszeniu palona; w tradycji ludów irańskich jej dym chronił przed niebezpieczeństwem. Napar i sok wykorzystuje się także w celach leczniczych.

Ferni – kisiel z ryżowej mąki na mleku z cukrem.

Ghabeli palau – ryż z marchewką, rodzynkami i mięsem.

Ghaum – naród, plemię, ród, klan.

Ghawwala – muzyka z pogranicza kultury muzułmańskiej i hinduskiej. Mistyczne sufickie teksty śpiewa się do transowej, rytmicznej muzyki.

Ghazal – także: gazel, gazal; liryczny utwór poetycki; pieśń miłosna; wiersz miłosny.

Ghorma – potrawa z mięsa i warzyw lub samych warzyw, duszonych w sosie.

Ha, Sohrab – Hej, Sohrabie! Nieprawdaż, Sohrabie?!

Hadisy – zbiór opowieści opisujących czyny i przytaczających wypowiedzi Mahometa, najważniejsze po Koranie źródło muzułmańskiego prawa.

Hafez (ok. 1325–ok. 1390) – jeden z największych poetów perskich, mistrz gazelu.

Haj – ach! aha!

Halal – (o żywności) rytualnie czysty.

Hazarowie – lud pochodzenia irańsko-turecko-mongolskiego, zamieszkujący Hazaradżat w środkowym Afganistanie. Stanowi ok. 8 procent ludności kraju.

Hidżab – także: hedżab; kwadratowa chusta noszona przez kobiety, zakrywająca włosy, uszy i szyję.

Ja Moula – tytuł utworu: *O mułło.*

Jar – przyjaciel; w formach zwracania się do drugiej osoby jest wyrazem serdeczności, zażyłości.

Jatim – sierota.

Kamjab – osiągający sukces, mający się dobrze.

Kolcza – ciasto, ciastko.

Ladżok – uparciuch, nieustępliwy, namolny; tutaj: Ale namolna! Ale natrętna.

Loja Dżirga – wielka rada przedstawicieli różnych grup społecznych, w tym starszyzny plemiennej, duchowieństwa, ugrupowań politycznych itp.

Lola – tulipan.

Madar – matka.

Maghbul – urocza, piękna.

Maghut – pudding ze skrobi ryżowej z dodatkiem zmielonych migdałów, szafranu i kardamonu.

Mantu – pierożki gotowane na parze, nadziewane mielonym mięsem.

Masdżed – meczet.

Maszallah – Brawo!; Bóg go chroni!

Mehmani – przyjęcie.

Mohtaram – szanowany, szacowny, czcigodny.

Morgh kabab – kebab z marynowanych piersi kurczaka.

Mozahem – intruz.

Naswar – tytoń do żucia.

Nawasa – wnuk, wnuczka.

Nazr – ofiara, jałmużna, przyrzeczenie.

Nihari – duszona wołowina lub baranina przyprawiona curry.

Nur – światło.

Padar – ojciec.

Pakol – okrągła czapka z miękkiej wełnianej tkaniny, z podwiniętym otokiem i płaskim denkiem.

Pakora – warzywa w cieście smażone w głębokim tłuszczu.

Pari – wieszczka, czarodziejka, anioł.

Peirahan-o-tomban – tradycyjny strój męski: kaftan i szerokie spodnie.

Rosti – prawda, rzeczywiście, w rzeczy samej; tutaj: naprawdę?

Rumi (1207–1273) – mistyk perski i najwybitniejszy poeta suficki.

Sadi (prawd. 1212–1295) – najwybitniejszy perski poeta dydaktyczny.

Saheb – pan.

Salam alajkum – dosł.: pokój z tobą; formuła powitania.

Samosa – pierożek smażony w głębokim oleju.

Sasa – skrót od imienia Sanaubar.

Se-parcza – dosł.: trzy kawałki tkaniny; tutaj: latawiec.

Sunnizm – główny odłam współczesnego islamu; jego wyznawcy stanowią większość muzułmanów.

Szalwar kamiz – typowy ubiór afgańskich kobiet i mężczyzn: długa tunika/koszula i szerokie spodnie.

Szola guszti – mięso pieczone w ogniu.

Szorwa – tradycyjna afgańska zupa warzywna.

Szourawi – Sowieci.

Szyizm – odłam współczesnego islamu, drugi pod względem liczebności wyznawców po sunnizmie.

Taszwisz – trwoga, niepokój.

Ustad Sarahang – znany muzyk afgański (XX w.).

Wah, wah! – ho, ho.